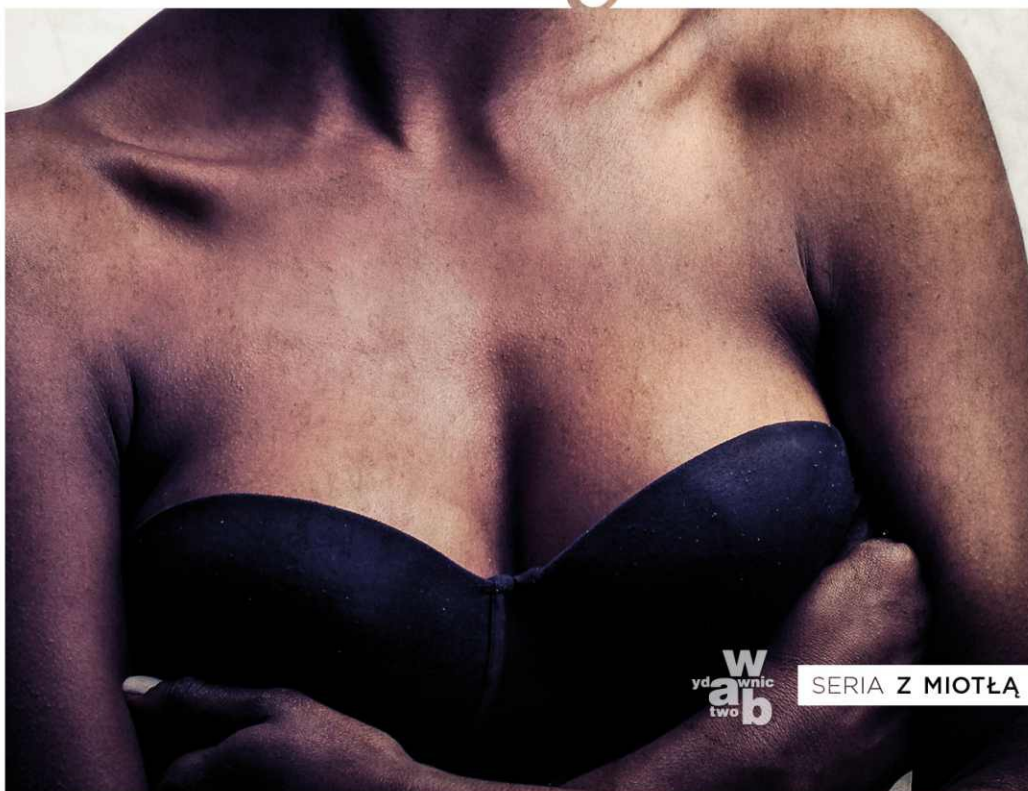




chika unigwe

fatamorgana



Wydawnictwo
ab

SERIA Z MIOTŁĄ

Janowi i naszym czterem synom za niewiarygodną elastyczność, z jaką znoszą moje nastroje.

Triumwiratowi ABC, Arace de Nyeko, Monice, Batandze Budeście, Jackee i Chickwawie, i Brianowi, za to, że są przy mnie od początku do końca.

Armed with a vagina and the will to survive,

She knew that destitution would never lay claim to her¹.

Brian Chickwava, Seventh Street Alchemy

12 maja 2006

Świat był dokładnie taki, jaki powinien. Może nie lepszy, ale z pewnością nie gorszy. Kochał ją dobry mężczyzna. Miała dom. I własne pieniądze. Te ostatnie były jej najnowszym nabytkiem: jeszcze nowe i świeże, w odcieniu zdrowej zieleni. Wspomnienie o pieniądzach dodawało jej sił i wzbudzało w niej taką błogość, że nuciła pod nosem.

Ulice, te same ulice, które tyle razy przemierzała, wydawały się odmienione. Nucąc, rozkoszowała się myślą o nowym początku. Antwerpia stała się dla niej zupełnie innym miastem, jakby w innej strefie czasowej. Rozmyślała nad tym, jak bardzo jej życie się zmienia. Jak marzenia krzepną i stają się namacalne. Luc. Pieniądze. Dom. Już stawała się kimś zupełnie innym.

„Przeobrażam się” – mówiła sobie, używając ładnego określenia, które pamiętała z lekcji biologii. Nie wiedziała jeszcze – miała się o tym dowiedzieć dopiero za kilka godzin – jak nieodwracalna będzie to zmiana.

Sisi szła ulicą De Keyserlei i rozmyślała nad tym, co jeszcze może kupić za swoje nowe bogactwo. Że może kupić zapomnienie, wykupić nawet wspomnienia, które nie znoszą ciszy.

Wspomnienia, przez które krzyczała nocą i budziła się niespokojna. Sklepy błyszczwały i przywoływały ją do siebie, ten nagły poryw wolności miał w sobie coś z cudu; Sisi odczuwała radość jak objawienie, przez które dosłownie emanowała szczęściem i które jak nigdy wcześniej przekonało ją niezbicie, że Przepowiednia się spełniła. Zatem to właśnie było *prawdziwe* objawienie. Nie tamto, którego doświadczyła pewnego środowego wieczoru na Vingerlingstraat. Nie, tamto objawienie było fałszywe. Teraz zdawała sobie z tego sprawę.

Sisi zgłodniała; wahała się między Panos i Eki. Nowe życie posłało jej uśmiech, szeroki i życzliwy, i popchnęło ją delikatnie w kierunku Eki. Panos już знаła, teraz chciała spróbować Eki. Weszła

i kupiła kanapkę, z której z każdej strony wystawały liście sałaty, wilgotne od świeżości; zamówiła też butelkę gęstego soku owocowego. Teraz, kiedy przepełniała ją radość życia, Sisi uznała, że powinna nakarmić swój entuzjazm zdrowym jedzeniem. Usiadła przy stoliku na zewnątrz. Torby z zakupami postawiła obok. Były to reklamówki; ich górne krawędzie delikatnie poruszały się na słabym wiosennym wietrze. Te torby były namacalnym dowodem zerwania z jej nędzną przeszłością. Co by tu jeszcze kupić? Może jakiś prezent dla Luca. Zasłone do jego sypialni bez drzwi.

Wyobraźcie to sobie, sypialnia bez drzwi! Ha! Architekt stawiał na przestrzeń i światło, a że Luc w czasie, gdy kupował dom, właśnie powoli wychodził z depresji, przestrzeń i światło były dokładnie tym, czego potrzebował; brak drzwi w ogóle mu nie przeszkadzał.

– Co to za sypialnia bez drzwi? – zapytała, gdy oprowadzał ją po domu. – Pokoje powinny mieć drzwi. Albo chociaż zasłony!

Luc nic nie powiedział. Kto milczy, ten się zgadza. Jasne. Zasłony w kolorowe trójkąty i kwadraty, z dużymi fioletowymi i białymi plamami na czekoladowym tle, znalezione w HEM-ie². Sisi zastanawiała się, co pozostałe kobiety powiedziałyby na bezdrzwiową sypialnię Luca. Próbowiła wyobrazić sobie ich zdziwienie i śmiech.

Ta jedna myśl wystarczyła, by wywołać w niej poczucie winy, które natychmiast spróbowała wybić sobie z głowy. Przecież nie zostawiła ich na pastwę losu. Nieprawdaż? Po prostu... powiedzmy, że zaczęła żyć swoim życiem. Oczywiście, naturalnie, ma do tego prawo. Zresztą prawo to potwierdziła Przepowiednia. Ona jednak wciąż myślała o kobietach. Ciekawe, co teraz robią. Kiedy się zorientują, że odeszła? Nie wiedziała, że jej życie wpłynie na ich przyszłość. Bo to właśnie życie Sisi miało wskrzesić marzenia, z którymi pozostałe kobiety dawno się pożegnały, na nowo rozbudzić w nich tęsknotę za przepełnionymi nadzieją oczekiwaniami, których już w sobie nie pielęgnowały. To jej życie miało rozkwitnąć i sprawić, aby zapragnęły zbierać plony nowego życia.

W tym czasie kobiety, o których myślała Sisi – Ama, Joyce i

Efe – w domu przy Zwartzustersstraat³ w pośpiechu wbiegały do łazienki i wybiegały z niej. Pozwoliły, by kafelki pokryły się parą ich oczekiwań: to będzie wspaniała noc, przyjdzie mnóstwo mężczyzn, nie będą zbyt wymagające. A przede wszystkim: dzisiejszej nocy będą hojne. Bo żeby się utrzymać, musiały polegać na wiecznym strumieniu uciech cielesnych, którego źródłem była lubieżna część męskiej populacji Antwerpii.

– Kto wziął mój tusz do rzęs? Gdzie jest ten *pieprzony* tusz do rzęs? – krzyknęła Ama, wywalając zawartość kosmetyczki Morgany na posadzkę. W tym samym czasie Joyce upychała do torby podróżnej dezodorant, ręcznik plażowy i szlafrok oraz Smileya – tak nazwała go kiedyś rozbawiona Sisi. Smiley to lubrykant Joyce, niewinnie ukryty w przezroczystym plastikowym opakowaniu w kształcie misia o szerokim uśmiechu i w fikuśnej pomarańczowej czapeczce. Równie dobrze mogłaby to być buteleczka kleju dla dzieci. Nagle Joyce popatrzyła na Smileya ze smutkiem w oczach i wykrzywiła swoją matczyną twarz.

– Gdzie jest Sisi? – zapytała.

– Jeszcze jej nie widziałam. Może już wyszła – powiedziała Efe, upychając elektryczną szczoteczkę do zębów w kosmetyczce. W jednej z kieszonek przechowywała zdjęcie chłopca w czapeczce bejsbolowej. Na odwrocie zapisano inicjały L.I. Zdjęcie pogmiotło się już i zmatowiało, ale gdy Efe dopiero co je dostała, było widać, że chłopiec jest do niej bardzo podobny w sposób, w jaki syn może być podobny do matki. Tę fotografię Efe miała zawsze i wszędzie przy sobie.

– Dlaczego wyszła tak wcześniej? – zapytała Joyce.

– A bo ja wiem? – odpowiedziała Ama i szybkim ruchem dotknęła szyi, jakby chciała się upewnić, że złoty łańcuszek z krzyżykiem, który zawsze nosiła, wciąż jest na swoim miejscu. – Sisi to, Sisi tamto! Słuchaj no, a może wy *to* ze sobą *robicie*? E tam, pewnie znowu poszła na spacer. – Zaśmiała się i lekko przymknęła oczy, żeby nałożyć tusz do rzęs.

Przynajmniej dwa razy w tygodniu Sisi wychodziła sama do miasta. Gdy ktoś proponował, że dotrzyma jej towarzystwa,

zawsze odmawiała. Nikt nie wiedział, dokąd szła, chociaż zdarzało się, że wracała z pudełkami czekoladek i torbami wypchanymi tysiącem jeden drobiazgów (japońskie wachlarze i skarpetki niemowlęce z koronką, magnesy na lodówkę i T-shirty z nadrukami belgijskich marek piwa. „Prezenty” – burknęła opryskliwie, gdy Joyce zapytała ją kiedyś, co ma zamiar zrobić z tymi wszystkimi rzeczami).

Joyce właśnie skończyła szykować się w łazience. Na miłość boską, gdzie jest Sisi? Miała nadzieję, że Sisi pomoże jej z warkoczykami. Jej bujna czupryna, jeśli nie ujarzmiła jej trwała lub staranne warkoczyki, była jedną wielką, dziką dżunglą. Ani Ama, ani Efe nie były dość dobre w zaplataniu warkoczyków. No cóż, jak pech, to pech. Joyce będzie musiała upiąć włosy i mieć nadzieję, że Madam nie zauważy niedbałej fryzury i tego, że kok przypomina wyspę okoloną niesfornymi kosmykami, sterczącymi na wszystkie strony. Madam nie tolerowała niedbałości u swoich dziewczynek. Ani spóźniania się. Jeśli Sisi jeszcze nie wyszła i najzwyczajniej w świecie się spóźnia, wyląduje u niej na dywaniku.

Ale Sisi miała już nigdy nie wrócić do domu przy Zwartzustersstraat.

Zwartzustersstraat

Śmiech Sisi brzmiał najgłośniej i przebijał głosy pozostałych kobiet. Uderzyła się w uda wilgotną ścierką. Śmiała się tak intensywnie, że z rozbawienia aż zacisnęła powieki.

– Daj spokój, Efe! Twoja ciotka naprawdę uwierzyła mężowi?

– Naprawdę! Powiedział jej, że nie może wyjechać z nim za granicę, ponieważ ambasada brytyjska potrzebuje jej świadectwa maturalnego, bo bez ocen końcowych nie wyda jej wizy. To był jedyny pomysł, na jaki wuj wpadł, żeby wreszcie dała mu spokój i przestała marudzić o wspólnej podróży. On miał cztery żony! Co ona sobie myślała, że wołał ją od innych? I pomyśleć, że nie była nawet jego pierwszą żoną! Dacie wiarę? Ta kobieta miała nierówno pod sufitem!

– Sprytnie to wymyślił, ten twój wuj. Czasami kłamstwo jest lepsze niż prawda. Oszczędza masę czasu i energii – powiedziała Joyce, chowając wytartą szklankę do szafki nad zlewem.

– Mężczyźni to gnoje – powiedziała Ama.

– Daj spokój, Ama! – zawołała Sisi. – Przecież w tej historii nie chodzi o to, że mężczyźni to bydlaki. Człowieku, ty wszystko bierzesz zawsze na poważnie! Z wrodzoną zręcznością potrafisz zepsuć taki piękny dzień. Jakby sprawiało ci frajdę złośczenie się o każdy drobiazg! – Sisi wytarła talerz, sprawdziła, czy na pewno jest czysty, i odłożyła go na inny talerz obok zlewu.

Ama odwróciła się do niej i powiedziała kąśliwie:

– Weź no odłóż te talerze na miejsce. Jeśli je tam zostawisz, za chwilę znów będą mokre. Sprzątaj od razu po sobie, jak wycierasz naczynia! – Westchnęła niespokojnie i zajęła się szorowaniem garnka. – Boże, Sisi, czy ty naprawdę musiałaś przypalić ten ryż? Nigdy nie doczyszczę tego cholernego garnka!

– Nie wiem, co cię ugryzło, Amo, ale nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie wiem, co za diabeł cię tu przysłał, ale powiedz mu,

że mnie nie widziałaś. Błagam cię.

– Spadaj. Może byś tak poszła na jeden z tych swoich długich spacerów?

Jej głos zapowiadał nadciągającą burzę. Efe natychmiast podjęła próbę załagodzenia sztormu.

– Dziewczynki, dziewczynki, taki piękny dzień. Bądźcie dla siebie miłe – poprosiła błagalnym tonem. Miała nadzieję, że nie będzie padać. Dzień był piękny, zupełnie jak nie listopadowy: w łagodnym powietrzu liście na drzewach barwiły się na fioletowo, żółto i biało, a niebo zupełnie nie zapowiadało deszczu. Taki mały cud jak na tę porę roku. – Zobaczcie, jaki mamy piękny dzień dzisiaj, jak z obrazka! Nie psujcie teraz atmosfery...

– Ja tam niczego nie psuję. Zresztą właśnie skończyłam. – Ama wyjęła ze zlewu garnek, lśniący jak nowy, i poszła do pokoju stołowego. Wnętrze wypełniła kakofonia puszczonej przez nią muzyki highlife'owej⁴. Ama zapaliła papierosa i zaczęła tańczyć.

Efe przerzuciła ścierkę nad głową, westchnęła i również skierowała się do pokoju stołowego.

– No, no, jak widać, jesteś gotowa na imprezę, Amo! Taaak, kręć tyłkiem, dziewczyno! *Shake am like your mama teach you!*⁵

– Człowieku, przestań! Co wspólnego ma moja matka ze sposobem, w jaki tańczę?! – Ama, z błyszczącym na szyi krzyżykiem, tanecznym krokiem oddaliła się od Efe. Jej złość była nieco przesadzona, przerysowana. Ale Efe odpuściła. Miała inne sprawy na głowie.

Organizowała imprezę, rodzaj stypy po zmarłej babci.

– To nie była moja prawdziwa babcia – powiedziała kobietom. – Wprawdzie wszyscy tak na nią mówiliśmy, ale to była po prostu kobieta, która mieszkała blisko naszego domu. W niedzielę zawsze gotowała dla mnie *moi moi*⁶. A kiedy chodziłam do podstawówki, przygotowywała obiad dla moich młodszych braci, sióstr i dla mnie. Kurczę, ta kobieta była dla nas zawsze taka dobra. Prawdziwa babcia się do niej nie umywa. Żegnaj, *granny*. Odpoczywaj w pokoju.

– A w jaki sposób odeszła? – zapytała Joyce.

Nawet Efe nie знаła okoliczności jej śmierci. Informacja o niej została wtrącona mimochodem, między prośbą „Kup mi komórkę Motoroli” a „Tata Eugene chciałby wiedzieć, czy łatwo jest stamtąd sprowadzić samochód”. Przez przeciążoną, trzeszczącą linię prawie niezrozumiały komunikat „Iya Ijebu zmarła dwa tygodnie temu” torował sobie drogę z budki telefonicznej w Lagosie do pomieszczenia ze szklanymi drzwiami w pakistańskiej kawiarence internetowej w Antwerpii.

– Umarła? Iya Ijebu? *Osalobua!*⁷ Na co zmarła? – Głos Efe był wystarczająco donośny, by dotrzeć do rozmówcy. Próbowwała skupić uwagę siostry na wiadomości, którą ta właśnie jej przekazała. – Jak? Co się stało?

– Co? Nie rozumiem. Słyszałaś, co ci mówiłam o motoroli?

Linia jeszcze przez chwilę rzeźbiła, po czym zamilkła. Efe rozpoczęła gorączkowe przygotowania do imprezy.

Nie znała przyczyny śmierci kobiety, ale miała zamiar rozdać na przyjęciu kiepskiej jakości kserokopie zdjęć zmarłej: kobieta w ogromnej chuście na głowie pozowała uroczyście – pośmiertnie – na tle stojącej za nią dekoracji z drzewami palmowymi namalowanymi bez ładu i składu. Pod spodem będzie napisane, że zmarła nagle w wieku siedemdziesięciu pięciu lat – to był strzał w ciemno, ale kto by się tam przejmował dokładnym wiekiem. Na kserokopiach był też dopisek: WNUCZKA EFE DZIĘKUJE BOGU ZA BOGATE ŻYCIE, KTÓRE MIAŁA JEJ BABCIA. Lato byłoby odpowiedniejsze, letnia atmosfera bardziej sprzyja zabawom, ale impreza była dokładnie tym, czego ponury listopad potrzebował, by go rozweselić. Efe miała mnóstwo spraw do załatwienia: musiała wymyślić, co ugotuje, jaką muzykę będzie puszczać, kogo zaprosi. Będzie wielu Ghańczyków – naprawdę wszędzie ich pełno – i Nigeryjczyków oczywiście, to się rozumie samo przez się. Poza tym garstka wschodnich Afrykanów – tych dziwnych Kenijczyków, którzy jedzą *samosa*⁸, nie noszą tradycyjnych strojów i narzekają na pieprz w potrawach nigeryjskich; czy można ich jeszcze nazwać Afrykanami? Trzy Ugandyjki, które znała i które wciąż mówiły *brackening* i

renthening zamiast *blackening* i *lenghtening*, i jeszcze jedyna kobieta z Zimbabwe z kręgu jej znajomych, która tańczyła, szurając nogami. Ci goście przyprowadzą innych gości, więc lista rozrastała się w nieskończoność. Efe cieszyła się, że była na tyle mądra, by wynająć gigantyczny pusty magazyn niedaleko Dworca Centralnego zamiast salki parafialnej, którą załatwiła w zeszłym roku na imprezę urodzinową.

Tutaj było wystarczająco miejsca, nie musiała się martwić o liczbę osób, które się pojawią. Poza tym po imprezie nie trzeba będzie zostawić po sobie należytego porządku, jak w wypadku salki parafialnej. W niektórych miejscach odpadły płytki, przebijała przez nie goła ziemia, jak częściowo rozdrapane strupy. Przy ścianach stały wysokie metalowe regały, większość z nich zardzewiała. Da się na nich postawić skrzynki z piwem i lodówki turystyczne z jedzeniem, więc Efe nie będzie musiała pożyczać stołów. Przed regałami stały białe krzesła ogrodowe, a na środku zostawało dość miejsca do tańczenia.

Kiedy Sisi, Joyce i Ama dotarły na miejsce, impreza trwała już w najlepsze. Z głośników rozbrzmiewała muzyka, a jakaś kobieta w wysokich jaskrawopomarańczowych szpilkach zdjęła buty, trzymała je nad głową i jodłowała do sufitu. Błyszcząc w czarnej sukience mini, która podkreślała jej długie nogi, Joyce posuwała się w głąb sali i przystanąła, by zatańczyć z mężczyzną w za dużej koszuli. Tego dnia wielokrotnie mówiono jej, że z takim wzrostem i urodą powinna zostać modelką. Słyszała to już wcześniej, dlatego zbywała te uwagi śmiechem i słowami: „Cóż, to jest mój plan B”.

Ama ukradkiem obserwowała dwójkę gości z Ghany, którzy szli już po trzecią porcję ryżu, i z chytrym uśmiechem powiedziała Sisi, że Nigeryjczycy zdecydowanie lepiej gotują i robią smaczniejszy smażony ryż niż Ghańczycy. Ludzie, którzy wrzucają do sosu całe pomidory, nie mogą przecież dobrze gotować, prawda?

Kobiety były zgodne co do tego, że Ghańczycy to niedoszli Nigeryjczycy, że Antwerpia, mimo swoich wad, jest najlepszym

miastem na świecie i że Belgia ma najlepsze piwa świata: leffe, westmalle, stella artois. Takiego piwa nie ma przecież nigdzie indziej, czyż nie?

Efe podeszła do nich i poskarżyła się, że bolą ją stopy od tańczenia. Powiedziała, że nie powinna była wkładać tak wysokich obcasów.

– Ale ty zawsze chodzisz na wysokich obcasach! Dzisiaj narzekasz, a jutro znów je włożysz – przekomarzała się z nią Sisi.

– Jakbym przy swoim wzroście nie nosiła wysokich obcasów, trzeba by mnie szukać z lupą.

Właściwie Efe nie była niska. Była niewiele niższa od Sisi, która uważała, że jest średniego wzrostu. W jej wypadku średni wzrost oznaczał sto siedemdziesiąt cztery centymetry. Ale z ich czwórki to Efe była najniższa i z tego powodu miała kompleksy.

– Wcale nie jesteś niska, Efe. Po prostu lubisz nosić wysokie obcasy!

Wysokie obcasy i peruki były znakiem firmowym Efe. Ama nazywała ją Imeldą Marcos⁹ peruk. Dzisiaj założyła krótką czarną perukę, w której wyglądała, jakby miała na głowie берет. Współlokatorce jeszcze jej nie widziały, musiała być nowa, kupiona specjalnie na tę okazję. Nie była zbyt obfita w porównaniu z perukami, które Efe zwykle nosiła, przez co nadmiernie podkreślała rysy jej twarzy: nos, usta i oczy wyglądały jak nadmuchane, jak oglądane przez szkło powiększające.

Ama niecierpliwie przebierała stopami w rytm muzyki.

– Te twoje koślawe nogi jak zwykle aż się rwą do tańca – dokuczyła jej Efe.

– Gdzie ten alkohol, do cholery? – Stopy Amy wciąż poruszały się do taktu.

Zanim Efe zdążyła odpowiedzieć, już jej nie było. Poszła szukać swojego ulubionego piwa pszenicznego. Pijąc je wielkimi łykami, tańczyła sama ze sobą na środku parkietu, objiała się o innych tancerzy i krzyczała, że życie jest piękne. *Piękne!* Czarny mężczyzna z gęstymi krótkimi dreadami pomachał do niej zniewieściałym gestem, na co Ama zrobiła krok do tyłu.

– *What's wrong with ya, sister?*¹⁰ – zapytał z amerykańskim akcentem. Chciał złapać ją za rękę, ale Ama wyrwała się i rzuciła mu wściekle spojrzenie.

– Nie jestem twoją *sister* – syknęła, gwałtownie odwróciła się do niego plecami i odeszła tanecznym krokiem.

Wzruszył ramionami.

– *Bloody Africans*¹¹ – bąknął pod nosem i wyruszył na poszukiwanie chętniejszej partnerki do tańca. Przecisnął się do Efe sączącej sok jabłkowy i pociągnął ją na parkiet. Okazała się bardziej uступliwa. Pospiesznie odstawiała szklanke i wśliznęła się na szybko zapełniający się parkiet.

– *Wema, you're an awright sister! You Africans can really pardy!*¹²

– Jezu, a ty skąd jesteś? – zapytała Efe ze śmiechem.

– *Seth Africa. The real deal*¹³. Ty też pochodzisz z Ghany?

– Z Nigerii.

– Wow, Nigeryjka? W Jo'burgu roi się od tych *makwerekweres*¹⁴. Mnóstwo Afrykanów. Ci wszyscy Nigeryjczycy siedzą w przemyśle, co nie? I narkotykach, oczywiście. W domu, w *Seth Africa*, wciąż mówią o nich w wiadomościach.

Efe powiedziała, że musi wrócić po sok. O co chodziło tym Południowoafrykańczykom, dlaczego zawsze zachowywali się tak, jakby byli z innego kontynentu? W szczególności *czarni* Południowoafrykańczycy. Przecież RPA też leży w Afryce! Zobaczyła Joyce, dziko wywijającą doczepianym czarnym końskim ogonem, tańczącą ze śniadym mężczyzną w koszuli *kente*¹⁵. Uśmiechnęła się do niej i bezgłośnie przesylabizowała: „duppek”, wskazując na mężczyznę z RPA, który właśnie rozmawiał z kobietą z warkoczami sięgającymi ramion. Sisi tańczyła tuż za Joyce, w jednej ręce trzymała butelkę piwa, drugą dziko machała; w jakiś magiczny sposób jej dwa złote pierścionki uchwyciły światło i je odbiły.

Sisi stanęła blisko Joyce i szepnęła, że na szczęście Amie poprawił się humor.

– Ta Ama... Czasami bywa strasznie męcząca. Czego ona od

nas chce? Żebyśmy chodziły na paluszkach w naszym własnym domu?

Sisi i Joyce dopiero dwa miesiące temu wprowadziły się do wspólnego mieszkania.

Joyce wzruszyła ramionami. Chciała się zabawić, a nie martwić się Amą. Spośród wszystkich kobiet w domu Sisi była jedyną, której trochę ufała. Ama to beznadziejny przypadek, kobieta, którą natura obdarzyła wojowniczym temperamentem i która przy byle okazji wpada w szał. Efe pozostawała dla niej wciąż zagadką, ale może z czasem da się z nią dogadać. W każdym razie była miłsza od Amy, chociaż też miała swoje zagrania. Wczoraj Joyce nazwała ją „mamušką”, ponieważ próbowała załagodzić sprzeczkę między Sisi i Amą. Wszystkie wiedziały, że to żart, nawet Ama (nawet Ama!) śmiała się z tego, tylko Efe nie. „Nie jestem niczyją matką” – powiedziała szorstkim głosem w taki sposób, jakby została zdradzona, jakby była rozczarowana. Mimo wszystko jednak była sympatyczniejsza od Amy.

– Siku mi się chce – powiedziała Sisi, po czym poszła szukać ubikacji. Ama widziała, jak toruje sobie drogę między ludźmi stłoczonymi na parkiecie, i podeszła do niej.

– Znów się ulatniasz? – zapytała, puszczając filuternie oko.

Sisi zacisnęła usta i wysyczała:

– Po prostu szukam toalety. Zresztą to nie twoja sprawa.

– Jezu, co ci jest, do cholery?

– Ty, ty mi jesteś.

– Daj spokój! Wciąż jesteś zła o Seguna? – Ama wzięła potężny łyk piwa. – Jeśli to nieprawda, to po co się złościć?

– Zamknij się, Amo! – Sisi podniosła głos. Od incydentu z Segunem Ama zachowywała się nieznośnie. Puszczala oczka i robiła głupie uwagi, w domu ciągle śpiewała rzewne kawałki o Segunie i Sisi. – Wydaje ci się, że wszystko wiesz.

– Ooo? A czego to niby nie wiem? – Ama podeszła jeszcze bliżej, ich ramiona zetknęły się. Wprawdzie Sisi była wyższa, ale gdyby doszło do rękoczynów, sama wszystkie pieniądze postawiłaby na Amę. Ama często miała z ludźmi na pieńku i biła

od niej nieudawana odwaga, dlatego Sisi nie miała zamiaru prowokować jej do bójki. Cofnęła się o krok. Ama zrobiła krok do przodu. Wtedy tuż obok nich wyrosła Efe.

– I jak, dziewczyny? Dobrze się bawicie?

Przypadek? Łut szczęścia? Cokolwiek sprowadziło Efe, Sisi natychmiast to wykorzystała, dając nogę.

Kiedy wróciła z ubikacji, Joyce wciąż stała na parkiecie. Sisi podeszła do niej i klepnęła ją w ramię.

– O której wychodzimy? – zapytała Joyce, odwracając się tyłem do mężczyzny w koszuli *kente*.

– Koło siódmej. Chcę się jeszcze odświeżyć przed pracą wieczorem.

– Tak się objadłam, że w pracy po prostu usnę – powiedziała Joyce, śmiejąc się. W szparze między przednimi zębami można było dostrzec koniuszek jej języka.

– Spanie? Cóż, skarbie, ja wolę myśleć o swoich pieniądzach! Nie mam czasu na sen i ty też nie! – powiedziała Sisi, siląc się na surowy ton. – Chcę mieć złoty pierścionek na każdym palcu!

Tanecznym krokiem udała się do stołu po chrupiące kurze udko, mając nadzieję, że nie natknie się po drodze na Amę. Rozmyślała o Przepowiedni i jej ostatecznym wypełnieniu się. Wybrała udko, zatopiła zęby w soczystej skórce i myślała: Mam szczęście, że tu jestem, że mogę spełnić swoje marzenie. Tylko jeden Pan Bóg wie, kim bym się stała, gdybym została w Lagosie.

Szybko jednak porzuciła tę smutną myśl. Wolą nie wspominać Lagosu ani domu w Ogbie czy Petera. Zamiast tego próbowała myśleć o rychłym spełnieniu się wróżby, dzięki której jej życie rozbłyśnie oszałamiającą feerią barw.

Ale wspomnienia są uparte.

A na początku...

Byli pielgrzymi.

Jeden po drugim znosili dary – ze słów,

Ze światów,

Z życia.

Prawdy.

Na ścianach mieszkania w Ogbie wisały trzy oprawione fotografie. Pierwszą zrobiono w dniu ślubu rodziców Chisom. Panna młoda była ładną dziewczyną w krótkiej, kręconej peruce (taka panowała wtedy moda), o nieśmiałym uśmiechu. Pan młody miał przedziałek na środku i figlarnie patrzył w obiektyw, z jedną dłonią spoczywającą zaborczo na ramieniu siedzącej panny młodej, drugą ukrytą w kieszeni spodni; ta postawa dawała jasno do zrozumienia: „Świat należy do mnie”. To była szczęśliwa para, uwieczniona w stylowej sepii, nadającej jej czegoś eterycznego. Drugie zdjęcie, to w środku, przedstawiało Chisom licealistkę, w todzie do ziemi, stojącą między rodzicami. Ojciec lekko pochylał głowę; z trudem dało się dostrzec jego uśmiech. Uśmiech matki był o wiele bardziej widoczny: promiennie odsłaniała w nim zęby. Uśmiech Chisom był najszerszy, sygnalizował nowy początek. Miała na nogach nowe buty, kupione specjalnie na rozdanie świadectw maturalnych, wiedziała, że jej życie za chwilę się zmieni. Trzecie zdjęcie, największe, zostało oprawione w piękną ramkę zdobioną muszlami i koralikami. (Zrobiono ją na wymiar na zamówienie ojca. „Najlepsza z najlepszych. Wyłącznie najlepsza z najlepszych! Dzisiaj pieniądze nie grają roli”.) Zdjęcie wykonano w dniu, w którym Chisom ukończyła studia; wszyscy troje mieli szerokie uśmiechy, ich oczy były większe niż na poprzednich fotografiach. Po tym jak fotograf ustawił ich do zdjęcia, Papa Chisom powiedział, że byłoby wspaniale, gdyby mogła być z nimi kobieta, która przy narodzinach ich córki przemawiała w imieniu bogów. „Fajnie by było, gdyby ona też była na tym zdjęciu. Jej słowa dały nam nadzieję”.

Matka Chisom powiedziała: „Cóż. Szkoda, że się przeprowadziła. Powinniśmy byli utrzymywać z nią kontakt”.

A Chisom rzekła: „Po prostu cieszę się, że ukończyłam studia!”.

Nie mogła się doczekać ziszczenia wszystkiego, o czym marzyła. Kładzenia się spać i wstawania w marzeniach, które nosiła w sobie, odkąd była wystarczająco duża, by pragnąć życia innego, niż wiedli jej rodzice. Nie potrzebowała już Przepowiedni, by zobaczyć swoją przyszłość – przecież uzyskała dyplom dobrego uniwersytetu. Będzie miała własny dom. Wynajmie jakieś duże lokum dla rodziców. Ponieważ od zawsze gnieździli się we trójkę w dwóch pokojach, chciała mieć ogromny dom, wystarczająco dużo miejsca do tańczenia i organizowania sobotnich imprez.

Przepowiednia utworzyła nad ich głowami aureolę, halo z błyszczącym odbiciem rozświetlającym szkło. Do czasu wyruszenia z Antwerpii w odwiedziny do rodziców Chisom zmądrzeje na tyle, by przejrzeć ten błysk, zobaczy jakby zmarszczkę na zdjęciu, ledwie dostrzegalną zapowiedź zła, które przyćmi każdy blask.

Chisom zawsze marzyła o tym, by opuścić Lagos. Wiedziała, że to jest miejsce bez przyszłości. Próbowwała wyobrazić sobie, jak wyglądałby kolejny rok w wynajmowanym przez ojca mieszkaniu w Ogbie. Nie potrafiła już dłużej znieść tych ścian, które przez lata pożółkły, przybrały kolor owsianki, czuła się, jakby ich żółte odnóża łapały ją za gardło, kurczowo trzymały się jej życia. Próbowwała nie wciągać do płuc powietrza, aby nie musieć wdychać smrodu zapleśniałych marzeń, dlatego w domu wstrzymywała oddech jak pływak pod wodą. Oddychanie oznaczałoby śmierć.

– Jediną nadzieją na lepsze życie jest wykształcenie. *Akwukwo*¹⁶. Zanurz się w książkach, a świat będzie leżał u twych stóp. Spełnienie Przepowiedni jest w twoich rękach – to były odwieczne słowa ojca. Kiedy po raz pierwszy od wyjazdu Sisi wróci do mieszkania, szepnie ojcu do ucha, że się mylił. „Myliłeś się” – powie, ale on jej nie usłyszy.

Po szkole średniej ojciec zrezygnował z dalszej nauki i często wskazywał to jako powód, dla którego do niczego w życiu nie doszedł. Nawet los nie podał mu pomocnej dłoni, nie zaoferował widoków na bezpieczną przyszłość.

– Daję ci szansę, której sam nigdy nie miałem. Potraktuj ją z

rozważa. – Jakby szansa była prezentem, czymś starannie zapakowanym w folię bąbelkową, chroniącą przed uszkodzeniem. Jakby wystarczyło, że Chisom rozpakuje podarek, by w ekspresowym tempie doszła do zawrotnej sławy i chwały. Ojciec zawsze mówił o swojej przeszłości. Rodzice kazali mu poszukać pracy, aby rodzina mogła związać koniec z końcem. (Trzeba było opłacić chesne. Kupić ubrania. Napęłnić brzuchy.

„Wykształciliśmy cię, teraz twoja kolej, by wykształcić resztę. Przejmij od nas opiekę nad dziewięciorgiem braci i sióstr. Dobrze ich wykształć, a w ciągu dwóch lat bliźnięta też zdobędą dyplomy i będą mogły pójść do pracy. Co ci po dzieciach, jeśli nie mogą się tobą zaopiekować na stare lata? Wreszcie możemy się nacieszyć tym, że mamy dorosłego syna!”). Ale mając dziewiętnaście lat, nie bardzo czuł się dorosły. Chciał iść na uniwersytet w Ife, nosić krawat i eleganckie koszule studenta. Nie marzył o posadzie pracownika administracyjnego w firmie, z którą nie czuł się związany, jako podwładny tak-proszę-pana-nie-proszę-pana mężczyzn niewiele mądrzejszych od niego, bo w szkole zawsze był prymusem.

– Miałem do tego głowę. Miałem głowę do książek, *isi akwukwo*, mogłem zostać lekarzem lub inżynierem. Mogłem być kimś.

Często rozglądał się z pogardą wokół siebie: patrzył na ściany, na trzy niepasujące do siebie krzesła ze zniszczonymi siedziskami, na zepsutą wieżę stereo (symbol czasów, kiedy jeszcze myślał, że będzie bogaty, kupiony po podwyżce, która dała mu złudną nadzieję, że kiedyś zostanie zamożnym człowiekiem). Rozglądał się i wzdychał, jakby te graty były przeszkodą w osiągnięciu celu, jakby wystarczyło pozbyć się tych rzeczy, żeby nadać jego życiu – *tadam!* – inny bieg.

Sisi w szkole ciężko pracowała, ponieważ zdawała sobie sprawę z wyśrubowanych oczekiwań ojca: dobra praca zaraz po skończeniu nauki na uniwersytecie w Lagosie. Wyobrażała sobie, że czteroletnie studia Finance & Business Administration automatycznie zaowocują posadą w banku, w jednym z tych

nowych banków, które wyrastały w Lagosie jak grzyby po deszczu.

– Może dostaniesz nie tylko samochód służbowy, ale i osobistego kierowcę – mówił ojciec.

Matka dodawała, że usiadłaby z nią z tyłu.

– Ty po stronie właściciela, a ja obok. A twój kierowca przewiezie nas – *fia fia fia*¹⁷ – po Lagosie.

We troje śmiali się serdecznie na myśl o posiadaniu takiego auta. Ford? Daewoo? Peugeot?

– Mam nadzieję, że to będzie peugeot, ponieważ ta marka od wieków wiernie służy temu krajowi. Gdy pracowałem jeszcze dla UTC... – I wtedy wypowiedana quasi-udręczonym głosem modlitwa błagalna matki w delikatny sposób zamykała usta papie Chisom.

Dziewczyna odpowiadała:

– Nie obchodzi mnie, jakie auto dostanę, jeśli tylko będę nim mogła jeździć do pracy i z powrotem!

– Mądrze. Mądrze. Nasza mądra córka przemówiła – mówił ojciec mimochodem, ale jego głos zdradzał, że jest z niej dumny, że przelał na nią całą swoją nadzieję, że ma wielki szacunek dla jej mądrości, wiedzy, którą zdobyła na uniwersytecie. Jej umysł był ich biletem w jedną stronę z dusznego dwupokojowego mieszkania do bogatszej, bardziej eleganckiej dzielnicy, bo zgodnie z oczekiwaniami poza autem Chisom miała dysponować także odpowiednio dużym domem z przestronnymi pomieszczeniami dla rodziców. Sypialnia dla nich. Sypialnia dla niej. Salon z dużym kolorowym telewizorem. Kuchnia z kuchenką elektryczną i szafki na wszystkie potrzebne garnki i patelnie (skończyłoby się trzymanie ich pod łóżkiem). Kuchnia w subtelnym kolorze, lawendowoniebieska lub beżowa, która pozwoliłaby im raz na zawsze zapomnieć o kuchni w Ogbie, czarnej od dymu z palącej się kerozyny. Generator prądu – nigdy więcej uzależnienia od NEP-y¹⁸. I ochroniarz. I służąca. Wysoka brama z ciężkimi zamkami. Mur z wystającymi kawałkami szkła, który odstraszyłby nawet najbardziej doświadczonych włamywaczy. Ogród pełen

kwiatów. Nie. Żadnych kwiatów. Ogród warzywny. Co ci po ogrodzie z roślinami, których nie można jeść? Ale kwiaty są ładne. Szpinak też jest ładny. Pomidory też są ładne. Ogród z kwiatami i warzywami. Okej, okej. Już dobrze. Śmiali się i marzyli, zachęceni wynikami Chisom, które nie były może znakomite, ale wystarczająco dobre, by nadal mogli marzyć.

No i oczywiście była jeszcze Przepowiednia, której tak naprawdę Chisom nie potrzebowała, by się starać ze wszystkich sił.

Dni po ukończeniu studiów wypełniały wesołe śmiechy i odpowiedzi na oferty pracy, różne plany i listy z rzeczami do zrobienia (zawsze poprzedzone komentarzem: „Jak tylko Chisom będzie miała pracę” lub: „Jak tylko znajdę pracę”). Bo jak powiedział ojciec, w ich życiu tylko dwie rzeczy są pewne: śmierć i wymarzona posada Chisom. Śmierć jest stałą (za wiele, wiele lat, o ile Bóg pozwoli, amen), a kiedy Chisom zdobędzie dyplom uniwersytetu, nic nie przeszkodzi jej w znalezieniu dobrej posady. (Niedługo. To tylko kwestia czasu. Absolwenci są bardzo pożądani! Bardzo pożądani!). Wiara ojca w wykształcenie akademickie była tak nierozdzielnie związana z jego wiarą w Przepowiednię, że wszystko wydawało się z góry przesądzone.

Ale dwa lata po ukończeniu studiów Chisom była praktycznie bezrobotna. (Przez trzy miesiące wykładała ekonomię w szkole letniej: nauczała o zasadach niedostatku i zapotrzebowania, o prawie popytu i podaży). Prawie dwa lata poświęciła na pisanie starannych listów motywacyjnych, które wraz z CV wysyłała do wielu różnych banków w Lagosie.

Szanowny Panie Prezesie,
nawiązując do ogłoszenia w „Daily Times” z dnia 12 czerwca, zwracam się do Pana z...

Szanowny Panie Dyrektorze,
nawiązując do ogłoszenia w „The Guardian” z dnia 28 lipca, niniejszym przesyłam swoją ofertę wraz z CV celem...

Nigdy jednak nie zaproszono jej nawet na rozmowę kwalifikacyjną. Diamond Bank. First Bank. Standard Bank. A

potem mniejsze banki, o których najwyraźniej wielu ludzi nigdy nie słyszało. Lokpanta National Bank.

– To jakiś *bank*? Tutaj, w Lagosie? Od kiedy? Jakiś nowy? A w którym miejscu?

Nawet w tych nieznanym bankach nie było dla niej miejsca. Na jej nazwisko nie przychodziły listy z ofertami pracy, nawet od banków znacznie skromniejszych niż instytucje, o których myślała na studiach, banków, w których *pracowali* mniej inteligentni ludzie z roku z lepszymi układami. Tak jakby wszystkie jej cefalki zniknęły w licznych studzienkach i dziurach na ulicach Lagosu. Czasami myślała, że listonosze po prostu nie dostarczają jej listów, że sprzedają je stojącym na poboczu drogi domokrażcom, by mieli w co zapakować klientom jedzenie. Być może, myślała czasem, jakiś urzędnik w drodze do domu kupił za dziesięć nair orzeszki ziemne w torebce zrobionej z jej CV. Może za pięć nair zapakowano w nie pieczony pochrzyn dla głodnego ucznia idącego do szkoły. Chisom próbowała dostrzec zabawność tych obrazów, śmiechem przegonić strach, że jest zarażona nieuniknionym losem swoich rodziców. Przepowiednia nic już dla niej nie znaczyła. Oczywiście...

Nie rozmawiali już o samochodzie służbowym ani o kierowcy. Nie mówili o ogrodzie z warzywami lub kwiatami. Z upływem lat Chisom przestała pisać listy motywacyjne.

– Dlaczego miałabym się jeszcze wysilać? – zapytała ojca, gdy próbował ją do tego nakłonić. – A może dowiedziałeś się, że któryś z twoich przyjaciół jest dyrektorem w którymś z tych banków? Bo tak to niestety działa, rozumiesz?

Nie powiedziała ojcu, że ubiegała się też o inne posady, stanowiska niezgodne z jej wykształceniem, bo według siebie miała na nie taką samą szansę jak na pracę w banku. Stewardesa w Triax Airlines (musi świetnie umieć pływać; Chisom nigdy się tego nie nauczyła); pracownica działu administracji w Air France (wymagana biegła znajomość języka francuskiego; Chisom znała francuski tak samo jak język joruba¹⁹, to znaczy słabiutko albo wcale, najwyżej kilka zdań wtłoczonych przez nadgorliwego

nauczyciela: *Comment tu t'appelles? Je m'appelle Chisom, et vous? Comme ci, comme ça. Voilà. Monsieur Mayaki. Monsieur Mayaki est fort²⁰*). Miała rację, stąd też nie nadchodziły zaproszenia na rozmowę. Mimo to nadal przeglądała gazety i mechanicznie odpowiadała na przypadkowe ogłoszenia. To bezmyślne wysyłanie ofert przynosiło jej bez mała satysfakcję; jednocześnie bezradna, sfrustrowana i zła patrzyła, jak życie kpi z rozmachu jej marzeń, więc gdy dostała tę propozycję, była zdeterminowana, by przejąć kontrolę nad swoim życiem, by chwycić je za kark i roześmiać mu się prosto w twarz. Nikomu nie pozwoli odebrać sobie tej szansy. Nawet Peterowi.

Zwartzustersstraat

Zanim Efe przyjechała do Belgii, marzyła o zamkach i czystych ulicach, i śniegu białym jak sól. Ale teraz jej myśli o Belgii i okolicy, w której mieszka, przypominają raczej marzenie klasy B. Mówi o nim w taki sam sposób, w jaki opowiada o Joyce, gdy jej przy tym nie ma: Antwerpia ma potencjał, by być eleganckim miastem, ale nie potrafi taka być. W jej części Antwerpii wysokie biurowce stoją obok spelunkowatych magazynów i brudnych kramów z owocami, prowadzonych przez żywiolowych Turków i Marokańczyków. Na ciemnych ulicach, pociętych torami tramwajowymi, ocierają się o siebie stojące ciasno budynki o wąskich drzwiach i wysokich oknach. Dom, który dzielą kobiety, ma starą miedzianą kołatkę i drzwi z klapką dla kotów zaklejoną grubą taśmą.

Na zewnątrz czeka pies sąsiada. Właściciel woła coś do niego, mówi, że ma być cicho, że zaraz go wyprowadzi.

– Może panie jeszcze śpią – mówi. – Ćśśś.

Ale panie nie śpią. W pokoju z językami ognia wymalowanymi na ścianach siedzą Efe, Ama i Joyce. Siedzą na szerokiej, trzyosobowej sofie – czarne obicie zszarzało ze starości, a rama prawie zapada się pod ich ciężarem. Ściana, przy której stoi kanapa, jest chłodna i gdy odchylają się do tyłu, chłód przenika ich karki. Głównie milczą; wygląda na to, że otuliły się ciszą, która szczelnie wypełnia pokój i nie pozostawia miejsca na nic innego. Ciszą, która niczym ogromna gąbka pochłania całe powietrze; rankiem wielokrotnie rozważały otworzenie drzwi, ale nie zrobiły tego, bo wiedzą, że to niewiele zmieni, ponieważ na zewnątrz znajduje się krótki korytarzyk wyłożony dywanem. Wciąż siedzą; czują, że w pokoju jest duszno, pocierają karki i skronie. Nadal żadna z nich nie odezwała się ani słowem. Nie będą o tym rozmawiać. Sisi jest wszędzie. Nie ma jej, ale nie mogą od niej uciec nawet w myślach. Joyce mówi wreszcie, że pokój jest

zakurzony. Przynosi ścierkę z kuchni i wyciera ściany, potem stół i gzyms nad atrapą kominka ze szczapami, które nigdy nie płoną. Efe mówi:

– Przestań. Nie jest zakurzony.

Joyce wciąż uparcie wyciera kurze. Ścierka tańczy z roztargnieniem, jak oszalała.

Między nogami Amy stoi butelka leffe. Kobieta bierze ją i z niej pije. Bulgot piwa na chwilę przerywa ciszę. Gul. Gul. Gul. Do czasu aż butelka staje się pusta. Ama rzuca ją na podłogę. Efe patrzy, jak się turla coraz wolniej, aż w końcu nieruchomieje.

– Czy to trochę nie za wcześnie na picie, Amo? Słońce dopiero co wstało! – mówi.

– Jest wcześnie, no i co z tego, do cholery? – Ama beka. Dotyka krzyżyka.

– Jakbyś miała czerwone mrówki w tyłku. Dzień w dzień chodzisz nabzdyczona.

– Spadaj. – Kolejne beknięcie.

Joyce wciąż wyciera kurze.

Kobiety nie zdają sobie sprawy, ile dla siebie znaczą, wybrane przez zrządzenie losu i głośnego mężczyznę, Delego, połączone przyjaźnią z rozsądku, zadowolające się garstką informacji na swój temat. Nie zadają pytań, chyba że na wyraźną prośbę. Głośno się śmieją i wspólnie słuchają muzyki w salonie. Nie martwią się swoim życiem, które nauczyło je, jak najlepiej wykorzystywać kartę atutową, wsuniętą przez Boga między uda. Donośnie i lekceważąco analizują przychodzących do nich mężczyzn – mężczyzn, którzy spędzają noc na nich lub za nimi, którzy posuwają, macają i obłapiają ich ciemne pupy i w końcu używają palców, by wsunąć w nie swój ziemisty kawałek mięsa. A teraz przez tę najświeższą wiadomość połączyło je coś nierealnego, coś, o czym nie mają odwagi rozmawiać. Jakby omijając ten temat, unikając go, mogły udawać, że to się nigdy nie wydarzyło. Ale myśli o Sisi kręcą piruety po pokoju, fikają koziołki z taką gwałtownością, że nie można od nich uciec.

– Tu się można udusić! – Chisom upuściła lustro i odwróciła się do Petera, swojego chłopaka, z którym była już trzy lata. W trakcie kłótni wściekła wybiegła z mieszkania rodziców i poszła do niego. Peter mieszkał w pobliżu. Miał licencjat z matematyki, dyplom w ramkach wisiał dumnie na ścianie zagraconego salonu nad małym czarno-białym telewizorem, naprzeciw drzwi, tak że był pierwszą rzeczą, na którą zwracali uwagę goście. Wyżej wisiał jeszcze oprawiony dokument stwierdzający, że Petera ogłoszono pracownikiem roku. I jeszcze zdjęcie zachwyconego Petera, ściskającego dłoń znudzonego mężczyzny w czarnej kurtce. Napis pod zdjęciem głosił: *EMPLOYEE OF THE YEAR, WITH THE COMMISSIONER FOR EDUCATION, CHIEF DR. R.C. MUNONYE*²¹. W sypialni Petera wisiały też oprawione zdjęcia, na których z błyszczącymi oczami ściskał dłonie mężczyzn (i czasem kobiet), wyglądających na równie znudzonych. Albo zajętych. A często i jedno, i drugie. Mieszkanie Petera przypominało przechowalnię wspomnień o coraz większych sukcesach, które zdaniem Chisom nie potrafiły jednak ukryć zdradliwej natury tych momentów chwały. Znalazł się w ślepym zaułku. W przeciwieństwie do swojej dziewczyny brakowało mu skłonności do snucia marzeń, nie czuł potrzeby burzenia murów, w których był uwięziony; to z kolei wzbudzało u Chisom poczucie, że się od niego oddala.

– Kiedyś się z tobą ożenię i cię stąd zabiorę – przyrzekł Peter zdecydowanym głosem nauczyciela i uniósł palec wskazujący dla podkreślenia wagi przysięgi. Podszedł do Chisom i objął ją w talii, delikatnie przyciągnął jej twarz do swojej i szepnął: – Obiecuję ci to. Zabiorę cię stąd, kochanie. – Jeszcze raz ją przytulił.

W Europie, kiedy nie nazywała się już Chisom i zanim poznała Luca, właśnie za tym najbardziej tęskniła. Za dłońmi Petera obejmującymi ją w talii. Za jego ciepłym oddechem na jej

twarży, zarostem drapiącym w policzek. Była przekonana, że już nigdy nie doświadczy takiej miłości i że już nigdy nie zapagnie intymności, która sprawiała, że najchętniej stałaby się jednością z drugą osobą. I w jednym, i w drugim wypadku nie miała racji.

– Nie chcę być taka jak moja matka – powiedziała Chisom, delikatnie zdejmując jego ręce z talii i odwracając się, by temu młodzieńcowi, któremu zdawało się, że może ją uratować, spojrzeć z powagą w oczy. Co on może mi dać? – myślała. – Pracuje jako nauczyciel w pobliskiej szkole. W tych miesiącach, kiedy w *ogóle* dostawał pieniądze, jego wynagrodzenie ledwie starczało na opłacenie czynszu lokalu, w którym mieszkał z piątką swoich braci i sióstr. A w miesiącach, w których nie dostawał wypłaty, błagał właściciela domu o kredyt. Spojrzał jej w oczy głęboko, z namaszczeniem, czym sprawił jej ból. Odwróciła wzrok. Jego bohaterska wręcz cierpliwość ją denerwowała.

– Peter, zanim zaczniesz obiecywać, że uratujesz innych, najpierw musisz zadbać o to, żebyś sam nie poszedł na dno!

Jej głos zabrzmiał bardziej gniewnie, niż chciała. Dlaczego uzurpuje sobie prawo do składania obietnic, których nie może spełnić? Jakim prawem prosi ją, by została, by czekała na niego, kiedy ona czuje, że wciąga ją coraz głębiej pod wodę?

Kiedyś jej imponował, ten geniusz o delikatnych dłoniach i umyśle, który potrafił wyprowadzić każde równanie matematyczne, $(a \times b) \times c = a \times (b \times c) = a \times b \times c$, który wyjaśniał jej niezrozumiałe dla niej słowa. Wielomian. Wykładnia. Trygonometryczny. Równanie algebraiczne. Transformacja Laplace'a. Gryzmolił w notatniku magiczne zaklęcia, które ją nieskończenie fascynowały i które gwarantowały bezpieczną przyszłość u jego boku.

To nie tak, że już go nie kochała. Ależ kochała. Kochała jego lewe oko, które przymykał, gdy się uśmiechał. Kochała sposób, w jaki ją kołysał, gdy się kochali, dotyk jego oddechu na skórze. Kochała jego grymas przy jedzeniu, jakby sama czynność jedzenia, ostrożne przeżuwanie posiłku było przyjemnością, formą sztuki, którą należy pielęgnować.

Ale jej miłość nie była bezgraniczna. Peter nie miał środków, by zmienić jej życie. Gdyby tylko miała zdolność przewidywania, myślała często, wybrałaby pielęgniarstwo. Mężczyźni, którzy wracali na święta z portfelami wypełnionymi obcymi walutami z Europy i Stanów w poszukiwaniu kobiet, zawsze wybierali pielęgniarki. Mówili, że pielęgniarkom łatwiej znaleźć pracę za granicą.

„Brytyjska opieka medyczna jest, kurde, zależna od naszych pielęgniarek, *innit*^{22?}” – te słowa wypowiedział jej przyjaciel Ed, kuzyn Ezimmy. Ed też wrócił, by znaleźć kobietę. Mieszkał w Anglii, w miejscowości o niewymawialnej nazwie kończącej się na „-shire”, tak niepodważalnie angielskiej, że aż atrakcyjnej, i po trzech tygodniach popisania się w Nigerii własną osobą i swoimi funtami znalazł chętną pielęgniarkę. I chociaż Chisom nienawidziła sposobu, w jaki w każde zdanie wtrącał *shit*, *bloody fucking* i *innit*, wiedziała, że powiedziałyby „tak”, gdyby poprosił ją o rękę, bo w tamtej chwili jej przekonanie, że miłość jest warunkiem małżeństwa, odpłynęło w siną dal. Tęsknotę, pragnienie, aby poślubić kogoś z miłości, odkryje rok później za granicą.

– Wszyscy jesteśmy tu uwięzieni, kochanie – powiedział Peter, ponownie otaczając ją ramionami. Przystawił usta do jej ucha i zaczął delikatnie je podgryzać. Lubiała, gdy to robił.

– A ja mam dość tego więzienia. – Nie wyrwała się z jego uścisku i pożałowała swojego wcześniejszego wybuchu. W końcu to nie wina Petera, że ona nie ma pracy, że on za mało zarabia, że cała gospodarka jest pogrążona w chaosie, że jej ojciec przez tyle lat do niczego nie doszedł na państwowej posiadzie, że Chisom nie traktuje Petera jako części Przepowiedni. Zamknęła oczy i dała się porwać zapachowi jego wody kolońskiej. – Chciałabym, żeby życie było właśnie takie – mruknęła. – Żeby pachniało tak pięknie.

I gdy to powiedziała, zrozumiała, że nie wytrzyma kolejnego roku w Lagosie. Nie w tych warunkach. Muszę stąd wyjechać, postanowiła. Może to ta konkluzja spowodowała, że cofnęła się, gdy Peter otworzył jej usta i wsunął język do środka. Położyła mu

dłoń na piersi i delikatnie go odepchnęła. Burknęła, że nie jest w nastroju.

Parę tygodni później wmówi sobie, że to ta konkluzja, to uroczyste przyrzeczenie sprowadziło ją prosto na drogę Opatrzności. To ułatwi jej odejście od Petera. A jeśli chodzi o rodziców, jej wyjazd będzie korzystny zarówno dla nich, jak i dla niej.

Chisom właśnie poprawiała sobie trwałą w zakładzie fryzjerskim przy Adeniran Ogunsanya, gdy do salonu wszedł mężczyzna z ogromnym brzuchem w towarzystwie młodej dziewczyny. Nie miała więcej niż siedemnaście lat, ale ze sposobu, w jaki mężczyzna ją trzymał i mimochodem dotknął lewą ręką jej pośladków, można było wywnioskować, że ich związek nie jest niewinny.

– *Oya*²³! Zrób jej coś ładnego z włosami. Dzisiaj wyjeżdża za granicę. Tak, ładnie ją uczesz! – krzyknął, bez mała popychając dziewczynę w kierunku jednej z fryzjerek. Wyjął białą chusteczkę i otarł pot z czoła. Głośno oddychał, jakby dopiero co biegł w maratonie. Chisom pomyślała, że prawdopodobnie to to gadanie tak go zmęczyło, tak wiele go kosztowało. Młoda dziewczyna – z nogami do samej szyi, nie licząc gigantycznego biustu – milczała. Na jej twarzy malował się niepewny uśmiech, gdy Tina, fryzjerka, w której kierunku ją popchnął, dotykała jej włosów, żeby sprawdzić, co może z nimi zrobić.

– Chcesz warkoczyki? Twoje włosy się do tego świetnie nadają – skomplementowała ją Tina, profesjonalnie przeczesując palcami kosmyki dziewczyny.

– Warkoczyki? Mówię przecież, że jedzie za granicę. Czyżbyś chciała zrobić z nich *shuku*²⁴? Trwała będzie lepsza. Dodaj relaksera²⁵. Zadbaj, by wyglądała jak kobieta *oyibo*! Chcę, żeby miała włosy białej kobiety! – Znow otarł czoło.

Rozejrzał się, szukając krzesła, i znalazł drewniany stołek, który przyciągnął do siebie, sadowiąc się na nim. Podczas gdy jego ogromne pośladki niebezpiecznie kołysały się nad wąskim siedziskiem, zawołał do jednej z fryzjerek:

– Czyżbyś dopiero co zdjęła z niego mięso od rzeźnika?
Kobieto, ale ten stołek jest brudny!

Fryzjerka przewróciła oczami i zerwała sprany ręcznik z głowy klientki. Za plecami mężczyzny splunęła na ręcznik i dokładnie wytarła nim stołek. Chisom widziała, co zrobiła kobieta, i zachichotała.

– No, czysty jak łza, proszę pana – powiedziała fryzjerka do pleców mężczyzny z wymalowanym na twarzy uśmiechem pełnym zadowolenia, gdy obserwowała, jak sadowi się, postępując.

Tina ponownie dotknęła włosów dziewczyny.

– Ładne, naprawdę bardzo ładne. – Posadziła ją na wolnym krześle obok Chisom. Jak tylko skończy z klientką, to ją obsłuży, obiecała.

– Więc wyjeżdżasz za granicę? – zapytała Chisom.

– Tak. – Dziewczyna skinęła głową. I jakby dopiero teraz coś sobie uświadomiła, dodała: – Do Hiszpanii. – Jej głos brzmiał głucho, jakby mówienie sprawiało jej ból.

– A co będziesz robić za granicą?

– Będzie pracować! Ty też chcesz? Ty też chcesz pracować za granicą?

Gruby mężczyzna podszedł do miejsca, gdzie siedziały Chisom i dziewczyna, i wcisnął się między nie. Znow wyciągnął chusteczkę i sapiąc, wytarł pot z karku. Na jego szyi Chisom dostrzegła tatuaż: mały, ciemny rysunek młota. W chwili śmierci przypomni sobie właśnie Delego i jego tatuaż na szyi.

– Jeśli chcesz wyjechać z tego głupiego kraju, wpadnij pogadać – ciągnął podniesionym głosem, nie dopuszczając dziewczyny do głosu. Wyjął portfel z kieszonki na piersi i wyjął z niego wizytówkę. – Bierz. – Wyciągnął dłoń z wizytówką.

Chisom przyjęła kartonik, który jej podał, z grzeczności. Nie brała tego na poważnie. Kto proponowałby kompletnie obcej osobie możliwość wyjazdu za granicę? Schowała wizytówkę ze złotą obwódką do torebki.

Nie odezwała się już do dziewczyny, bo zrozumiała, że mężczyzna i tak odpowie za nią. Jego zachowanie ją irytowało i

właściwie żałowała, że nie była wobec niego niegrzeczna i że nie zignorowała jego wizytówki. I tak nie miała zamiaru z niej skorzystać.

Gdy tego wieczoru wróciła do domu i trzeci raz z rzędu dostała na obiad *gari*²⁶ i zupę, zapomniała o ofercie mężczyzny. Następnego dnia, gdy ojciec wrócił do domu i powiedział, że chodzą plotki o zwolnieniach urzędników („Moje stanowisko jest następne w kolejce, dwadzieścia cztery lata służby i hopsa, wypad, bo nie pochodzę z Lagosu!”), wyciągnęła kartonik z torebki i przez chwilę obracała go w dłoniach, jakby skubała coś ładnego, jedwabne majtki czy coś w tym rodzaju; potem znów schowała go do torebki. Kiedy poszła do ubikacji i odkryła, że nie może spuścić wody i że w sedesie pełno jest wijących się robaków i kupy z całego dnia – miasto walczyło z brakiem wody – ścisnęło ją w gardle. Musi wyjść z tego domu, przejść się, wyjść na świeże powietrze! Wyszła więc bez konkretnego celu i szła przed siebie, aż stanęła przed biurowcem przy Randle Avenue; nieświadomie zapamiętała adres widniejący na wizytówce ze złotą obwódką.

Biuro było przestronne, dywan pod jej stopami tak gruby, że zapadała się w nim jak w ruchomych piaskach. Klimatyzacja trzymała ciężki upał Lagosu na zewnątrz i powodowała, że jej skóra była chłodna w dotyku, jakby Chisom dopiero co wzięła wieczorną kąpiel. Dziewczyna zastanawiała się, co tu robi. Dlaczego stoi przed tym obcym mężczyzną, który siedział za biurkiem z obleśnym uśmiechem na nalanej twarzy z grubymi fałdami podwójnego podbródka.

W biurze głos Delego nie brzmiał tak głośno jak poprzedniego dnia w salonie fryzjerskim. Być może dywan i klimatyzacja pochłaniały tyle hałasu, że zdawało się, iż mówi ciszej, myślała Chisom. Może głos mężczyzny wydawał się cichszy, bo dzieliło ich ogromne drewniane biurko, za którym siedział i które zasłaniało jego brzuch.

– Wszędzie załatwiam dziewczynkom pracę. Włochy. Hiszpania. Miałbym coś dla ciebie w Belgii. W Antwerpii. Mam tam dużo znajomości. Bardzo dużo!

Zadzwoił telefon i mężczyzna chwycił jedną z siedmiu komórek leżących na biurku.

– Nie ta – bąknął i wziął inną. Kilka minut czekał do telefonu w języku joruba z prędkością karabinu maszynowego i rozłączył się.

– Ci wszyscy ludzie, którzy wciąż mi przeszkadzają! *Oga*²⁷ Dele to, *Oga* Dele tamto. Nie, to niełatwa sztuka być człowiekiem cieszącym się poważaniem! – mruknął i wrócił do rozmowy z Chisom.

– Ale nie robię tego charytatywnie. To będzie cię kosztowało. Trzydzieści tysięcy euro. – Uśmiechnął się. Jego dziąsła były czarne jak wędzona ryba. Jej myśli zaprzętała kwota, która prawie zwała ją z nóg. Czy ten mężczyzna mówi poważnie?

– Gdybym miała tyle *owo*, proszę pana, toby mnie tu nie było! Za taką sumę mogłabym wybudować dom swoim rodzicom! – powiedziała gniewnie. Zresztą za taką kwotę nie tylko mogłaby kupić dom rodzicom, mogłaby bez mała kupić całe miasto, prawie dodała. Przecież gdyby była w stanie wysupłać trzydzieści tysięcy euro, nie musiałyby tak desperacko pragnąć wyjechać z kraju! Już od samego pomysłu przeliczenia tej kwoty na nigeryjskie nairy rozboleła ją głowa. To musiały być miliony! Kwoty, o których czytała tylko w gazetach, głównie w kontekście polityków i skandali. Ten mężczyzna musi mieć nie po kolei w głowie.

– Hola, hola – powiedział. – Czy ty naprawdę myślałaś, że to jednorazowa płatność? Oczywiście, że nie.

Ugryzł kolbę kukurydzy i Chisom obserwowała, jak przeżuwa z otwartymi ustami; jego szczęki meły ziarna kukurydzy jak miniaturowy młyn.

– Nie, po przyjeździe zaczniesz pracować i będziesz spłacać dług. W stałych ratach, jak to nazywamy! Będziesz mi płacić co miesiąc.

Mówił z kęsami kukurydzy w ustach i Chisom widziała, jak częściowo przeżute ziarna, małe żółto-białe, przypominające jej surowe *gari*, wraz ze śliną rozbryzgują się na stole. Czy ten mężczyzna nie może jeść normalnie? Czyżby dorastał bez matki?

Skupiła się na zegarze wiszącym nad jego głową, żeby nie musieć patrzeć, jak przeżuwa. Na Boga, co ona tutaj robi? Jakich to wspaniałości spodziewała się po Delem? Może cudownego spełnienia się Przepowiedni? Przepowiedni, w którą nawet jej ojciec przestawał już wierzyć? Chisom chwyciła torebkę. Lepiej będzie, jeśli wróci do domu. Nic tu po niej.

Zwartzustersstraat

Nikt nie zna prawdziwego imienia Sisi, ponieważ nigdy go nie używała. Nikt. Ani kobiety, które siedzą w tym pokoju bez niej, ani mężczyźni, którzy dzielili z nią łóżko, obejmowali ją ciasno nogami, a ich pot mieszał się z jej potem. Mężczyźni, którzy jęczeli i stękali: „Tak. O Boże, tak. Wy, Afrykanie, jesteście w tym *taaaacy* dobrzy. Nie przestawaj. Nie przestawaj. Proszę. Przez Ciebie. Oszaleję. Mmmmm. Jesteś taka piękna!”. Mężczyźni, którzy pytali: „No i jak ci się tu podoba?”.

Jakby miała jakiś wybór.

Cisza jest nienaturalna. Taka wiadomość powinna iść w parze z wrzaskami i rozdzieraniem szat, myśli Joyce. Z hałasem. Z głośnymi krzykami i wrzaskiem. Czymkolwiek! Czymkolwiek zamiast tej ciszy, która osacza i nawet nie musi szarpać za rękaw, by zwrócić na siebie uwagę. Ale też śmierć Sisi nie jest naturalna, więc być może cisza jest najlepszym sposobem, by po niej rozpaczać.

Siedząca w środku Ama, szczupła kobieta o jasnej karnacji, kaszle. Wnosi do pokoju jakieś dźwięki. Jej kaszel zastyga na chwilę, by zaraz zniknąć, wchłonięty przez świdrującą ciszę. Ama bawi się złotym krzyżykiem na szyi, szarpie go, jakby oczekiwała od niego jakichś odpowiedzi. Efe patrzy na ten ruch i chce ją po raz kolejny zapytać, dlaczego taka kobieta jak ona nosi krzyżyk, ale milczy. Gdy zapytała ją o to poprzednim razem, Ama powiedziała, żeby zajęła się własnymi sprawami.

– Zajmij się własnymi sprawami, do cholery!

Przed nimi gra płaski telewizor, ale dźwięk jest wyłączony. Właśnie leci opera mydlana, prawdopodobnie amerykańska. Na ekranie pojawiają się niemożliwie piękne kobiety o puszystych blond włosach i mężczyźni o wytrenowanych ciałach i dzikich oczach. Żadna z nich jej nie ogląda. Wbrew zwyczajowi stojący w rogu po prawej odtwarzacz CD jest wyłączony. W zwykły dzień

Ama włączyłaby muzykę i w jednej ręce trzymając papierosa, a w drugiej drinka, tańczyłaby do makossy²⁸ lub hip-hopu, jednocześnie przeklinając życie, że nie może być lepsze. Pozostałe kobiety być może przyłączyłyby się wtedy do niej, paliłyby i piły mocny alkohol, kręcąc biodrami w rytm muzyki. Oprócz Efe, bo ona nigdy nie pije alkoholu i pozostałe kobiety często jej dokuczają z tego powodu.

– Kto ją znalazł? – pyta Efe. Wreszcie. Uderza się w głowę, zauważa, że całość nie trzyma się, jak należy, wsuwa więc kciuki pod jasną perukę, żeby ją dobrze naciągnąć. Zakłada nogę na nogę. Gdy przekłada lewą kostkę przez prawe kolano, nogi w nylonowych getrach trą o siebie. Brzmi to rozdzierająco głośno w ciszy panującej wokół.

Historia została już kilka razy opowiedziana, ale Ama przypuszcza, że dla Efe, podobnie jak dla pozostałych, ta cisza jest tak przytłaczająca, że chce po prostu wypełnić pustkę dźwiękiem, nawet jeśli jest to dźwięk jej własnego głosu.

– Mężczyzna. Czy Madam nie wspominała, że policja mówiła o porannym biegaczu? – odpowiada Joyce. Jej głos brzmi inaczej. Młódziej. Amę dopada nagłe podejrzenie, że Joyce nie ma dwudziestu ośmiu lat, jak uparcie twierdzi. Wciąż kręci się po pokoju, szukając rzeczy do odkurzenia, mruczając, że za chwilę dom utonie w brudzie.

– Co mamy robić? – pyta Efe, moszcząc się wygodnie. Siedzi na prawo od Amy i jest najcięższa z całej trójki. Znow uderza się po głowie i drapie po karku. Skóra na karku, złuszczone ochra nakrapiana plamami ciemniejszego brązu, wygląda na spaloną; kark Efe zdradza, że kiedyś była ciemniejsza, niż jest teraz.

– Co mamy robić? – powtarza za nią Joyce. Kręci głową i wznosi oczy do góry. – Co możemy zrobić, Efe? Na litość boską, co my możemy zrobić? Czy znasz jej rodzinę? Komu mamy wysłać jej ciało? A nawet gdybyś знаła jej rodziców, czy masz pieniądze, żeby wysłać jej ciało do Nigerii? Która z nas mogłaby coś zrobić? I co? Czy policja wydała już ciało? Co to za pytanie: „Co mamy robić?” – Głos Joyce jest twardy, ma więcej siły niż

ona sama, chociaż gdy kobieta prostuje plecy, widać, jak bardzo jest wysoka: prawie metr dziewięćdziesiąt. Jej głos brzmi ostro, jak uderzenie bata. Ale ma rację w tym, co mówi. Nie znają rodziny Sisi. Joyce nachyla się i wyciera górną część odtwarzacza CD.

– Czemu tak się unosisz? To było tylko pytanie. Zadaję proste pytanie, a ty zaraz dostajesz piany!

– Kto tu dostaje piany, Efe? No? Kto tu dostaje piany? – Joyce prostuje się z gwałtownością, która pasuje do jej elastycznego ciała, i zręcznym ruchem, tuż nad głową Amy, sięga do Efe i zrywa jej blond perukę z głowy. Pod nią widać rzadkie włosy upięte w kucyk.

– No? Kto tu dostaje piany? – ponawia pytanie, trzymając Efe mocno za kołnierz. – Dzisiaj wytrzepię ci pianę z tego twojego żalostnego ciała!

To Ama ją odciąga, sycząc, że Europa odziera je z ludzkiej godności.

– Właśnie ktoś umarł, człowiek, a wy tylko czekacie, żeby się pobić! Jeszcze ciało Sisi nie ostygło, a wy chcecie się pozabijać. *Tufia!*²⁹ – Wzdycha i siada, podając Efe przechwyconą w locie perukę.

Jej westchnienie ponownie wywołuje ciszę, która stała się ich wspólnym dobrem. Każda z nich jest zatopiona we własnych myślach. Śmierć Sisi znów przypomina im o własnej śmiertelności. W ich głowach rodzą się te same pytania, rozbrzmiewające niczym komunikaty z urzędów głośnomówiących. Która będzie następna? Która jest następna w kolejce, by niespostrzeżenie, jak kartka, opaść na ziemię? Nieopłakiwana. Niekochana. Nieznana. Duszę której z nich Madam znów będzie się starała odpędzić za pomocą kadzidła?

Nie mówią tego głośno, ale uzmysławiają sobie, że do rozpacz doprowadza je to, że Madam rozprawia tylko o „biznesie”. Smutna to konstatacja; dla niej śmierć Sisi jest jedynie przejściowym kłopotem. Wszystkie trzy widziały, jak pochłonęła solidne śniadanie, tosty i jajka, przepijając je wielkim kubkiem herbaty, i uznały, że jej apetyt, jej opanowanie są nietaktowne.

Joyce myśli o tym, że kiedy Madam powiedziała im o śmierci Sisi, nie miała nawet tyle przyzwoitości, by przybrać poważny wyraz twarzy, który pasowałby do tak potwornej informacji. Nie zrobiła nic, by złagodzić cios – nie podbudowała go długą opowieścią o śmierci, która czeka każdego z nas, nie powiedziała, że śmierć jest swego rodzaju ucieczką, przejściem do lepszego świata – tak jak należałoby postąpić w tej sytuacji. Nie. Po prostu, rach-ciach, oznajmiła im, że znaleziono ciało Sisi. I dodała: „Aha, być może policja będzie chciała z wami rozmawiać, ale spróbuję temu zapobiec. Nie chcę, żeby cokolwiek zepsuło nam tu interesy”.

Kiedy powiedziała coś w stylu: „Cóż, już jej więcej nie zobaczymy”, tonem, którego używa się co najwyżej, mówiąc o psie lub karaluchu, Joyce walczyła z pokusą, by dać jej w twarz, ale nie zrobiła tego. Nie potrafiła. Całkowicie bezradna napięła wszystkie mięśnie i ugryzła się w policzki, aż poczuła krew.

Ama znów ciężko wzdycha. Każda z nich jest zatopiona we własnych myślach. Strzępy myśli krzyżują się czasem w terażniejszości i wywołują ten sam strach. Ale kiedy wszystkie myślą o swojej przeszłości, ich wspomnienia w ogóle nie są do siebie podobne.

Wiele lat później Efe powie, że rozumie, dlaczego Madam jest taka, jaka jest: zdystansowana. Zimna. Wyniosła. „Gdyby nie była właśnie taka, dziewczyny zrobiłyby z niej szmatę do podłogi” – powie do Joyce. „Jeśli za bardzo się zaangażujesz, nie wytrzymasz nawet jednego dnia. I nie chodzi tylko o dziewczyny. To samo dotyczy policji. Jeśli jesteś za bardzo ustępliwa, poproszą o więcej, niż jesteś skłonna im dać. Biali policjanci są chciwi, inaczej niż nigeryjscy, którzy cieszą się ze stunairowego banknotu. Tutaj chcą mieć dziewczyny za darmo. Tysiąc euro”.

Efe poprawia perukę, zsuwa ją tak nisko, że grzywka prawie zakrywa jej brwi. Jej oczy są nieobecne, skupione na pojawiającym się wspomnieniu, które przybiera konkretny kształt.

– Znałam kiedyś mężczyznę, który sprzedawał przedłużane włosy najwyższej jakości. – Ama i Joyce przesiadają się, by

patrzeć jej prosto w oczy. Pierwszy raz Efe opowiada o swoim życiu przed Antwerpią. Jeśli ich pamięć nie myli, po raz pierwszy jedna z nich daje pozostałym krótki wgląd we własną przeszłość. Efe chrząka. Nie wie, co popycha ją do opowiedzenia swojej historii, ale nigdy wcześniej nie czuła takiej sympatii do tych kobiet. Śmierć Sisi potwierdziła to, o czym właściwie już wiedziała: te kobiety są wszystkim, co ma. Są jej jedyną rodziną w Europie. A rodziny, które tak niewiele wiedzą o sobie, są skazane na rozpad. – Nazywał się Titus – ciągnie, poprawiając perukę. Joyce odkurza głośniki odtwarzacza CD. Ama zapala papierosa. Otula je głos Efe, która mówi: – Miałam szesnaście lat. Poznałam go na długo przed Delem.

Chisom uznała, że najlepiej będzie, jeśli sobie pójdzie, po prostu wyjdzie z biura Delego, ponieważ ten człowiek jest niepoważny.

Co miesiąc miałyby przysyłać pięćset euro lub ewentualnie inną kwotę, nie mniejszą jednak niż sto euro. Bez nawalania. „Bez nawalania” było wypowiedziane twardo, jakby ciężki kawał drewna spadał z hukiem na ziemię. Brak płatności prowadzi do nieprzyjemnych rzeczy, ostrzegł.

– Nie próbuj mnie wykiwać. Z Senghorem Delem nie ma żartów! – Roześmiał się tubalnie, jego śmiech napęczniał, wypełniając pokój, a następnie ucichł i dokonał żywota w dywanie o długim włosiu.

– Ale jak mam zdobyć taką kwotę? – zapytała Chisom, kierowana raczej ciekawością niż przekonaniem, że gdyby tylko chciała, mogłaby zarobić takie pieniądze. I tak nie miała zamiaru w tym uczestniczyć, czymkolwiek by to było, nie z kimś, kto od razu stosuje groźby. Nie, po prostu była ciekawa. Nic więcej.

– Mam znajomości, o to się nie martw. Jeśli będziesz chciała pracować, to sobie poradzisz. Ciężko pracując, z łatwością zdobędziesz pięćset euro miesięcznie. Co miesiąc wysyłam nowe dziewczyny do Europy. Antwerpia. Mediolan. Madryt. To są moje dziewczyny. Każdego miesiąca cztery. Czasem pięć lub więcej. Ale ty jesteś wyjątkową laską. *Abi*³⁰, pokaż tyłeczek, *kai*³¹! Ten, kto powiedział, że Jennifer Lopez ma najseksowniejszą *myansh*, powinien popatrzeć na twoją dupcię! I na dodatek takie zderzaki... *Omo*³², jak to możliwe, że nie możesz znaleźć pracy? – Zerkał na jej piersi czarnymi, wilgotnymi oczami.

Gdy dotarło do niej, co mężczyzna właśnie powiedział, spodziewała się, że wpadnie w dziką furję. Nakrzyczy na niego, co on sobie wyobraża, za kogo ją ma. Odgryzie się: Czy ty wiesz, że ja studiowałam? Czy ty wiesz, że mam dyplom uniwersytetu?

Myślała, że będzie wystarczająco wściekła, by strzelić go w ten nalany pysk. Myślała, że wyrzuci jego komórki przez podwójnie oszklone okna. Czekwała na falę wściekłości, która nakłoni ją do roztrzaskania rzeczy i wrzaśnięcia: „Głupi, beznadziejny facecie. *Oloshi*³³! Obłeśny, stary, bezwstydy dziadu!”.

Zamiast tego przez jej głowę przemknęły obrazy: salon ze ścianami w kolorze owsianki. Wspólna ubikacja na korytarzu, z umywalką, w której nigdy nie było wody; żeby skorzystać z toalety, najpierw trzeba było na zewnątrz napełnić wiadro wodą przy jedynym kranie w okolicy. Kuchnia, którą jej rodzice dzielili z innymi, zgarbiony ojciec próbujący stać się niewidzialnym, puste i niczym niezainteresowane oczy matki. Na koniec zobaczyła Petera i to, jak podporządkował się losowi, jak będzie odcinał kupony od uścisków, które wymienili z nim urzędnicy rządowi o spoconych rękach, kiedy wręczali mu nagrodę Pracownika Roku. Wiedziała, że tak jak ojciec nie zajdzie dalej niż tu, gdzie jest teraz. Nie chciała poddać się takiemu losowi. Wyobraziła sobie swoje życie za rok, jeśli zostanie w Lagosie. Ale czy może uciekać się do *takiego* rozwiązania? Wcale nie była dziewczyną tego typu. Odwróciła się z zamiarem wyjścia, ale jej stopy utknęły w ruchomych piaskach. Nie mogła się ruszyć. Dele rzucił jej spojrzenie. Uśmiechnął się.

– Prześpij się z tym. Nie musisz od razu decydować. Ale przysięgam ci, z takimi cyckami możesz zarobić górę pieniędzy!

Zamiast wybuchnąć i nawrzeszczyć na grubego mężczyznę, przyjęła jego słowa ze spokojem, który uzmysłowił jej, że zrobi tak, jak mówił. Pozostanie w Ogbie było jak czekanie na... Na co? Aż wyjdzie za mąż za Petera i wprowadzi się do niego i jego rodziny? To gorsze od propozycji Delego. Bez dwóch zdań. Ale czy jest w stanie zajmować się *czymś takim*? Musi być inny sposób. Musi być coś innego, co mogłaby robić.

Nie powiedziała zbyt wiele o spotkaniu z Delem Peterowi i swojej rodzinie. Powiedziała, że jest życzliwym wujkiem jednej z jej przyjaciółek. (Enzinne. Pamiętasz może Enzinne? Tę dziewczynę z wystającymi zębami? Musisz ją pamiętać. W

środowe wieczory zawsze razem uczyłyśmy się do SSCE³⁴). Nikt nie kojarzył Enzinne, dziewczyny z wystającymi zębami, ale to nie miało żadnego znaczenia. Ciągnęła przygotowaną wcześniej historyjkę. Wuj Enzinne załatwił jej wyjazd za granicę; pomoże jej w znalezieniu pracy, a ona będzie mu co miesiąc płacić. Nie powiedziała, że już postanowiła, że zmieni imię, że przyjmie imię, którego będzie używała w nowym życiu. Sisi. Słowo to oznaczało „siostrę” w języku shona³⁵. Powiedział jej o tym Roland, kolega z roku. Uważał, że przypomina mu siostrę z Bulawayo. Roland, który tęsknił za domem i siostrą, przez cztery lata, gdy byli kolegami na roku, nazywał ją Sisi. Nada sobie nowe imię. Przejdzie chrzest bojowy i odrodzi się jako Sisi: obcokrajówka, chociaż w pewnym sensie swoja. Zamaluje imię Chisom, przynajmniej na jakiś czas, a Sisi zajmie jego miejsce. Będzie zarabiała swoją *punani*³⁶. A kiedy już zdobędzie pieniądze, na powrót stanie się Chisom. I otworzy kilka firm. Mogłaby zająć się importem używanych luksusowych samochodów do Nigerii.

Tego wieczoru jej matka dziękowała Bogu z werwą, która ściągnęła sąsiadów z obydwu stron. Ubrana na biało religijna para młoda tańczyła po pokoju, klaszcząc w dłonie, dziękując Bogu i wzywając go dwudziestoma dziewięcioma imionami, by błogosławieństwo, które spadło na Chisom, zesłał również na nich. Słowo „spadło” wywołało u Chisom wrażenie, że błogosławieństwa to były ciężkie rzeczy, które mogły człowieka zmiażdżyć, które mogły zabić. I chociaż jej rodzice siedzieli w salonie, witali gości i po każdej modlitwie, każdej pieśni i po każdym tańcu głośno krzyczeli „amen”, Chisom widziała, że patrzyli na siebie przybici, jakby zawiedli swoją jedyną córkę. Zauważyła w ich oczach podejrzenie, że wymyśliła całą tę historię, ale również obawę przed prawdą, strach przed poczuciem winy, które by w nich wywołała. Chisom próbowała ich delikatnie przekonać, przypominając o Przepowiedni, o tym, co zobaczyła kobieta przepowiadająca przyszłość. „To jest to! Ilu ludzi dostaje taką szansę? To jest *to!*” – mówiła.

Ojciec skinął potakująco głową. Tak. Tak. Rzeczywiście, to

jest *to!*

Matka skinęła potakująco głową. Tak. Tak. Co prawda, to prawda.

Skwapliwe potakiwanie. Tak! Tak! Za tym zawziętym potakiwaniem kryły się jednak myśli i pytania, które wirowały i kręciły się, i mogły ich wciągnąć pod wodę.

Matka wpadła do kuchni. „Nie mogę zostawić nieumytego moździerza do jutra rana. Muszę to zrobić teraz, bo później go nie doszoruję”.

Ojciec poszedł do łóżka. „Jutro mam ciężki dzień w biurze”. Następnego ranka bardzo wcześnie wyszedł do pracy. Śniadanie składające się z papki z pochrzynu stało nienaruszone na stole w salonie.

W następnych tygodniach Peter wpadał do nich częściej. Jego buty były zakurzone od wędrówki, policzki obrzmiały od tego samego błagania: „Nie jedź. Proszę cię. Zapomnij o tym wuju koleżanki!”. – Przesadnie podkreślił słowo „wuj”. „Jakoś sobie poradzimy. Obiecuję ci to. Będę o ciebie dbał. Zabiorę cię za granicę. Londyn. Holandia. Ameryka. Hiszpania. Tylko powiedz. Przecież wiesz, że żadna sytuacja nie trwa wiecznie. Poradzimy sobie. Ożenię się z tobą, dam ci dzieci”.

Chisom milczała na temat rzeczy, o które chciała spytać; zastanawiała się chociażby nad tym, jak Peter sobie poradzi. Co niby może się zmienić w jego sytuacji, jeśli nadal będzie pracował w tej samej szkole i nadal będzie się opiekował pięciorgiem swoich braci i siostr? Jakim cudem będzie w stanie założyć własną rodzinę? Ale trzymała buzię na kłódkę.

To było tak, jakby bał się stracić ją na zawsze, gdy wyjedzie. „Kocham cię i nie chcę cię stracić” – próbował ją przekonać.

Peterze, myślała, ale milczała, bo nie chciała go w tym momencie zranić, nie jesteś mężczyzną dla mnie. Miała nadzieję, że nie było po niej widać niecierpliwego podniecenia, tego błysku w oku na myśl o życiu z dala od niego i z dala od Ogby.

W dniu wyjazdu nikt nie przyszedł pożegnać Chisom na lotnisku. Peter po prostu się nie pojawił. Wysłał dziewięcioletniego

sąsiada z listem, który Chisom przyjęła bez czytania i od razu schowała do torebki. Nie chciała teraz myśleć o miłosnym wyznaniu Petera ani o uczuciu ściskającym jej serce, sprawiającym, że trzymała torebkę mocniej, niż było trzeba. Nie sądziła, że wyjazd będzie taki ciężki. Prawie żałowała, że nie może zostawić tu choćby swojej dłoni. „Lagos jest zbyt niebezpieczny, by rozbijać się po nim wieczorem” – powiedział ojciec przy aprobacie matki. „W szczególności taksówką”. Tak więc Chisom siedziała sama z ciasno zapakowaną walizką w zamówionej taksówce, która miała ją zawieźć na Murtala Mohammed Airport. Kierowca – z tak wysoką fryzurą afro, że przez chwilę Chisom bała się, że mężczyzna się przewróci – rozprawiał wesoło o tym i owym. Narzekał na problemy z dwiema żonami i ośmiorgiem dzieci w wieku szkolnym. Drugą żonę odziedziczył po zmarłym bracie.

– Prawie *chassis*, prawie dziewczica. Byli niecały rok małżeństwem, gdy zmarł. A dziewczyna jest ładna. Bardzo ładna. Mój brat zwracał na to uwagę. Ale ładna kobieta jest droga w utrzymaniu, *sista*.

Z racji tego, że Chisom jechała za granicę, widocznie uznał, że ma dużo pieniędzy.

– Mój chłopak jest bystry – ogłosił dumnie. – Ma sześć lat, ale powinnaś posłuchać, co mówi! Jest bystry i chcę, żeby chodził do dobrej szkoły, ale jak to zrobić? Chęciami nie opłacę czesnego.

Jego pozostałe dzieci, same dziewczynki, chodziły do szkoły publicznej blisko domu.

– Tania, ale beznadziejna. Ta szkoła nie jest wystarczająco dobra dla mojego syna. W ogóle! – Haruje jak wół, jeździ całymi dniami i nocami, bo jego syn zasługuje na to, co najlepsze. – Dziewczyny mają farta. Wystarczy, że poderwiecie bogatego mężczyznę i macie problem z głowy. Ale chłopaki? Ich życie jest ciężkie. Bóg karze nas za grzechy Adama. – Zaśmiał się samokrytycznie i zaczął kręcić gałkami radia. Coś zaskrzypiało i nagle zabrzmiał kawałek *Teacher Teacher* Feli, trochę przytłumiony przez deszcz gęsto padający na przednią szybę.

Kierowca nucił i lekko kiwał się na fotelu w przód i w tył. Od czasu do czasu przerywał nucenie, by nawrzucać innym kierowcom, którzy nie trzymali odległości, zajeżdżali mu drogę lub jechali zbyt wolno.

– Gwizdnąłeś komuś prawo jazdy? *Oloshi!* Nędzny złodziejasku! Śmiertelnie niebezpieczny głupek!

Podczas jazdy Chisom się nie odzywała. Jej głowę zaprzętało zbyt wiele myśli i nie była w stanie prowadzić niezobowiązującej rozmowy z tym dziwnym mężczyzną. Niech sobie sam ogarnie ten bałagan, co jej do tego. Zresztą mimo tylu lat spędzonych w Lagosie wciąż nie знаła joruby. Wciąż kaleczyła ten język. Wyjęła list od Petera i go zgmiotła. Pomacała miejsce za plecami i po chwili wcisnęła kulkę w szparę między oparciem a siedzeniem. Niech tam zostanie. Ona jedzie na spotkanie blasku Przepowiedni, tego, co jej się należy. Włożyła rękę w szparę i wcisnęła list głębiej. W tym samym momencie poczuła, że uwolniła się od Petera; im głębiej wciskała kulkę, siedząc na tylnej kanapie taksówki, tym bardziej nieśmiertelna się czuła. Czuła, jak wzbiera w niej energia wystarczająca, by pokonać miłość, a nawet śmierć. Była gotowa wyjść naprzeciw przyszłości. I to wszystko dzięki Delemu. Była mu winna własne życie.

Efe

Efe poznała seks, kiedy miała szesnaście lat, na tyłach domu ojca. To pierwsze doświadczenie było tak bolesne, że właściwie całymi dniami chciało jej się płakać. Nie wiedziała, czego ma się spodziewać, ale nigdy nie sądziła, że będzie to tak nijakie, tak boleśnie nieistotne doświadczenie.

W pewnym sensie czuła się oszukana, jak dziecko obdarowane monetą, która nie błyszczy. Pamięta, że miała nadzieję, że to nie będzie długo trwało i że zrekompensuje jej ten ból między nogami. Mężczyzna, który mocno szczypał ją w pośladki, który wił się i jęczał, który zadał jej ten ból, miał czterdzieści pięć lat. Był stary. Doświadczony. Najważniejsze jednak, że według plotek miał masę pieniędzy. Obiecał Efe nowe ubrania. Nowe buty. Niebo. Ziemię. I wszystko, czego tylko zapragnie, pod warunkiem że pozwoli mu na wszystko. „Powiedz mi tylko, czego chcesz, a przyrzekam ci, że to ode mnie dostaniesz! Zawróciłaś mi w głowie, jak mężczyźnie, który pije za dużo *kai kai*³⁷. Dam ci wszystko, czego zapragniesz!”

Jęki w ogrodzie na tyłach domu były wynikiem dwuipółtygodniowych przygotowań, które poczynił ten mężczyzna, gdy po raz pierwszy zobaczył Efe, jak podziwiała trójkolorową torebkę na straganie niedaleko jego sklepu w rodzaju „wszystko do twoich włosów”. Czekał na nią, gdy wracała z rynku z jedzeniem na cały tydzień. zaproponował, że podrzuci ją do domu. Kupił jej butelkę lodowatej coca-coli, gdy utknęli w korku. Wcisnął pachnące nowością sto nair w jej nieśmiałą dłoń, gdy zajechali pod dom. To ostatnie ją przekonało. Nie chodziło tylko o pieniądze, ale też o szelest banknotu i wciąż wyczuwalny zapach banku centralnego. I to, że wyjął go z grubego rulonu takich samych banknotów. Uwierzyła we wszystkie opowieści o jego ogromnym bogactwie. Zapach takich pieniędzy każdego

przyprawiłby o zawrót głowy.

Efe zamknęła oczy i pomyślała o dzinsach, które w zeszłym tygodniu widziała w sklepie z używaną odzieżą: były niebieskie, z metalową literką V, symbolem znanej marki, na lewej tylnej kieszeni. Może będzie go mogła poprosić także o bluzkę. Przecież Titus ma pieniądze, może sobie na to pozwolić. „Mam tyle forsy, że za życia nie zdążę jej wydać” – powtarzał często, gdy zachęcał ją, by prosiła o wszystko, czego tylko pragnie. Interesy szły dobrze. Nie ma konkurencji, jeśli chodzi o przedłużane włosy dobrej jakości, wszyscy wiedzą, że ma najlepsze. „Prosto z Indii. Nie te końskie włosy, które sprzedają w całym mieście. Mam stuprocentowe ludzkie włosy!” – chwalił się często, wybałuszając dumnie oczy. Twierdził, że kobiety z całego Lagosu szturmują jego sklep, by kupić włosy. „Każda dziewczyna z ładnymi *weave*’onami była u mnie” – powiedział i trzy razy uderzył się w pierś. „U mnie, Titusa, bo tylko ja je dostarczam”.

Efe podobał się też niebieski T-shirt. Widziała jasnoblękitną koszulkę, która idealnie pasowałaby do spodni. No i oczywiście odpowiednie buty, to rozumie się samo przez się, na wysokim obcasie, takie eleganckie. Tak jest: eleganckie buciki na wysokim obcasie! Takie buty, w których będzie ładną dziewczyną z Lagosu, prawdziwą *sisi eko*³⁸. Musi go poprosić o kilka opakowań pasemek z jego sklepu. O ile ma sobie przedłużyć włosy? Oczami wyobraźni widziała siebie paradującą ulicami, stuk-stuk-stuk-stuk, w nowych butach, z *weave*’em aż do ramion. Będzie *senior chick*, elegancką dziewczyną, jakich wiele chodzi po Lagosie: są to młode kobiety, które mają wystarczająco dużo pieniędzy do wydania – swoich własnych lub kogoś innego. Może uda się jej przekonać Titusa, by nauczył ją jeździć i kiedyś kupił jej auto. Właściwie dlaczego nie? Przecież może dostać własny samochód, nieduży model z miśkiem zawieszonym na lusterku wstecznym, jak u Titusa. Oczami wyobraźni widziała siebie, jak jeździ, brum, brum, z jedną ręką na kierownicy, drugą na dźwigni zmiany biegów, tak jak Titus. Jej wargi będą wspaniale wyglądać, pokryte błyszczącą, jasnofioletową pomadką. Bardzo jej się podobała

jasnofioletowa szminka, ale nigdy takiej nie miała. Jeszcze nie. Ale to się zmieni, prawda? Titus pochylił twarz w jej kierunku i chuchał jej prosto w nos. Czują zapach mięty. Nie był nieprzyjemny, chociaż przebijał się przez niego także zapach dawno strawionego posiłku. Ryż? Pochrzym? Fasola? *Fufu*³⁹? Próbowała o tym nie myśleć, dlatego skupiła się na mięcie. Titus pocałował ją w usta i otarł się o nią. Wystawił język i polizał jej twarz. Ślina na jej twarzy śmierdziała, ale Efe próbowała nie zwracać na to uwagi, pomyślała, że właściwie ten zapach powinien jej się podobać. Swędziały ją gołe plecy oparte o ścianę. Mężczyzna przyciskał swój brzuch do jej brzucha i szczerze mówiąc, chciała go w jakiś sposób odepchnąć. To pierwsze doświadczenie seksualne nie miało w sobie nic, co wzbudziłoby w niej chęć, by je powtórzyć. Dlaczego kobiety wciąż to robią? Dlaczego dziewczynki w szkole chichotały i rumieniły się, gdy opowiadały o chłopcach, z którymi spotykały się za szkolnymi latrynami, by *to* robić? Już po wszystkim pomyślała o żonie Titusa. Próbowała zignorować ból między nogami, chociaż piekło tak, jakby ktoś natarł pieprzem otwartą ranę. Czy żona Titusa przeżywa to każdej nocy? Efe słyszała, że boli tylko za pierwszym razem, ale skąd ona może to wiedzieć? Dorośli czasami kłamią. Dorosłym nie można całkowicie ufać. Weźmy na przykład jej matkę. Do ostatniego tchnienia obiecywała Efe, że nigdy ich nie opuści. „A dokąd miałabym się udać? Dla kogo miałabym was teraz opuścić? Otrzyj te łzy. Nie płacz, kochanieńka. Jak mogłabym cię teraz opuścić? Jak mogłabym zostawić swoje dzieci na pastwę losu? No? Powiedz mi. Któregoś pięknego dnia opuszczę ten szpital i pójdę piechotą do domu. Zobaczysz. Jak mogłabym zostawić swoje dzieci? Dla kogo? Już niedługo wrócę do domu. Czuję się już o niebo lepiej. Niedługo, bardzo niedługo znów będę w domu”.

Brzmiała tak przekonująco, że tamtego wtorkowego poranka pielęgniarka nocna w Bishop Shanahan Memorial Hospital musiała odciągnąć Efe od sztywniejącego ciała matki i mówić do niej tonem pełnym szacunku, takim, jakim rozmawia się z najbliższymi zmarłych pacjentów: „Ona nie żyje. Przepraszam. Przykro mi,

kochanie, ale jej już nie ma. Przepraszam. Chodź już. No chodź”.

Efe wyrwała się, krzycząc, że jej matka nie umarła. Miała ich przecież nigdy nie opuścić. Przecież jej to obiecała. Aż do tamtego dnia nikt nie miał odwagi powiedzieć jej, że być może matka ją okłamała. Ani lekarz ze stetoskopem wiszącym na szyi, który przychodził dwa razy dziennie do chorej, ani ojciec, który po pracy zmieniał Efe, aby mogła wrócić do domu i opiekować się młodszą siostrą i braćmi, ani sąsiedzi, którzy od czasu do czasu przynosili jedzenie dla kobiety, „bo jedzenie w szpitalu bywa okropne. Jeśli nie umrzesz od choroby, to na pewno od jedzenia. Takie jest wstrętne”. „Zobaczysz. Niedługo wstanie i wróci piechotą do domu!” – mówili jej. Efe krzyczała na pielęgniarkę, która musiała odciągnąć ją od ciała. Ale ta obietnica nic nie znaczyła dla jej matki. Leżała w trumnie z zastygłą twarzą i pozwoliła zasypać się piaskiem, by zniknąć na wieki, na wieczność. „Prochem jesteś i w proch się obrócisz”. Efe nigdy nie zapomni głosu księdza modlącego się przy zwłokach. Mówił tak, jakby to naprawdę był koniec, jakby dopełnił się los kobiety, o której Efe myślała, że nigdy nie podda się chorobie, która dopadła ją w niedzielny poranek. Matka narzekała na migrenę, napięcie w skroniach i ból, który nie chciał przejść nawet po dwóch tabletkach, które zażyła i popiła wodą z wysokiej szklanki; bolało ją nawet wtedy, gdy cały dzień odpoczywała.

Wszystko, co Efe wiedziała o żonie Titusa, wiedziała z jego opowieści. Siedziała zamknięta w Ikei⁴⁰, w bliźniaku z pięcioma sypialniami i trzema salonami. Była stara. Niewiele młodsza od Titusa. Powiedział też, że jej kości chrupią – chrup, chrup – i że on potrzebuje kogoś z młodymi kośćmi, by go uszczęśliwił. Powiedział Efe, że sprawiła, że jest najszczęśliwszym mężczyzną w Lagosie, ba, najszczęśliwszym mężczyzną w całej Nigerii.

„Zasypiam z uśmiechem i budzę się z uśmiechem dzięki tobie, moja Efe”.

Efe czuła się zaszczycona, że potrafi zadowolić takiego wielkiego mężczyznę. Titus był wielki. Nie tylko w przenośni. Wysoki i barczysty, sprawiał wrażenie, jakby wrósł w ziemię.

Kiedy włożył krótkie spodenki, jego łydki wyglądały na tak potężne, jak łydki trzech mężczyzn. Czasem elektryzowała ją myśl, że gdyby jej ojciec miał chociaż połowę siły Titusa, śmierć matki nigdy by go tak nie zmieniła. Pozostałby takim skromnym, zdrowym mężczyzną, jakiego pamiętała.

Pozostałby silny dla nich. Efe nie musiałyby rezygnować ze szkoły, by opiekować się rodziną. Tęskniła za koleżankami z klasy, których już nie widywała, bo miała inne obowiązki; była przez to trochę dojrzalsza niż one. Gdy je przypadkiem spotykała, wstydziła się, chociaż nie wiedziała dlaczego. Tęskniła za zapachem nowych książek na początku roku szkolnego. Tęskniła za zapachem atramentu i kredy. Tęskniła nawet za tornistrem, ciężkim jak kamień z powodu rozładowanych baterii, których zawartością czerniono tablicę.

Kiedy obmacywanie i postękiwanie się skończyło, ale ból między jej nogami jeszcze nie zelżał, Titus dał Efe pieniądze na spodnie i niebieski T-shirt. Dziewczyna zastanawiała się, co o tym dużym mężczyźnie, który zaparkował swojego jeepa przed domem, pomyślał sąsiedzi, w szczególności Alawowie mieszkający nad nimi. Pani Alawo zawsze wtykała nos w nie swoje sprawy, kręciła się jak szczur i sprawdzała, co kto robi. *Amebo*⁴¹. *Tafia*⁴². Efe była pewna, że pani Alawo widziała, jak wysiadają z samochodu, jak wchodzą do środka, i że prawdopodobnie stała i słuchała jęków Titusa przez miedziane drzwi oddzielające ich ogródek od reszty bloku. Zachciało jej się śmiać. Pieniądze, które dał jej Titus, schowała do biustonosza, po czym weszła do domu, by wziąć kąpiel. Miała nadzieję, że w ten sposób złagodzi ból.

Już następnego dnia wybrała się na zakupy. Kupiła dzinsy i T-shirt, a wciąż jeszcze zostało jej trochę pieniędzy. Po kupieniu butów – z niebieskiej skóry, na wysokiej platformie – w torebce nadal miała zgrabny plik nowiusieńkich banknotów, które wypełniły ją bezgranicznym szczęściem. Schowała pieniądze pod poduszkę i co wieczór myślała o tym, na co je wyda. Podzieliła je na kupki, by starczyło na różne drobiazgi, które jej się akurat spodobały: spinki do włosów dla najmłodszej siostry, ciasteczka,

lakier do paznokci, szminkę, czerwoną torebkę, cukierki dla maluchów, gumę do żucia o różnych kolorach i smakach. Przetrzała targowisko Lagosu i lepsze butiki w Ikei i kupowała okruszki szczęścia.

Przez kolejne cztery miesiące spotykała się z Titusem każdego wieczoru, bo nalegał. Powiedział jej, że ma go w posiadaniu, że jeszcze nigdy nie pożądał żadnej kobiety tak bardzo jak jej. Efe nie miała przed Titusem innego mężczyzny i nie wiedziała, czy to normalne, że pragnęła go słabiej niż on, czy tylko ona tak miała. Ale to nic nie znaczyło, wystarczyło, że on ją chciał. Dzięki jego pożądaniu mogła kupować różne rzeczy. Po raz pierwszy w życiu miała poczucie, że inne dziewczyny miałyby jej czego zazdrościć, że ma to, co one też by chciały mieć: dzinsy z pięknym metalowym V, torebki, które pasowały do wszystkich kolorów ubrań, i buty na wysokim obcasie, tak eleganckie, że mogłyby należeć do żony gubernatora. Jej matka też miała takie buty: eleganckie czółenka z cienkimi paseczkami i obcasami unoszącymi jej stopy nad ziemią (Efe często je wkładała, by udawać, że lata). Ale krótko po śmierci matki ojciec spalił wszystko, ubrania i buty, torebki i bieliznę, wszystko pochłonęło ogromne ognisko, wielki pomarańczowy słup ognia sięgający nieba i ryczący: „Boże, dlaczego odebrałeś mi żonę? Czyż niebo nie jest już przepełnione? Co mam począć z czwórką dzieci potrzebujących matki?”

Efe będzie pamiętać ten ogień aż do śmierci. Ujrzy jaskrawy żar w ciemnej jak ziemia nocy, zobaczy też, jak wysoko na niebie obłoki dymu łączą się ze swoimi przyjaciółmi, zwykłymi chmurami. Kiedy ogień skarg dlaczego-ach-dlaczego wypalił się i zgasł, nie przynosząc odpowiedzi, i kiedy z popiołów nie powstał feniks, okazało się, że z ognia ofiarnego ocalał zamek od torebki. Trzymając go w prawej dłoni, ojciec wybuchnął zachrypniętym śmiechem i powiedział: „Ten śmieć przetrwał nawet ogień, a mimo to odebrano mi żonę”. Zamiótł popiół i w szale wysmarował się nim. Widok ojca umazanego popiołem z ubrań, torebek, bielizny i butów matki, z gapiącymi się sąsiadami i kilkorgiem

chichoczących dzieci w tle, będzie prześladował Efe jeszcze długo. Długo po tym, jak wyda jej się, że o nim zapomniała.

Seks z Titusem nie stał się lepszy, ale na pewno łatwiejszy. Nie bolało już tak bardzo, gdy miała go między nogami. Kochali się częściej, Efe stała się bardziej zdeterminowana, więc i nagrody były bardziej wartościowe. Prosiła o większe rzeczy (walizkę, czerwoną kosmetyczkę, taką samą jak kosmetyczka jej matki, poświęcona w ojcowskim ogniu, o zamykaną na magnes szkatułkę na biżuterię z pozytywką) i dostawała więcej pieniędzy. Mogła nawet odłożyć na zakup radia z magnetofonem kasetowym i lampkami świecącymi, gdy urządzenie było włączone. Oglądanie tego w ciemnościach było cudownym spektaklem, który zachęcił jej młodszego braciszka do stworzenia własnej wersji *Twinkl Twinkl Little Staa Hawaii Wonda Wot Youya*⁴³. Plik pod jej poduszką rósł, dlatego zafundowała przejętym braciom i siostrze nowe ubrania, nowe sandały, nowe butelki na wodę do szkoły.

Czasem spotykała się z Titusem w hotelach w innych dzielnicach Lagosu, gdzie wynajmował pokój na godziny. Recepcjonistki ignorowały powitanie Efe, co najwyżej taksowały ją z pogardą zwykle zarezerwowaną dla insektów pełzających pod ich stopami. Pokoje były prawie zawsze małe, a dywany zniszczone.

Kiedy indziej spotykali się na szybkie numerki w ciemnościach na tyłach jej domu. Oparta o ścianę, próbowała nie wdychać smrodu z odkrytej kanalizacji biegnącej wzdłuż muru.

Nie było trudno unikać ojca. Ten mężczyzna, któremu nie przeszło przez myśl, że będzie musiał żyć bez żony, w ciągu dwóch lat od jej śmierci całkowicie się załamał. Zapijał smutek jedną szklaneczką *ogogoro*⁴⁴ za drugą w lokalnej piwiarni, prowadzonej przez Mariam, według plotek abstynentkę i kochankę połowy męskiej klienteli. Opiekę nad domem, młodszymi braćmi i siostrą całkowicie zrzucił na barki Efe. Pieniądze, które dawał jej co miesiąc, ledwie starczały na jedzenie. A ponieważ Efe marzyła o rzeczach luksusowych, musiała znosić Titusa, by je zdobyć; mówi się trudno.

Jeszcze zanim przestała miesiączkować, a ślina nabrała metalicznego smaku, Efe nabrała podejrzeń, że jest w ciąży. Kiedy więc zaczęły rosnać jej piersi i rano coraz częściej budziła się z nudnościami, gdy wciąż miała apetyt i wciąż czuła się zmęczona, a w nocy nie mogła spać, była przygotowana, nie zaskoczona.

Tego wieczoru, kiedy powiedziała mu, że jest w ciąży, Titus stawiał się na ich codziennym spotkaniu po raz ostatni. Leżał w łóżku i gładził jej ramiona.

– Jestem w ciąży, Titusie.

To wystarczyło, by wyskoczył z łóżka i narzucił na siebie ubranie, najpierw czarne spodnie z tasiemką, którą mocno ściągnął pod brzuchem, następnie kaftan sięgający kolan. Potem odwrócił się do niej szerokimi plecami, chwycił kluczyki do auta leżące na stoliku nocnym i wyszedł z pokoju hotelowego bardzo cicho, prawie bezgłośnie zamykając za sobą drzwi.

Efe leżała w łóżku długo po tym, jak wyszedł, a jego ciemne plecy zamazały się. Wmówiła sobie, że śpi, i delectowała się ciszą. Wciąż była naga. Woląa spotykać się z nim na tyłach domu, bo wtedy nie kochali się zbyt długo. Kiedy szli do hotelu, Titus się nie spieszył. Zaciągał ją do łóżka, które na ogół śmierdziało środkami dezynfekującymi, rozbierał ją i najpierw kazał jej paradować nago po pokoju, następnie rzucał się na nią i włókł ją z powrotem do łóżka. Robił swoje, zasypiał, budził się i zaczynał od nowa. Wszystko odbywało się w ciszy, zakłócanej tylko jego jękami rozkoszy. Leżeli w łóżku do czasu, aż Titus uznał, że czas wracać do domu. W aucie dawał jej trochę pieniędzy i umawiali się na kolejne spotkanie.

W dniu, w którym Efe powiedziała mu o dziecku, byli jeszcze w łóżku, kiedy zapaliły się latarnie uliczne naprzeciwko wynajętego przez nich pokoju, rozjaśniając go niewyraźnymi pomarańczowymi smugami światła i powodując, że złuszczająca się farba na niebieskich ścianach wydawała się równie piękna, jak czyste niebo z pasmami białych obłoków, oświetlonych promieniami słonecznymi. W pewnym momencie Efe zwróciła na to uwagę, ale Titus nie dostrzegł w tym niczego szczególnego.

– Ale to tylko światło wpadające z ulicy; gdzie ty widzisz promienie słońca?

Kiedy tak leżała po jego wyjściu, z zamkniętymi oczami, udając, że śpi, nie ciążyła, która najwyraźniej niezbyt interesowała Titusa, była jej największym zmartwieniem. Teraz największym problemem było to, jak, na Boga, miała wrócić do domu. Przeklęła Titusa, ponieważ wybrał hotel na obrzeżach miasta. Smażony ryż, którym wcześniej się delectowała, leżał jej na żołądku i powodował takie burczenie w brzuchu, że w końcu musiała iść do ubikacji. Co za marnotrawstwo smacznego jedzenia, pomyślała, pozbywając się w toalecie ryżu, krewetek i kawałków mięsa, które wczesnym wieczorem zamówił dla niej Titus. Wołałaby zatrzymać to wszystko w sobie, choćby dlatego, że nie miała pojęcia, gdzie jest ani jak długo potrwa, nim wróci do domu. Kiedy się odświeżyła, uznała, że na nią już czas. Ubierała się w zwolnionym tempie, czując, że jej brzuch nie jest już częścią niej. Zastanawiała się, ile czasu upłynie, nim zacznie puchnąć. Włożyła spódnicę i pogładziła wciąż płaski i twardy brzuch, nie mogąc uwierzyć, że rośnie w niej dziecko, dziecko, które skubie jej wnętrzności i żywi się jej pokarmem w dziwnej symbiozie, o której nie potrafiła powiedzieć, czy jej się podoba. Wchodząc do lobby, zwiesiła głowę, ponieważ nie miała ochoty patrzeć na recepcjonistkę, która na pewno gapiała się na nią z szerokim uśmiechem na twarzy. Nie wstydziła się ciąży – jeszcze nie była widoczna – ale tego, że została porzucona w tym Royal Hotelu. Czuła się niewiele warta; tylko najtańsze dziewczyny zabierano do hotelu i w nim pozostawiano, by na własną rękę wracały do domu. Dobrze, że w torebce miała parę nair. Chociaż będąc z Titusem, nigdy nie musiała za nic płacić, z przyzwyczajenia nie wychodziła z domu bez pieniędzy. Tego nauczyła ją matka. „Nigdy nie wiesz, co się może zdarzyć. Bądź zawsze przygotowana”. No, mamó, miałaś rację, powiedziała do siebie i zmówiła pospiesznie modlitwę dziękczynną w intencji matki. A gdyby została tutaj bez grosza przy duszy? Kogo mogłaby poprosić o drobne?

Nawet przez chwilę nie pomyślała o aborcji – ani wtedy, ani

w następnych dniach i tygodniach, w trakcie których zaczęła rozumieć, co to znaczy być w ciąży. Spuchła jej twarz, nie mogła też znieść zapachu zupy z okry⁴⁵. Słyszała zbyt wiele okropnych historii na temat aborcji, które się nie udały, by podjąć ryzyko. Znajoma Nkiru, mieszkającej dwa domy dalej, zmarła w wyniku przeziębienia, które zaatakowało jej brzuch po tym, jak lekarz dokonujący zabiegu niedokładnie zaszył ranę. Nkiru powiedziała, że przeziębienie przeniosło się z brzucha do gardła i tak zatkało nozdrza dziewczyny, że ta w końcu przestała oddychać. Ktoś inny znał kogoś, kto sam próbował wykonać zabieg za pomocą wieszaka na ubrania i wykrwawił się na śmierć. Kiedy Efe była w trzecim miesiącu ciąży i strasznie cierpiała, wypróbowała inną metodę: wielokrotnie biła się mocno po brzuchu. Od starszej siostry Nkiru dowiedziała się, że to skuteczny i niegroźny sposób na poronienie. „Bezpieczniejszy niż aborcja. Po prostu wypłynie z ciebie obfity skrzep krwi i po kłopotcie”. Ale ta metoda się nie sprawdziła i po kilku próbach Efe pogodziła się z losem, ponieważ dziecko najwyraźniej było zdeterminowane, by się urodzić.

Tego wieczoru powrót do domu zajął Efe ponad trzy godziny taksówką i autobusem. Ojciec siedział w salonie i opróżniał dwanaście butelek piwa i piętnaście szklaneczek *ogogoro*. Po raz drugi tego dnia Efe dotknęła brzucha i mimowolnie rozplakała się z tęsknoty za matką.

Zastanawiała się, jak powiedzieć ojcu o ciąży. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio prowadzili normalną rozmowę. Najczęściej wrzeszczał. „Jak długo mam czekać na śniadanie w tym domu pełnym kobiet? Co musi zrobić mężczyzna, by dostać coś do jedzenia w swoim własnym domu?”. Ojciec, zwykle bardzo rozmowny, lubujący się w rozwlekłych opowieściach, po pijaku stawał się nieznośny, w drodze do domu szukał guza i często wracał zbity na kwaśne jabłko. Dzieci widywały go czasem rano, kiedy jadł śniadanie i szykował się do pracy, a gdy kładły się spać późno wieczorem, słyszały, jak śpiewa idiotyczne piosenki o żołnierzach i kobietach, o śmierci i sposobie, w jaki ją pokona, i o tym, że będzie żył wiecznie, bo ma śmierć w garści. Śpiewał też

smutne pieśni o tym, że śmierć poślubiła jego żonę i zabrała ją do siebie. Dwa razy w miesiącu, czasem częściej, wściekły sąsiad zbiegał po schodach i prosił go, żeby przestał, bo jego rodzina nie może spać. „Niektórzy z nas muszą wcześniej rano iść do pracy, daj nam, z łaski swojej, trochę spokoju!”. Czasami sąsiadowi udawało się go uspokoić. Kiedy indziej prośba o ciszę pobudzała ojca do wyśpiewywania jeszcze głośniejszych i jeszcze bardziej idiotycznych pieśni: „Widziałem głupka machającego koszem, tkął pułapkę, żeby cię w nią wpędzić. Powiedział: bierz go, tego mężczyznę, w którym siedzi diabeł, bierz go i upiecz na dużym, dużym, dużym ogniu”. Albo:

Lagos dey burn burn burn, you dey here dey chase rat rat rat.

Rat go burn, you go burn

And your bones go scatter over the sea⁴⁶.

Ostatecznie Efe postanowiła, że nic mu nie powie, poczeka, aż sam się zorientuje i zacznie rozmowę, pijany lub nie. Ale powie Ricie. Dziś już nie, dopiero następnego ranka, po śniadaniu, kiedy wyprawia maluchy do szkoły. Niektórych spraw lepiej nie omawiać na pusty żołądek lub w domu pełnym ludzi.

Ricie brakło słów, by opisać strach, który ją ogarnął po usłyszeniu wiadomości. Co mają począć z niemowlęciem w domu bez matki, która mogłaby nauczyć córki, jak się z nim obchodzić, i z ojcem potykającym się o własne nogi, kiedy się upije? Ale Efe nie potrzebowała słów siostry: gdy tylko zaczęła podejrzewać, że jest w ciąży, poczuła ten sam strach, który nie chciał jej opuścić. Ale wiedziała, kto jest ojcem jej dziecka, a to było szczęście w nieszczęściu; w tej kwestii Rita przyznała jej rację. I wszystko wskazywało na to, że ma wystarczające środki, by zadbać o swój przychówek. Niektóre niemowlęta przychodziły na świat z o wiele gorszymi perspektywami. Ich ojcowie byli nieznani lub nie śmierdzili groszem. „Mojemu dziecku przynajmniej niczego nie

zabraknie” – pocieszała się Efe, jednocześnie starając się nie przejmować, że dziecko rozpycha jej brzuch, przez co nie mogła spać, w jakiegokolwiek pozycji się ułożyła. Wiele nocy przeleżała na wznak, przysięgając sobie, że nigdy więcej nie zajdzie w ciążę. W jaki sposób radziła sobie z tym jej matka? Jak poradziła sobie z czterema ciążami? A kobiety, które rodziły nawet po dwanaścioro dzieci? Skąd czerpały siłę, skoro wiedziały, że ciąża jest tak bolesna?

Nawet jeśli ojciec zauważył, że jej ciało się zmienia, nie skomentował tego. Milczał, niewzruszony, co trochę irytowało Efe. Przecież musiał widzieć ten brzuch! Na początku każdego miesiąca regularnie oddawał jej część zapłaty, którą pobierał za pracę na budowach. To, czego nie oddawał, swoim zwyczajem przepijał u Mariam. Nawet jeśli był w bojowym nastroju, nigdy nie wspominał o brzuchu, który rozrastał się nie tylko z przodu, ale i po bokach.

– Wyglądam jak koza w ciąży – skarżyła się Ricie Efe.

Jakby go nie widział. Brzuch jednak mógł być niewidoczny dla niego, ale nie dla sąsiadów, w szczególności kobiet, które mijając Efe, wytykały ją palcami i głośno się śmiały, klaskały w dłonie i szczyrzyły zęby. Ich córki, dziewczynki, które kiedyś bawiły się z Efe lub chodziły z nią do szkoły, ignorowały ją, a gdy zamieniały z nią słówko, ich matki przywoływały je do siebie. „Collectrose! Idź no szybko do sklepu po zapałki!”, „Evbu, bierz się do lekcji!”. Uśmiech zastygał jej na ustach. Zwalniała kroku. Nie tylko brzuch nie pozwalał jej na uśmiech i utrudniał chodzenie.

– Ludzie patrzą na mnie jak na śmiecia – skarżyła się Ricie.

– Nie zwracaj na nich uwagi, Efe – pocieszała ją siostra. –

Jak tylko dziecko pojawi się na świecie i jego ojciec się nim zaopiekuje, zobaczą, że nie jesteś jedną z tych beznadziejnych dziewczyn, które sypiają z każdym facetem.

Efe uśmiechnęła się do siostry, wdzięczna za wsparcie.

– Mam nadzieję, że to chłopak. Bo jeśli to chłopak, jego ojciec na pewno go zechce.

- Nie martw się, Efe. Bóg nie śpi. To będzie chłopiec.
- Amen – powiedziała Efe, by nadać moc modlitwie siostry.

Kiedy stała się za gruba i kołysała się jak utuczona gęś, przekazała obowiązki domowe młodszej o jedenaście miesięcy Ricie. Ojciec nie pytał Rity, dlaczego to ona, a nie Efe, przychodzi prosić go o pieniądze. Po prostu przeliczał banknoty, często wygniecione, zniszczone i od długiego używania przesiąknięte przypominającym piżmo zapachem utaby – tabaki, zapachem pieniędzy ludzi ubogich. Rita okazała się równie dobrą gospodynią jak jej starsza siostra – robiła zakupy, gotowała i włączała młodsze rodzeństwo do sprzątania, dzięki czemu Efe mogła całkowicie poświęcić się ciąży. O wiele później, gdy jej życie wreszcie wróci do normy, gdy zrzuci kilogramy, które przybyły jej w czasie ciąży, gdy wróci jej normalny apetyt, przyzna, że gdyby nie Rita, nie dałaby sobie rady.

Kiedy odeszły jej wody płodowe, obudziła Ritę, bo bała się, że dziecko lada chwila pojawi się na świecie – przypomniawszy sobie opowieści matki o jej narodzinach i o tym, że w trakcie przygotowywania obiadu odeszły jej wody i ledwie zdążyła urodzić Efe w szpitalu. Błagała siostrę, by zabrała ją do szpitala, bo ból przeszywał ją na wskroś, oddzielał tułów od reszty ciała. W drodze cały czas tuliła się do Rity i szczypała ją, gdy skurcze stawały się nie do zniesienia. Rita przygryzała język i dzieliła cierpienie siostry, błagając kierowcę, by jechał spokojnie. *Go jeje!*⁴⁷ – mówiła, gdy wjechał w dziurę i Efe krzyknęła z bólu. Kierowca odgryzł się Ricie, że nic nie poradzi, że ulice w Lagosie są w opłakanym stanie.

– Ze skargami na doły i dziury idź do rządu. Ja jestem tylko prostym kierowcą. Jeśli nie podoba ci się, jak jeżdżę, to wysiadaj!

Mężczyzna miał ciężki dzień za sobą i wcale nie czekał, by dwie dziewczyny, które mogłyby być jego córkami i z których jedna była w ciąży, mówiły mu, jak ma jeździć. Nie widział obrączki na palcu ciężarnej.

– Dziewczyny z Lagosu – złorzeczył pod nosem – nie mają za grosz wstydu.

Po powrocie do domu opowie żonie, jak mu minął dzień, i podkreśli, że ta ciężarna dziewczynka wyglądała na nie więcej niż czternaście lat. „Przysięgam, jeszcze chwila i w moim aucie urodziłaby bękarta”.

Efe odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła budynek All Saints Maternity pomalowany na uspokajający kremowy kolor, a Rita cieszyła się, że może przekazać siostrę pielęgniarce o wyglądzie matrony. Sądząc po sposobie, w jaki kobieta zaprowadziła Efe do łóżka, i po stukocie jej czarnych butów, rytmicznie kierujących ruchami rąk zajętych szukaniem koszuli szpitalnej i rękawiczek, była absolutną profesjonalistką. Efe została rozebrana i podłączona do urządzenia, które naprzemiennie pikało i zatrzymywało się. Pielęgniarka odłączyła ją jednak.

– Przepraszam, ale sprzęt przestał działać. Skończył się papier. Ale niektóre szpitale nie mają nawet tego. My mamy tutaj trzy takie urządzenia. To dar. Ten aparat mierzy skurcze. Rysuje je na papierze, dzięki czemu wiemy, jak silne są bóle i czy to są prawdziwe skurcze porodowe czy nie. – Z szacunkiem stuknęła w przyrząd.

Do sali wszedł lekarz z nadprogramową liczbą zębów i stetoskopem wiszącym na szyi niczym wielki metalowy łańcuch. Ritę zmartwiło, że wygląda na bardzo zmęczonego; pomyślała, że nie zaopiekuje się Efe tak, jak powinien. Zastanawiała się, czy powinna coś na ten temat powiedzieć; może poprosić o innego lekarza, powiedzieć, że ten potrzebuje łóżka i kilku godzin snu. Popatrzyła na Efe i uśmiechnęła się do niej, mając nadzieję, że siostra nie wyczytała troski z jej twarzy. Lekarz usiadł w nogach łóżka Efe i zadawał pytania pielęgniarce. Odpowiadała z pewnością w głosie, jak ktoś, kto zna swoją pracę i dobrze o tym wie.

– Cztery centymetry rozwarcia. Pęknięcie pęcherza płodowego. Dziecko niezagrożone.

Rita i Efe nie rozumiały pozostałych informacji, które pielęgniarca przekazała lekarzowi.

Skurcze przychodziły i odchodziły falami, osiągały szczyt i

znów stawały się nieregularne. Efe odmówiła przyjęcia leków przeciwbólowych. Chciała czuć ten ból, jakby chciała odpokutować za ciążę, która zniszczyła jej życie i zszargała opinię. Gdyby tylko mogła włożyć rękę do macicy i wyciągnąć to dziecko, przez które zwijała się z bólu. Po wyjściu lekarza Rita usiadła koło niej na łóżku. Wrzeszczała razem z siostrą, gdy ból stawał się dla Efe nie do wytrzymania. Kiedy zaczęła przeklinać to dziecko grzechu, będące przyczyną cierpienia, Rita natychmiast kazała jej przestać, bo wszyscy wiedzą, że przeklinanie dziecka, któremu widać już główkę, to tabu. Przynosi pecha. „Spróbuj wytrzymać, Efe, słyszysz? Po prostu spróbuj. Jeszcze chwila i będzie po wszystkim. Świetnie ci idzie. To się zaraz skończy. Uwierz mi”.

Kiedy trzynaście godzin później przy akompaniamencie wrzasków Efe wydała na świat syna, Rita wciąż stała przy niej, trzymała ją za rękę i cicho płakała, gdy na piersi siostry położono pokrytego śluzem noworodka. Wykończona Efe powierzyła jej wybór imienia dla syna. Ta, wzruszona i pozbawiona inwencji, nazwała go Lucky. Być może dlatego, że jej siostra była szczęściarą, że miała ją przy sobie, może dlatego, że to dziecko miało szczęście się urodzić, a może dlatego, że chciała po prostu, by jej nowo narodzony siostrzeniec miał w życiu szczęście. Później, gdy Efe doszła nieco do siebie i lepiej się poczuła, dała mu drugie imię, po Titusie – Ikponwosa.

Dziecko było małe, pomarszczone i miało złuszczoną skórę, przez co bezlitośnie przypominało Efe gada. Nie widziała dotychczas czegoś tak brzydkiego, nie mogła uwierzyć, że je urodziła. Ale była za nie odpowiedzialna i musiała się nim opiekować. Nie bardzo miała na to ochotę, była jednak gotowa przyjąć na siebie obowiązki z dojrzałością, która według niej wiązała się z macierzyństwem. Będzie się troszczyć o syna, ale zdawała sobie sprawę, że do tego potrzebna jest pomoc Titusa. Niemowlęta potrzebują wielu rzeczy: jedzenia i pieluch, ubrań i lekarstw. Z pieniędzy, które dostawała od ojca na życie, nie mogła tego wszystkiego opłacić.

W dniu, w którym opuściła szpital, postanowiła zaangażować

Titusa w utrzymanie ich dziecka. W końcu mężczyźni pragną mieć synów, nieważne ilu. Synowie są trofeami, które zbierają, by przetrwało ich nazwisko. Wiedziała, że Titus ma dzieci, kilka razy o tym wspominał, żartował, że dobra szkoła jest droga, że jego dzieci świetnie sobie radzą i że czesne płaci się w obcej walucie. „Przyjmują tylko dolary i funty!” – mówił. Przecież miał pieniądze, jedno dziecko więcej nie zrobi mu różnicy. Mógłby posłać ich syna do dobrej szkoły, dać mu to, na co Efe nigdy nie będzie stać. I tak oto trzy tygodnie po porodzie ubrała Ikponwose w niebieskie śpioszki, owinęła w kremowy szal i zabrała do domu Titusa na drugim końcu miasta. Zadbała o to, by przybyć na miejsce w porze, kiedy zwykle był już w domu. Nie widziała go, odkąd powiedziała mu, że jest w ciąży. Chciała z nim porozmawiać, pokazać mu syna, małego Titusa, bo choć miał dopiero trzy tygodnie, nie dało się zaprzeczyć, że jest bardzo podobny do ojca; z upływem lat to podobieństwo miało się pogłębiać. Nie chciała zbyt wiele: po prostu tyle, by zadbał o dziecko, które dużo jadło i było jego wierną kopią. Chciała widzieć, jak dorasta z dala od slumsów, w których sama się wychowała. Titus miał wystarczająco dużo pieniędzy, by o to zadbać.

Kiedy służąca wprowadziła Efe, Titus i jego żona właśnie zasiadali do kolacji, składającej się z placka eba⁴⁸ i zupy *egusi*⁴⁹. Wcale nie tak stara kobieta właśnie zanurzyła kawałek eby we wspólnej misce z zupą, gdy służąca zapowiedziała kogoś do pana. Kobieta wyjęła kawałek placka z zupy i jednocześnie podniosła głowę, by zobaczyć tego kogoś. Spojrzała na kremowo-niebieskie zawiniątko w ramionach Efe i nieznacznie się uśmiechnęła. Titus nic nie powiedział; żadne z nich nie zaproponowało Efe, by usiadła, mimo to opadła na najbliższą sofę. Siedząc w jednym pokoju z Titusem, który niczym nie zdradził, że ją rozpoznaje, poczuła, że zasycha jej w gardle i że zaraz dostanie ataku kaszlu. Niemowlę obudziło się i zaczęło płakać. Uspokoila je.

– Cicho, cicho. Nie płacz – powiedziała. Ukołysała je i zanim opuściła ją odwaga, dodała: – Mam tu twoje dziecko, Titusie.

Titus bez pośpiechu wydłubywał ość z kawałka placka, który właśnie chciał włożyć do ust. Tak jakby jej nie usłyszał, jakby jej tam w ogóle nie było. To jego żona zareagowała. Umyła ręce w stojącej obok misce, wytarła je w serwetkę, po czym wstała. Jej kości wcale nie chrupały chrup, chrup, kiedy szła do Efe i sadowiła się naprzeciw.

– Ty – wskazała palcem na Efe – przychodzisz do mojego domu i oskarżasz mojego męża, że jest ojcem twojego dziecka? Jak śmiesz? No? Jak śmiesz?

Jej głos brzmiał cicho, na twarzy wciąż malował się półuśmiech. Efe pomyślała, że może to wcale nie jest uśmiech, ale coś zupełnie innego. Grymas. Lub coś gorszego.

– Latawico. *Ashawo*⁵⁰. Żeby tysiąc wszy zagnieździło się w twoich włosach łonowych. Bezwstydna kurwo, *ashawo*, spójrz na siebie. Ty mała jędzo, czego szukałaś u tych mężczyzn? W tym wieku rozkładać nogi przed mężczyzną? Jaka porządna dziewczyna śpi z kimś, kto mógłby być jej ojcem? No? Odpowiedz, beznadziejna idiotko! Widzę, że odjęło ci mowę. Zapomniałaś języka w gębie, *abi*? I jeszcze masz czelność się tu pokazywać. Nie bałaś się przekroczyć progu mojego domu z tym czymś na rękach? No, teraz zamknę oczy i zanim je otworzę, chcę, żebyście ty i twój bękart zniknęli z mojego domu.

Nawet nie patrząc na Titusa, Efe wiedziała, że przez cały ten czas spokojnie konsumował posiłek. Słyszała, jak mlaszcze, wysysając szpik. Wstała i powoli wyszła.

Lucky Ikponwosa miał już nigdy nie zobaczyć swojego ojca.

Efe nie wiedziała, bo niby kto miał jej o tym powiedzieć, że była szóstą kobietą, która w ciągu ostatnich sześciu lat zgłosiła się do Titusa z owocem ich romansu. Jego żona w podobny sposób pokazała drzwi wszystkim poprzednim dziewczynom. Wygoniła je, informując, że mają nigdy więcej nie wracać, i poprosiła służącą, by zaryglowała za nimi drzwi.

Już w dniu ich ślubu, kiedy przyłapała Titusa, jak z błyskiem w oku wodził spojrzeniem za pierwszą druhną, wiedziała, że nie będzie jej wierny. I dopóki kobiety kręciły przy nim biodrami, latał

za nimi jak śliniący się, napalony pies, bo właśnie tak zachowują się mężczyźni, którzy nie potrafią oderwać wzroku od innych kobiet. To nie była jego wina, taki się po prostu urodził. Mogła z tym żyć. Mógł mieć te swoje kobiety, mógł im nawet robić dzieci. To jej nie obchodziło. Ale obchodziło ją, kiedy te kobiety zjawiały się ze swoimi dziećmi, oczekując, że będzie o nie dbał.

„Titusie, to jest twoje dziecko, nie chcę ślubu, chcę tylko, żebyś pomagał w jego utrzymaniu”.

„Titusie, oto twój syn. On musi znać swojego ojca”.

Titus to. Titus tamto. Trzeba z tym skończyć raz na zawsze.

Kiedy go poznała, kończył właśnie praktykę u sprzedawcy części samochodowych z własnym sklepem w Ladipo. Części go nie zajmowały, narzekał, że to go w ogóle nie interesuje, ale właściciel był jednym z najbogatszych mężczyzn we wsi i żeby zarobić tyle, ile zarobił, musiał mieć nosa do handlu. Titus chciał wyciągnąć od szefa umiejętność robienia dużych pieniędzy, dlatego przez pięć lat mieszkał u niego i pracował w jego firmie, z pierwszej ręki ucząc się tajemnicy jego sukcesu.

W pierwszym roku małżeństwa skończył praktykę i chociaż jego pracodawca, tak jak to było w zwyczaju, dał mu pieniądze na otworzenie własnego sklepu z częściami samochodowymi, Titus wybrał współpracę z partnerem, innym uczniem z wielkimi planami, który również właśnie skończył staż. Ustalili, że każdy z nich wyłoży swój kapitał, i po burzy mózgów doszli do wniosku, że pieniądze są tam, gdzie kobiety: nawet ci mężczyźni, którzy nie wydają pieniędzy na siebie, wydają je na kobiety. Zaczęli importować peruki, eleganckie błyszczące peruki, które chcieli sprzedawać elegantkom w Lagosie, marzącym o pięknych włosach bez konieczności chodzenia do fryzjera. Nie poszło im tak gładko, jak się spodziewali. Mieli ogromną konkurencję – handlarzy z Aby i Onitszy, którzy sprowadzali peruki z Korei i sprzedawali je o wiele taniej niż oni. Wspólnicy postanowili większą część pozostałego kapitału zainwestować w kremy rozjaśniające cerę.

Ponieważ mężczyźni w Lagosie uwielbiali kobiety o jaśniejszej karnacji, musiał to być strzał w dziesiątkę. Ale kiedy dotarła do nich dostawa yellow skin toning lotionu – artykułu, którego producent obiecywał „widocznie jaśniejszą cerę w czternaście dni lub zwrot pieniędzy” – połowa słoiczków była potłuczona, a druga połowa umazana w kremie. Wyczyszczenie opakowań zajęło im pięć dni i kosztowało trzy tysiące nair. Partner Titusa potraktował to jako ostrzeżenie, że jeśli pozostaną razem, czeka ich więcej nieszczęść, dlatego pogodził się ze stratą i postanowił wycofać się z interesu. Ale Titus się nie zrażał, bo był przekonany, że odniesie sukces. Tego nauczył go dawny mistrz: „Nigdy się nie poddawaj, jeśli serce i rozum podpowiadają ci, że masz rację. Ludzie mogą cię zawieść, ale twoje serce i rozum nigdy. Zadbaj o to, by były twoimi najlepszymi przyjaciółmi”.

Titus był przekonany, że może zbić majątek, jeśli skoncentruje się na kobietach; tok myślenia przyjęty przez niego i wspólnika był słuszny, dobrze zrobili, że skupili się na produktach dla kobiet. Uważał, że jego partner jest głupi, skoro wycofał się z interesu chwilę przed natrafieniem na żyłę złota. Musiał tylko znaleźć coś, co będzie pieścić kobiecą próżność na tyle skutecznie, by uczynić go bogatym. W czasie, kiedy wymyślał kolejne nietrafione pomysły na biznes, jego żona cierpliwie czekała i liczyła każdy grosz. Wieczorem masowała jego napięte mięśnie i mówiła: „Będzie dobrze. Na pewno będzie dobrze, nie martw się. Już ty się o to nie martw”. Całkiem przypadkiem, leżąc w łóżku, odkrył niszę na rynku ludzkich włosów. Powiedział, że miał sen, rodzaj wizji. Tubalny głos rodem z Biblii kazał mu udać się do Indii i sprowadzić stamtąd najdelikatniejsze włosy, jakie kiedykolwiek widział Lagos. Nawet jego żona nie wiedziała, czy to prawda, czy wizja nie była zmyśloną historią. W każdym razie Titus wyruszył do Indii. Po jedenastu tygodniach wrócił wycieńczony i stęskniony za prawdziwym jedzeniem. Tuż za nim płynął kontener pełen doczepianych włosów. „Sami wiecie, co się działo dalej” – tymi słowami żona zawsze kończyła ich historię „od nędzy do pieniędzy”. Była przy nim, gdy kupił pierwszy

samochód. Towarzyszyła mu, gdy zatrudnił architekta, który miał zaprojektować ich dom; powiedziała, ile chce mieć pokoi i gdzie ma być kuchnia. Stała przy nim, gdy wylewano fundamenty pod ich nowe lokum. A kiedy wreszcie dom był gotowy, sama zajęła się zakupem mebli i zasłon. Nie, nie pozwoli, by inna kobieta zbierała owoce jej cierpliwości. Nikt nie będzie korzystał z pieniędzy zarobionych przez Titusa, na które tak cierpliwie czekała. Miała do nich prawo. To był majątek, który kiedyś przejmą jej dzieci, to ich broniła, przepełniona strachem. Mógł mieć kochanki – pszczoły zawsze lecą do miodu, ale te pszczoły musiały zostać w swoim ulu i trzymać larwy przy sobie. Słoik z miodem był jej własnością i zamierzała go ścisnąć w dłoniach z całych sił i tulić do piersi.

Titus nie przeszkadzał żonie, gdy wypędzała z domu jego dzieci z nieprawego łóżka. Był wdzięczny, że trwała przy nim, gdy nie miał nic, gdy popadł w nędzę, od której mógł uciec tylko w marzeniach. Wiele kobiet odeszłoby z błahszego powodu. Ponadto doceniał to, że nie wypytuje go, gdzie i u kogo był. Który mężczyzna chce wracać do domu, w którym czeka na niego wiecznie gderająca żona? Akceptowała go ze wszystkimi słabościami, a on był na tyle mądry, by to doceniać.

Kiedy więc kolejne matki pukały do ich drzwi z dojrzałymi owocami jego romansów, pozwalał, by jego żona wszystkim się zajęła. Dał jej takie prawo. I nawet jeśli jego myśli krążyły czasem wokół dzieci, z którymi miał się nigdy nie spotkać, nie dawał tego po sobie poznać.

Efe pomyślała, że powinna znienawidzić swoje dziecko. W końcu nie prosiła się o nie. Syn przykuł ją do domu i był namacalnym dowodem, że ona jest „towarem uszkodzonym”. Wydawało się mało prawdopodobne, by wyszła kiedyś za mąż za bogatego mężczyznę i uciekła z tego piekła, w którym przyszło jej żyć. Jaki facet chciałby się ożenić z kobietą z dzieckiem? Jeśli nie chce cię mężczyzna, który spłodził ci dziecko, szansa, że ktoś inny cię zechce, jest niewielka. Matka byłaby zawiedziona, przecież zawsze powtarzała, że Efe wyrośnie na dobrą żonę. „Jesteś

urodzoną żoną” – mówiła córce, która codziennie wcześniej wstawiała, by pomóc jej przy śniadaniu. „Niektóre kobiety idą do ślubu na wpół przygotowane. Trzeba je jeszcze oszlifować. Ale ty jesteś idealna. Jesteś gotowa do małżeństwa!”. Cóż, teraz mogła o tym zapomnieć. Nigdy nie będzie perfekcyjną żoną, na co tak bardzo liczyła jej matka. Nie była już dziewicą. Nie mogła cofnąć ciąży. Była naznaczona.

Na początku Efe miała lepsze i gorsze dni. W gorsze budziła się z ponurą pustką w sercu, która nie chciała zniknąć bez względu na to, jak jasno świeciło słońce. W te dni niemowlę kwiliło bez przerwy, a ona żałowała, że poznała Titusa. W jej głowie pojawiała się natrętna myśl, że powinna znienawidzić ich dziecko. W dobre dni niemowlę gruchało i uśmiechało się, i wtedy świat był dobry. Z upływem tygodni te lepsze momenty zaczęły przeważać nad gorszymi. Szybko zdała sobie sprawę, że choćby się bardzo starała, nie potrafi go znienawidzić. Zapomniała o bólu porodowym. Zapomniała, że nie planowała przyjścia dziecka na świat. Zapomniała o poniżeniu w domu Titusa. Wymyślała nowe wspomnienia, które nie miały nic wspólnego z okresem przed narodzinami chłopca. Kiedy płakał, biegła go utulić. „Nie płacz, moje dziecko, nie płacz. Mamusia jest przy tobie” – powtarzała, aż się uspokoił. Pozwalała, by ją obśliniał, czekała w napięciu na wyrznięcie się jego pierwszego ząbka. Ponieważ cierpiał, trzymała go za rączki i mówiła do niego, aż zabrakło jej słów i milkła, modląc się, by gorączka opadła. Płakała, kiedy jej pokarm stał się wodnisty i nie mogła karmić piersią swojego sześciomiesięcznego synka. Kochała go i sama była zdziwiona siłą tej miłości. Wydawało jej się, że teraz rozumie, dlatego kobiety chcą mieć więcej dzieci. Szybko zapomina się o bólu porodowym. Cieszyła się, że dziecko, które urodziła, ma mocne ciało, i często podnosiła je do góry, by przekonać się, że naprawdę istnieje. Że nie poszło z dymem.

Chociaż Titus odmówił pomocy, Efe postanowiła dać synowi takie życie, jakie dla niego wymarzyła, gdy myślała, że będzie mogła liczyć na pomoc Titusa. Każdego ranka przed wyjściem do

biura, gdzie sprzątała, szeptała do ucha swojego synka coś, co tylko on mógł usłyszeć: „Obiecuję ci, że cię stąd zabiorę. Nieważne, w jaki sposób”. Nigdy nie mówiła bardziej serio.

Wszyscy nazywali niemowlę L.I., ponieważ jego dziadek w którymś z trzeźwych momentów ogłosił, że właśnie pod tym imieniem chłopiec będzie szedł przez życie.

– Całe to zawracanie głowy z dwoma imionami sprawia tylko kłopot. Jeśli nadajesz dziecku imię, na którym łamiesz sobie język, sprowadzasz na siebie gniew bogów.

Ani Efe, ani Rita nie wiedziały, co miał na myśli, ale nigdy więcej nie nazwały chłopca Lucky Ikponwosa. To był drugi i ostatni raz, kiedy ojciec Efe wykazał zainteresowanie pulchnym bobasem płaczącym przez całą noc. Po raz pierwszy zainteresował się noworodkiem tuż po tym, gdy Efe wróciła z nim ze szpitala. Ojciec burknął, że gdyby żyła ich matka, nie byłoby mowy, żeby w ich domu pojawił się bękart, i że nie da na niego złamanego grosza.

– Nie mogę wychować i swoich dzieci, i dzieci innego mężczyzny, słyszysz? Istnieją granice prób, na które można wystawić człowieka na tym świecie.

L.I. rósł, a Efe pracowała na jego utrzymanie. Najpierw jako sprzątaczką w jednym biurze, potem w dwóch. Wychodziła wcześniej, zanim syn się obudził, a gdy wracała do domu, był zmęczony zabawą i gotów zakończyć swój dzień. Za krótko go widywała i to ją bolało, dlatego zaczęła się modlić. Modliła się o dłuższe godziny w ciągu dnia. Modliła się też o więcej pracy, by mogła szybko coś odłożyć, na tyle szybko, by wziąć urlop. Tylko ta druga modlitwa została wysłuchana.

Któregoś dnia, gdy wracała z pracy do domu *okada*⁵¹ z rękoma oplecionymi wokół pasa kierowcy motorynki, który jadąc zygzakiem, torował sobie drogę na zapelnionych ulicach Lagosu, zobaczyła informację o tym, że biuro przy Randle Avenue poszukuje sprzątaczek. Randle Avenue znajdowała się niedaleko jej drugiego miejsca pracy, dlatego Efe była przekonana, że pogodzi trzy etaty. Trzy posady oznaczały więcej pieniędzy, więcej

dotatków, a to oznaczało lepsze życie dla L.I. A lepsze życie dla L.I. było równoznaczne z lepszym życiem dla niej.

Ublała kierowcę, by najpierw zawiózł ją na Randle Avenue. Jeśli się pospieszy, może uda jej się dotrzeć do biura Dele & Sons Limited: Import-Export Specialists przed zamknięciem, przed wpół do siódmej. Brodaty mężczyzna w bandanie kierujący motorynką powiedział, że w takim razie będzie musiała dopłacić. „Po prostu zawieź mnie tam jak najszybciej” – powiedziała Efe kierowcy. Ten poprosił, by objęła go nisko w pasie, ponieważ musi włączyć „manewry Jamesa Bonda”, by dotrzeć na czas tam, gdzie chciała. Złapała go mniej więcej na wysokości pępka, ale powinna była jeszcze niżej, i miała się go mocno trzymać, jeśli nie chciała spaść z motorynki. Efe myślała o trzeciej pracy, nie sprzeciwiła się więc i zrobiła tak, jak powiedział kierowca. Mocno się go trzymała, chroniła twarz przed wiatrem, przyciskając głowę do jego pleców, i starała się utrzymać na siedzeniu, gdy lawirował między pojazdami, omijał dziury i o mało nie przejechał ulicznego sprzedawcy chleba.

Ucieszyła się, gdy w jednym kawałku, z nieznacznie tylko trzęsącymi się nogami, dotarła na Randle Avenue. Jazda na złamanie karku bez zwracania uwagi na innych użytkowników dróg, w szczególności pieszych, to było właśnie to, co miał na myśli mężczyzna, mówiąc o „manewrach Jamesa Bonda”. W trakcie jazdy Efe parę razy myślała, że spadnie lub skończy jako kupka kości i mięsa pod kołami ciężarówki pełnej skrzynek z napojem gazowanym. Nie wiedziała, która perspektywa była gorsza, która z nich gwarantowała spokojniejszą śmierć. W pewnym momencie błagała kierowcę: „Spokojnie, spokojnie, *oga*. Nie tak szybko, proszę”, ale albo jej słowa zginęły w kakofonii klaksonów i nawoływań sprzedawców ulicznych i ludzi, którzy wyzywali ich przez otwarte okna, albo zostały zignorowane. Tak czy siak mężczyzna jechał jak szalony, aż dotarli na miejsce.

– Czy mam na ciebie poczekać? – zapytał Efe, nie wyłączając silnika. Jedną stopę oparł na ziemi, drugą trzymał na pedale.

Miała go trochę dość, ponadto nie wiedziała, ile jej zejdzie, a cena *okady* rosła, gdy kierowca musiał czekać na pasażera, kazała mu więc odjechać. Nim weszła do budynku, odmówiła szybką modlitwę.

Biuro było jeszcze otwarte i Efe od razu odbyła rozmowę z mężczyzną trzy razy większym od Titusa, jej nowym pracodawcą, który mimo „& Sons” w nazwie firmy zdawał się jedynym jej pracownikiem.

– Umiesz posługiwać się odkurzaczem? – zapytał, ciężko dysząc.

– Tak, proszę pana – odpowiedziała Efe. Tej samej odpowiedzi udzieliła na kolejne pytania zadawane świszczącym głosem: Czy możesz przychodzić w każdy czwartek? Czy możesz być tutaj przed siódmą rano? Czy mieszkasz w okolicy? Czy jesteś pracowita? Gdyby ją zapytał, czy umie latać, równie entuzjastycznie jak przy innych pytaniach odpowiedziałaby: „Tak, proszę pana! Oczywiście, że umiem latać”.

Dele okazał się najhojniejszym z jej trzech szefów: dawał jej okazałe bonusy na święta i dodatkowe pieniądze, gdy wyrwało jej się, że L.I. jest chory, a lekarstwa drogie.

– Taka piękna kobieta jak ty nie może mieć problemów. Ty musisz błyszczeć. Błyszczcieć jak oliwa. Jak... jak oliwka dla dzieci – odpowiedział na jej: „Pan jest bardzo miły, *sah*, dziękuję, *sah*”.

Często ją komplementował i zauważał jej nowe fryzury, nowe ubrania, a nawet zmęczenie. Powiedziała mu, że ma dziewięćmiesięcznego synka, a on zawołał, że nie wygląda na matkę, że jest jedną z tych szczęśliwych kobiet, które mają brzuch jak gumowa opona: żeby nie wiadomo jak mocno go rozciągnąć, znów przybiera swój pierwotny kształt. Ostrożnie zapytał, czy ma męża. Albo chłopaka, kogoś, kto czeka na nią w domu.

– Nie. Ojciec mojego syna nie chce go widzieć. My jego także. – Odsunęła od siebie myśli o Titusie wraz ze wszystkimi roszczeniami, które mógłby mieć w przyszłości wobec chłopca, jeśli się nim zainteresuje. Uznała, że podoba się Delemu, i uśmiechnęła się kokieteryjnie, gdy ją skomplementował. – Nie

mam nikogo – dodała ze spuszczoną głową i wzrokiem skierowanym w dół. Miała nadzieję, że dała wystarczająco jasno do zrozumienia, że jest wolna, ale nie rozwiązała, że jest typem dziewczyny, z którą może mieć romans, ale którą jednocześnie powinien traktować z szacunkiem. Jeśli odpowiednio to rozegra, być może się z nią ożeni. Z pieniędzy, które odkładała, gdy była jeszcze z Titusem, nic nie zostało, a to, co zarabiała, wystarczało jedynie na najpotrzebniejsze rzeczy dla L.I. Nie chciała zniżyć się do poziomu dziewczyn, które dla pieniędzy szły z każdym facetem. Dziewczyn – znała ich wiele – które dla paru groszy zadawały się z cieślami i mechanikami samochodowymi. Może i ma nieślubne dziecko, ale to nie oznacza, że jest łatwa. Wciąż może wybierać, a Dele wydawał się mężczyzną, który swojej przyjaciółce dawałby hojne dodatki, który dałby L.I. wszystko to, czego Efe dla niego pragnęła – i wiele więcej. Mężczyzną, który zadbałby o to, aby jej życie nie było więcej zdominowane przez oszczędzanie, sprzątanie i zmęczenie.

Ale bez względu na to, jak bardzo się starała, Dele nigdy się z nią nie umówił i musiało upłynąć jeszcze siedem miesięcy – kiedy zaczęła narzekać, że nie może znaleźć dobrego żlobka dla L.I., a zależy jej, żeby jej siostra mogła wrócić do szkoły – zanim Dele zapytał ją, czy nie chce wyjechać za granicę.

– Belgia. Państwo w Europie. Niedaleko Londynu. – Przedstawił to tak, jakby z Belgii można było udać się spacerkiem do Londynu. Od jednych drzwi do drugich.

Gdyby nie zaczął mówić poważnie o zapłacie, o planie spłaty zadłużenia, o wspólnym mieszkaniu z innymi Nigeryjkami (o które dbał jego kolega), uznałaby, że zadał to pytanie dla żartu, że podsunął jej ten pomysł tak, jak sadysta próbuje skusić głodne dziecko jedzeniem, które trzyma poza jego zasięgiem, ale wystarczająco blisko, by je widziało i czuło jego zapach.

– Czy nie chciałabym wyjechać za granicę, panie Dele? To tak, jakby zapytać dziecko, czy ma ochotę na cukierka.

Kto by nie chciał wyjechać za granicę! Ludzie rodzili się z tym marzeniem i wielu umierało, podejmując próbę jego

spełnienia. Czy to nie jakiś tydzień temu kierowca *okady* opowiedział jej o Nigeryjczyku, który zmarł na lotnisku w obcym kraju o niewymawialnej nazwie, bo w jego żołądku pękły połknięte woreczki z kokainą? „*Sister*, mówili, że ten człowiek cały spuchł i zaraz potem padł trupem!” – opowiadał kierowca motocykla, pokazując jednocześnie, jak bardzo spuchła głowa mężczyzny, aż Efe musiała go poprosić, by trzymał ręce na kierownicy, bo sama ma nadzieję na długie życie. „Jeśli jesteś zmęczony życiem, zakończ je w pojedynkę. Nie mieszaj w to niewinnych ludzi, *abeg*⁵²” – powiedziała przerażona.

Ludzie wiedzieli o ryzyku i podejmowali je, ponieważ uważali, że gra jest warta świeczki. Jak to szło w tej piosence? *Nigeria jaga jaga. Everythin' scatter scatter*⁵³. Nikt nie chciał tu zostać, chyba że miał forsę jak lodu, by przeżyć w tym kraju, tak jak Titus i Dele.

Zgodziła się na warunki Delego, jeszcze zanim zapytała, co dokładnie będzie robić za granicą.

– Sprzątać?

Dele roześmiał się i powiedział:

– Nie, nie. Będziesz pracować w handlu.

Po sposobie, w jaki ją otaksował, w jaki jego oczy przesunęły się po jej twarzy, piersiach i łydkach odsłoniętych przez spódnicę do kolan, od razu domyśliła się, o jaki rodzaj „handlu” chodzi. Będzie towarem eksportowym Dele & Sons Limited. L.I. będzie miał lepsze życie. Pójdzie do lepszych szkół, zostanie grubą rybą i zaopiekuje się nią, gdy będzie stara i zmęczona. L.I. był wystarczająco cenną inwestycją, by Efe zgodziła się na propozycję Delego i chociaż decyzja o opuszczeniu syna będzie najtrudniejsza w jej życiu, zrobi to dla niego.

Kiedy tego wieczoru wróciła do domu, Rita leżała już w łóżku, ale jeszcze nie spała. Efe zawołała ją do kuchni.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczęła, przysuwając sobie stołek kuchenny. Jej kolacja stała w garnku na stole. Nie zwróciła na nią uwagi. Za chwilę będzie miała dużo czasu, by zjeść. Sprzątanie trzech biur zawsze odczuwała w nogach. Z ulgą usiadła

plecami do kuchenki gazowej. Rita stała we framudze drzwi.

– Rito – podjęła tonem wycofanym i ciepłym jednocześnie, tym samym, którym będzie potem pytała o L.I., dzwoniąc do domu. – Wyjeżdżam. – Przerwała i znów zaczęła mówić, wolno, zastanawiając się, jakby szukała zagubionych słów i bała się, że powie coś nieodpowiedniego. – Wyjeżdżam za granicę. – Słowo to wyczarowało uśmiech na jej twarzy, jej wargi rozwarły się szeroko, a w ustach pojawił się słodki smak, smak dojrzałego banana. – Jadę do Europy. Do Belgii. – Jeszcze zanim Rita zdążyła zadać jakiegokolwiek pytanie, Efe mówiła dalej: – Blisko Londynu. Drzwi w drzwi. – Powtórzyła słowa Delego i oczami wyobraźni zobaczyła dwoje sąsiadujących ze sobą dużych drzwi, jedno z napisem BELGIA, drugie z napisem LONDYN. Skoro Belgia leży blisko Londynu, musi też go przypominać. Wszyscy znają Londyn. Każdy bawił się w zakurzonej ogródku przed domem, śpiewając dziecięce rymowanki i klaszcząc w dłonie:

London Bridge is falling down

Falling down

Falling down

London Bridge is falling down

My fair laaaaaaadyyyyyyy⁵⁴.

Pussy cat, pussy cat

Where have you been?

*I have been to London to see the Queen*⁵⁵.

– Pewien mężczyzna obiecał mi pracę w Belgii. – Dźwięk nazwy kraju miał w sobie coś podniecającego. Belgia. *Belgium. Bell. Jyum.* Coś, co wyraźnie brzmiało jak „witamy”. – Mój szef, oga Dele, ten sympatyczny, no wiesz, ten, co na Boże Narodzenie dał mi pięćset nair ekstra, załatwił mi pracę w Belgii. – Jej głos na chwilę osłabł, ale ciągnęła: – Mówi, że kobieta może tam w łatwy sposób zarobić. Tam kochają czarne kobiety. – Znow przerwa. Nie patrzyła na Ritę. – Mówi, że zanim się zorientuję, w ciągu roku tak się wzbogacę, że będę mogła kupić mercedesa!

Tak naprawdę Dele wcale tego nie powiedział, ale jadąc taksówką motorową do domu, Efe fantazjowała o bogactwie, które zgromadzi, i wyliczyła, że po roku pracy będzie mogła sobie pozwolić na mercedesa. A co się tyczyło „miłości do czarnych kobiet”, Dele powiedział jej, że czarne kobiety mają więzienie u białych mężczyzn, którzy są zmęczeni żonami i pragną trochę koloru, trochę pieprzku. Dobrze, nie powie tego młodszemu dzieciom, bo są zbyt małe, by to zrozumieć. Wciąż jeszcze żyją w świecie, który jest albo czarny, albo biały. Powie im, że wyjeżdża za granicę, by pracować jako pomoc kuchenna u bogatej rodziny. Dobrze tam zarobi i będzie mogła posłać je do szkoły. Dzieci będą zresztą bardzo długo w to wierzyć. Wszystkim, którzy zechcą o tym słuchać, powiedzą, że ich siostra pracuje w Londynie – bo nikt tu nigdy nie słyszał o Belgii – i że jest tam sprzątaczką, że zarabia dla nich góry pieniędzy.

Ojcu powie po prostu, że na kilka lat wyjeżdża za granicę. Nie mogła mu przecież powiedzieć prawdy, nawet gdyby był innym ojcem, nawet gdyby był ojcem, który za wszelką cenę chciałby się dowiedzieć, w jaki sposób jego nastoletnia córka zdobędzie pieniądze, by wyjechać za granicę, z czego będzie tam żyła. Rita, sama prawie już kobieta u progu dorosłości, zrozumie.

Nie będzie jej oceniać. I jeśli komuś mogła powierzyć opiekę nad L.I., to właśnie jej. Chłopiec zawsze mógł na nią liczyć, od samego początku. Efe wiedziała, że ma rację, gdy Rita mocno ją do siebie przytuliła i szepnęła:

– Ojej, ja też bym chciała mieć mercedesa.

Ostatecznie w ciągu trzynastu lat, które Efe spędzi za granicą, pulchna Rita będzie tak dobrą matką dla L.I., że wszystkie jego wspomnienia o Efe zostaną wyparte przez wspomnienia o niej. To ona będzie sadzać go obok siebie podczas gotowania. Będzie go zabierać ze sobą na rynek. Kiedy dzieci z sąsiedztwa będą wyzywać go od bękartów, Rita będzie go pocieszać i mówić mu, że nie jest bękartem, ale dzieckiem zmarłego ojca. A gdy zapyta, jakim człowiekiem był jego ojciec, Rita opowie mu o bogatym, silnym mężczyźnie, wartym o wiele więcej niż ojcowie chłopców, którzy śmiali się z niego i nazywali go bękartem niezamężnej kobiety. To Rita mu wyjaśni, że jego dziadek czasami wraca do domu zły i robi dużo hałasu, ponieważ krzyż, który musi nosić, jest dla niego zbyt ciężki; niech L.I. nie zwraca na niego uwagi. A kiedy pójdzie do szkoły i jego nauczyciele będą pytać o matkę, będzie tam chodziła sprawdzić, jak sobie radzi, czy dobrze się zachowuje. A jeśli zasłuży na burę, Rita upomni go: „Twoja matka ciężko pracuje, by opłacić twoje chesne. Czy myślisz, że to jest właściwy sposób, by jej za to podziękować?”. L.I. będzie mówił do Rity „mamusiu”. A kiedy znów zobaczy swoją matkę, na przepełnionym lotnisku w Lagosie, spojrzy na Ritę, by potwierdziła, że to naprawdę Efe, a nie ona, wydała go na świat. To właśnie Rita popchnie go w tym momencie, tego chłopaka stojącego u progu dorosłości, z czupryną ciemnych włosów natartych oliwą, i szepnie mu do ucha, że jego matka chce zobaczyć uśmiech lub inną oznakę, że ją rozpoznaje.

Efe opuściła samolot ostatnia. Leciła liniami Iberia przez Barcelonę. Dele powiedział jej, że kiedyś mogłaby lecieć liniami Sabena bezpośrednio do Brukseli, ale Sabena splajtowała. Teraz wszyscy latają Iberią, powiedział, bo tak jest taniej i można zabrać więcej bagażu. Air France należy unikać, poradził jej, jakby Efe

miała zamiar następnego dnia wrócić do domu. Air France jest bardzo skrupulatny, jeśli chodzi o wagę bagaży. „Nie można wziąć nawet kilograma więcej” – powiedział Dele. A KLM to linia lotnicza, którą należy wybrać, gdy wszystkie loty Iberii są zabukowane. „Oni pozwalają na dodatkowy bagaż”. Efe było to obojętne. Wszystkie ziemskie rzeczy, które chciała zabrać ze sobą, mieściły się w małej reklamówce i zostało jeszcze dużo miejsca na rozpacz z powodu opuszczenia L.I. Ale bagaż był najwyraźniej ważny dla Delego. W dzień wylotu dziewczyny przytargał dwie szare walizki firmy Samsonite wypełnione żywnością dla kobiety, która miała się opiekować Efe: były tam wędzona ryba i olej palmowy przelany do puszki, by go nie skonfiskowano. „Nie podoba im się, że wwozimy olej palmowy, ale tamtejszy olej palmowy jest beznadziejny. Ta pani tęskni za nigeryjskim jedzeniem. Ty też szybko za nim zatęsknisz”. Efe jednak była pewna, że tak się nie stanie.

Jedyny wartościowy bagaż, który miała przy sobie, tkwił w jej głowie: wspomnienie L.I. tulącego się do Rity i płaczącego, kiedy Efe mijała bramkę celną na lotnisku w Lagosie. Rita nie chciała zabierać go z sobą na lotnisko, wołała, by został w domu, ale Efe nalegała. Chciała mieć przy sobie syna tak długo, jak to możliwe. Chciała wdychać jego zapach świeżo po kąpieli. I do czasu, gdy musiała przekazać go Ricie, trzymała nos w jego włosach, gdzie zapach był najmocniejszy. Chciała zabrać ten zapach ze sobą i zatrzymać w łatwo dostępnym miejscu. Myślała, że nigdy go nie zapomni, ale po trzech tygodniach pobytu w Belgii życie zweryfikowało tę nadzieję; otoczona innymi zapachami, musiała mocno się wysilać, by przypomnieć sobie, jak pachniał L.I. W samolocie jednak, daleko od Antwerpii i klientów, Efe czuła ten zapach bardzo wyraźnie. Mając przed oczami swoje dziecko, szlochała rozdzierająco, przekonana, że nigdy więcej nie będzie musiała tak głośno płakać. Było jej ciężko, gdy straciła matkę, ale utrata syna, nawet tymczasowa, była gorsza. Miała nadzieję, że nigdy więcej nie będzie musiała płakać tak rozdzierająco, ale w swoim sześćdziesięcioośmioletnim życiu odkryje, że są rzeczy o

wiele gorsze niż pożegnanie z synem, którego miała nadzieję kiedyś znów zobaczyć.

Kiedy Efe opuściła samolot, czuła się starsza, niż była naprawdę. Bolały ją kolana i uszy. Lot okazał się mniej przyjemny, niż sądziła. Zawsze jej się wydawało, że siedząc w samolocie, unosząc się wysoko nad ziemią Boga, będzie się czuła trochę tak, jakby leciała na własnych skrzydłach. Myślała, że ludzie w samolocie czują się wolni jak bogowie, którzy zawłaszczyli sobie niebo, ale doświadczenie nauczyło ją czegoś innego. Czuła się uwięziona w swoim fotelu przy okienku tak małym, że nie zasługiwało na to miano. Leciała nocą, i patrząc przez okno, widziała tylko światła pasa startowego, nic więcej. Powietrze w samolocie, używane powietrze, od którego robiło jej się niedobrze, było zimne i zwietrzałe. W ubikacji dopadła ją klaustrofobia, a w dodatku w przeciwieństwie do domu czy autobusu w samolocie nie było nikogo, z kim mogłaby pogawędzić. Mężczyzna siedzący obok niej najzwyczajniej w świecie przespał kolację składającą się z ziemniaków i sałaty. A jedzenie... *Na wahala!*⁵⁶ Może biali ludzie są dobrzy w wielu rzeczach, ale to, jak gotują, pozostawia wiele do życzenia. Zero pieprzu. Zero soli. Zero oleju. Jak oni mogą nazywać to jedzeniem? To jakby jeść papier ścierny, myślała, nakładając purée ziemniaczane plastikowymi sztućcami.

Do hali bagażowej, gdzie miała odebrać walizki Samsonite, był kawał drogi, ale podłogi lśniły, powietrze było czystsze, więc podskakiwała, podskakiwała i podskakiwała. W międzyczasie rejestrowała pierwsze obrazy nowego świata. Belgia. *Bell. Jyum.* Obok Londynu. „Witamy” dzwoniące jak dzwoneczek.

W dniu wyjazdu Sisi w Lagosie padał deszcz. Nie był to najlepszy dzień na podróż (*Rain, rain, go away, come again another day!* – śpiewała matka z trójką małych dzieci, gdy czekali na wejście do samolotu), ale Sisi deszcz w ogóle nie przeszkadzał. Stała przed szklanymi drzwiami i widziała, jak deszcz pokrywa pas startowy delikatnym blaskiem niczym nimbem światłości przeznaczonym wyłącznie dla niej, przypominającym o wizji, która utwierdzała ją w przekonaniu, że podjęła słuszną decyzję. Jedyną, jaką *mogła* podjąć. Była w drodze do przepowiedni, w którą znów uwierzyła z całkowitym i niepodważalnym przekonaniem, tak innym od boleśnie nadszarpniętej wiary ojca. Bo gdyby została, gdyby pozwoliła tej szansie wymknąć się z rąk, zachęciłaby życie, by zakpiło sobie z jej marzeń w taki sam sposób, w jaki zakpiło z marzeń rodziców.

Weźmy ojca. Będąc urzędnikiem w Ministerstwie Prac Publicznych, marzył, że kiedyś kupi używanego peugeota 504, ale oprócz jednej podwyżki, w pierwszym roku pracy, jego pensja pozostała taka sama, chociaż ceny szły w górę. Nigdy nie będzie go stać na auto. Tym bardziej teraz, kiedy prezydent Obasanjo zakazał importu samochodów starszych niż pięcioletnie tuż po tym, jak jego żona zabroniła sprowadzania pewnego rodzaju koronek, które chciała mieć na wyłączność. („*That president sef!* Podczas gdy ludzie mordują się nawzajem w bezsensownych rebeliach, on zakazuje importu bez mała wszystkiego. Pasty do zębów, chlorochiny, mydła, proszków do prania, kopert. Jakim cudem będzie mnie kiedykolwiek stać na kupno auta? Myśleliśmy, że za Abachy było ciężko. Ale to jest jeszcze gorsze! Dyktatura wojskowa przynajmniej nie chowała się za fasadą demokracji. To jest gorsze”). Nigdy nie kupi auta. Nigdy nie kupi porządnego domu. Nigdy nie będzie zarabiał tyle, by spełnić swoje marzenia. Ta sytuacja przygniatała go, przez co miał zaokrąglone plecy i

wyglądał na więcej niż swoje czterdzieści lat; poruszał się jak mężczyzna po osiemdziesiątce, szurając nogami, z pochyloną głową, jakby nieustannie szukał plamy na ziemi, która odmieniłaby jego los lub powiększyłaby się na tyle, by go pochłonąć w całości. Rozmawiając, nie patrzył ludziom w oczy, podnosił tylko nieznacznie głowę, przez co często musieli go prosić, żeby powtórzył, co właśnie powiedział.

Jej matka z kolei marzyła o własnym domu w Ikei, na przedmieściach Lagosu, na które zwróciła uwagę już podczas pierwszej wizyty w stolicy. Według jej świeżo poślubionego małżonka Lagos był miastem o wieżach sięgających nieba. Z zuchwałością młodej mężatki krzyknęła: „Jak to? Przecież domy nie mogą być tak wysokie! Nie wierzę!”. Okazało się jednak, że to prawda. Przesiadając się z jednego autobusu *danfo*⁵⁷ do drugiego, jeździli po mieście i jej świeżo poślubiony mąż pokazywał jej Lagos, by z zachwytem mogła gapić się na drapacze chmur. To, że mówił prawdę o tych wieżowcach, wzmocniło jej zaufanie i utwierdziło w przekonaniu, że dotrzyma obietnicy i kiedyś kupi jej lepszy dom w Ikei. W głowie miała dokładny obraz domu, który kiedyś będzie do niej należał: bliźniak otoczony gazonem z ogromnym garażem. Z tyłu będzie dwupokojowy domek dla służby. Marzyła, by ktoś uwolnił ją z bloku w Ogbie, gdzie ledwie wiązała koniec z końcem, wciśnięta między Mamę Iyabo z podwójnym podbródkiem i sześcioosobowym przychówkiem po lewej i pobożnym młodym małżeństwem ubierającym się na biało po prawej. Od dnia, w którym Godwin się z nią ożenił i zabrał ją z rodzinnej wsi, Oby, do Lagosu, pielęgnowała w sobie marzenia o własnej łazience, własnej kuchni, własnej toalecie i trzech sypialniach. Obiecał jej, że mieszkanie jest tymczasowym rozwiązaniem, dopóki nie dostanie awansu. „Zadbam o to, byś miała własny dom. W tym mieszkaniu nie możemy założyć rodziny, nie możemy wychować dzieci. Potrzebujemy dużego domu z osobnymi pokojami dla każdego dziecka. Nie, nie będziemy tutaj wychowywać naszych dzieci”.

Ale rok później na świecie pojawiła się ich córka i

dwadzieścia cztery lata później wciąż tam mieszkali, a dziewczyna musiała spać w salonie. Przez lata mama Chisom pielęgnowała marzenia, karmiła je, pocieszała się nimi w te dni, gdy w jej oczach bez powodu pojawiały się łzy, ale w końcu zobaczyła, jak jej marzenia rozplývają się i z lekkością opadają na betonową podłogę mieszkania. „Zero wakacji, zero awansu” – powtarzała mężowi, śmiejąc się z marzeń, które kiedyś miała. Gdy teraz się śmiała, jej śmiech brzmiał tak, jakby wyszarpywał się z głębi gardła, a nie z brzucha, skąd normalnie powinien się wydobywać. Co do dzieci, to po Chisom żadne nie chciało się już zagnieździć w jej łonie, jakby było w niej coś, co je odstraszało; co miesiąc cierpiała z powodu bólu menstruacyjnego. „Może to i lepiej” – mówiła, gdy mąż nie słyszał. Bardzo przeżywał, że nie ma syna, a gdy się kłócili, zawsze powtarzał, że każdy mężczyzna ma prawo doczekać się syna, jakby winił ją za to, że go nie ma. W dni, kiedy był zły, mówił, że gdyby było go na to stać, znalazłby sobie drugą żonę, kobietę, której macica jest bardziej gościnnie dla chłopców. Gdyby miał synów, jego życie być może wyglądałoby zupełnie inaczej.

Uspokajał się tylko wtedy, gdy matka Chisom przypominała o Przepowiedni. „Nie zapominaj o Przepowiedni!” – mówiła mu. W dwa tysiące piątym roku nawet to nie wystarczało, by złagodzić jego napady złości. Przestał ufać Przepowiedni. Czas wystawił jego wiarę na zbyt ciężką próbę.

Wspomnienie gardłowego śmiechu matki i złości ojca na niesprawiedliwość życiową będzie towarzyszyć Sisi w te dni, kiedy szła na spacer, a współlokatorki zastanawiały się, dokąd chodzi i dlaczego żadna z nich nie może do niej dołączyć. A gdy po raz pierwszy dostąpi objawienia, pomyśli o rodzicach. Ich marzenia były mocno związane z jej marzeniami, nie dało się ich rozdzielić.

Zwartzustersstraat

Żadna z kobiet nie potrafi powiedzieć, jak długo już tak siedzą, przytulone do siebie na sofie, szukające ciepła swoich ciał i słuchające opowieści Efe, która pochłania ciszę. Dotykając się ramionami, prawie zapomniały o wcześniejszej sprzeczce. Joyce ściska w garści ścierkę do kurzu.

Efe mówi, że bardzo chciałaby zobaczyć L.I. Mówi, że gdy rozmawia z nim przez telefon, czuje, jakby rozmawiała z kimś obcym, i że to ją denerwuje.

– Jest uprzejmy, trzeba przyznać, ale zawsze mam wrażenie, że chce się rozłączyć, że wolałby być gdzie indziej. – Mówi, że boi się, że L.I. nie uważa jej za swoją matkę, chociaż Rita powiedziała jej kiedyś przez telefon, że kiedy idzie do szkoły, zawsze ma przy sobie jej zdjęcie w śniegowcach, które wysłała do domu podczas pierwszej zimy w Belgii. – Ale na tym zdjęciu jestem cała okutana; nawet nie widać mojej twarzy. Widać tylko śnieg – skarży się kobietom. – Może trzyma to zdjęcie tylko ze względu na śnieg. – Śmieje się, a jej śmiech brzmi jak zacinający się silnik samochodu, który zapala, by po chwili zgasnąć.

Joyce mówi, że nigdy by się nie spodziewała, że Efe ma dziecko.

– Cóż, a jednak to prawda – odpowiada Efe. Otwiera portfel i wyciąga z niego poplamione zdjęcie legitymacyjne chłopca, którego jedną połowę twarzy zakrywa daszek. – Jestem jego matką – mówi, podając zdjęcie Joyce.

Joyce zauważa, że jest bardzo przystojny. Efe uśmiecha się, wdzięczna za komplement. Odbiera zdjęcie od Joyce i podaje Amie.

– Dziecko to poważna sprawa. Bardzo poważna. Na Boga, dlaczego urodziłaś to dziecko, skoro ani ty, ani jego ojciec go nie chcieliście? – pyta Ama. – Dlaczego spieprzyłaś mu życie?

– Nie chciałam spieprzyć niczyjego życia, Amo! –

odpowiada Efe. – Sama byłam jeszcze dzieckiem. Ale mogę ci powiedzieć, że nigdy, ani przez chwilę, nie żałowałam, że zdecydowałam się urodzić L.I. Dzięki niemu moje życie ma jakiś sens. – Szybko chowa zdjęcie do portfela.

– Pfff, ładny mi sens...!

– Dziewczyny, proszę was! – Joyce, nerwowo skubiąc ścierkę do kurzu, próbuje zapobiec nadciągającej kłótni.

– Odwalcie się wszystkie ode mnie! – mówi Ama i zapala kolejnego papierosa. Wstaje i chodzi w tę i w tę po pokoju; czubek jej papierosa świeci trującą czerwienią.

Efe głośno wzdycha.

I Ama głośno wzdycha.

I Joyce głośno wzdycha.

A potem jest cicho.

Ama się zaciąga. Wydmuchuje dym. Czerwień papierosa jest mniej trująca. Kobieta się zatrzymuje.

– Naprawdę nie żałujesz, że masz syna?

– Nie. Nigdy tego nie żałowałam. Wszystko, co robię, robię dla niego. – Miłość w głosie Efe jest niemal namacalna; prawie ją widzą w pokoju: delikatna, rozświetlona miłość ze skrzydłami i twarzą cherubinka.

Zazdrość Amy jest tak ogromna, że brakuje jej tchu. Pociera kciukiem krzyżyk. Ten to ma szczęście, mówi; zapala kolejnego papierosa i mocno zaciąga się dymem. Efe i Joyce patrzą na nią. Jej oczy są zamknięte i gdy wyjmuje z ust papierosa, wypuszcza wątle kółko dymu, które płynie przez pokój. Nikt się nie odzywa. Cisza jest okropna, czas płynie wolno. Kobiety są głodne, ale nikt w takiej chwili nie wspomina o jedzeniu, chociaż pewnie jest już po dwunastej, a one nawet nie jadły śniadania. Nie zdążyły pójść do piekarni, zanim dowiedziały się, że Sisi została zamordowana. Ta wiadomość zepsuła im dzień, który według prognozy pogody miał być słoneczny i suchy. To nie był dzień na umieranie.

Nie, nie wypada mówić o jedzeniu, gdy powinny rozpaczać. Rozpacz powinna przepędzić głód, musi być ważniejsza od jedzenia. Nie wypada, żeby któraś z nich poszła do kuchni i coś

przyrządziła. Nawet Madam to rozumiała: zanim wyszła – z papierosem tkwiącym mocno między palcami, wetkniętym tak, jakby chciała złamać go na pół – nie zawracała sobie głowy proszeniem którejs z nich o ugotowanie obiadu. Na spodeczku na środku pokoju wciąż tli się zapalone przez nią kadzidło; unoszą się z niego cienkie smużki dymu.

– W domu w Nigerii – myśli Efe i mówi to na głos – odwiedziliby nas sąsiedzi, by wspólnie rozpaczać. Tam nikt nie płacze w samotności!

Tutaj ich rozpacz musi pozostać w pokoju. Nawet jeśli nie potrafią sobie z nią poradzić, nie mogą pozwolić, by od pęczniejącej rozpacz popękały ściany. Efe przypomina sobie śmierć matki. Sąsiedzi przyszli do nich, by wspólnie przeżywać żałobę. Siostra matki mieszkała u nich przez dwa tygodnie i pomagała w gotowaniu i sprzątanii. Kiedy wróciła do Warri, gdzie mieszkała, jej obowiązki przejęli sąsiedzi. Na zmianę gotowali i troszczyli się o rodzinę, pomagali nawet w praniu i robieniu zakupów do czasu, gdy przez pijaństwo ojciec stał się nieprzyjemny i niewdzięczny za ich pomoc, która zaczęła mu przeszkadzać. Czasami krzyczał na sąsiadów, że nie potrzebuje ich współczucia i że jego żona była trzy razy tyle warta co oni wszyscy razem wzięci. Wrzeszczał, że mają się wynosić: „Zostawcie moją rodzinę w spokoju. Wynoście się z mojego domu. Nie chcę was widzieć przy moich dzieciach. Wiedźmy!”

Ale kobiety udawały, że go nie słyszą. „Biedny człowiek, nie może pogodzić się ze śmiercią żony – mówiły. „Jej śmierć go załamała. Nie jest już tym samym mężczyzną. Biedny tata Efe...”

Ignorowały go i nadal przynosiły jedzenie i oferowały swoje towarzystwo, z wdzięcznością przyjmowane przez dzieci, które zostały z coraz więcej pijącym ojcem. Efe mówi kobietom, że któregoś razu ojciec rozbił o ścianę salaterkę z daniem z ryżu i kurczaka, przyniesioną przez którąś z sąsiadek, że potem śmiał się jak stuknięta hiena – kaw, kaw, kaw. Kobieta zebrała potłuczoną salaterkę – która grzecznie, jakby umyślnie rozpadła się na dwie części – mamrocząc, że nawet śmierć żony nie daje mężowi prawa

do wypominania sąsiadom ich życzliwości. Salaterka, droga porcelanowa misa ze srebrną obwódką, była jednym z ulubionych naczyń sąsiadki. „Zapytaj Tejuosho’a, ile kosztuje taka salaterka!” – wrzasnęła, przekrzykując maniakałny śmiech ojca Efe.

Dziewczynie przypadło w udziale zmycie sycącej potrawy: czerwone i zielone łyży toczyły się po kremowej ścianie. W daniu był szpinak. Zielony kolor zszedł z łatwością, ale czerwony został.

– I gdy wam to teraz opowiadam, nadal tam jest.

Po tym incydencie sąsiedzi przestali przychodzić.

– Ale to była wyłącznie wina mojego ojca. Nie, w Nigerii nikt nie pozwoliłby wam rozpaczać w samotności.

Ama i Joyce zgadzają się z tym. W Nigerii nikt nie płacze sam.

– Uważam, że to straszne dla jej rodziny, *sha*⁵⁸ – mówi Efe. – Stracić dziecko w taki sposób!

Joyce składa ścierkę, pochyla się i wyciera plamę na stole.

Kiedy wysiadła w Brukseli z samolotu – z resztkami dawnego życia schowanymi w bagażu podręcznym – a jej nowe życie rozpościerało się przed nią niczym wielobarwny obrazek pełen kolorów i obietnic, wiedziała, że to właśnie tutaj spełni się jej Przepowiednia. Dynię, którą matka koniecznie kazała jej wziąć ze sobą, zostawiła na lotnisku w Lagosie, wrzuciła ją do ogromnego kosza na śmieci przy toaletach wraz z ostatnimi wątpliwościami dotyczącymi podróży. Lagos był miastem śmierci, a ona od niej uciekła. Nie chciała targać z sobą dyni wielkości księżycy ani tym bardziej wątpliwości, które mogłyby ją odwieść od podjętej decyzji. Racja, uwielbiała dynię, a w kraju, do którego się udaje, być może nie znają tej rośliny („Biali ludzie jedzą tylko chleb i piją wyłącznie herbatę. *Eiya!*⁵⁹ Umrzesz z głodu!”). – Sąsiadka była prawie zachwycona myślą, że Chisom może umrzeć z głodu w kraju białych), ale nauczy się lubić inne rzeczy, znajdzie zamienniki tego, czego nie będzie mogła dostać. Zrzuci dawną skórę jak wąż i stanie się kimś innym. To wszystko będzie tego warte.

Do Belgii przyleciała wieczorem, więc zobaczyła tylko światła (oświetlenie uliczne, które działało!). Milczący mężczyzna odebrał ją z lotniska, zawiózł do Antwerpii i wysadził koło domu stojącego przy wąskiej, ponurej ulicy. W pierwszej chwili pomyślała, że to przygnębiające wrażenie wynika z ciemności, ale rano zdała sobie sprawę, że nie miała racji. Zwartzustersstraat wyglądała jak regularnie wyzywana, bezdzietna kobieta żyjąca w poligamicznym związku. Nawet mając nieskończenie wiele światła, nie dałoby się wyrwać tej ulicy z apatii, w której tkwiła; apatii, która przez to wszystko, co się tu wydarzy, jeszcze się pogłębi.

Sam dom nie wyróżniał się niczym szczególnym. Jeśli miała być szczerza, właściwie ją rozczarował. Parter z brudnymi drzwiami

wejściowymi i, o czym wkrótce miała się przekonać, pięcioma sypialniami niewiele większymi od budki telefonicznej. Salon pospolity do bólu. Gdzie spojrzeć, wszędzie czerwień – wyjątkiem była czarna sofa stojąca przy ścianie tuż obok drzwi – ponadto wąskie lustro, ciągnące się od sufitu do dywanu. Gdyby ktoś kazał jej narysować pokój jeszcze przed wprowadzeniem się do tego domu, wyglądałby właśnie tak, razem z lustrem. Jedyne, czego by nie narysowała, to kadzidło, które Madam wciąż paliła, przekonana, że uwalnia ono świat od wszelkiego zła.

Sisi została wprowadzona do śmiesznie małego pokoju z jednoosobowym łóżkiem i niewiarygodnie białą pościelą. Biel świeciła tak jasno, że wprowadziła ją w zdumienie. Dziewczyna przesunęła ręką po pościeli, poczuła miękkość bawełny, rozkoszowała się luksusową fakturą materiału. Ściany były czerwone, w tym samym krwistym odcieniu co ściany w salonie. Wisiały na nich dwa plakaty. Na jednym naga biała dziewczyna leżała na plecach z rozłożonymi opalonymi nogami, układającymi się w literę V. Na drugim było widać jedynie dwa ogromne, wypięte do kamery brązowe pośladki. Pupa bez twarzy, dwa garnki starannie ulepione z gliny. Przez chwilę Sisi zastanawiała się, do kogo należą te jędrne, grube pośladki bez rozstępów. Zastanawiała się, czy jej pupa też tak wygląda. Przez moment czuła się nieswojo.

Odkąd weszli do domu, mężczyzna, który odebrał ją z lotniska – wiedziała już, że nazywa się Segun – niewiele się odzywał. Jąkając się, jakby ktoś na siłę coś z niego wyciągał, powiedział tylko, jak ma na imię, i zaprowadził ją do pokoju.

– K... kto... to znaczy kto... ktoś zaraz do ciebie przy... przyjdzie.

Sisi zauważyła, że gdy się jąkał, lewą stopą stukał w posadzkę i na przemian składał dłonie i nimi wymachiwał, jakby tam ukrywały się przed nim słowa, których nie mógł wymówić. Pracowite rączki, pomyślała. Przypomniała sobie matkę, mówiącą świeżo poślubionej kuzynce, że dobrze zrobiła, wybierając mężczyznę, który nie potrafi usiedzieć z założonymi rękoma,

mężczyznę, który w dniu swojego ślubu, siedząc na podwyższeniu, wciąż stukał w stół, ponieważ nie mógł uspokoić nerwowych palców. „Mężczyźni o nerwowych dłoniach są najlepszymi mężami, najlepiej zarabiają, bo nieustannie czują potrzebę, by pracować. Te ręce muszą mieć zajęcie” – powiedziała matka. Ale Segun poruszał się dziwnie i leniwie: najpierw wyrzucał jedną nogę przed siebie, robił nią duży łuk, stawiał stopę, zatrzymywał się na chwilę, a potem drugą nogą wykonywał ten sam okrężny ruch. Sądząc po tym, co zaobserwowała Sisi, nic mu nie dolegało, nie miał widocznej niepełnosprawności, która uniemożliwiałaby mu normalne chodzenie. Według Sisi nie był to typ człowieka, który wciąż musi mieć coś do roboty. Na lotnisku nawet nie zaoferował jej pomocy przy bagażu. Po prostu szedł przed nią na parking tym swoim chodem, przez który przypominał jej marionetkę. A może miał wypadający dysk? Nieważne, że jej walizka była mała i lekka. Dobrze wychowany i pracowity mężczyzna zapytałby, czy może pomóc.

Sisi zastanawiała się, czy powodem jego małomówności było jękanie się, czy może brak dobrych manier. Oprócz pytania, czy to ona jest Sisi, przez całą drogę z lotniska do domu w Antwerpii nie odezwał się do niej ani słowem. Pozwolił, by ta ogłupiająca cisza rosła i rosła, i rosła, aż Sisi miała ochotę na niego nakrzyczeć. Czyż nie jest Nigeryjczykiem? Czy nie wie, że to niegrzecznie tak milczeć? Bez powitania. Bez pełnych ciekawości pytań o dom. Bez „co słyhać w Nigerii? Mam nadzieję, że wzięłaś z domu różne smakołyki. Co słyhać u ludzi mieszkających w Naii ⁶⁰? O co chodzi z tą bombą, która wybuchła w bazie wojskowej w Ikei?”. W samochodzie pokasływała – było to klasyczne zaproszenie do rozmowy lub jeśli rozmówca był inteligentny, wskazówka, by sam rozpoczął rozmowę, ale on nie zrozumiał. Zaciśnięte usta. Wzrok skupiony na drodze. Dłonie o długich, ładnych palcach kręcące kierownicą. Ten bezczelny pokaz grubiaństwa doprowadzał Sisi do białej gorączki. Siedziała z dłońmi wsuniętymi pod pośladki (obgryzione paznokcie, szorstka skóra, bo zawsze zapominała wetrzeć w nią krem do rąk).

Irytowało ją, że takie piękne dłonie jak jego należą do mężczyzny. Wiele miesięcy później, po tym, co się wydarzy, Sisi przypomni sobie tę chwilę i dłonie Seguna, tak miękkie i kobiece, oraz zazdrość, którą w niej wzbudziły.

Była zmęczona. Ziewnęła, zrzuciła buty i przeciągnęła się.

Sisi. Właściwie to dziwne, że nawet w myślach zaczęła tak siebie nazywać. Tak jakby Chisom nigdy nie istniała. Chisom nie żyje. Zgasła. Była nikim, pochłonęła ją noc.

Burczenie w brzuchu Sisi przypominało dyszenie lokomotywy w starym składzie towarowym. Dziewczyna obrzuciła szybkim spojrzeniem pokój, ale nie zobaczyła niczego do jedzenia. Od wyjazdu z Lagosu nic nie jadła. Jedzenie w samolocie mocno nadszarpnęło jej twarde postanowienie, by nie tęsknić za niczym, co zostawiła. Prawie z zalem myślała o wyrzuconej dyni, o pomarańczowym mięszu, który najpierw należy ugotować, a potem zanurzyć w oleju palmowym. Dostała ryż i warzywa gotowane na parze, tak mdłe w smaku, że wydawały się żartem bez puenty. Kto to w ogóle je? Żałuję, że nie zamknęłam oczu i nie zjadłam ryżu, pomyślała. I przypomniała sobie ulubioną zagadkę matki. Pytanie: kto ma odwagę dręczyć dziecko, nawet gdy siedzi u matki na kolanach? Odpowiedź: głód.

Zastanawiała się, czy może poprosić Seguna o coś do jedzenia. Chociaż nieznośny, był jedyną osobą, którą знаła w tym kraju. Nie miała pojęcia, gdzie go szukać. Dlaczego nie patrzył jej w oczy? Był nieśmiały? Wstydził się? Czy wiedział, po co przyjechała do tego kraju?

Jakby mnie to w ogóle obchodziło, pomyślała. Są gorsze sposoby używania mojej *punani*.

Nie ma miejsca na wstyd, zażenowanie lub dumę. Odrzuci je z taką samą nonszalancją, z jaką wyrzuciła dynię i męczące ją wątpliwości. Nie mogła sobie pozwolić, by zabrać je do nowego świata, bo mogłyby ją zatrzymać albo unieruchomić i zabić. Popracuje przez kilka lat, będzie pamiętać o Przepowiedni, zarobi wystarczająco dużo, by spłacić dług u Delego, i otworzy własną firmę. Znów pojawi się jako Chisom, kupi dom w Victoria Garden

City. Wyjdzie za mąż za mężczyznę, który da jej wspaniałe dzieci. Jej wspaniałe dzieci pójdą do eleganckiej szkoły. Zatrudni trzy służące, ogrodnika, kierowcę i kucharkę. Jej życie będzie diametralnie różne od obecnego, zupełnie inne niż życie jej rodziców. Ta myśl napełniła ją taką lekkością, że przez chwilę zdawało jej się, że wystarczy rozłożyć ramiona, by wzbić się w powietrze.

Ktoś zapukał do drzwi. Sisi rozejrzała się, nie bardzo wiedząc, gdzie jest. Nie latała, ale uczucie lekkości spowodowało, że zapadła w drzemkę.

– Proszę! – powiedziała, ziewając i podnosząc się na łóżku.

Do pokoju weszła kobieta w bliżej nieokreślonym wieku, o mocnych, męskich nogach. Miała na sobie obcisłe spodnie od dresu, podkreślające jej umięśnione łydki, i fioletowy sweter, a na stopach białe tenisówki. Sisi prawie nie widziała jej twarzy przesłoniętej bujną jasną peruką. Zauważyła jedynie czarne plamy na żółtym tle.

– Cześć. Efe. – Kobieta uśmiechnęła się. Kiedy się uśmiechała, wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści lat. Sisi popatrzyła na nią zdezorientowana. – Cześć, jestem Efe. Tak się nazywam.

– Boże, przepraszam. Jestem Sisi – odpowiedziała Sisi, rozkoszując się tym imieniem, swoją przepustką do nowego życia.

– Przyniosłam ci coś do jedzenia – powiedziała Efe, ścierając sobie coś z twarzy. Sisi nie widziała wcześniej reklamówki, dopiero teraz ją zauważyła, dużą niebiesko-białą torbę z napisem ALDI. Zastanawiała się, co to jest ALDI. Supermarket? Może to jakaś marka czy coś w tym stylu. Niedługo się tego dowiem, tak jak i innych rzeczy, pomyślała. Dla tego kraju będę rozkładać nogi, a on w zamian przyjmie mnie jak swoją i odkryje przede mną swoje tajemnice.

W torbie Efe był plastikowy woreczek z sześcioma bułkami, słoik dżemu, opakowanie szynki, karton soku pomarańczowego i kiść twardych bananów, które wyglądały jak plastikowe.

– Bez sensu, zapomniałam o nożu, przyniosę go z kuchni.

Zaraz wracam. – Wyszła i rzeczywiście po chwili wróciła z nożem, szklanką, białym, trochę obtłuczonym talerzem i niskim stołkiem kuchennym. Postawiła jedzenie na stołku, a resztę obok na podłodze.

Następnie usiadła obok dziewczyny na łóżku, które zaczęło niebezpiecznie skrzypieć, chociaż wyglądała na niewiele cięższą od Sisi. Wskazała na bułki i powiedziała:

– *Oya, chop!* Podano do stołu. Jedz. Jedz. – Jej głos brzmiał tak, jakby wołała dziecko na obiad i namawiała je, by zjadło wszystko, co mu podała.

Jej palce lśniły od pierścionków. Pierścionek, grubą metalową spiralę z szerokim końcem nachodzącym na paznokiec, miała nawet na kciuku. Sisi zastanawiała się, czy są złote, czy pozłacane. Nigdy nie miała złotej biżuterii i nie wiedziała, na czym polega różnica.

Jeszcze jedna rzecz, której nauczy mnie Europa:
rozpoznawać prawdziwe złoto!

Antwerpia nauczy ją, jak oddzielać ziarno od plew, jak przystroić palce prawdziwym, lśniącym złotem. Wszystkie palce, jak ta kobieta. I tak jak ona będzie je nosiła jak ktoś, kto jest przyzwyczajony do dobrego życia, kto nie zwraca na to nawet uwagi.

– Zjesz coś? – zapytała kobietę, patrząc zachłannie na jej pierścionki. Hipnotyzowały ją, budziły marzenia. Pewnego dnia ja też będę takie miała. Ja też. Ja też. Ja też.

– Och, nie. Ja już jadłam.

– Ale to dużo za dużo jak na jedną osobę – powiedziała Sisi, licząc w myślach, ile takie jedzenie kosztowałoby ją w Nigerii; zdała sobie sprawę, że wystarczyłoby go dla całej rodziny.

Efe roześmiała się.

– Zjedz tyle, ile chcesz, a resztę zostaw. Naprawdę nie musisz zjeść wszystkiego, wiesz? – Efe miała ciepły głos. Masowała sobie nogi, ewidentnie obolałe.

Na chwilę zapadła krępująca cisza, jak to często bywa, gdy ludzie dopiero co się poznali.

– No i jak? Jak było w Naii, gdy wyjeżdżałaś? – zapytała w końcu Efe.

– Tak samo jak zawsze – powiedziała Sisi, myśląc, że dla niej już nigdy nic nie będzie takie samo. Widziała, jak jej marzenia i marzenia bliskich jej osób wyparowują niczym kamfora. Jakby przewrócił się słoik wypełniony obietnicami, lśniącymi kulkami, które rozsypały się po podłodze i zniknęły pod krzesłami i szafami. Antwerpia będzie miejscem, gdzie odnajdzie te kulki, pozbiera je i każe im wypełnić obietnice. To odpowiednie miejsce, tu trzeba się znaleźć, gdy marzenia umarły, miejsce, gdzie zdarzają się cuda, miejsce, w którym marzenia powstają z martwych, dając szansę, by je chwycić i zrealizować. Wreszcie czuła się gotowa, by przyjąć Przepowiednię, która prześladowała ją od urodzenia – była to wszechwiedząca obecność, wszytkowidzące oko, które śledziło każdy jej krok. Sisi nie mogła się doczekać chwili, kiedy wreszcie będzie mogła zacząć.

– Ten mężczyzna, który mnie tu przywiózł, też tu mieszka?

– Segun? Tak. – Efe parsknęła. – Ten facet zajmuje się wyłącznie swoją osobą. Z nikim nie rozmawia. Nic nie robi. Ale umie obchodzić się z młotkiem. Odpowiada za wszystkie drobne naprawy w domu!

– Tymi dłońmi? – wymusnęło jej się, nim pomyślała, co mówi. Ręce Seguna wyglądały na zbyt niemęskie, zbyt słabe, by unieść młotek.

– Powinnaś zobaczyć, jakie robi stoły!

Sisi zobaczy te stoły i przyzna, że dłonie Seguna rzeczywiście są mylące. Zobaczy, jak ścina nogi chybotliwego stołu kupionego przez Madam, i będzie zdziwiona, że mężczyzna nie ma zrogowaciałego naskórka po wewnętrznej stronie dłoni, że jego palce nie są grubsze, nie twardnieją.

Rozmowa dwóch kobiet ucichła, słowa wisały między nimi jak niemi cudzoziemcy. Sisi posmarowała chleb grubą warstwą dżemu. Kiedy ostatnio jadła dżem? Słodkość w kolorze fuksji zachwyciła jej kubki smakowe. Mogłaby przywyknąć do takiego życia, życia bogatych i przybyszów. Jeśli dotąd miała jakieś

wątpliwości, miażdżył je każdy kolejny przeżuwany przez nią kęs, spychając je do żołądka, gdzie miały zostać strawione.

Zwartzustersstraat

Segun siedzi w swoim pokoju. Nawet po tylu latach wciąż nie wiedzą, czym się zajmuje. Prawie z nimi nie rozmawia. Czasami jest kierowcą Madam i wozi ją na spotkania biznesowe, o których one nic nie wiedzą. Czasem wychodzi sam i ciągnie te swoje leniwe stopy korytarzem, a one słyszą jego szuranie szszszsz, szszszsz, jakby starał się wytrzeć wzorek w wykładzinie. Któregoś razu wrócił z Sisi w aucie, ale ona nie chciała o tym rozmawiać. „Może – podsunęła wtedy Ama – Segun i Sisi spotykają się w tajemnicy. Może są sekretnymi kochankami. Bo dlaczego zaprosił ją do auta? I mieli pojemniki z frytkami!”. Chociaż nie potrafiły udowodnić, że Segun i Sisi są kochankami, i chociaż nie wiedziały, co dokładnie ten mężczyzna robi, jedno było pewne: jeśli trzeba było zrobić coś w domu – wymienić żarówkę, zamontować klamkę w drzwiach, wbić gwóźdź w ścianę, by powiesić obrazy Madam, lub zrobić stolik – to należało zwrócić się właśnie do niego. Zawsze pracował w ciszy. W trakcie wymiany żarówek, wkręcania śrub lub wbijania gwoździ w ścianę nigdy nawet nie zanucił. Znały tylko jego imię, nic więcej. Sisi zażartowała kiedyś, że pewnie jest szpiegiem, na co pozostałe kobiety roześmiały się, ponieważ ze swoim głupkowatym wyglądem – wiecznie rozdziawionymi ustami i latającymi rękoma – Segun wyglądał na zbyt nierozgarniętego, by być szpiegiem. Któraś z kobiet powiedziała, że może jest ochroniarzem Madam. To wywołało jeszcze większy śmiech, ponieważ według Joyce, Segun wyglądał na kogoś, kto nie potrafi zadbać nawet o siebie. Ochroniarze powinni być wysocy i silni, być w stanie rzucić się z gołymi rękoma na niedźwiedzia. A Segun przypominał raczej jakieś płochliwe zwierzę, które przy najmniejszym zagrożeniu bierze nogi za pas. „Niby w jaki sposób miałyby ochraniać Madam? Śrubokrętem i młotkiem?” – zapytała Sisi, płacząc ze śmiechu. „Iść krok w krok za Madam ze śrubokrętem w jednej, a młotkiem

w drugiej ręce?!”. – Wyobrażając sobie tę scenę, śmiały się tak głośno, że musiały się nawzajem trzymać, by nie upaść. W końcu wybrały wersję Joyce i przyjęły, że jest on kimś z rodziny Madam lub Delego. Nigdy się tego nie dowiedzą, ponieważ Segun im tego nie powie. A nie mogą przecież zapytać o to Madam.

Ama siada, bierze poduszkę i przyciska ją do siebie.

– Wczoraj, dosłownie wczoraj Sisi powiedziała mi, że odkłada pieniądze na torebkę – mówi, kołysząc się w przód i w tył, i myśli o torbie, której Sisi już nigdy nie kupi. Ta pewność rozdziera jej serce, łzy spływają strumieniami po policzkach. – Cholera! – klnie i szybko ociera je chusteczką znaną w kieszeni.

– *Shebi*⁶¹, niecały tydzień temu pożyczyła ode mnie kredkę do oczu – mówi Joyce, chowając twarz w dłoniach. Wygląda, jakby płakała, ale nie. Joyce nie jest osobą, która łatwo wybucha płaczem. Kiedy inni pytają, dlaczego tak się dzieje, wyjaśnia, że zbyt wiele w życiu płakała, że jej zapas łez się wyczerpał. – Kto mógł przewidzieć, że tydzień później będzie już martwa? – Szczegółowo opisuje, jak Sisi poprosiła ją o kredkę do oczu, bo nie mogła znaleźć swojej, i powiedziała, że nie pójdzie do pracy bez makijażu, który był jej znakiem firmowym. Kiedy o tym opowiada, przypomina sobie, że powiedziała Sisi, że przecież nie umrze, jeśli raz nie namaluje sobie kresek na dolnych powiekach. – Może to był jakiś znak – zastanawia się, ale nikt nie odpowiada.

Wszystkie mają wspomnienia związane z Sisi. Małe rzeczy stają się ważne, jak to często bywa, gdy ktoś umiera. Jakaś uwaga, spojrzenie, które w innej sytuacji przeszłoby niezauważone, nabierają głębszego znaczenia. Kolczyki Sisi, zapomniane na parapecie w łazience, stają się „jej sposobem pozostawienia czegoś po sobie” – tak mówi Ama.

Dwa dni później Madam wyrzuci kolczyki, ponieważ „zostawianie w domu rozrzuconych rzeczy zmarłej to zaproszenie dla duchów”. A duchy, dobre czy złe, nie mają ludziom nic do zaoferowania. Ich wizyty nigdy nie niosą ze sobą nic dobrego. Z tego powodu wyrzuci też wszystkie ubrania i buty Sisi, jej apaszki

i torebki. Upchnie je w grube czarne worki na śmieci – nawet apaszkę od Hermès, którą Sisi kupiła za marne grosze od przedstawiciela handlowego i której Madam tak bardzo jej zazdrościła – i wrzuci do stojącego naprzeciwko i opróżnianego raz w tygodniu zielonego kontenera z odzieżą dla biednych. Będzie też chodziła z kadzidłem po domu, ostrzegając ducha Sisi, by był spokojny, i żądając, by zostawił w spokoju dom, w którym mieszkała. Duch Sisi jej posłucha, nie odważy się nawet pojawić w snach współlokatorek, wbrew temu, co duchy mają w zwyczaju. Madam wierzy w siłę kadzidła trzymającego duchy na dystans, nie tylko zresztą duchy ludzi. Żadna z pozostałych kobiet nie wierzy, że kadzidło działa, ale Madam nie wolno się sprzeciwiać.

Trzy dni temu, przypomina sobie Ama, Madam chodziła po domu z kadzidełkiem, by wygnać z budynku ducha zazdrości. Powiedziała, że w domu zamieszkał zły duch zazdrości i że kadzidło go wypędzi. „Jesteście siostrami. Jesteście tu dla siebie jedyną rodziną, a mimo to nie umiecie ze sobą żyć w zgodzie”. Chociaż powiedziała to do wszystkich czterech kobiet, chodziło jej o Sisi i Amę. Kłóciły się o to, która z nich powinna posprzątać pomieszczenia wspólne. Poprzedniego wieczoru odbyła się gruba impreza, wszędzie walały się butelki, ktoś rozlał napój na skórzanych krzesłach. Chociaż tym razem wypadła kolej Sisi, by posprzątać, olała to, ponieważ według niej to goście Amy nabałaganili. Ama odmówiła wzięcia za nich odpowiedzialności. Rzuciły się na siebie z pazurami. Do akcji musiała wkroczyć Madam i je rozdzielić.

Ama ścisza głos:

– Przysięgam, gdybym wiedziała, że umrze, nigdy bym się z nią nie pobiła. – Na jej brodzie wciąż widać ślady zadrapań zadanych przez Sisi. Próbuje o tym nie myśleć.

– Żadna z nas nie mogła tego przewidzieć – mówi Efe. – Kto mógł przypuszczać, że Sisi dzisiaj umrze? W dodatku, że zostanie zamordowana! Za co?

– Komu zależało na śmierci Sisi? – pyta Joyce nie pierwszy raz, odkąd się o tym dowiedziały. „Niczego nie skradziono” –

powiedziała policja. „Z tego, co wiemy, nic nie zginęło”. Pytanie Joyce jest retoryczne, mimo to kobieta kontynuuje: – Czym zasłużyła sobie na taką śmierć?

Myśl o niedawnej śmierci malijskiej niani i dziecka, którym się opiekowała, wciąż kołacze się w ich głowach, ale odpychają ją, nie chcą o tym rozmawiać. Nie teraz. Nie teraz, gdy czują się takie bezbronne. Mimo to wszystkie trzy myślą o tym samym, o tym czwartkowym poranku, kiedy obudził je wystrzał ze strzelby, kiedy okazało się, że osiemnastolatek – *ratatatata* – zamordował dwie osoby na ich ulicy. Widziały to w wiadomościach telewizyjnych, oglądały rekonstrukcję morderstwa krok po kroku i przypominały sobie, jak często tamtędy przechodziły, nie zdając sobie sprawy, że są w niebezpieczeństwie. „Belgia upodabnia się z tymi strzelaninami do Ameryki. Najpierw na Dworcu Centralnym zamordowano chłopaka za odtwarzacz mp3, a teraz to. Do czego to dochodzi w Antwerpii?” – zapytała tego dnia Sisi. I gdy Ama przypominała jej, że „morderstwo mp3”⁶² miało miejsce w Brukseli, a nie w Antwerpii, Sisi powiedziała, że to nie ma znaczenia, że równie dobrze mogło się to zdarzyć w Antwerpii. Antwerpia zmienia się na ich oczach, ale one nie chcą się nad tym zastanawiać. Nie teraz, kiedy zamordowano Sisi. Policja powiedziała Madam, że bada tę sprawę jako czyn prawdopodobnie o podłożu rasistowskim.

– Prawdopodobnie? Prawdopodobnie o podłożu rasistowskim?! – krzyknęła Efe zirytowana, gdy to usłyszały. – Dobrze wiedzą, że to był napad rasisty. Kto inny mógłby chcieć zabić Sisi?

Joyce wzdycha i wstaje, by wyłączyć telewizor. Ma dość tej opery mydlanej, mówi, chociaż jej nie oglądała. Wyciera kurze z górnej części telewizora.

– Zostaw to, Joyce. Chyba nie masz zamiaru dzisiaj odkurzać tego sto razy! – woła Efe. Joyce na sekundę przestaje ścierać kurze, po czym bez słowa wraca do sprzątnięcia. Efe bezradnie rozkłada ręce.

Długą chwilę nikt się nie odzywa, w końcu Joyce proponuje,

by zorganizować dla Sisi swego rodzaju mszę, by pomóc jej duszy w podróży w zaświaty.

– Nie możemy pozwolić, by tak po prostu umarła. Musimy się pożegnać. Wezwać duchownego i odprowadzić jej duszę jak należy. Niewiele możemy zrobić, ale to tak. Odprowadzić jej duszę. – Wydaje się zadowolona ze swego pomysłu. – Tyle możemy dla niej zrobić. Zaprosić kilka znanych nam osób, zorganizować spotkanie w niewielkim gronie. Ale najpierw zamówić mszę w jej intencji. – Zaczyna się rozkręcać. Chce rozmawiać o tym, ile osób zaproszą, co ugotują, ale Ama jej przerywa:

– Odprowadzić, ale dokąd?

Wygląda, jakby zaraz miała wybuchnąć śmiechem. Joyce ją ignoruje, Efe również. Ama powtarza pytanie i wstaje, jakby chciała je przez to podkreślić. Jej oczy ciskają błyskawice. Nikt nie odpowiada. Efe pociąga ją w dół. Ama syczy, ale pozwala się ściągnąć z powrotem na sofę. Siedzi. Kobiety wiedzą, że nienawidzi spraw duchowych. Efe zaproponowała jej kiedyś, by poszła z nimi do kościoła, ale niegrzecznie odmówiła, wymawiając się tym, że jej żołądek przyjął więcej spraw kościelnych, niż był w stanie przetrwać.

– Jak byłam dzieckiem, mój brzuch był przepelniony kościołem. Nie lubię duchownych. Nigdy im nie ufałam. I teraz też nie mam zamiaru.

Powtórzy te słowa wiele lat później, mając dziewięćdziesiąt trzy lata, jako zmęczona, stara kobieta stojąca na progu śmierci. Do tego czasu jej głos stanie się słabszy, a ogień w oczach wygaśnie. „Nie lubię duchownych. Nigdy im nie ufałam. I teraz też nie mam zamiaru”. Umrze, słuchając miauczenia boysbandów, śpiewających o miłości, pożądaniu i życiu na najwyższych obrotach.

Siedząc w pokoju, przytłoczona wiadomością o śmierci Sisi, z wiszącym wciąż w powietrzu ciężkim zapachem kadzidła Madam w nozdrzach i opowieścią Efe w głowie, Ama zamyka oczy. Czuje się w obowiązku opowiedzieć im swoją historię, swoją

prawdziwą historię, tak jak przed chwilą zrobiła to Efe. Zamyka oczy i zaczyna mówić:

– Wychowałam się w Enugu. Mieszkaliśmy w domu o różowych ścianach. – Wyciąga spod sofy popielniczkę w kształcie dłoni szympansa, gasi prawie wypalonego papierosa i grzebie w torebce, by wyciągnąć nowego. Otwiera paczkę i podsuwa ją każdej z kobiet. Joyce i Efe kręcą przecząco głowami i dziękują. Ama wspomina pagórki Udi wokół Enugu, które wiją się i fałdują jak ogromna zielona wstęga, i się uśmiecha.

– Jak poznałaś Delego? – pyta Efe. Dele jest wspólnym mianownikiem ich życia.

– W barze mojej ciotki. Czasami przychodził tam coś zjeść.

– Dlaczego jadał poza domem? – pyta Joyce. – On ma kucharkę i żonę. Czego taki facet szuka w zwykłym barze?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Ama. – Może werbuje nowe osoby.

– Ja poznałam go u niego w domu – mówi Joyce. – Przyprował mnie do niego mężczyzna o imieniu Polycarp. – Joyce wzdryga się, jakby to imię wywołało u niej ból zęba. – Znienawidziłam Delego od pierwszego wejrzenia. Bydlak.

Ama mówi:

– Pan Dele chciał tylko pomóc. Przecież w kraju nie miałyśmy żadnej przyszłości! *Oga* Dele chce dać nam szczęście.

– A jesteście szczęśliwe? – pyta Joyce. Teraz siedzi na podłodze i wyciera plamy na nogach stołu.

– Ja... ja próbuję nie myśleć o szczęściu. L.I. otrzyma dobre wychowanie. Mnie to wystarczy, chyba. – Efe rozciąga słowa z wahaniem, jak ktoś uczestniczący w debacie politycznej, kto bardzo uważa, by nie powiedzieć czegoś nieodpowiedniego. Normy się zmieniają, jeśli chodzi o szczęście, myśli, ale nie mówi tego na głos. – Czasami mam wrażenie, że moje życie jest sztuczną szczęką. Świat widzi to, co mu pokażesz: piękne, śnieżnobiałe zęby jak z reklamy Colgate. Ale dobrze wiesz, że są spróchniałe od wewnątrz.

Śmieją się z porównania Efe, ale prawie natychmiast

atmosfera znów staje się poważna.

– Jeśli o mnie chodzi – zaczyna Ama – to sama nie wiem, czy jestem szczęśliwa. Nie lubię Madam. Snobistyczne babsko. Ale dzięki pracy poznaję interesujących ludzi. I w jakiej innej pracy zarabia się pieniądze, leżąc na plecach? Jeden Pan Bóg wie, do jakiej innej pracy w tym kraju bym się nadała. Nie ma mowy, żebym zniszczyła sobie paznokcie, sprząając u tych rozpieszczonych kobiet, zbyt zajętych albo zbyt leniwych, by zrobić porządek wokół własnej dupy. Nie umiem też zaplatać warkoczyków. A nawet gdybym umiała, to wątpię, by chciało mi się stać godzinami za marne grosze. Gdyby Madam zniknęła z pola widzenia, zrobiłabym fikołka z radości. – Wybuchła śmiechem. Cha, cha. I natychmiast milknie. – Wiesz co, Joyce? To był mój świadomy wybór. Mnie przynajmniej pozwolono dokonać wyboru. Przyjechałam tu, wiedząc, co mnie czeka. – Ama strzela kłykciami i ciągnie: – Dostaję jeść, mam dach nad głową, mam swoje życie. Nie mogę być zbyt pazerna. Sisi nie żyje. Czy jest szczęśliwa? Uważamy, że to nasze historie są smutne, ale czy znamy jej historię? Dokąd to chodziła w tajemnicy przed nami? – Nagle podnosi głos, jakby się zezłościła, jakby nagle zdała sobie sprawę, że jest wściekła. – Mówisz mi o szczęściu. Do cholery, czy masz pojęcie, jak tu trafiłam? – Zaciąga się papierosem. Z jej nozdrzy i ściśniętych ust wydostają się obłoczki dymu. Strzepuje popiół do popielniczki. – Pozwól, że opowiem ci coś o swoim życiu, Joyce. Opowiem wam o swoim parszywym życiu. – Łapie się za krzyżyk wiszący na szyi.

Madam wyglądała dokładnie tak, jak Sisi się spodziewała: śniada, okrągła i mała, jak coś, co właściwie powinno się toczyć. Ona nie chodziła, ona się „toczyła”. Wczesnym rankiem, nazajutrz po przybyciu Sisi, wtoczyła się do jej pokoju. Jej ramiona okrywała błękitna bluzka z podwiniętymi rękawami, którą włożyła do czarnych spodni z rozszerzonymi nogawkami. Madam była jedną z tych kobiet, które mają zarost – kępki filuternie kręcących się włosków na brodzie – ale w przeciwieństwie do większości z nich najwyraźniej nic sobie z tego nie robiła. Czasem podczas rozmowy bawiła się włoskami, jakby chciała, by zwrócono na nie uwagę, jakby chciała, by na nie patrzono, jakby chciała, by komentowano, jakie są zadbane.

– Jestem twoją Madam – powiedziała tytułem wstępu, kierując się do okna i odsłaniając żaluzje. – Słyszałam, że miałaś przyjemną podróż. Mam nadzieję, że wypoczęłaś. Dzisiaj zaczynasz pracę. Nie mamy czasu do stracenia. – Zwinęła między palcami włoski na brodzie.

Sisi pomyślała: ależ ta kobieta jest pewna siebie. Będzie zazdrościć jej tej pewności siebie, będzie próbowała naśladować jej zachowanie podczas spacerów.

Sisi zdziwiło, że Madam tak dobrze mówi po angielsku. Myślała, że będzie taka jak Dele, który nie potrafił sklecić jednego poprawnego zdania w tym języku. To by pasowało do jej wcześniejszego wyobrażenia o niej. Później odkryje, że Madam ma tytuł magistra zarządzania uniwersytetu w Lagosie i mówi płynnie nie tylko po angielsku, ale również po niderlandzku. Okaze się, że uczęszcza także na kurs francuskiego.

Akcent Madam miała wytworny. Wymowę również – ostre dźwięki modulowała w taki sposób, że nie było słyhać ich surowości. Nigdy wcześniej Sisi nie słyszała, by ktoś tak dobrze mówił po angielsku. Słuchanie Madam sprawiało jej przyjemność.

Madam otworzyła czarną skórzaną torbę przewieszoną przez lewe ramię i wyjęła z niej paczkę papierosów.

– Palisz? – zapytała, pokazując paczkę.

– Nie, nie palę.

– Ja też nie paliłam, dopóki tu nie przyjechałam, ale to jest inny świat. To miejsce zmienia człowieka. Nauczy cię jeść płatki kukurydziane z zimnym mlekiem. Potrafisz to sobie wyobrazić?

Nie, Sisi nie potrafiła sobie tego wyobrazić, ale milczała.

– Papierosy oczyszczają głowę z myśli. Pamiętaj tylko, żeby trzymać się z dala od narkotyków. Widziałam, co potrafią zrobić z głową. W Antwerpii jest ich pełno, ludzi, którzy zwariowali po dragach. A to nie jest odpowiednie miejsce, by zwariować. W Europie trzeba żyć, żyć pełnią życia. Według mnie oni tu marnotrawią przestrzeń, ci wszyscy nasi, którzy tu przyjechali i zwariowali.

Wyjęła papierosa i wrzuciła paczkę z powrotem do torby. Sisi patrzyła, jak jej krótka dłoń prawie znika w torbie, by po chwili pojawić się z długą czarną zapalniczką, elegancką i poręczną. Madam pstryknęła nią i podpałała papierosa. Zaciągnęła się, wypuściła chmurę dymu i uśmiechnęła się do wspomnienia, którym nie podzieliła się z rozmówczynią. Ponownie się zaciągnęła, rozejrzała się, usiadła obok Sisi na łóżku i strzepnęła popiół na stolik stojący przy łóżku. Wtedy zaczęła mówić.

– Dele miał rację co do ciebie. Tak, ten facet zna się na rzeczy, nigdy nie rozczarowuje. Wiesz, że dostarcza najlepsze dziewczyny w tym zawodzie? Gdybyś zobaczyła niektóre z tych ciż, które sprowadzają ci idioci! Głupie twarze, ciała, które trzeba wyklepać, piersi dyndające jak bycze jaja. – Roześmiała się.

Sisi milczała. Nie wiedziała, jak ma zareagować na ten zawołany komplement. Wpatrywała się więc w Madam i zastanawiała się, czy jej ciało jej nie przygniata. Starła się nie śmiać, widząc w wyobraźni piersi dyndające jak bycze jaja. Czując, że powinna milczeć: śmiech mógłby zostać odebrany jako przejaw arogancji.

Madam zaciągnęła się głęboko i znów wypuściła chmurę

dymu; zapach papierosa rozszedł się po pokoju. Sisi zastanawiała się, czy byłoby niegrzeczne, gdyby się odsunęła, wstała i usiadła po drugiej stronie pokoju. Dym ją drażnił. Jej myśli skierowały się ku rodzicom, zastanawiała się, co u nich słyszeć, co porabiają. Pomyślała o Peterze i prawie pożałowała, że sprawy nie potoczyły się inaczej. Byłby z niego dobry, troskliwy mąż, taki, który prąłby ubrania żony, gdyby zachorowała, może nawet by jej gotował. Odpędziła od siebie myśli o nim. Wyjazd był dla niej jedynym wyjściem. Peter nie miał jej nic do zaoferowania. Jeśli zarobi dużo pieniędzy, a Peter nadal będzie wolny, może wyjdzie za niego. A jeśli będzie zajęty, znajdą się inni mężczyźni, zawsze są jacyś inni. Za pieniądze można kupić wszystko, również troskliwego mężczyznę. Trzeba tylko zadbać o to, by mieć ich wystarczająco dużo. I właśnie o to mam zamiar się zatroszczyć, nawet jeśli przyjdzie mi za to zapłacić życiem, pomyślała. Delikatnie się odsunęła; Madam spojrzała na nią.

– Chyba nie jesteś zdenerwowana? Nie możesz sobie na to pozwolić, nie w tym biznesie. – Strzepnęła resztki popiołu na stół i dodała od niechcienia: – A, i oddaj mi swój paszport. Zaopiekuję się nim do czasu, aż spłacisz dług.

Oddać paszport oznaczało mniej więcej tyle, co oddać swoje życie w czyjeś ręce, prawda? A gdyby tak zmieniła zdanie? A może właśnie uznała, że to jednak nie dla niej i że chce wrócić do domu? Popatrzyła na Madam, otaksowała złoty łańcuszek na jej grubej szyi i wyobraziła sobie, że ma go na sobie. Kogo ona oszukuje? Przecież nie może wrócić do swojego dawnego życia. Zostanie tu i osiągnie sukces, więc co za różnica, kto będzie miał jej paszport. Wstała, kucnęła i wyciągnęła walizkę spod łóżka. Otworzyła wewnętrzną kieszonkę, wyjęła z niej brązową kopertę z paszportem i podała Madam.

– Po śniadaniu musisz się zarejestrować w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

– Dlaczego?

Pytanie wymknęło się Sisi niechcący. Właściwie nie chciała wiedzieć dlaczego. To nie miało znaczenia. Tym, co naprawdę się

liczyło, co teraz było ważne, było przetrwanie. A świadomość, że zrobi wszystko co konieczne, by zrealizować swoje marzenie, nie była kaprysem, nagłym impulsem, ulewą, która ją zaskoczyła – ale raczej prześladowającym ją wszędzie cieniem.

– Dlaczego? – powtórzyła Madam kpiąco. W jej głosie pobrzmiwał też śmiech. – Droga... eee, jak ci na imię?

– Sisi.

– Droga Sisi, nie jesteś tutaj od zadawania pytań. Rób, co ci każą, a wszystko pójdzie jak po maśle. Ja mówię, ty słuchasz. Zrozumiano? Trzy dni temu to samo powiedziałam Joyce. Nie zadawała pytań. Po prostu słuchała i robiła tak, jak jej kazano. Od ciebie oczekuję tego samego. Ciszy i pełnego posłuszeństwa. W tym domu panują właśnie takie reguły: jesteś widoczna, ale niema. *Capish* ?

Tak. Zrozumiała. Jej głos był ledwie słyszalny.

Wczoraj wieczorem widziała się krótko z Joyce, która przyszła się przywitać; miała akcent, który Sisi rozpoznała jako nienigeryjski. Uważała, że Joyce wygląda bardzo młodo. Właściwie to jeszcze młodzietka dziewczyna. I chociaż twierdziła, że pochodzi z Benin City, nie wyglądała jak ktoś z ludu Bini⁶³. Wyglądała raczej na czystej krwi Fulankę⁶⁴ z pięknymi, lekko zapadniętymi policzkami. Tak czy owak, nie była to jej, Sisi, sprawa. Wszyscy mamy swoją przeszłość i nikogo nie interesuje, która wersja jest prawdziwa.

Brzydził ją ton, którego używała Madam, sposób, w jaki do niej mówiła – jakby była dzieckiem. W Lagosie nikt nie miałby odwagi zwracać się do niej w ten sposób. Ale to nie był Lagos. Potrzebowała pomocy tej kobiety w mieście pełnym obcokrajowców.

– Zamówię taksówkę, która zawiezie cię do centrum. Powiedz, że jesteś z Liberii. Słyszysz? Powiedz, że twój ojciec był lokalnym wodzem Mandingo⁶⁵ i że w nocy na wasz dom napadli żołnierze Charlesa Taylora⁶⁶ i wymordowali całą waszą rodzinę: ojca, matkę, siostry i braci. Udało ci się przeżyć, bo ukryłaś się w schowku w kuchni. Odważyłaś się wyjść z kryjówki dopiero

wtedy, gdy rzeź się skończyła i żołnierze się wynieśli. Powiedz im, że słyszałaś, jak jeden z żołnierzy krzyczał, że brakuje jeszcze jednej osoby, że dostali rozkaz wymordowania całej waszej rodziny i że specjalnie w tym celu mieli tam wrócić. Patrz ze smutkiem w oczach. Płacz. Jęcz. Rwij sobie włosy z głowy. Biali ludzie uwielbiają dramatyczne historie. Lubią słuchać, gdy opowiadamy o tym, jak się nawzajem mordujemy, jak ścinamy sobie głowy w bezsensownych konfliktach na tle etnicznym. Im historia jest bardziej makabryczna, tym lepiej. – Zamilkła, by zaciągnąć się papierosem, wypuściła obłok niebieskiego dymu, który rozpląnął się po pokoju, i ciągnęła: – Mów o ciałach twoich bliskich. O tym, jak musiałaś je przestępować, by wyjść z domu. Powiedz im, że nie mogłaś zaufać sąsiadom, ponieważ w większości są zwolennikami Taylora, i że zamordowaliby cię, gdybyś wpadła im w ręce. I nie zapomnij o płaczu. Roń łzy. Przyjedzie po ciebie taksówka. Zaczekaj przed budynkiem, aż się pojawi, okej? Z nikim innym się nie zabieraj. Taksówka przywiezie cię z powrotem do tego domu. Pamiętaj, że jesteś Mandingo. Nie masz paszportu. Uciekłaś z Liberii tak, jak stałaś. Zlitował się nad tobą jakiś biały mężczyzna i zapłacił za bilet. Zobaczył cię, gdy stałaś pod kościołem i zebrałaś. Zapamiętałaś?

– Tak – odpowiedziała Sisi. Była to jedyna odpowiedź, która przyszła jej do głowy. Będzie nie tylko Liberyjką. W następnych miesiącach będzie wciąż kimś innym, wciąż inną osobą. Jej życie zdominuje nieustająca potrzeba, by uciekać od siebie samej. Sisi już jej nie wystarczy. Dopiero pojawienie się Luca to zmieni, chociaż tylko na chwilę. A potem jej już nie będzie.

Zwartzustersstraat

Ama

Ściany w salonie były różowe. Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek miały inny kolor, czy też zawsze były w odcieniu różowej gumy balonowej, wciąż żywym w jej pamięci; róż pojawiał się, gdy potrzebowała przyjaciela, róż brał ją w objęcia ciepłe, pocieszające i znajome.

Róż, cholera jasna! Wyobrażasz to sobie? Róż!

Jako dziewczynka lubiła gładzić ściany. Gdy dorosła i zmądrzała, zaczęła traktować to jak kochanie się z nimi. Jej dłonie odczuwały przyjemną gładkość, jak dłonie kogoś głaszczącego jedwabście gładką skórę. Te pieprzone ściany były jej najlepszymi przyjaciółkami.

Milczące, wieczne przyjaciółki, którym mogła zaufać. Nie takie jak sandały, którymi czasami się bawiła, rozdziawione sandały, przypominające jej usta Christiny z naprzeciwka, według matki największej plotkary świata. Jej matka nazywała ją Radiem bez Baterii. „Nigdy się nie męczy i nadaje wiadomości z jednej pary uszu do drugiej”. Nie mogła polegać na tych wstrętnych sandałach, nigdy nie były wygodne – za ciasne; za luźne; za szerokie; za wąskie – i gdy bawiła się z nimi w szkołę, biła je bardzo mocno, tak długo, aż upewniła się, że słyszy ich płacz.

Już jako dziecko nauczyła się mieć tajemnice. To było jak mieć w sobie dojrzały pryszcz, którego wyciśnięcie spowoduje śmierć. Musiała jednak dzielić z kimś te tajemnice. To swoim różowym przyjaciółkom powierzała historie, z których nie zwierzała się nikomu innemu.

Była wdzięczna za te ściany i właściwie nie potrzebowała innych przyjaciół. Zresztą byli to jedyni przyjaciele, jakich miała. Ojciec Amy nie przepadał za wizytami jej znajomych, ponieważ mogli sprowadzić ją na złą drogę, jak twierdził. A kiedy mimo to do niej przychodzili, mówił, że Ama musi się uczyć. Z okna

swojego pokoju patrzyła na dziewczynki z podwórka, które krzyczały na siebie podczas gry w *oga* i wzbijały kurz, szurając stopami po piasku i uklepując nimi ziemię. Gdyby tylko mogła, najchętniej zgniotłaby ojca jak śmieć i wyrzuciła przez balkon. Na tyle daleko, by piasnął twarzą o wzgórze⁶⁷. O tym mówiła ścianom.

Nie od zawsze do nich mówiła, ale w dniu urodzin, gdy się to wszystko zaczęło, oprócz ścian nie było nikogo, komu mogłaby o tym powiedzieć. Ściany milczały i słuchały, i nie odpychały jej od siebie. Nie mówiły: „Teraz nie. Idź się pobawić. Grzeczna dziewczynka”. W ten sposób narodziła się przyjaźń, która trwała całymimi latami.

Był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty siódmy, kończyła osiem lat. Ojciec zorganizował dla niej przyjęcie, wielkie przyjęcie urodzinowe z klaunem do zabawiania gości i fotografem, żeby uwiecznił uśmiech na jej twarzy i miłość ojca, który zadał sobie tyle trudu z okazji jej ósmych urodzin. Tego roku po raz trzeci z rzędu została najlepszą uczennicą w klasie i to była nagroda. Wielkie przyjęcie. Wielki tort z ośmioma świeczkami. I wstążki we włosach. Dom pachniał ryżem *jollof*⁶⁸, *moi moi* i smażoną wołowiną. Matka i jej dwie przyjaciółki siedziały w dusznej kuchni na niskich stołkach, sącząc *maltinę*⁶⁹ i pilnując służących. Ama oglądała telewizję w salonie. Została wyproszona z kuchni. „Idź pooglądać telewizję, nie przeszkadzaj nam tutaj, no, bądź grzeczna, już cię tu nie ma” – powiedziała matka, wypychając ją z kuchni. Od czasu do czasu zza kuchennych drzwi wyglądała czyjaś głowa:

– Amo, chodź spróbować. Smakuje ci ryż, *nne*⁷⁰? Nie za ostry? Czy mięso jest wystarczająco miękkie i soczyste? Czy nie jest za suche?

– Nie, nie. – Kręciła głową. Wszystko było *sam sam*, idealne. Dzisiaj nic nie mogło pójść źle. Ijeomie, służącej, wypożyczonej na ten dzień przez przyjaciółkę matki, pot spływał do oczu. Otarła go wierzchem dłoni i krzyknęła, że ma w oczach pieprz, *ose ose*.

– Ta dziewczyna jest naprawdę bardzo głupia. *Atulu*⁷¹. Głupia owieczka – powiedziała przyjaciółka, która ją wypożyczyła. – Kto

to słyszał zapomnieć, że ma się pieprz na rękach, i trzeć sobie nimi oczy?

Trzy kobiety śmiały się, gdy dziewczyna chodziła w kółko i krzyczała: „Wody, wody, oczy mnie pieką”.

Inna służąca podała jej wodę i pomogła wypłukać pieprz z oczu. Gdy ból zelżał, a kobiety przestały się śmiać, przyjaciółka matki Amy powiedziała:

– Niech to będzie dla ciebie nauczka. Jeśli przez tych kilka ziarenek pieprzu krzyczysz jak opętana „piecze, piecze”, wyobraź sobie, jak straszny musi być ogień piekielny! Pamiętaj, żeby trzymać się z daleka od wszelkiego zła. Wczoraj zginęły mi dwie nairy, które położyłam na stole. Dwa dni temu z mojego pokoju zniknęło pięćdziesiąt kobo. Jeszcze nie złapałam cię na gorącym uczynku, ale diabeł wszystko widział i przyjdzie po ciebie. – (Co to za rada, do jasnej cholery!?) – Lepiej nie zaprzeczaj – ciągnęła. – Ja to wiem i ty to wiesz. Pieniądze nie mają nóg. Obie wiemy, kto je ukradł, i niech cię Bóg ma w opiece w dniu, gdy będę mogła to udowodnić. Tego dnia będziesz cierpieć bardziej niż Hiob.

Matka Amy powiedziała, że to hańba, że nie można już ufać własnej służbie. Gdzie te czasy, gdy kobieta mogła powierzyć służącej swoje życie? Przypomniała sobie opowieść matki o służącej, która podczas wojny w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku naraziła życie, by zdobyć jedzenie dla dzieci pracodawcy.

– Dziewczyna stawiała czoło kulom wroga, *mgbo*⁷², by wykopać pochrzyny i maniok dla dzieci. I wyciągała je z ziemi gołymi rękami. Naprawdę! A teraz – ciągnęła – diabeł opętał służących, zmienił ich w bandę złodziei. Znaleźć dobrą pomoc domową to jak wycisnąć wodę z kamienia.

Kobiety przerzucały się opowieściami o kradnącym-kłamiącym-węszącym-lepkopalcym personelu domowym. O służącej, która ukradła perfumy swojej pani.

– Świat nie przestaje nas zadziwiać. Zwykła służąca. Skąd wzięła odwagę?

– To diabeł!

I jeszcze ta, która uwiodła męża swojej pani i się z nim przespała.

– Jak to możliwe?

– To diabeł.

– Czasami się zastanawiam, czy nie zatrudnić służącego – powiedziała matka Amy i tymi słowami wywołała gorącą dyskusję na temat zalet i wad parobków.

Są silniejsi od służących i dlatego są lepszymi pracownikami.

Dopierają ubrania do czysta.

Wyciągają więcej wiader wody.

Ale.

Czekaj.

A co, jeśli zwrócą się przeciwko tobie i cię zgwałcą?

Albo zgwałcą twoje córki? To nie byłby pierwszy raz.

Można by zatrudnić chłopca, ale chłopcy na ogół gorzej radzą sobie z obowiązkami domowymi niż dziewczynki.

Ale.

Czekaj.

Ama przestała słuchać. Była zbyt podniecona, by zajmować się korzyściami z najęcia parobka, które jedna z kobiet właśnie wyliczała, wywijając rękoma na wszystkie strony jak dyrygent kierujący kościelnym chórem podczas niedzielnej mszy – do-re-mi-la-sol-faaaaa – parobkowie są zdecydowanie lepsi!

Wszystko było idealne. Dzisiejszy dzień jest idealny, naprawdę idealny – myślała Ama, nie zwracając większej uwagi na film animowany na Channel 8. To był dzień jak z jednej z jej bajek z obrazkami: jasne i błękitne niebo, gładka pierzyna w kolorze rozmytego błękitu, bez jednego rozdarcia. Wstała i poszła do łazienki. Wspięła się na palce i przejrzała się w lustrze nad umywalką. Dotknęła włosów. Matka wyprostowała je gorącym grzebieniem. Jaki to był ból! Rozgrzany nad piecem grzebień zanurzyła głęboko we włosach córki, żeby rozczesać kołtuny, i przez cały czas narzekała, że jej włosy są sztywne jak sizal. Ale teraz, myślała Ama, dotykając fryzury z przedziałkiem na środku, podtrzymywanej po bokach różowymi kokardami, teraz naprawdę

mam włosy jak *oyibo*! Uczesanie będzie pasować do odświętnej sukienki, która już leżała przygotowana na łóżku. Różowa sukienka ozdobiona z przodu satynową kokardą. „Suknia Kopciuszka” – powiedział ojciec, dając jej sukienkę. „Suknia dla mojej księżniczki”. To była najpiękniejsza sukienka, jaką Ama kiedykolwiek widziała – miała pewność, że mogłaby nosić ją codziennie. Ale po tym, co wydarzyło się tego wieczoru, już nigdy nie chciała jej włożyć. Matka kazała jej się ubrać, dopiero gdy zjawią się goście, ani minuty wcześniej. Ama zastanawiała się, jak długo to jeszcze potrwa. Och, dlaczego czas nie płynie szybciej, kiedy się tego pragnie? Później będzie chciała wrócić do chwili, gdy niebo było niebieskie, jej sukienka nowa, a życie idealne.

Ojciec, brat Cyril, mówił na nią „moja księżniczka”, przy czym rozciągał samogłoskę „i”: „księżniiiiiczka!”. Z zamkniętymi ustami, tak że wydawało się, jakby mówił to ktoś inny. Kiedy Ama po raz pierwszy usłyszała słowo „brzuchomówca”, od razu pomyślała o ojcu, o sposobie, w jaki mówił, z ustami ułożonymi w cienką linię, jak kreska narysowana ołówkiem, która wydawała dźwięki, prawie się nie rozszerzając.

Z gramofonu stojącego obok telewizora sączyła się muzyka. Dwóch mężczyzn z Voices of the Cross zawodziło smętnie o grzechu, ogniu piekielnym i wiecznym zgrzytaniu zębami. Bóg i Szatan walczący o dusze. Bóg z księgą imion ocalonych. Diabeł dżgający złe dusze widłami. Zbawienie i wniebowstąpienie dla sprawiedliwych. Ama uważała, że ci dwaj śpiewacy byli wystarczająco lekcy, by latać. Ojciec – nazywany przez wszystkich bratem Cyrilem, ponieważ był chrześcijaninem i należał do Kościoła, w którym wszyscy byli braćmi i siostrami – nie. Gdy wchodził na drugie piętro ich mieszkania, zaczynał ciężko dyszeć już na dwunastym schodku, dwadzieścia stopni od drzwi wejściowych. Z całą pewnością trafi prosto do nieba jako prawy charakter, ale Ama przypuszczała, że trzeba będzie go tam wnieść. Silne, umięśnione anioły będą musiały to zrobić; Ama oczami wyobraźni widziała ogromny kawał odchylonego do tyłu, unoszonego w powietrzu mięsa.

Ama niezbyt lubiła głosy mężczyzn z Voices of the Cross. Wolałaby słuchać czegoś innego. Tęsknota za inną muzyką tak wyostrzyła jej słuch, że nawet tu słyszała dźwięki ze sklepu z płytami z naprzeciwka. Hałaśliwe wesołe głosy, które sprawiały, że dom drżał, a ona chciała dreptać w miejscu i tańczyć. Ale ojciec nie chciał słyszeć o tych piosenkach. „To diabelska muzyka” – powiedział. „Nie jest bogobojna i nie wspiera spraw Bożych. Tak, to diabelska muzyka. Gdy diabeł słyszy taką muzykę, kręci biodrami i potrząsa rogami. Klaszcze w dłonie i rozpala ogień dla wielu dusz, które złowi”.

Był asystentem pastora w Kościele Dwunastu Apostołów Wszechmocnego Jahwe, Jehovah El Saddai i Jehovah Jire, jednym z największych kościołów w mieście. Diabeł nie miał czego szukać u rodziny, której przewodził, więc zamiast muzyki rozbrzmiewającej z naprzeciwka dom Amy wypełniały Voices of the Cross, Calvary Sisters, Jesus is Saviour Band i Ndi Umuazi Jesu, głosy, które działały jej na nerwy. Nigdy jednak nie przysłoby jej do głowy, by powiedzieć ojcu, że ją irytują. Wiedziała, co by się wtedy stało. Spraw Bożych nie wolno obrażać. Ani nimi gardzić. Ani się z nich śmiać. Wiedziała, że ojciec przełożyłby ją przez kolano, a matka patrzyłaby z boku, jak bije ją obrobionym *koboko*, batem z krowiej skóry, który nazywał dyscypliną. Niczego Ama nie bała się tak bardzo, jak dyscypliny, zostawiającej na skórze szorstkie pręgi, które bolały przez wiele dni. Dyscyplina pojawiała się zawsze, gdy Ama była niegrzeczna; jej ojciec święcie wierzył maksymie „Kto kocha go, w porę go karci”⁷³. Na drzwiach pokoju córki powiesił nawet drewnianą tabliczkę z odpowiednimi cytatami z Biblii. „Dzięki temu nigdy o nich nie zapomnisz” – mówił.

Ty go bij różgą, a duszę jego z piekła wyrwiesz.

(Prz 23,14)⁷⁴

Kto zawściąga różgi swej, ma w nienawiści syna swego; ale kto go miłuje, wczas go karze.

(Prz 13,24)

Muzyka świata musiała zostać w tym świecie, z dala od ich domu. To samo dotyczyło alkoholu. I papierosów. I czasopism z nieprzyzwoitymi zdjęciami. I przekleństw. Ich dom był domem bez grzechu. Gdyby to zależało od brata Cyrila, z powodu tej bezgrzeszności pomalowałby cały budynek na biało. Ale uniemożliwiał to harmattan, wiatr zaszczycający Enugu swoją obecnością od sierpnia do listopada. Wiatr ten nie tylko prznosił śmieci z jednego krańca miasta na drugi; pokrywał też trawę rdzą, a mury kurzem, dlatego malowanie domu na biało było wykluczone.

„Gdyby nasza wiara była choćby tak duża jak ziarnko gorczycy – narzekał często brat Cyril – moglibyśmy poprosić harmattan o ominięcie naszych domów i tak by się stało”. Wówczas pastor Ishmael, jeśli znajdował się w zasięgu jego głosu, stanowczo odpowiadał: „Nasza wiara jest wystarczająca, ale Bóg musi wykonywać swoją pracę, bracie Cyrilu. Harmattan to ręka Boga, która nas dotyka. Nie możemy jej powstrzymać! W końcu jesteśmy tylko Jego sługami, niczym więcej”. Każde słowo pastora miało siłę prawdy objawionej, brat Cyril kiwał więc potakująco głową, lecz żał, że nie może pomalować swojego zielonego domu na biało, był wciąż widoczny na jego twarzy.

(„Może żałował, że sam nie jest pastorem, że pieprzone ostatnie słowo nie należy do niego”).

W sennym Enugu wszyscy znali brata Cyrila. W ciągu dwóch lat, odkąd został członkiem Kościoła, awansował na stanowisko asystenta pastora, był zatem oddalony od Boga tylko o jedną parę uszu. Awans zawdzięczał czystej prawości i bogoboju, które były od jego sztywnego białego kołnierzyka. Grzechy świata zastygły na jego czole, wyżłobiły w nim zmarszczki, kilka bezładnie przecinających się zawijasów. Zmarszczki – małe, ściśnięte dżdżownice – pogłębiały się, ilekroć widział kobietę w ubraniu, które nie zasłaniało kolan. Widok ten zawsze prowokował

brata Cyrila do pełnego oburzenia napadu kaszlu, połączonego z rzucaniem przekleństw pod adresem „córek Ewy, które kalają niewinne imię kobiety”, każdorazowo kończącego się wrzaskiem do własnej żony, „kobiety odpowiedniej dla oczu chrześcijanina”, żeby go uspokoiła i podała mu szklankę wody.

Jego żona była wysoka, prawie tak wysoka jak on. Wszyscy uważali, że jego świętość przeszła na nią i nadała jej twarzy blask, jakby dopiero co posmarowała się wazeliną. Jej policzki błyszcząły, odbijały czyste światło, które spływało po nich. Brat Cyril przedstawiał ją zawsze jako „moją Rose, którą poślubiłem jako dziewicę”. I wielu mężczyzn z Kościoła Zstąpionego Jahwe i Dwunastu Apostołów powtarzało, kiedy brat Cyril znajdował się w zasięgu ich głosów, że gdyby każda kobieta była taką chrześcijanką jak jego Rose – którą poślubił jako dziewicę – Bóg nigdy nie zniszczyłby ziemi. Brat Cyril uśmiechał się wtedy; uważał, że została mu zesłana, gdyż „Bóg zawsze dba o swój lud”. Dał mu Rose, chrześcijankę, „by jego ziemską podróż była łatwiejsza”. Wszyscy oczekiwali, że Ama pójdzie w ślady matki i że któregoś dnia stanie się idealną żoną porządnego chrześcijanina.

Zgodnie ze swoim statusem brat Cyril nosił w kościele białą szatę, szatę w kolorze świadczącym o pobożności. Jej biel konkurowała z bielą szaty pastora i gdy stali we dwóch przed ołtarzem, wiernym trudno było rozstrzygnąć, czyja szata jest czystsza.

Również w domu brat Cyril ubierał się na białe. Nosił białe garnitury safari i białe *dashiki*⁷⁵, które oczywiście musiały być nieskazitelne i które jego żona przed praniem gotowała w ogromnym kotle, aby ich biel była zawsze tak samo świątobliwa. Nigdy nie powierzała prania służącej.

„W każdej chwili musisz być przygotowana na spotkanie z Panem” – powtarzał brat Cyril, co każdorazowo wywoływało u Amy pytanie, czy Pan też nigdy nie pozwalał sobie na inny kolor ubrania. Z okazji wielkiego przyjęcia Amy jej ojciec włożył, co było do przewidzenia, jeden ze swoich białych garniturów safari.

Kiedy Ama zdmuchnęła świece na torcie, kiedy tort został

zjedzony, klaun rozśmieszył dzieci, a mężczyzna z aparatem uwiecznił na zdjęciach całą radość i śmiechy, kiedy goście wyszli, a ona została wysłana do łóżka, przekonana, że to był najszczęśliwszy dzień w jej życiu, do pokoju wpłynął ojciec w białym garniturze safari. W pierwszej chwili, gdy w ciemnościach zobaczyła jego sylwetkę ubraną od stóp do głów na biało, pomyślała, że to duch. Gdyby nie zakrył jej ust wielką dłonią i nie stłumił krzyku w jej gardle, wrzasnęłaby. Drugą dłonią zaczął grzebać jej pod piżamką; lawendową bawełnianą koszulką z dużym uśmiechniętym misiem.

To był ten pierwszy raz. Rano Ama nie była pewna, czy jej się to nie śniło. Opowiedziała o tym wszystkim różowym ścianom.

Następnej nocy ojciec znów wpłynął do jej pokoju. Ama opowiedziała ścianom, jak dwoma palcami chwycił jej sutek i mocno go ścisnął. Opowiedziała im, jak bardzo to bolało i jak zimne były jego dłonie.

W następnych dniach ściany usłyszały, że nie chciał słuchać, gdy mówiła, że zadaje jej ból tam na dole. Usłyszały, że próbowała go odepchnąć, gdy na niej leżał, ale był niewzruszony jak góra, a ona nie miała dość siły, by poruszyć górę. Opowiedziała o jego jękach i o lepkiej bieli, która chlusnęła z niego jak kaszka. „Jest ciepła i bardzo fuj” – skarżyła się przyjaciółkom. „Nigdy już nie zjem kaszki!”

Ściany dowiedziały się o wszystkim w najdrobniejszych szczegółach. Wiedziały, jak bardzo pragnęła stopić się ze swoim łóżkiem, jak chciała stać się z nim jednością. Konwulsyjnie sztywniała, naprężała mięśnie, jakby w ten sposób jej marzenie mogło się spełnić. Kiedy tak robiła, ojciec fukał na nią: „Jak brzmi piąte⁷⁶ przykazanie?”. A ona odpowiadała prawie niedosłyszalnie z powodu kołnierzyka koszulki nocnej w ustach: „Czcij ojca swego i matkę swoją”. Wtedy rozluźniała mięśnie, dopuszczała go do siebie i wyobrażała sobie, że krąży wysoko nad pokojem. Czasami widziała siebie krążącą pod sufitem, widziała, jak patrzy w dół, na mężczyznę, który wyglądał jak jej ojciec, i na dziewczynkę, która wyglądała jak ona. Gdy przeszkadzał jej w tym ból, przygryzała

dolną wargę, aż traciła w niej czucie.

Potem zawsze zasypiała w łóżku na siedząco, tyłem do drzwi i twarzą do okna, jakby na coś czekała, na kogoś, kto ją uratuje, kto zabierze ją daleko od ojca i jego jęków. Tej nocy też tak zrobiła. Kiedy się obudziła, wiedziała, że płakała, chociaż jej oczy były suche i nie mogła sobie przypomnieć swojego płaczu.

Bolały ją oczy i gdy rano matka popatrzyła na nią, podejrzewając u niej apollo⁷⁷, bo były zaczerwienione, Ama nie zaprzeczyła, że źle się czuje. Pozwoliła nawet wpuścić sobie krople. Chociaż nikt jej tego nie mówił, wiedziała, że nie może nikomu powiedzieć o tym, co robił z nią ojciec. Nawet własnej matce. Nikomu oprócz ścian, one się nie liczyły.

Ojciec przychodził każdej nocy; z czasem czekała na jego przybycie ze spoconymi dłońmi i z zaschniętym gardłem. Czasami próbowała się wykręcić. Mówiła matce, że nie chce spać sama, że boi się ciemności, ale matka kazała jej przestać się wygłupiać. W końcu ma już osiem lat, więc jest wystarczająco duża, by spać sama. Czy nie rozumie, że jest szczęściarą, bo ma własny pokój? Ile dzieci w jej wieku ma własny pokój? „No? Taki piękny pokój tylko dla ciebie, a ty wciąż chcesz spać ze mną w jednym łóżku!”.

Kiedy dorosła i zmądrzała, uświadomiła sobie, że jej matka celowo udaje, że niczego nie widzi. W przeciwnym razie zajrzałyby przecież w serce Amy i zapytałyby ją: „*Nwam*, moja córko, co się dzieje?”. Chciała, żeby matka ją o to zapytała, żeby mogła jej o tym powiedzieć, ale tak się nie stało. Matka wolała narzekać, że włosy Amy są sztywne jak sizal, że dzieci nie są tak posłuszne jak w czasach, gdy sama była dzieckiem, i że *otapiapia* nie jest już tak skuteczna w zwalczaniu myszy jak kiedyś, że służąca wykrada kubkami ryż z dużego worka w kuchni, że dostawy prądu z NEP-y to kpina, że Ama jest niewdzięcznym dziewczyskiem, bo nie chce zjeść kaszki. Czy nie wie, ile dzieci w ogóle nie ma co jeść? No? A w ogóle to dlaczego nie chce już jeść kaszki? Skąd ten niedorzeczny pomysł?

Ama mówiła ścianom, że chciałyby wyjechać za granicę. We śnie widziała siebie z długimi błyszczącymi włosami w jakimś

mieście daleko stąd, gdzieś, gdzie nie przygniatałyby jej biel ojca. Nie знаła nikogo, kto kiedykolwiek był za granicą, ale w każdej modlitwie wieczornej prosiła Boga o cud. Żarliwie szeptała słowa modlitwy z nadzieją, że umkną uszom ojca i pastora, że dotrą do nieba i delikatnie opadną koło prawego ucha Stwórcy.

Chciała wyjechać do Londynu. W telewizji widziała zdjęcia Mostu Londyńskiego. Ewentualnie do Las Vegas lub Monako. Nazwy te słyszała kiedyś w piosence, która doleciała ze sklepu z płytami po drugiej stronie ulicy:

So I must leave, I'll have to go

To Las Vegas or Monaco

And win a fortune in a game, my life will never be the same...

*Ta na ta na ta na*⁷⁸

Te nazwy brzmiały elegancko, jak miejsca, gdzie wszyscy codziennie ładnie się ubierają, gdzie największym wysiłkiem jest noszenie torebki. Wyobrażała sobie, że mówi ludziom, że mieszka w Las Vegas. Wyobrażała sobie, że wiatr zwiewa jej włosy na twarz, łaskocząc ją w nos. Widziała siebie w Monako, bajecznie bogatą i dorosłą, wolną od niebezpiecznej obecności ojca. Widziała siebie, jak wbrew głośzonym przez niego zasadom, pije na umór i pali mnóstwo papierosów, wirując i kołysząc się w rytm diabelskiej muzyki.

Kiedy trzynaste lat później Ama opuściła dom, nie wyruszyła do Las Vegas ani Monako. Pojechała do Lagosu, większego i bardziej rozległego niż Enugu. To było miejsce w sam raz na początek.

Wydarzenia, które zmusiły ją do opuszczenia domu, nie miały nic wspólnego z długo pielęgnowaną chęcią ucieczki. Nie przyczyniła się w żaden sposób do zdarzeń, które doprowadziły do jej uwolnienia. Przynajmniej świadomie.

Ama była zmęczona i miała nadzieję, że pośpi trochę w autobusie. Już o piątej rano musiała być na przystanku firmy Ekene Dili Chukwu, żeby złapać pierwszy autobus do Lagosu. O tej porze w Enugu było chłodno, temperatura spadła do siedemnastu stopni. Ama zapięła sweter i postawiła kołnierz, żeby choć trochę ochronić wrażliwe na zimno uszy. Jej pusty żołądek przypominał o sobie, burcząc z niezadowolenia. Nie miała czasu zjeść śniadania, nawet gdyby ktoś je przygotował. Właściwie powinna była wziąć szybką kąpiel, choćby dlatego, że całą noc nie spała – o świcie wpadłaby do łazienki i pokonała niechęć do zimnej wody, która powodowała u niej gęsią skórę o grudkach wielkości ospowej wysypki.

Próbowała nie myśleć o głodzie, przyprawiającym ją o zawroty głowy. Mogła udawać, że to post, jedna z wielu kar nakładanych przez ojca członkom rodziny dla oczyszczenia z grzechów.

Mój ojciec, pomyślała. Ale on nie jest moim ojcem. Jest po prostu tym bezwartościowym mężczyzną, za którego wyszła moja matka. Wreszcie się od niego uwolniłam. W końcu uwolniłam się od nich obojga.

Zawsze o tym marzyła. Dlaczego zatem nie czuła spodziewanej ulgi? Nie żałowała, że opuściła matkę. Co ona dla mnie zrobiła? Pozwoliła temu człowiekowi zawładnąć swoim życiem, zrujnować moje. Nie zrobiła nic. Nic, żeby mi pomóc. Co to za matka? Mimo to czuła się nieszczęśliwa i było jej zimno, kiedy o niej myślała. Nie patrzyła na sprzedawców ulicznych, którzy zapełniali dworzec autobusowy. Podeszła do niej mała dziewczynka trzymająca na głowie dużą miskę z wysoko ułożonymi chlebami w przezroczystej folii.

– Chleb, wyborny słodki chleb.

Ama odprawiła bosonogą dziewczynkę. Patrzyła ze

smutkiem, jak podchodzi do innego podróżnego.

– Chleb, wyborny słodki chleb, *sah*. Kup ode mnie chleb.

Patrzyła, jak mężczyzna pomaga dziewczynce – miała najwyżej osiem lat – zdjąć kosz z głowy i wybiera pieczywo. Gdy odłamał kawałek, gwałtownie odwróciła wzrok. Była głodna, ale nie odważyła się kupić chleba, bo nie chciała wydać tej drobnej sumy, którą miała. Czekala ją ośmiogodzinna podróż i Ama chciała mieć pewność, że ma pieniądze na wypadek, gdyby nikt nie wyszedł po nią na dworzec autobusowy w Lagosie. Po tylu opowieściach, które słyszała na temat tego miasta, wydawało jej się nierozsądne przyjeżdżać tam bez grosza przy duszy. Lagos nie był miejscem, w którym można liczyć na uprzejmość obcych. Tak wynikało z niezliczonych piosenek o nim:

Lagos na no man's land, Lagos na waya.

For Lagos, man pikin no get sista or broda.

For Lagos, na orphan I be. Lagos na waya aaa⁷⁹.

Z ulgą zauważyła, że drzwi autobusu się otworzyły. Pasażerów do Lagosu proszono o wsiadanie. Wyglądało na to, że kierowca, z *chewing stick*⁸⁰ w ustach, zamierza jak najszybciej ruszyć w drogę. Ama ucieszyła się. Chciała być jak najdalej od Enugu. Konduktor, gruby mężczyzna, który bardziej nadawał się do pracy w gospodarstwie rolnym niż w luksusowym autobusie, wpuścił pasażerów do środka i zatrzymał mężczyznę z kozłem na sznurku.

– *Mba*. Nie wolno wprowadzać kóz do autobusu! – zawołał i położył dłoń na piersi staruszka, a ten wolną ręką przytrzymał czerwoną czapkę, która prawie zsunęła mu się z głowy. Sprawdzał, czy piórko jest na swoim miejscu. Kozioł zameczał jakby ze złością, a jego właściciel powiedział zachrypniętym głosem:

– Jestem wodzem. Jak śmiesz mnie dotykać? Może nie szanujesz starszych, ale komuś z królewskiego rodu chyba należy się szacunek. Popatrz na to orle pióro!

– Z królewskiego rodu, akurat – odpowiedział konduktor i zdecydowanym ruchem odepchnął mężczyznę, dzięki czemu stojąca za nim Ama mogła wsiąść. – Chyba wodzem swojego chudego tyłka. *Eze ike nsi*⁸¹. To pióro, które masz na głowie, to pióro sępa! – Zaśmiał się grubiańsko, gdy mężczyzna poskarżył się, że zapłacił za podróż i konduktor nie może go nie wpuścić. – To nie jest jakiś pieprzony autobus, do którego można wsiadać z kozłami i baranami, buszmenie! To jest autobus *eggzecutive*. *Eggzecutive!* Nie chcemy tu srających naokoło kóz i baranów. Czy ten autobus wygląda na *gwangworo*⁸²? To *eggzecutive*. Oddamy ci pieniądze, stary idioto!

Tu i tam rozległ się śmiech. Ktoś rzucił, że tytuł wodza każdy może sobie kupić i że nawet pies może podawać się za wodza, jeśli jego pan jest gotów za to zapłacić. Amie żal było staruszka, ale cóż mogła poradzić? Wsiadła i zajęła pierwsze wolne miejsce, ciesząc się, że nie musi już marznąć. Konduktor stanął przy drzwiach i krzyknął, że w autobusie są jeszcze wolne miejsca.

– Lagos. *One more nyash*⁸³. *Lagos, one more nyash!*

Czekał przez kilka minut na spóźnionych pasażerów, ale nikt się nie zjawił. Zamknął drzwi i klepnął dłonią w bok autobusu. Kierowca powoli ruszył i wyjechał na drogę. Gdy pasażerowie zajmowali miejsca, wokół autobusu zebrali się uliczni sprzedawcy; teraz szli za nim, wciąż zachwalając swoje produkty.

– Słodki chleb!

– *Moi moi*, wyjątkowe *moi moi!*

– Banany! Kupujcie banany!

I orzeszki ziemne.

I pomarańcze.

I pomarańcze w miodzie.

W przeważającej mierze sprzedawały je młode dziewczyny. Stało też kilka kobiet w wieku matki Amy. Kobieta siedząca obok wystawiła rękę przez otwarte okno, by odebrać kupioną właśnie

paczuszkę z *akarą*⁸⁴. Jej bransoletki zabręczały. Śmierdziała ubraniami, które za długo leżały w walizce, stęchlizną wymieszaną z wonią kulek na mole. Ten zapach drażnił Amę. Żałowała, że nie udało jej się usiąść przy oknie. Autobus przyspieszył. Kiedy skręcił i włączył się w długi sznur pojazdów powolnie opuszczających Enugu, dworzec w Uwani, sprzedawcy i ludzie, którzy przyszli pożegnać przyjaciół i bliskich, zniknęli Amie z oczu. Żebracy pod katedrą już się obudzili. Kobieta z przekrzywioną chustą na głowie jedną ręką przytrzymała na biodrze płaczące niemowlę, drugą wystawiła metalową tackę w kierunku autobusu.

– *Nyenu m ego*. Proszę, daj mi trochę pieniędzy. Niech Bóg cię błogosławi. *Chukwu gozie gi*.

Konduktor krzyknął, żeby trzymała się z daleka od autobusu *eggzecutive*.

– Już cię tu nie ma! I powiedz mężczyźnie, który zrobił ci dziecko, że musi się tobą zaopiekować. *Anu ofia*. Dzikie zwierzę. Skoro z taką łatwością rozkładasz nogi, sama się o to prosisz!

Kobieta siedząca obok Amy krzyknęła do konduktora, że to właśnie mężczyźni tacy jak on, mający pracę i dom, robią tym kobietom dzieci i zostawiają je na pastwę losu. Rozległy się głosy sprzeciwu. Wtedy kobieta siedząca obok Amy krzyknęła, że wszyscy wiedzą, że mężczyźni nie potrafią się powstrzymać, że taka jest ich natura.

– *Umu nwoke bu nkita*. Psy! Mężczyźni to psy! Kobiety powinny wystrzegać się sytuacji, w których ktoś może je wykorzystać.

Kobieta o grubych rysach i z dużym pryszczem na brodzie, siedząca po drugiej stronie przejścia, opowiedziała historię o zgwałconej córce sąsiadów:

– Cóż, jak mi powiedzieli, że została zgwałcona, wcale mnie to nie zdziwiło. „Pewnie, że ją zgwałcili” – powiedziałam jej matce. Trzeba było widzieć ubrania, które pozwalała jej nosić! *Tufia!* Sukienki odsłaniające uda. Bluzki opinające ciało, tak obcisłe, że jej sterczące piersi przywoływały każdego przechodzącego faceta. Jakim cudem miała nie paść ofiarą gwałtu?

*Biko*⁸⁵, powiedzcie mi.

Niektórzy przyznali jej rację. Kobieta siedząca obok Amy próbowała przekrzywić głos. Czując, że przegrała bitwę, i zdesperowana zwróciła się do Amy po wsparcie:

– *Oro eziokwu?* Przecież mam rację, prawda? Mężczyźni po prostu nie potrafią upilnować swojego interesu. Tak postępują mężczyźni, którzy mają własne domy. Czy myślisz, że te kobiety śpią z innymi żebrakami? Oczywiście, że nie, ci są zbyt zajęci przetrwaniem.

Ama wymamrotała kilka neutralnych uwag, mając nadzieję, że zadowolą nimi kobietę i że dzięki temu uniknie udziału w rozmowie. Nie miała ochoty na dyskusje. Nie chciała myśleć o mężczyznach. Ani o gwałcie. Ani o ojcu, który tak naprawdę nie był jej ojcem. Zapewne chcąc odciąć się od kłótni, która rozgorzała w autobusie, jej sąsiadka otworzyła paczuszkę z *akara*. Odwinęła gazetę, w którą zapakowano potrawę, i rozprostowała na kolanach papier. Oczom Amy ukazało się sześć kulek z ciasta fasolowego, sześć kulek z lanego złota. Ich zapach uderzył dziewczynę w nozdrza. Poczwała, że jej głód się wzmacnia.

– *Welu ofu*⁸⁶ – powiedziała kobieta, częstując ją kulką.

Ama uśmiechnęła się grzecznie i odparła:

– Nie, dziękuję.

– Proszę, tego jest o wiele za dużo dla mnie samej – naciskała kobieta. – *Orika. Welu*⁸⁷.

Ama, wciąż się uśmiechając, powiedziała, że nie jest głodna. Nie, zjadła pożywne śniadanie przed wyjściem.

– Ryż. Sama pani wie, że ryż długo leży na żołądku.

Kobieta zgodziła się z nią. Dźgnęła palcem kulki, wybrała jedną, włożyła ją sobie do ust i ugryzła. Ze środka wypłynęło śmietankowe nadzienie.

– Mmm. *O soka*. Pyszne – krzyknęła radośnie z pełnymi ustami.

Amie zaburczało w brzuchu. Zamknęła oczy. Miała nadzieję, że sen odegna głód, ale chociaż w autobusie znów zapadła cisza, sen nie przychodził. Mimo to zacisnęła mocno powieki. Szkoda, że

nie mogła też zatkać sobie nosa. Słyszała, jak kobieta pakuje resztę jedzenia i pyta: „śpisz?”. Ama kiwnęła głową z wciąż zamkniętymi oczami.

– Masz szczęście. Ja nie umiem spać w jadącym autobusie. Gdybym tylko potrafiła. Całą noc nie zmrużyłam oka.

Nie ty jedna, pomyślała Ama; chciała, żeby kobieta zostawiła ją w spokoju. Miała nadzieję, że jeśli będzie milczeć, sąsiadka przestanie się odzywać i pozwoli jej spać.

– Jadę do Ameryki, to znaczy jadę do ambasady złożyć podanie o wizę – ciągnęła jednak. Ama nie odpowiedziała, licząc na to, że tamta właściwie zrozumie jej milczenie. Najwyraźniej nie rozumiała, bo mówiła nadal:

– Musi się udać. Mój syn mówi, że wiza to formalność. A któż to może wiedzieć lepiej niż on. Zna Amerykanów. Od osiemnastu lat mieszka w Ameryce. Osiemnaście lat. Teraz jest Amerykaninem. Już nawet przez telefon ledwie go rozumiem. *Supri, supri*, tak teraz mówi. *Wanna, gonna, momma*. – Zaśmiała się. – W przyszłym miesiącu jadę do Ameryki.

Przy słowie „Ameryka” podniosła głos. Pasażer siedzący przed nią odwrócił się i rzucił jej krótkie spojrzenie. Ameryka była w modzie. Ziemia obiecana, o której wiele mówiono, ale którą tylko garstka wybrańców zobaczy. Ama poddała się i otworzyła oczy. Uzmysłowała sobie, że ze spaniem może się pożegnać; chyba żeby kobieta usnęła, ale ona rozkręciła się na dobre, szanse więc wydawały się nikłe. Był to ten typ człowieka, który nawet przy zmarłym prowadziłby ożywiony monolog.

Kiedy autobus dojechał do Awki i znalazł się na autostradzie do Onitszy, kobieta przeszła do opowieści o swojej rodzinie: o dzieciach w Ameryce i mężu w wiosce. Bała się jechać do Ameryki. Bała się latać i bała się podróży do nieznanego kraju. Bała się zamieszkać u jedyne go syna i jego białej żony. Co będzie tam jadła? O czym będą rozmawiać? Dlaczego ożenił się z kobietą, o której nic nie wiedziała, której przeszłości nie mogła sprawdzić? Nikt nie znał jej rodziców, nikt nie wiedział, co to za ludzie. A jeśli to przestępcy? Albo trędowaci? *Osu*⁸⁸, a może nawet pariasi? Jej

mąż szalał z rozpaczy, kiedy ich syn trzy lata temu oznajmił, że się żeni. Przysłał zdjęcie kobiety o dużych zapadniętych oczach, tak chudej, że nie wyobrażali sobie, by kiedykolwiek mogła donosić ciążę. Dlaczego ich syn poleciał akurat na nią, skoro mógł mieć każdą inną? Jakim cudem te chude biodra miały nosić dziecko? Ale ku jej wielkiemu zdziwieniu synowa donosiła ciążę i urodziła zdrowe dzieci. Dała dzieci jej synowi. Na nim, jako jedynym synu, ciążył obowiązek przedłużenia rodu, by oddać cześć swemu imieniu – *afamefunu*: „by moje imię nigdy nie zginęło”. Jego obowiązkiem było zadbać o potomka, ale nie o dzieci zrodzone ze związku z białą kobietą. Ale dobrze, i tak się cieszy, że zobaczy swoje wnuki. Ciężko jej z tym się pogodzić, ale *nwa bu nwa*, dziecko to dziecko. Zobaczy wszystkie swoje wnuki. Dwoje dzieci jej syna, Harry’ego i Jimmy’ego – co to za imiona dla chłopców, którzy kiedyś będą mężczyznami? I jeszcze pozostałych ośmioro wnucząt, rozrzuconych po całych Stanach. Jej trzem córkom się udało: wyszły za mąż za mężczyzn z ich wsi, mężczyzn, których rodziny znała. Gdyby tylko jej syn postąpił tak samo, nie musieliby się martwić z mężem o swój los.

– Zła rada – powiedziała. – Ktoś źle poradził mojemu synowi i ja tego kogoś przeklinam, kimkolwiek jest! Żeby rozsadziło mu brzuch i żeby pękł! Żeby wydalął tłuste robaki, a potem poszedł do grobu. – Jej syn zawsze był rozsądny, już od najmłodszych lat – powiedziała. Nigdy nie podjęłaby złej decyzji, gdyby otaczał się właściwymi osobami. – To jest daleko, *uzo eteka* – dodała zrezygnowana. – Inaczej zadbałabym o to, żeby nie doszło do ślubu.

Oddech kobiety uderzył Amę w nos, wypełnił jej nozdrza zapachem *akary*. Nie potrafiła powiedzieć, czy gorszy był zapach *akary* czy stęchłych ubrań.

Dwie i pół godziny później, gdy autobus zatrzymał się w Onitszy, by zabrać kilku pasażerów, sąsiadka Amy wciąż mówiła. Dziewczyna zastanawiała się, gdzie usiądą trzy kobiety, które właśnie weszły – wszystkie miejsca były zajęte. Wtedy zobaczyła, że konduktor wyciąga skądś trzy taborety i stawia je w przejściu na

końcu autobusu. Nie wiedziała, że firma taka jak Ekene Dili Chukwu sprzedaje też gorsze miejsca; za przywilej siedzenia na taborecie klienci płacili tylko część należności za bilet. Ama zastanawiała się, czy w ogóle można tak podróżować. Jedna z kobiet wyciągnęła przed siebie nogi i natychmiast podpadła konduktorowi, który jej dogryzł, że nie jest w swojej kuchni czy sypialni.

– To autobus *eggzecutive*! – powiedział.

Gdy zatrzymali się na przystanku w Beninie, kobieta siedząca obok Amy wreszcie przestała mówić. Dziewczyna była wdzięczna za ciszę. Może uda jej się zdrzemnąć, nim dotrą do Lagosu. Do autobusu wsiadł jednak młody, łysy mężczyzna. Stał z przodu, obok kierowcy, z torbą podróżną przewieszoną przez ramię, i zaczął wygłaszać kazanie. Wsunął rękę do torby i wyciągnął z niej oprawioną w skórę *Biblię króla Jakuba*⁸⁹. Nawet bez mikrofonu jego głos niósł się po całym autobusie. Nie można było od niego uciec.

– Jeśli kochasz Jezusa, unieś ręce do góry! – Kilka osób podniosło ręce, reszta go zignorowała. – Powiadam wam: jeśli nie wstydzisz się Jezusa, unieś ręce do góry. Alleluja! – Tym razem zareagowało więcej pasażerów. Sąsiadka Amy przebudziła się i podniosła obydwie ręce, z właściwą sobie zapalczywością demonstrując wszystkim, jak ogromna jest jej miłość do Pana. Ama zamknęła oczy. Miała dość kaznodziejów i pastorów. Kiedy mężczyzna otworzył Biblię i zaczął czytać Ewangelię, Ama zapadła w drzemkę.

Poprzedni dzień wydawał się równie nierealny jak niektóre sny. Ale to wszystko wydarzyło się naprawdę. W innym wypadku nie siedziałyby teraz w autobusie, w drodze do kuzynki matki w Apapie, obok kobiety pachnącej *akara*, stęchłymi ubraniami i kamforą.

Wciąż nie wiedziała, co ją opętało i dlaczego naskoczyła na ojca. Może to był efekt frustracji – ponieważ nie zdała JAMB, egzaminu wstępnego, który pozwoliłby jej opuścić Enugu i rozpocząć naukę na uniwersytecie Nnamdi Azikiwe w Awce, gdzie

chciała zdobyć zawód laborantki. Całe życie marzyła o pójściu na uniwersytet poza Enugu, ale na tyle blisko, by mogła często odwiedzać matkę. Po studiach znalazłaby pracę i całkowicie uwolniła się od białej dewocji ojca.

Nadal odwiedzałyby matkę, niezależnie od tego, gdzie by mieszkała. Czasami Amie żal było matki, która musiała nie tylko pracować, ale i gotować ubrania swego męża, asystenta pastora w drodze na stanowisko głównego pastora, by jego prawość świeciła dodatkowym blaskiem. Jeśli po praniu ubrania wciąż nie były nieskazitelnie czyste, matka Amy chodziła zgarbiona, bo brat Cyril nie tolerował błędów; chciał, by cała jego rodzina „poszła do nieba”, dlatego uwalniał żonę od grzechu batogiem. Ama żałowała, że nie mogąc we dwie uciec z domu w Enugu, domu z trzydziestoma dwoma stopniami prowadzącymi do nieba.

Chociaż minęło wiele lat od czasów, kiedy ojciec zakradał się do jej pokoju i w ciemności obmacywał jej niewyrośnięte piersi, obrazy te wciąż ją prześladowały. Po tym jak mając jedenaście lat, dostała pierwszej miesiączki, przestał do niej przychodzić. Mimo że szczerze nienawidziła tej krwawej comiesięcznej wydzieliny i towarzyszącego jej bólu pleców, była wdzięczna, że menstruacja uwolniła ją od ojca. Bóle miesiączkowe nie były wygórowaną ceną za tę wolność.

Dwa lata temu zdała maturę, ale od tego czasu nie udało jej się uzyskać liczby punktów wymaganej do zaliczenia egzaminu JAMB, dzięki któremu mogłaby się dostać na wybrany przez siebie uniwersytet. Gdyby miała pieniądze, zapłaciłaby komuś, żeby poszedł za nią na egzamin, i wtedy by się dostała. Wszyscy tak robili. Znała ludzi, którzy w mniejszym stopniu niż ona zasługiwali na miejsce na uniwersytecie; którzy kupili pytania od skorumpowanych egzaminatorów JAMB i nauczyli się ich w domu lub zapłacili komuś, by poszedł za nich na egzamin. Ogonna, najgłupsza koleżanka z klasy, od razu po szkole średniej dostała się na uniwersytet, chociaż wszyscy wiedzieli, że nie umie nawet bez błędu napisać własnego imienia. To jest niesprawiedliwe. Ama bardzo dużo się uczyła i dużo modliła, ale i tak dwa razy z rzędu

oblała. Zamknęła się w swoim pokoju i płakała przez cały ranek, przeklinając niesprawiedliwość życiową. Koło południa matka przekonała ją, by coś zjadła, i przypomniała, że za rok może znów spróbować. „To nie koniec świata” – powiedziała. Kiedy próbowała ją pocieszyć, Ama popatrzyła w przyszłość. Jedyne, co zobaczyła, to jednokierunkowy tunel, w którym utknęła i z którego nie mogła uciec. To *był* koniec świata.

Kiedy ojciec wrócił z pracy i dowiedział się o wynikach egzaminu, oskarżył Amę, że za mało się uczyła.

– Gdybyś bardziej przyłożyła się do nauki, zamiast snuć się po mieszkaniu jak duch, zdałabyś! Jesteś leniwa. Po prostu leniwa. Koniec, kropka! – Rzucił Amie w twarz oficjalnym pismem z wynikami egzaminu i poprosił o obiad. – Zejdź mi z oczu, obiboku! Idź pomóc matce w kuchni. Idiotka. Pełzasz jak jaszczurka, *ngwerre*, po domu i ty chcesz zdać JAMB? Czy ty myślisz, że zdać JAMB to to samo, co zjeść *akamu*⁹⁰? Zejdź mi z oczu, żebym miał widok na ulicę, *ka m fu uzo*⁹¹ – syknął i odepchnął ją z miejsca, w którym stała przed nim, jakby za nią znajdowało się coś, czego nie mógł zobaczyć.

Ama zachwiała się, ale natychmiast odzyskała równowagę. Dziewczyna zagotowała się ze złości i wybuchła:

– I ty nazywasz siebie moim ojcem? – Później doszła do wniosku, że to uwaga o tym, że „snuje się po mieszkaniu jak duch”, przelała czarę goryczy, bo właśnie w ten sposób przez te wszystkie lata myślała o *nim*, gdy ubrany w biały, świecący w ciemności strój przychodził do jej pokoju. – Ty nazywasz siebie moim ojcem? Ty nazywasz siebie pastorem? Brzydzę się tobą! *I na-aso m oyi*.

Matka przybiegła do salonu, gdzie trwała kłótnia.

– Przestań, Amo! Przestań. *Mechie onu*⁹².

Próbowała wywlec Amę z pokoju, ale dziewczyna się broniła i wyswobodziła rękę z uścisku matki. Była od niej silniejsza i bez trudu jej się wyrwała.

– *Mba*. Nie. Nie będę milczeć. Mamo, wiesz, co on mi robił, gdy byłam małą? Gwałcił mnie! Każdej nocy od nowa.

Przychodził do pokoju i zmuszał mnie, bym rozłożyła przed nim nogi. Pamiętasz, jak myślałaś, że mam apollo?

Nagle matka uderzyła ją w twarz.

– Jak śmiesz mówić w ten sposób o swoim ojcu? Co cię opętało? *I fe o na-eme gi n'isi?* Zgłupiałaś czy...

Głos brata Cyrila przerwał jej, zdusił słowa, którymi chciała go uspokoić i dać mu do zrozumienia, żeby nie słuchał Amy, żeby ją zignorował.

– Nie. Niech mówi. *Ya kwube*. Niech pluje jadem. Widzisz teraz, co za dziecko przyprowadziłaś do mojego domu? Widzisz? *I fugo ya nu?* Powiem więcej: otwórz wszystkie okna, by sąsiedzi też to usłyszeli. Niech nasi *agbataobi* przyjdą posłuchać idiotyzmów twojego dziecka!

– Mamo, musisz mi uwierzyć – błagała Ama. – Nie kłamię. On mnie gwałcił. *Eziokwu*, ojciec mnie gwałcił.

– Nie nazywaj mnie tak. Nie nazywaj mnie swoim ojcem. Nie jestem twoim ojcem, ty głupia, kłamliwa dziewucho. – Każde dobitnie wypowiedziane słowo miało siłę grzmotu.

– Nie teraz, bracie Cyrilu. Proszę!

Matka Amy siedziała na podłodze z podkulonymi nogami i wyciągniętymi przed siebie dłońmi, odwróconymi wierzchem ku górze, w pozycji, którą przyjmowała do modlitwy, gdy jako nędzna grzesznica błagała Boga o przebaczenie. Z tej pozy było poniżenie, dlatego Ama chciała ją podnieść. Brat Cyril zaśmiał się i wstał z krzesła, na którym siedział, czekając na posiłek. Stał przed Amą; wystające z sandałów duże męskie palce u stóp uśmiechały się do niej szyderczo.

– Nie jestem twoim ojcem, słyszysz? Przygarnąłem twoją matkę i oto, jak mi dziękujesz. Tak mi się odpłacasz za to, że uchroniłem cię przed piętnem bękart. Tyle lat cię wychowywałem i karmiłem, a ty tak mi dziękujesz. Czy wiesz, jaki los czeka dzieci, które nie mają ojca? Dzieci, które niby urodziły się w domu, spłodzone przez nieznanego ojca? *I me atuta n'uno*⁹³. Wynoś się! Nie chcę cię tu więcej widzieć. *Tata*⁹⁴. Jeszcze dziś, Bóg mi świadkiem, jeszcze dziś wyniesiesz się z mojego domu!

– Jeśli masz jakieś problemy, jeszcze dziś zanieś je do Pana. Alleluja!

– Amen – zaśpiewał autobus chórem.

Ama zatopiała się we własnych myślach, ale na chwilę została ściągnięta do terażniejszości. Nigdy wcześniej nie była w Lagosie. Jak ona przeżyje w tym mieście? Tylko tam, zdaniem jej matki, można ją było wysłać. Daleko od Enugu i ludzi, którzy ich znają. Ama zastanawiała się, w jaki sposób matka wytłumaczy im, dlaczego jej córka wyjechała. Czy powie im, że znalazła pracę w innym mieście? Że dostała się na uniwersytet? Co im powie?

Nie mogła uwierzyć, że przez te wszystkie lata milczeli na temat okoliczności jej przyjścia na świat. Jak mogli jej to zrobić?

Miała zatem ojca, o którym nic nie wiedziała. Wczoraj wieczorem ucieszyła się, że brat Cyril nie jest jej prawdziwym ojcem. Kiedy teraz o tym rozmyślała, czuła wdzięczność i ulgę na myśl, że jej ojciec jest lepszym człowiekiem niż brat Cyril. Musi być. Tego chciała. Ale ulga nie trwała długo, szybko wyparło ją palące pytanie o to, kim jest jej prawdziwy ojciec. Jak wygląda? Gdzie mieszka? Jak się nazywa? Ile ma wzrostu? Czy nosi brodę? Wąsy? Czy Ama ma rodzeństwo? Braci? Siostry? Jak oni wyglądają? Czy wiedzą o jej istnieniu? Pytania dostały skrzydeł i trzepotały w jej głowie, uderzały o czaszkę i wywołały ból głowy. Potarła skronie. Jej dotychczasowe życie runęło jak domek z kart. Stabilne życie rozpadło się na kawałki; nie wiedziała, kim naprawdę jest. Jakby ktoś wypuścił ją z klatki, z której wpadła wprost w cierniste krzaki. Nie wiedziała, co lepsze: ciasna klatka czy kłujące ciernie. Po jakimś czasie dotarło do niej, że ciernie mają tę zaletę, że zawsze może się z nich wyplątać i odejść. Jej myśli często krążyły wokół biologicznego ojca. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że jej matka miała kiedyś innego mężczyznę, kurde, że jej spokojna i posłuszna matka, żona chrześcijanina, uprawiała seks pozamałżeński!

Wróciwszy wczoraj wieczorem do pokoju, który nie zmienił się, odkąd zajęła go jako mała dziewczynka, Ama zażądała, by matka opowiedziała jej o prawdziwym ojcu. Ona jednak

odpowiedziała przepęnlionym pretensjami lamentem: jej córka jest niewdzięcznicą, grzesznicą, która postawiła sobie za cel zmarnować życie rodzonej matce.

– Tak, popełniłam błąd. Błąd, który mógł mnie całkowicie zniszczyć. Mimo to brat Cyril wziął mnie do siebie i się ze mną ożenił. Uchronił mnie przed strasznym losem. Ilu mężczyzn ożeniłoby się z kobietą, która jest w ciąży z innym? Powiedz mi, Amo, ilu? A ty wykrzyczałaś mu to w twarz. Czym sobie na to zasłużyłam? Mów, Amo, co takiego zrobiłam, żeby sobie na to zasłużyć? Mógł nas dziś wieczorem wystawić na ulicę. Wielu mężczyzn właśnie tak by zrobiło, dobrze o tym wiesz. Ale on tego nie zrobił, z czystej dobroci.

Ama próbowała opowiedzieć matce o ósmym urodzinach. Wciąż czuła strach, który towarzyszył jej nocami, kiedy brat Cyril do niej przychodził. Pragnęła wyrzucić z siebie ten strach. Zaczęła opowiadać, ale matka jej przerwała.

– Milcz. Zamknij, Amo, zanim mój mąż wyrzuci mnie przez ciebie z domu. *Mechie onu kita*. – Dziwna twardość w jej głosie zmusiła Amę do milczenia. – Po prostu spakuj swoje rzeczy. Spakuj się. Jutro o świcie, *ututu echi*, wsiądziesz do autobusu do Lagosu. Dzwoniłam do mamy Eko. Czeka na ciebie. – Matka rzuciła kilka zgniecionych banknotów na łóżko. – To na bilet i jedzenie. Nie zdążysz zjeść śniadania.

Ama wzięła pieniądze dopiero wtedy, gdy matka wyszła z pokoju z przesadną godnością drugorzędnej aktorki.

Następnego ranka opuściła dom, w którym dorastała. Ani brat Cyril, ani matka nie wstali z łóżek, by ją pożegnać.

Mama Eko była kuzynką matki Amy. Prowadziła bukę, zwyczajny bar przy Ezekiel Avenue w dzielnicy Ikeja, w pobliżu Diamond Banku. Jej twarz o pełnych policzkach z dołeczkami wielu ludzi określiłoby jako wesołą i przyjacielską. Przed przyjazdem do Lagosu Ama tylko raz widziała mamę Eko – kiedy przyjechała z dwudniową wizytą do Enugu. Pamięta, że mama Eko narzekała na miasto. Uważała, że jest za małe. Wyludnione. Za ciche. Powiedziała: „Ludzie chodzą tu ulicami, jakby szli prosto do

grobu. W Lagosie nie jest tak pusto nawet w Boże Narodzenie, gdy większość mieszkańców wraca do rodzinnych wiosek”.

„Lagos to miejsce, gdzie trzeba być! *Lagos bu ebe ano*. To miasto, gdzie wszystko się dzieje” – powiedziała następnego ranka przy śniadaniu, machając nad talerzem z jajkiem sadzonym i tostami rękoma przystrojonymi mnóstwem brzęczących bransoletek. Dźwięk ten przypominał głos odległego gongu, co zachęciło brata Cyrila do bąknięcia – ale tak, by usłyszała – że ten, kto uważa, że Lagos jest początkiem i końcem świata, chyba lepiej zrobi, jeśli się stamtąd nie będzie ruszał. Ama nie była pewna, czy to przez tę uwagę mama Eko już następnego dnia spakowała bagaże, czy też od początku miała zamiar zostać tylko dwa dni.

Mama Eko było jedną z pierwszych osób, które zobaczyła Ama, gdy autobus wjechał na dworzec w Lagosie. Jej uśmiech i dołeczki w policzkach na widok kuzynki ucieszyły dziewczynę. To był szczery, wesoły uśmiech. Ama z wdzięcznością rzuciła się jej w objęcia i przytuliła do niej.

– Dzień dobry, mammo Eko! Bardzo się cieszę, że po mnie przyjechałaś...

Kobieta odpowiedziała z prostotą:

– Twój ojciec jest człowiekiem trudnym w pożyciu. *Nno*⁹⁵.

Witaj w Lagosie.

Dom mamy Eko był mniejszy, niż go sobie Ama wyobrażała. Nie wiedzieć czemu wydawało jej się, że tak duża i temperamentna kobieta jak mama Eko mieszka w elegantszym otoczeniu. Ciotka zajmowała mieszkanie na parterze trzypiętrowego bloku.

– A oto moja willa! – Uśmiechnęła się, wkładając klucz do zamka w lepiących się od brudu drzwiach, pomalowanych na jasnozielony kolor, które prowadziły do salonu przepelnionego meblami. Monstrualna figura mamy Eko dopełniła całości. Przy ścianie w kolorze błota wyrastała ogromna beżowa sofa, a za nią stół. Naprzeciwko stała mała, dwuosobowa kanapa pokryta aksamitem i dwa rattanowe krzesła, na środku pokoju znajdował się szeroki, niski stół ze szklanym blatem i masywnymi

marmurowymi nogami w kształcie męskich łydek, na którym stał brązowy wazon w tym samym odcieniu co ściana, pełen żółtych, fioletowych i czerwonych sztucznych kwiatów. Kwiaty były czyste, jakby niedawno ktoś je odkurzył i przetaił wilgotną ścierką. Po lewej stronie stołu, obok kanapy, stał dębowy stolik telewizyjny z trzema półkami i średniej wielkości kolorowym telewizorem firmy Samsung. Pod nim znajdowała się wieża stereo, a jeszcze niżej odtwarzacz wideo. Między stolik RTV a stół ze szklanym blatem wciśnięto wąską przeszkloną szafkę z bogatą kolekcją płyt kompaktowych. Ama nie знаła nikogo, kto miałby równie imponującą kolekcję. Szybko odczytała nazwy na pudełkach: Marvin Gaye. ABBA. Peter Tosh. Onyeka Onwenu. Dora Ifudu. Sir Victor Uwaifo. Nina Simone. Barry White. Wyjęła jedno pudełko, obróciła je i zachwycona studiowała tytuły piosenek. *My Baby Just Cares for Me. Love's Been Good to Me. I Loves You Porgy. Falling in Love Again. Alone Again.* Każda z nich miała lekceważący tytuł, pozostający w wyraźnym rozdzwieku z pobożnymi tytułami piosenek Voices of the Cross. A kiedy mama Eko zaklęła, bo łopatki włączonego wentylatora się nie obracały, Ama wiedziała, że poczuje się tu jak u siebie. Na twarz dziewczyny wypłynął szeroki, radosny uśmiech. W domu nie wolno było przeklinać. Ama powtórzyła wypowiedziane przez mamę Eko słowo i rozkoszowała się jego bezbożnym brzmieniem, delectowała się boskim bluźnierstwem, smakującym jak potrawa, której nigdy nie jadła. Poczowała się przewrotnie szczęśliwa. Szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej. To było tak, jakby całe życie czekała na ten moment, jakby te wszystkie chwile odczuwane przez nią jako szczęśliwe miały ją przygotować na dzisiejszy dzień.

– Ładna kolekcja – powiedziała do mamy Eko, która weszła właśnie do pokoju w gumowych klapkach.

– Och, przepraszam, *ndo*. Nawet nie pozwoliłam ci usiąść. Masz za sobą długą podróż. *Nodu ani*. Usiądź sobie, dziewczyno. *Biko*, nie zwracaj na mnie uwagi. Te buty, które miałam na sobie, są niewygodne, ale cóż, pasują do *boubou*⁹⁶. – Poruszyła palcami u

stóp. – Ech. Biedne paluszki. Czego to my, kobiety, nie robimy, by ładnie wyglądać! No, sama powiedz!

Mama Eko wsunęła końce wielokolorowej *boubou* między nogi, narzekając, że jest straszny upał, i usadowiła się na krześle. Zachęciła Amę, by poszła w jej ślady. Dziewczyna wybrała jedno z rattanowych krzeseł, które okazało się bardzo niewygodne i zmusiło ją do gwałtownego wyprostowania się, jakby właśnie upomniał ją nauczyciel, krzyząc: „Hej, ty tam! Wyprostuj się!”. Oparcie było twarde, rozboleły ją plecy. Rzuciła okiem na kanapę i zastanowiła się, czyby się tam nie przesiąść. Kanapa wyglądała na wygodniejszą, przyjemniejszą niż rattan. Przez chwilę rozważała zmianę miejsca, ale w końcu zrezygnowała.

Ktoś naprzeciwko burknął: „NEPA!”. Coś skrzypnęło i łopatki wentylatora zaczęły się obracać. Najpierw opornie, jak wysłużona kosiarka, wyczekująca z utęsknieniem emerytury, a potem coraz szybciej, aż wzzt-wzzt przeszło w prawie niesłyszalne buczenie i wentylator zaczął spełniać swoje zadanie, dając skórze przyjemny chłód i poprawiając atmosferę.

– Znów mamy prąd – zakomunikowała mama Eko z radosnym uśmiechem. – Upał naprawdę zaczynał mi już dokuczać. NEPA dostarcza prąd jak jałmużnę. I jeszcze musimy być wdzięczni za te drobiazgi, które otrzymujemy. Nasz los jest w ich rękach – prychnęła. Nie wyglądała na osobę, która chętnie oddaje swój los w czyjeś w ręce. – Zaraz wróci Uju i dostaniesz coś do jedzenia. Włączyć jakąś muzyczkę? Nikt nie śpiewa tak jak Nina Simone. Nie słyszałam o niej do czasu, aż kupiłam jej płytę od sprzedawcy ulicznego. Podobało mi się też, jak wygląda. Ależ z niej brzydactwo. *Ojoka*, ale na swój sposób atrakcyjna. Włączyłam płytę w aucie i stojąc w korku, doznałam uczucia, jakbym wygrała w totka. *Eziokwu*.

Wstała i włączyła płytę. Tragiczne piękno głosu, który natychmiast wypełnił pokój, wprawiło Amę w osłupienie. Miała wrażenie, że piosenkarka błądzi w najgłębszych ciemnościach, a jednocześnie była przekonana, że wróci z czymś pięknym, z tęczą lub czymś podobnym. Na wpół zmysłowa, na wpół przeraźliwie

smutna piosenka. O smutku i radości. I o ojcu, który stał się duchem.

And I was oh so glad, and it was oh so sad.

That I realized that I despised this man I once called father.

In his hanging on, with fingers clutching.

His body now just eighty-eight pounds.

Blinded eyes still searching.

For some distant dream that had faded away at the seams.

Dying alone, naturally⁹⁷.

Przy dźwiękach kończącej się piosenki do pokoju weszła Uju, około dziesięcioletnia dziewczynka. Nazwała Amę „ciocią” i powiedziała do niej *nno*. Na chwilę klękła unizenie na jedno kolano.

– Przynieść teraz coś do jedzenia, mamó? – zapytała mamę Eko, która skinęła głową. Uju zniknęła w korytarzu, ciągnącym się wzdłuż salonu.

– Ta dziewczynka z nieba mi spadła. Jest najlepszą służącą, jaką można sobie wyobrazić. Jest mała, ale silna. I tak też ją nazywam – krzyknęła entuzjastycznie mama Eko. – Mała, ale silna. *Obele n si na-emebi ike*. Taki knypek, a przerasta niejednego dorosłego. Lagos to twarde miasto. Cały dzień krzątam się w

barze, a Uju dba o dom i robi to doskonale. Taki obowiązek odstraszyłby dziewczyny dwa razy starsze od niej, ale nie Uju! A przy tym wyśmienicie gotuje. *O na-esi nni ofuma ofuma.*

Jakby się umówiły, do pokoju weszła Uju, roztaczając wokół siebie zapach zupy *onugbu*⁹⁸. Położyła na stole tacę z jedzeniem i wróciła do kuchni po wodę. Postawiła żółtą plastikową miskę na środku stołu i zniknęła tak bezgłośnie, jak przyszła. Kobiety umyły ręce i sięgnęły po jedzenie. Ama zlizwała zupę z palców i przyznała, że mama Eko nie przesadziła, chwalać talent kucharski służącej.

– Jeszcze nigdy nie jadłam tak smacznej zupy *onugbu* – powiedziała, wdzięczna za pierwszy tego dnia posiłek. Wzięła kawałek sztokfiszka i zlizwała z niego zupę, nim wsadziła go do ust. – *Okproko aa amaka.* I jaki wspaniały sztokfisz! Jedzenie jest naprawdę wyśmienite!

Mama Eko zrobiła kulkę z *gari*, umoczyła ją w zupie i powiedziała, że Uju potrafi o wiele więcej.

– Wierz mi, ta dziewczynka jest geniuszem. Zna wiele świetnych przepisów. Mężczyzna, który się z nią ożeni, nigdy nie zejdzie na złą drogę. To prawdziwy skarb. Kochana. *O site.* Nawet z liści palmowych potrafi wyczarować pyszne danie. *Eziokwu ka m na-agwa gi.* Nie kłamie. Uju umie ugotować ryż *jollof*, wykorzystując jedynie olej palmowy i kraby rzeczne. Mówię ci. – Po brodzie pociekło jej kilka kropel zupy, które otarła wierzchem dłoni. Zawołała Uju i poprosiła, by przyniosła dwie butelki guinnessa z lodówki. Ama jeszcze nigdy nie piła guinnessa. Alkohol był zabroniony w bogobojnym domu brata Cyrila. – Chyba masz ochotę na guinnessa, co? – zapytała mama Eko.

– Tak, guinness jest smaczny – powiedziała Ama. Spojrzała na zaparowaną butelkę. Mama Eko przechyliła szklankę i profesjonalnie naląła do niej piwo – warstwa białej piany, a pod nią ciemny, czerwono-brązowy płyn. Ama ostrożnie upiła łyk. Przełknęła. Jeszcze jeden. Próbowwała się nie skrzywić. Piwo było gorzkie. Smakowało jak *dogonyaro*, herbata z gotowanych zielonych liści przeciw malarii. Matka za każdym razem musiała wmuszać w nią napar, zaklinając się, że to dla jej dobra, że

przecież Ama nie chce leżeć tygodniami w łóżku z malarią. „Wypij, *nne*, wypij. Bądź dzielna”. Wtedy zaciskała powieki i zatykała nos, pozwalając matce, by wlała w nią napar. Ale tym razem nie zamknęła oczu. Obróciła szklankę w dłoniach, przyjrzała się napojowi i dostrzegła plamki światła na dnie. Jeszcze raz obróciła szklankę i przystawiła do niej usta, by wziąć większy łyk. Piwo spłynęło jej do gardła, wywołując cudowne uczucie. Spojrzała na mamę Eko z wdzięcznością. Miała ochotę wyściskać tę kobietę, ciepłą, niekonwencjonalną, wesołą i pełną obietnic – łączącą wszystkie te cechy, bez których Ama musiała się obywać w Enugu.

Mama Eko nie miała męża ani dzieci. Ama zastanawiała się, czy to dlatego została do niej wysłana. Czy może matka wiedziała, że ciotka nie będzie ciekawa powodu, dla którego dziewczyna została wyrzucona z domu? Wciąż nie zapytała, co się stało. Ale może już o tym wie, pomyślała, zastanawiając się, ilu ludzi zna prawdę. Czy tylko ona o niczym nie wiedziała? Czy reszta rodziny wie, kim jest jej ojciec biologiczny? Cieszyła się, że mama Eko nie zadaje zbyt wielu pytań, jakby wcale jej nie interesowało, co takiego się wydarzyło, jakby po prostu cieszyła się z towarzystwa Amy.

– Jak na miasto pełne ludzi Lagos potrafi być bardzo samotnym miejscem, kiedy siedzi się samemu w domu – powiedziała, puszczając do niej oko, gdy jechały samochodem z dworca autobusowego do domu. Ama zastanawiała się, czy za tymi słowami nie kryło się coś więcej.

Po obiedzie mama Eko wysłała Amę do pokoju, by się rozpakowała i trochę odpoczęła. Dziewczyna rzeczywiście była zmęczona, ale zaprzeczała temu – w końcu nie przyszła tutaj z Enugu na piechotę. Mama Eko nie chciała o tym słyszeć.

– Idź odpocząć, córko mojej kuzynki. Masz za sobą daleką podróż. Idź *zue ike*.

Ama ucieszyła się, że po smacznym posiłku może chwilę się zdrzemnąć na wygodnym łóżku. Traktowała Lagos jak przygodę i nie mogła się doczekać, by ją odkryć, ale do tego potrzebna było

energii. Dużo energii. Wywnioskowała to z powietrza i dźwięków dochodzących z pobliskich bloków. Nie mogła się doczekać następnego dnia, kiedy wyruszy na podbój miasta. Wybierze się z mamą Eko do baru i pomoże jej w kuchni, będzie gotować i obsługiwać klientów. Tylko tyle chciała od niej mama Eko w zamian za dom i święty spokój.

Buka była małym budynkiem o ambitnej nazwie Mama Eko's Cooking Empire. Obietnice, wypisane pochylonymi złotymi literami na wielkim szyldzie, również nie grzeszyły skromnością: „Wyśmienite potrawy, orgiastyczna przyjemność, aż się uszy trzęsą. Raz skosztujesz, a na pewno tutaj wrócisz!”. Obok haseł widniała twarz mężczyzny z wystawionym językiem, patrzącego zachłannie na miskę z utłuczonym pochrzynem. Przed Empire stał rząd złowieszczymi wyglądającymi kaktusów. Według mamy Eko rozweselały one przybytek. Wolą ją od kwiatów, które wymagały wody i uwagi, które trzeba było pielęgnować jak dziecko. „Tych chłopaków nie obchodzi, czy o nich myślisz czy nie. I tak kwitną!”.

W ciągu dziesięciu miesięcy spędzonych w Lagosie życie Amy biegło stałym rytmem, którego powtarzalność w końcu zaczęła ją nudzić.

W tygodniu codziennie wstawiała o piątej rano, brała szybki prysznic, ładnie się ubierała i jechała *molue*⁹⁹ do Empire. Do baru docierała chwilę przed siódmą. Dzwoniąc kluczami, najpierw otwierała niebieską kratę antywłamaniową, następnie drewniane drzwi, odsuwała zasłonę, odkurzała krzesła i kroїła chleb na śniadanie. Mama Eko zjawiała się godzinę później, a Uju przychodziła punktualnie przed szczytem, czyli porą obiadową.

W soboty robiła z mamą Eko i Uju zakupy do baru. W niedziele odpoczywały. Bez nerwowego pospiesz-się-bo-inaczej-spóźnimy-się-do-kościola. Ama po prostu rozciągała się na łóżku jak rozpieszczony kot, podczas gdy Uju przyrządzała w kuchni pyszne potrawy, które wprowadzały mamę Eko w kulinarną ekstazę, wywoływały jej ochy i achy; zawsze wtedy twierdziła, że Uju jest przeznaczona dobremu mężczyźnie. Dziewczyna, która

gotuje tak dobrze jak ona, nie może trafić na złego męża. Tak to już jest na tym świecie.

Przewidywalność życia, zataczane przez nią koło od małego mieszkania do miniaturowego Empire ciążyły Amie; tak bardzo chciała wyrwać się do wielkiego świata.

W tygodniu pora śniadaniowa mijała bez problemów – tłumów nie było, wielu klientów zamawiało tylko chleb z masłem i ciepłe kakao. Ama potrafiła posmarować chleb z zamkniętymi oczami, zmieszanie herbaty z mlekiem też było dziecinnie proste. Gorzej robiło się w południe. Potrawy były bardziej skomplikowane, a klienci – zamknięci dotąd w czterech ścianach biura, gonieni przez terminy i zmuszeni do wysłuchiwania poleceń zniecierpliwionego szefa, który mówił im, co mają robić – bardziej wymagający. Dla nich bar stawał się na chwilę innym światem, odskocznią od biura. *Fufu* musiało więc być odpowiedniej grubości, a zupa w sam raz; jeśli coś było nie tak, narzekali.

– *Ah, Mama Eko, this fufu dey like water oo*¹⁰⁰.

– *Sister Ama, na so fufu dey dey for where you come? Dis one na for to drink?*¹⁰¹

– *Na small child cook dis food? I no go come here again if na like dis your food dey!*¹⁰²

– *Dis food no sweet today at all at all. Na so so salt full am*¹⁰³.

– *Dis na soup abi na water?*¹⁰⁴

– *Wey de meat wey suppose dey dis soup? Na ant you give me make I chop?*¹⁰⁵

Ama i mama Eko przepraszały, obiecywały lepsze jedzenie, winiły pogodę lub porę roku za gorszą jakość potraw, proponowały dodatkowy kawałek mięsa lub coś do picia, byle tylko zadowolić

klienta.

Ama cieszyła się na wizyty niektórych klientów, bo czasem przynosili cząstki jej marzeń, przypominali o rzeczach, o których prawie zapomniała, wyostrozali jej zmysły; dzięki nim nie zapadała w intelektualną drzemkę. Szczególnie cieszyła się na wizyty młodych kobiet z drogimi torebkami na ramieniu, kobiet, które pracowały w bankach i przychodziły coś zjeść w przerwie na lunch. Czasami towarzyszyli im ambitni mężczyźni w garniturach, ale na ogół były same. Wypełniały bukę zapachem słodkich perfum i wolności, elegancją idealnie zrobionych paznokci i drogich doczepianych włosów.

Ama chętnie z nimi rozmawiała. Zawsze z nimi rozmawiała. Miały w sobie charyzmę, która ją pociągała. A kiedy przyjęła już od nich zamówienie – skreślone starannym pismem i zawsze na osobnej kartce – kręciła się w pobliżu.

– Kurczę, *sister*, ale masz pięknie zrobione włosy. Gdzie byłaś?

– Och, dziękuję. W Headmasters. Zawsze chodzę do Headmasters.

Widziała zadowolenie w ich oczach, kiedy wymieniały nazwę salonu i unosiły dłonie z pomalowanymi paznokciami do głowy i dotykały włosów, by upewnić się, że fryzura naprawdę się trzyma. Ama nie mogła pozwolić sobie na drogie fryzjerów z Headmasters. Chodziła na przedłużanie włosów do mniejszych salonów, klitek z jedną lub dwiema fryzjerkami, które brały sześćdziesiąt nair za swoją pracę. W wypadku tych młodych kobiet wszystko wydawało się takie proste, wydatek rzędu trzech tysięcy albo i więcej tylko na włosy. Ama obsługiwała swoje klientki i kiedy przypadkiem dotykały jej dłoni, odbierając talerz, uznawała to za dobry znak – miała nadzieję, że ich szczęście przejdzie na nią, że ona też będzie kiedyś często chodzić do Headmasters. Zrobi sobie manicure i pedicure, a profesjonalna fryzjerka będzie się wysilać specjalnie dla niej.

Oczami wyobraźni widziała życie, które mogłaby wieść. (Przecież miała do tego takie samo prawo jak te kobiety, czyż

nie?). Hasało ono po barze jeszcze długo po tym, jak kobiety zjadły posiłek i zapłaciły rachunek. Zostawiały po sobie ślad tęsknoty jak ślady stóp odcisniętych w błocie.

Ama wiedziała, że musi wyjechać.

Ale jak? W jaki sposób wyrwać się z tego błędnego koła, wyswobodzić się z liny, której pętla zaciskała się wokół Amy tak mocno, że dziewczyna ledwie mogła się ruszać?

Starala się zaprzyjaźnić ze stałymi klientami. Podczas zbierania zamówień serwowała im niezobowiązujące pogawędki o pogodzie, pytała o rodzinę i pracę. „Czy polepszyło się twojemu synowi? Biedny dzieciak. Nawet dorośli ciężko znoszą tyfus”. „Dostałeś awans? Aha, no to musimy to uczcić, oo. *We go wash am, oo!*¹⁰⁶”.

Najlepiej rozmawiało się jej z mężczyzną o nazwisku Dele. Zawsze nosił drogie garnitury i dawał jej sowite napiwki. Inni stali klienci też go znali, bo zdarzało się, że ot tak płacił za ich posiłki, o czym informował głośnym krzykiem, który koziółkował i koziółkował nad stolikami i lądował przy barze, skąd mama Eko obserwowała klientów. „Mamo, ja dzisiaj płacę! Za wszystkich. Za ciebie też! Jedzcie! Pijcie! Senghor Dele płaci!”. Pękając z dumy, z lekkim ukłonem, przyjmował oklaski i podziękowania od pozostałych klientów, którzy zamawiali dodatkowy kawałek mięsa, jeszcze jeden kawałek ryby, dodatkową butelkę piwa. Senghor Dele płaci!

Któregoś dnia wpadł z rana, czego nie miał w zwyczaju. Był jedynym klientem w barze i Ama podeszła do niego, by się z nim przywitać i przyjąć zamówienie.

– Dzisiaj chcę z tobą tylko porozmawiać – powiedział i pociągnął ją na drewniane krzesło obok siebie. – Jak długo tu pracujesz? Siedem miesięcy? Osiem? Prawie tyle, ile trwa ciąża! Jesteś ładną kobietą, wspaniałą kobietą. Zaslugujesz na coś lepszego. Ale czy tego chcesz?

Ama po prostu się uśmiechnęła, nie wiedząc, co innego mogłaby zrobić. Oczywiście, że chciała czegoś lepszego. Kurczę, dlaczego nie? Nie chciała przez resztę życia gotować i podawać do

stołu. Ponieważ nie wiedziała, co *oga Dele* ma konkretnie na myśli, milczała, czekając, aż przejdzie do rzeczy. Wiele razy wspominał o żonie, z czego łatwo było wywnioskować, że jest żonaty, więc nie spodziewała się, że poprosi ją o rękę. Często też opowiadał o córkach. „Wspaniałe, wspaniałe dziewczyny” – mówił i dodawał, że mają jedenaście i dwanaście lat. „Zabiję każdego, kto w przyszłości będzie do nich uderzał. Zamorduję typa, zabiję jak psa. Nie żartuję!”. – Wówczas pukał palcem wskazującym w koniuszek języka i wskazywał na sufit dla podkreślenia, że spełni te groźby. Nikt nie wątpił w jego słowa. A może szukał kochanki? Ama miała nadzieję, że tak nie jest. Nie czekała na zaloty poważanego klienta, który nie był w jej typie. Nie wiedziałyby, jak się zachować.

Ale *oga Dele* rzeczywiście nie to miał na myśli. Powiedział:

– Jeśli chcesz w łatwy sposób zarobić pieniądze, jeśli chcesz wyjechać za granicę, wpadnij do mojego biura przy Randle, to pogadamy o tym któregoś dnia. Ale tylko jeśli naprawdę tego chcesz. Jeśli nie jesteś zdecydowana, to szkoda naszego czasu. Zastanów się! Umowa stoi? – Potarł dłońmi kolana i dźwignął swoje wielkie ciało z krzesła.

Ama skinęła głową.

– Przemyślę to, *oga Dele*.

– Nie jestem głodny. Chciałem tylko z tobą porozmawiać – powtórzył uroczyście.

Dał Amie wizytówkę i poprosił, by przyszła do jego biura nazajutrz wieczorem, po zamknięciu baru. Większość ludzi w piątki jadała w domu, więc w Empire będzie spokojnie. Ama oceniła, że mogłaby zjawić się u niego koło ósmej. I miała rację.

Biuro Delego było duże, tak jak on sam. Ogromne. Ama zastanawiała się, jak duży musi być w takim razie jego dom. Wnętrze nieco ją uspokoiło; dobrze zrobiła, że przyszła. Elegancki gruby dywan emanował spokojem, podobnie jak trzy płaskie telefony komórkowe leżące na szykownym biurku i zegar wskazujący różne strefy czasowe. Dele siedział przy nim i od chwili, gdy Ama weszła do środka, obracał się na krześle jak

niecierpliwe dziecko. Jego uśmiech pokrył zmarszczkami trzy grube linie na każdym policzku¹⁰⁷.

– Och, dziewczyno, ale się cieszę, że przysłaś.

Kiedy powiedziała mamie Eko, że wróci później, bo ma spotkanie z Delem, mama Eko nie odwiodła jej od tego, ale nie owijała też w bawełnę, kiedy powiedziała, że nie jest zadowolona z tego spotkania.

– Amo – powiedziała – nie masz tam czego szukać. Po co chce cię wysłać za granicę? Czy nie ma rodziny, której mógłby pomóc? W Lagosie roi się od mężczyzn z pieniędzmi, od dużych mężczyzn z grubymi portfelami. Problem w tym, że nikt nie wie, skąd się bierze ich bogactwo. Czym się zajmuje Dele? Dla kogo pracuje? Ma czas, by przynajmniej raz dziennie pięć razy w tygodniu przychodzić do Empire, a mimo to rozbija się drogimi autami i nosi ubrania z najnowszej męskiej kolekcji. Wiesz, ile morderstw rytualnych popełnia się tutaj każdego dnia?

Opowiedziała parę makabrycznych historii jedna po drugiej. Odrąbane głowy znajdowane pod wysokim mostem w Ojuelegbie. Policjant, który zatrzymał kierowcę autobusu pełnego przedszkolaków w drodze do Benin City, gdzie miały zostać zamordowane w rytuale bogactwa. Pasażer autobusu przyłapano z głową chłopczyka ukrytą w torbie podróżnej. Wściekły tłum najpierw pobił go prawie na śmierć, a potem zlinczował za pomocą *necklace of fire*: ludzie założyli mu na szyję oponę, którą podpalili. Tłum klaskał, kiedy mężczyzna umierał.

– Każdego dnia znikają ludzie, a mężczyźni bez środków do życia nagle stają się bogaczami. Nie mówię, że ten Dele jest powiązany z rytuałami – spójrz na moje pachy: nie mam tam włosów¹⁰⁸, *nekwa abu m n'aji adiro ya* – nikogo o to nie posądzam. Mówię tylko, że powinnaś się dobrze zastanowić, nim połkniesz haczyk. Policz językiem zęby – *welu ile gi guoeze gi onu* – i powiedz mi, co myślisz. On przychodzi do buki, kiedy inni mężczyźni są w pracy. Jest obwieszony złotem, wszędzie ma złoto. Słuchaj, jesteś dorosła, rusz głową. To wszystko, co mam w tej sprawie do powiedzenia.

– Od razu przejdę do rzeczy – powiedział Dele, wskazując Amie krzesło naprzeciw siebie. – Słuchaj, nie jesteś już małą dziewczynką. Jesteś kobietą, dojrzałą kobietą. Powiem ci, o co chodzi. Potrzebuję kobiet. Ładnych, naprawdę ładnych kobiet, takich jak ty, żeby pracowały dla mnie za granicą. W Europie. W Belgii.

– Jaka to praca? – chciała wiedzieć Ama. Do jakiej to pracy potrzebuje ładnych kobiet w Europie? Wszyscy chcą wyjechać. Dlaczego musi kogokolwiek namawiać, żeby wyjechał? Ama знаła ludzi, którzy daliby sobie rękę uciąć, byle tylko móc pracować za granicą. Ludzi z dyplomem ukończenia studiów, którego ona nie miała. Gdzieś w oddali słyszała głos mamy Eko. Zdziwiło ją, że tak dokładnie zapamiętała jej ostrzeżenie, chociaż prawie jej nie słuchała, przekonana, że mama Eko, podobnie jak większość kobiet z jej generacji, jest panikarą, że Dele naprawdę nie ma dzikiego wzroku facetów zajmujących się dziwnymi rytuałami, w których wykorzystuje się odrabane głowy.

Dele wybuchnął ciężkim, zaraźliwym śmiechem, ale Ama milczała.

– Jeśli mówię, że potrzebuję ładnych, naprawdę ładnych kobiet, żeby dla mnie pracowały, to o jaką pracę może mi chodzić? O pranie ubrań? Brzydkie kobiety też mogą to robić! Do tego nie są mi potrzebne ładne dziewczyny. Wydaje mi się, że dopiero co powiedziałem, że jesteś dojrzałą kobietą. Dlaczego chcesz mnie koniecznie wyprowadzić z błędu? – Zaśmiał się głośno, odsłaniając rząd zaskakująco małych zębów ze srebrnymi wypełnieniami.

Ama spojrzała na niego.

– Ty idioto! Za kogo ty mnie masz? Czy ja wyglądam jak *ashawo*?

Dele śmiał się i śmiał.

– Chcę ci pomóc, a ty mnie wyzywasz. Co za temperament! Co za ogień! Mężczyzna, który cię posiadzie, może liczyć na wyjątkowo ostrą zupę pieprzową!

Ama widziała jego śmiech i jednocześnie słyszała brata

Cyrila, jak nazywa ją leniwą nieudacznicą. Zebrała ślinę i splunęła w kierunku Delego. Pocisk chybił celu i z plaśnięciem wylądował na leżącej przed nim kartce. Dele walnął masywną pięścią w stół, wstał, a brzuch zatrzęsł mu się ze złości. Mężczyzna spiorunował Amę wzrokiem.

– Nie waż się tego więcej robić. Nigdy więcej. Nie wiesz, kim jestem. Ale nie waż się tego więcej robić. Ostrzegam cię raz na zawsze!

Ama syknęła, odwróciła się na pięcie i wyszła. Co on sobie wyobraża? Chciała mieć lepsze życie, ale nie była aż tak zdesperowana.

Ale.

Czekaj.

Może.

A jeśli...

Więc...?

Tej nocy Ama nie mogła usnąć przez bzyczące nad głową komary. A ponieważ sen i tak nie przychodził, rozmyślała. Ale... czekaj... może... a jeśli... więc...?

Myślała o tym także następnej nocy. I wtedy zaczęła się śmiać. Zwariowała, to pewne. Brat Cyril bez pytania wziął to, czego chciał. Żadnego „proszę”, żadnego „pozwolisz”, żadnego „czy mogę”. A kiedy przestała spełniać jego oczekiwania, po prostu ją odprawił. Teraz obcy mężczyźni mieliby korzystać z jej usług i za to płacić, i to nawet nie w Lagosie, ale za granicą. Sam pobyt za granicą wymusza tutaj szacunek. Przecież nie będzie stała na schodach przed klubami nocnymi na Lagos Island, modląc się, by nikt jej nie rozpoznał. Więc. Dlaczego nie?

Mama Eko była sympatyczna. Mama Eko była prawie jak matka, prawdziwa matka pracująca. Ama lubiła pracę w barze, ale rozmyślając o tym później, musiała przyznać, że nie była to część jej przyszłości. Nigdy nie zarobi wystarczająco dużo pieniędzy, by otworzyć własny sklep. Więc. Dlaczego nie?

Dała sobie jeszcze dwa dni („Cholera, dwa dni!”), nim wróciła do Delego.

– Wchodzę w to – powiedziała, ciesząc się, że miała jakiś wybór.

– Eee, co masz na myśli? – Dele pokręcił głową, jakby jej nie zrozumiał.

– Mówię, że to zrobię. Jadę.

– A właśnie że nie! Daję ci propozycję, a ty mi ubliżasz! I jeszcze mam być na każde twoje zawołanie. Za kogo ty się uważasz?! – Rozłożył czasopismo, za którym zniknęła jego twarz.

– Przepraszam, panie Dele – szepnęła, ale nie dlatego, że naprawdę było jej przykro, ale dlatego, że bała się, że szansa przeszła jej koło nosa. Słyszała, jak Dele przewraca kartki. Może jej nie słyszał. Więc powtórzyła: – Przepraszam, panie Dele.

– Taaa. Nie przeszkadzaj mi. I naprawdę nie mam dzisiaj ochoty na wyzwiska. Wyjdź. Po prostu wyjdź z mojego biura.

Czego on chce, do cholery?! Żeby padła przed nim na kolana? Ponowiła przeprosiny? Że nie wie, co ją ugryzło tamtego dnia? Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam. Powtórzy to tyle razy, ile będzie trzeba. Będzie powtarzać przeprosiny, aż go zmiękczy. Ale. Czeka. Czy ona nie wie, co to wstyd? Nie. Nie dziś. Cholera! Więc...

– Przepraszam, *oga* Dele.

Odłożył pismo na bok. Czy ona wie, ile dziewcząt czeka na szansę, którą dał jej cztery dni temu?

– Przepraszam, *oga* Dele.

Czy wie, ile dziewczyn było u niego i błagało go, by mogły zostać jego dziewczynkami?

– Przepraszam, *oga* Dele. Przepraszam pana.

Wstał, obszedł biurko, kiwając się na boki jak kaczką, i uścisnął ją.

– Wybaczam ci. Lubię cię, naprawdę! I dlatego wybaczę ci te wyzwiska z zeszłego tygodnia. Dziewczyno, ale ty masz w sobie ogień!

Przyciągnął Amę do siebie. Przez jego zielone spodnie wyczuła zgrubienie.

– Chyba muszę ci zrobić jazdę próbną, nim wyjedziesz. –

Zaśmiał się. To był śmiech wyznaczający obszar, w którym nie miał się czego obawiać. Lagos jest pełen tego rodzaju śmiechu. Śmiechu, który bez powodu ośmiesza adresata, a nadawcę osłania stalową zbroją. Takiego śmiechu nie można się nauczyć. To śmiech, który się kupuje. Bogactwem. Władzą. Sławą. To one wywołują ten rodzaj śmiechu. Dele kontynuował: – Podobasz mi się. Gdybym był muzulmaninem, ożeniłbym się z tobą. Zostałabyś moją drugą żoną. Lecz cóż, jestem chrześcijaninem. Dobrym chrześcijaninem. Jeden mąż, jedna żona. – Widać było, że naprawdę zrobiło mu się przykro. – Ale muszę cię wypróbować. Niech szczenę, jeśli to nieprawda! Mały Dele jest gotowy. Mały Dele ma na ciebie ochotę. I ja też. Szaleję za kobietami takimi jak ty!

Uśmiechnął się do Amy, która odwzajemniła uśmiech. Bez żadnego ale, czekaj, może. Poza pragnieniem, by zarabiać pieniądze i otworzyć kiedyś własny sklep. By pokazać temu pieprzonemu bratu Cyrilowi, że go nie potrzebuje, że nie potrzebuje matki. Że świetnie sobie poradzi bez ich cholernej bieli.

Mama Eko nie uwierzyła w jej historyjkę. Nie uwierzyła, że Dele wysyła ją do Europy do pracy w charakterze niani dla trzyletniej dziewczynki w bogatej żydowskiej rodzinie. I tak też powiedziała:

– Sama nigdy nie byłam w *obodo oyibo*¹⁰⁹, ale jestem pewna, że mają tam dosyć własnych opiekunek do dzieci i nie muszą specjalnie sprowadzać kolejnej aż z Afryki.

– Afrykanki są tańsze, mamó Eko, nie żądają tyle, co dziewczyny *oyibo* – odpowiedziała Ama, bojąc się, że mama Eko domyśli się, że kłamie.

Mama Eko powiedziała:

– Nie ufam temu całemu Delemu za grosz. Śmieję się i żartuję z nim, bo jest moim klientem, ale nie ufam mu kompletnie. Nie mam do niego zaufania. Żałuję, że nie mogę cię tutaj zatrzymać, bo widzę, że jesteś zdecydowana, by jechać, a ponieważ i tak nie namówię cię, żebyś została, musisz mi obiecać, że będziesz na siebie uważać.

– Jasne. Jestem już dużą dziewczynką, mam Eko. Nie martw się o mnie.

Były uściski, popłynęło nawet kilka łez. Zanim Ama udała się na lotnisko, mama Eko wcisnęła jej do ręki złoty krzyżyk. „Niech cię Bóg prowadzi, *nwa m*¹¹⁰”. Ama była wzruszona. Nikt wcześniej nie okazał jej tyle troski, nie dał jej odczuć, że należy do rodziny. Ale nawet to nie stłumiło w niej tęsknoty za początkiem nowego życia.

Antwerpia powitała ją ciepło już pierwszego dnia, zaskoczyła Amę letnią pogodą, bo dziewczynie wydawało się, że w Europie jest zawsze zimno. Później dowiedziała się, że lato dwutysięcznego roku było jednym z najgorętszych w historii Belgii. Swędziała ją głowa pod przedłużanymi pasmami włosów sięgającymi połowy pleców. Żałowała, że na podróż włożyła sztruksowe spodnie i pasujący do nich żakiet. Te ubrania były prezentem pożegnalnym od Delego. Powiedział jej, że na taką podróż nie ma nic lepszego od ciepłego sztruksu, który ogrzeje ją w zimnym samolocie. Rzeczywiście, w samolocie było zimno i Ama cieszyła się, że ma na sobie ciepłe sztruksowe ubranie, które chroni ją przed chłodem, nikt jej jednak nie ostrzegł, że temperatura może wzrosnąć, gdy wreszcie wylądują. W żadnej historii o zagranicy nie słyszała, że może tam być tak gorąco, że najchętniej włożyłaby sukienkę bez rękawów.

Nie wzięła też żadnych lekkich ubrań. Spakowała wyłącznie ciepłe rzeczy, by nie marznąć w zimnej Europie: swetry, grube spodnie i szaliki kupione na bazarze z odzieżą używaną. Nie, w ogóle nie była przygotowana na upał, który tak jak w Lagosie lepi ubrania do ciała.

– Mogę ci coś pożyczyć – zaproponowała Efe, kobieta o jasnej karnacji, gdy przyniosła jej coś do jedzenia. – Nosimy ten sam rozmiar – powiedziała do Amy, która starła sobie pot z czoła. Zniknęła i wróciła z sukienką. – Ta ma odpowiednią długość. Nie jesteś dużo wyższa ode mnie.

– Dziękuję – powiedziała Ama i przyjęła od Efe sukienkę *tie and dye*¹¹¹, pstrokaty miks kolorów nie do rozróżnienia – sukienkę,

która, jeśli Ama miała być szczerą, była okropna.

Kiedy któraś ze współlokaterek pytała ją o rodziców, odpowiadała, że dawno nie żyją. Matka zmarła w połogu, ojciec parę lat później zginął w wypadku samochodowym, dlatego niezbyt dobrze ich znała; patrząc na zdjęcia, miała wrażenie, że widzi obcych ludzi. Wychowała ją kochająca ciocia. Później zastanawiała się, czy to kłamstwo nie było losem, którego życzyła matce i bratu Cyrilowi. W łóżku fantazjowała na temat prawdziwego ojca. Stojąc przed lustrem, przypisywała mu cechy, których nie odziedziczyła po matce. Z całą pewnością po matce miała duże oczy, prawie europejski nos i włosy na nogach, które przynajmniej raz w miesiącu musiała usuwać woskiem, co oznaczało, że jej ojciec łysieje, ma lekko krzywe nogi i długie rzęsy.

To jednak nie zmniejszyło jej tęsknoty, dlatego wciąż uważnie studiowała twarze obcych w poszukiwaniu podobieństw. Słuchając opowieści Joyce o tym, jak w dzieciństwie ojciec pozwalał jej bawić się pałą dobosza, żałowała, że nie wychował jej ojciec biologiczny. Może jej życie wyglądałoby wtedy zupełnie inaczej. Może jeszcze się zmieni, jeśli kiedykolwiek go odnajdzie. Ale nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

Później, po śmierci Sisi, postanowi, że nie będzie go szukać, nawet jeśli istniała szansa, że ktoś inny mógłby go odnaleźć. Mama Eko kocha ją jak matka, to wystarczy. A co do brata Cyrila to, do diabła, jak dla niej może skoczyć z mostu, razem z matką, uczeponą jego białej koszuli. Ma to głęboko w dupie.

Skrzydło budynku Ministerstwa Spraw Zagranicznych było częścią zamku, który wyglądał, jakby istniał od początku świata, zanim na Ziemi pojawiło się życie. Kojarzył się Sisi ze świecznikami i ciężkimi zasłonami oraz pokojami ze służącymi w liberii. Na zewnątrz, przed ogromną metalową bramą, podobną do tych, które odgradzały wille bogaczy w zamożnych dzielnicach Lagosu, ludzie posuwali się w kolejce jak mrówki. Wielu ludzi stojących na zewnątrz chowało głowy w kurtkach, jak szpiedzy osłaniający twarze podniesionym kołnierzem płaszcza. Kilka osób miało przy sobie walizki, większość – ogromne torby podróżne. Równie dobrze mogli czekać na parkingu, aż wyruszą na wycieczkę. Sisi podziękowała kierowcy i zmęczona wygrzebała się z mercedesa, myśląc, że tylko za granicą mercedesy są wykorzystywane jako taksówki. Całą drogę rozmyślała o nowym, wybranym przez siebie życiu. Próbowwała odpędzić głosy rozbrzmiewające w jej głowie – w szczególności głos matki, mówiący, że bardzo się na niej zawiodła, pytający, czy naprawdę ma zamiar sprzedawać swoje ciało za marne grosze. Zamiast tego próbowała wbić sobie do głowy obrazy przyszłości, w której dzięki zarobionym pieniądзом będzie mogła kupić ojcu samochód, matce dom w Ikei, a sobie dobrego mężczyznę, który da jej dzieci i wymarzone przez rodziców wnuki – i to jeszcze zanim staną się za starzy, by się nimi nacieszyć. Z górą zarobionych pieniędzy jej możliwości nabywcze będą nieograniczone. Będzie mogła kupić ojcu tytuł sołtysa Oby, ich wioski. Kupi mu szacunek i posturę mężczyzny, które pasują do człowieka w jego wieku. W domu, w Nigerii, za pieniądze można kupić wszystko.

Stała w kolejce za wysokim czarnym mężczyzną, który przyciskał do piersi brązową aktówkę. Wyglądało na to, że gotów jest bronić jej zawartości własnym ciałem. Jego twarz przypominała zniszczony kawałek skóry, ale widać było, że

dawniej wyglądał jak gwiazda Hollywood, jak czarnoskóry Amerykanin, którego widziała w jakimś filmie. Sidney Poitier! Tak, był do niego podobny. Zastanawiała się, jaka jest jego historia. Chętnie by go o to spytała, ale nie wiedziała, czy mówi po angielsku. A jeśli tak, to o co ma go zapytać? Czy to pan? Niech mi pan opowie swoją historię. A chce pan usłyszeć moją? Może wymienimy się historiami? Moja za pańską?

Przesunęła językiem po zębach i wyłowiła włókienko szynki, które utknęło między siekaczami. Przypomniało jej się śniadanie, które było tak pyszne, że najchętniej zapakowałaby je i wysłała matce. Białe bułki, tak miękkie, że rozpływały się w ustach. Dżem, szynka, banan i nieracjonowana herbata z mlekiem.

Kolejka przesunęła się powoli i Sisi patrzyła, jak ludzie znikają w czeluściach ministerstwa. W końcu przyszła jej kolej. Ktoś z szerokim uśmiechem wysłał ją do pomieszczenia ze szklanymi rozsuwanymi drzwiami i drewnianymi ławkami, przypominającymi jej ławy w kościele St. Agnes w Lagosie. Zastanawiała się, czy mężczyzna o szerokim uśmiechu się z niej nabija, z góry wyśmiewa jej historię. Weszła do pomieszczenia. W środku czekało ze dwadzieścioro ludzi, większość miała zmęczone twarze. Zmusiła się do uśmiechu, zajmując miejsce obok białej pary. Na kolanach kobiety siedział chłopczyk w sweterku w kratkę i czarnych dżinsach. Miał katar. Matka powiedziała coś do niego, dała szybkiego buziaka w główkę, wyłowiła z torby paczkę ciastek i mu ją podała. Chłopczyk uśmiechnął się i szybko otworzył paczkę. Mężczyzna, który według Sisi był jego ojcem, patrzył przed siebie, jakby żył w swoim świecie i nie miał nic wspólnego z tym, co dzieje się wokół niego. Sisi zastanawiała się, o czym myśli, jaki kamień ma przytroczony do szyi i czy dlatego nie może się odwrócić do syna, uśmiechnąć się do chłopca, który szarpał go za kasztanową marynarkę. Sisi patrzyła, jak dziecko napycha sobie buzię ciastkami, a okruszki spadają na kolana matki. Tamta nie strzepnęła ich, jakby stanowiły wyróżnienie dla jej szarej spódnicy: kremowe kropki na szarej poliestrowej chmurze.

Sisi pozwoliła, by jej myśli zaprzął chłopiec i jego

nieskoordynowane ruchy, by nie starczyło już miejsca w jej głowie na wspomnienia o rodzinie lub o Peterze. Myślała, że łatwo jej przyjdzie go zostawić, ponieważ nie było dla nich przyszłości, ale powoli zaczynała sobie zdawać sprawę, że nie miała racji. Kiedy zamykała oczy, widziała go bardzo wyraźnie. Nawet w tej poczekalni, w tej sekundzie, mogłaby przysiąc, że czuje jego zapach, że czuje puder mentolowy, który wcierał w plecy na krosty i upał. Tęskniła za ich intymnością i kiedy pozwalała myślom swobodnie płynąć, pojawiała się pytanie, czy dobrze zrobiła, że z niego zrezygnowała. Rzuciła okiem na zegarek. Skórzany pasek był przetarty i zaplamiony. Jak tylko będzie ją stać, kupi sobie nowy zegarek, może taki na cienkiej złotej bransoletce. Jest teraz w Europie, a tu wszystko jest możliwe – wmówiła sobie. Może kupiłaby drugi taki i wysłała matce? Próbowała wyobrazić sobie radość matki ze złotego zegarka.

Nigdy nie kupi złotego zegarka, ani dla siebie, ani dla matki. Będzie wchodzić do sklepów i prosić o pokazanie *tego* złotego zegarka. I jeszcze tamtego. Przymierzy, odłoży na ladę i powie, że jej nie pasują, że pogrubiają nadgarstek i że drugi nadgarstek wygląda przy nim za szczupło. Zbagatelizuje zapewnienia sprzedawcy, że zegarki pasują jak ulał. Ale ona jeszcze o tym nie wie.

Sisi zamknęła oczy i odtworzyła w głowie wydarzenia z ostatnich dwóch dni. *Muszę to dobrze rozegrać* – powiedziała sobie. Nie ma powrotu, nie ma miejsca na żal. Widocznie wątpliwości, które wyrzuciła w Lagosie wraz z dynią, i tak ją odnalazły. Zignorowała je. Usłyszała, jak ktoś wywołuje jej numerek, dlatego wstała. Wprowadzono ją do małego pomieszczenia. Musiała przejść przez wysokie drzwi, przed którymi stał policjant o spojrzeniu twardym jak stal. Miał grube kręcone włosy, które wpadały mu do oczu, odgarnął je więc, zanim przesunął wykrywaczem metalu po ciele Sisi. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, wyglądał na znudzonego. Zadowolony, gestem nakazał jej iść dalej.

– Dzień dobry, zapraszam panią.

– Dzień dobry.

Stojący przed Sisi mężczyzna posłał jej szeroki uśmiech, jakby cieszył się, że ją widzi.

– Najpierw musimy zrobić pani zdjęcie – wyjaśnił, ustawiając ją przed obiektywem aparatu i robiąc zdjęcia jej twarzy i profilu. Następnie chwycił ją za prawą dłoń i posmarował każdy palec tuszem, aż pokrył wszystkie opuszki, jakby był to swoisty rytuał powitalny. Potem odcisnęła posmarowane tuszem palce na kartce.

Czarnowłosey mężczyzna zaprowadził ją do innego biura. Wysłuchał liberyjskiej historii, którą przedstawiła. Starła się nie pominąć żadnego szczegółu. Tak. Jest pewna, że nazywa się Mary Featherwill. Tak, jest Mandingo. Tak, jej rodzinę zamordowano, a za jej głowę wyznaczono nagrodę. Czy ma pan może chusteczkę? Przeprasza, że płacze. Tak, jej życie jest zagrożone. Nie, wątpi, by przeżyła w Liberii choć jeden dzień. Nie, nie ma żadnej rodziny. Nie, nie zna nikogo w Belgii. Mężczyzna pochylił się nad komputerem i pisał na klawiaturze, gdy mówiła. Od czasu do czasu jej przerywał, chciał, by potwierdziła któryś fragment opowieści. Jego głos wydawał się cierpliwy. Raz ich spojrzenia się skrzyżowały i zobaczyła w jego oczach pewność – wiedział, że ona kłamie. Mimo to nie zmieniła zeznań. Podtrzymała swą opowieść. Tak, tak. Urodziła się w Monrowii. Nie, nie ma paszportu, bo wyjechała w pośpiechu. Naprawdę bała się o własne życie. Nie, nie może się wylegitymować. Nie, nie ma prawa jazdy; nie umie prowadzić samochodu. Nie, nie ma aktu urodzenia. Niczego nie zabrała. Musiała uciekać, by ratować życie. Nie, nie ma zdjęć rodziny. Nie pomyślała o tym, by je zabrać. Ratowała własną skórę. Jedyne, o czym mogła myśleć, to własne bezpieczeństwo. Nie, nie, nie pamięta żadnych dat. Nie potrafi powiedzieć, kiedy dokładnie doszło do morderstw.

Kiedy skończyła, mężczyzna wydrukował oświadczenie, poprosił, by je podpisała, i dał jej numerki.

– Zaczekaj w poczekalni – powiedział.

Zwartzustersstraat

Ama wciąż opowiada:

– Jestem w Europie. Zarabiam własne pieniądze. Udało mi się nawet coś odłożyć. To powinno mnie uszczęśliwić. Przecież nie zrezygnowałam z dobrego życia, by tu przyjechać. Mama Eko jest jedyną osobą, za którą naprawdę tęsknię. Któregoś dnia, jeśli mi się uda, wrócę do kraju i wybuduję jej willę! Nie mam dziecka jak ty, Efe. Nie mam nikogo, kogo bym kochała bezwarunkowo. I nikogo, kto darzyłby mnie takim samym uczuciem. Mama Eko jest jedyną osobą, która poniekąd się kwalifikuje. – Ponownie dotyka krzyżyka. Ten gest zawiera w sobie niewymowną delikatność.

– A ja nie mam nikogo. Jeśli mi się tu powiedzie, będzie to wyłącznie mój sukces – mówi Joyce.

– Ależ uda nam się. Bez dwóch zdań. Nie możemy przecież wrócić z Europy z pustymi rękoma! Nie daj Boże! – zarzeka się Efe. Znowu myśli o Sisi. – Biedna Sisi. Była tutaj tak krótko.

Ta myśl powoduje, że milkną. Dziewięć miesięcy to za krótko, by zrealizować marzenia, które sprowadziły je do Europy. Chociaż nie znają marzeń Sisi, wiedzą, że wszystkie pielęgnują w sobie te same ambicje, ten sam pęd. Jakież to wielkie plany, których już nie zrealizuje, miała Sisi?

Madam nie powiedziała tego wprost, ale one wiedzą, że nie muszą dzisiaj pracować. Żadna z nich nie pójdzie na Vingerlingstraat, by siedzieć na przeszklonej wystawie wystrojona w seksowną bieliznę, koronkowe pończochy i odważne majteczki i przyciągać klientów. To wymagająca praca; praca, której nie można łączyć z rozpaczą. Śmierć Sisi je wykończyła i osłabiła, były jak szmaciane lalki.

Często o tym rozmawiają – o wdzięczeniu się i czekaniu, aż przechodzący obok mężczyźni je zauważą, o tym, jak zastanawiają się, który z nich da im spory napiwek, a który nie. Często przez okno obserwują życie na zewnątrz, w szczególności życie tych

mężczyzn. Od razu widać, którzy z nich trafili do dzielnicy Schippers przez przypadek. Turyści z aparatami na szyi, głównie Japończycy, nieznający Antwerpii. Uwiedzeni starówką i zmyleni ogromną katedrą zbaczą z trasy i nagle stają twarzą w twarz z rzędem skąpo odzianych kobiet o wszystkich kolorach skóry. Patrzą raz, patrzą drugi raz, jakby nie mogli uwierzyć własnym oczom. Rzucają ukradkowe spojrzenia i odchodzą zażenowani. Nie chcą zbrukać się życiem tętniącym za oknami.

Mężczyźni, którzy doskonale wiedzą, gdzie są i dlaczego właśnie tutaj, przechadzają się z aroganckim wyrazem twarzy i krytycznym błyskiem w oku. Mijają po kolei witryny i kiedy wreszcie się na coś zdecydują, wchodzą do środka, by dobić targu. Około dziewiątej wieczorem na ulicy robi się tłoczno. Trzydziestolatki z brodami gładkimi jak pupa niemowlęcia i ze zdjęciami pięknych żon w skórzanych portfelach szukają wrażeń między udami Afrykanek. Młodzi chłopcy, opętani pragnieniem stania się dorosłymi, szukają kobiety, dzięki której przestaną być prawiczkami. Single między jednym a drugim związkiem odczuwają potrzebę kobiecego ciepła bez zobowiązań. Starsi mężczyźni z plamami wątrobowymi i obwisłymi policzkami szukają namiastki młodości, która pomoże im zapomnieć o zwiotczeniu wywołanym upływem czasu. Vingerlingstraat widziała już mężczyzn każdego rodzaju.

Kobiety często omawiają swoich klientów, rozkładają ich na czynniki pierwsze i przyporządkowują do dwóch kategorii: dobrzy klienci, skąpi klienci. Brakuje im cierpliwości – może także sprytu lub talentu analitycznego – by zdefiniować podkategorie, klientów, którzy nie są ani dobrzy, ani skąpi. Etienne jest przykładem dobrego klienta. Etienne o śmiechu cuchnącym czosnkiem, z wyželowanymi włosami przyklejonymi do czaszki, które rodzą u kobiet pytanie, ile słoiczków zużywa, by osiągnąć taki efekt.

Etienne daje spore napiwki, chociaż nie wygląda na takiego. Jego zachowanie to mocny dowód na to, że wygląd potrafi być mylący. Etienne jest niski i wciąż nosi zbyt obcisłe spodnie, które ma chyba od czternastego roku życia i przez które stan jego

narządów płciowych jest tematem żartów wśród kobiet. Rzeczywiście, raczej nie tego można by się spodziewać po mężczyźnie, który szasta pieniędzmi na prawo i lewo, jakby rzucał ziarno swoim kurom ozdobnym. Etienne to jeden ze stałych klientów Joyce. Nazywa ją swoją nubijską księżniczką. Joyce go nie znosi, nienawidzi jego głośnego jęku, gdy osiąga orgazm, wbija paznokcie w jej kibić i nazywa ją nubijską księżniczką, gdy chucha oparami czosnku. Nienawidzi plam na poduszce pozostawionych przez jego żel do włosów, przez które po każdym wizycie musi prać powłóczkę. Ale uśmiecha się na jego widok, bo przypomina jej o tym, że jej życie się zmieniło, że jej miłość jest na sprzedaż. Bardziej niż jakikolwiek inny klient Etienne jest dla niej *bodźcem* do ucieczki z Vingerlingstraat. Przepęnia ją strachem, że nie jest już tą samą osobą, którą kiedyś była, i że jeśli będzie zwlekać, nigdy już jej nie odnajdzie.

Joyce niechętnie myśli o swojej przeszłości. Woli skupiać się na przyszłości, na tym, jak będzie wyglądało jej życie, kiedy uwolni się od Madam. Ale przeszłość zawsze jest gdzieś obok. Joyce odkryła, że nie można się od niej uwolnić, bez względu na to, jak bardzo się stara. Przeszłość jest jak sok z nerkowca zachodniego, który jest klejący, a plamy po nim nie chcą się sprać. Zawsze patrzy ci przez ramię i wystarczy, że *coś* się wydarzy, a zaraz podnosi głowę. I dlatego właśnie dzisiaj, kiedy śmierć Sisi jest wciąż świeża i nierealna, kiedy pozostałe kobiety szczerze opowiedziały historię swojego życia, którą zawsze skrzętnie ukrywały, myśli Joyce uciekają do okresu, zanim stała się Joyce. Znowu chwyta ścierkę do kurzu, którą wetknęła za gumkę spodni, i zawzięcie odkurza ściany pokoju.

– Wiecie, że ja nawet nie nazywam się Joyce? To nie jest moje prawdziwe imię. I... i wcale nie jestem Nigeryjką.

Stoi plecami do Efe i Amy. Ścierka wykonuje szalone koliste ruchy. Tym razem Efe jej nie powstrzymuje, podobnie jak Ama, obie po prostu gapią się na nią.

– Zawsze uważałam, że nie wyglądasz na Nigeryjkę – odzywa się w końcu Ama.

Efe śmieje się i mówi:

– Kurczę, dzisiejszy dzień jest dniem wyznań! Zatem jakiej narodowości jesteś, Joyce? Kim jesteś? Skąd pochodzisz?

Joyce się odwraca. Odkurza stolik z twarzą pochyloną w kierunku kobiet. Kiedy zaczyna opowiadać, ostry ton jej głosu, do którego jej współlokatorki zdążyły się już przyzwyczaić, znika. Zamiast niego słyszą głos dziecka.

– Moje prawdziwe imię to Alek.

Alek. To jak powrót do domu.

– No i jak ci poszło? Co powiedzieli? Dali ci coś?

Kiedy weszła do pokoju, w którym czekała na nią Madam z papierosem w ręku, pytania otoczyły ją zewsząd, kłębiły się w powietrzu. Madam była jak ogromne żółte słońce, ubrana w zielone oficerki i żółte spodnie z rozszerzonymi nogawkami. Żółty kolor kłócił się z czerwienią ścian. Sisi uznała, że całość wygląda obscenicznie. Była zmęczona i bolały ją oczy. Nie wiedziała, czy to przez jadowicie żółty kolor ubrania kobiety naprzeciwko niej, czy ze zmęczenia. Jeszcze nigdy nie czuła się tak wypompowana. Marzyła o łóżku w pokoju, który był całym jej światem, odkąd tu przyjechała. Naprawdę nie mam teraz na to ochoty – chciała powiedzieć Madam. Pragnęła, aby sen przejął kontrolę nad jej ciałem, by zmęczenie ukołysało ją do snu. Starła się nie patrzeć na żółcie, skupiła wzrok na twarzy Madam, na której malowała się obojętność. Wprawdzie kobieta cierpliwie czekała na odpowiedź, ale była przyzwyczajona do posłuszeństwa. Sisi śledziła wzrokiem szlaczki, które robił w powietrzu papieros Madam. Dym układał się w twarze, które ją wyśmiewały. Najpierw twarz matki, potem Petera.

– Powiedzieli „nie”. Nie dadzą mi azylu. – Z torebki wyłowiła dokument, który dostała w urzędzie, podała go Madam i powtórzyła: – Powiedzieli „nie”.

Siedzący przed komputerem urzędnik powiedział sucho: „Twoja historia nas nie przekonała. W tym dokumencie jest napisane, że masz opuścić kraj w ciągu trzech dni”. Podsunął jej papier opatrzony pieczętką. Teraz Sisi podała go Madam. Chciała zapytać, po co jechała do ministerstwa, skoro ten dokument oznacza, że w ciągu trzech dni musi wrócić do Lagosu.

Złote bransoletki na prawym nadgarstku Madam brzęczały i lśniły, kiedy przyjmowała od niej kartkę. Bez czytania złożyła ją na cztery i schowała do torebki. Popatrzyła na Sisi i jakby umiała

czytać w jej myślach, powiedziała:

– Ten świstek to nie twoje zmartwienie. Musisz tylko pamiętać, że w tym kraju jesteś *persona non grata*.

Madam zaciągnęła się papierosem, odrzuciła głowę do tyłu i wydmuchała dym w kierunku sufitu. Dym wzbił się do góry i zniknął.

Sisi wciąż będzie się zastanawiać, dlaczego Madam uparcie trzyma się zwyczaju wysyłania wszystkich nowych dziewczynek do Małego Zamku. Czyżby naprawdę spodziewała się, że dostaną azyl? A jeśli nawet, to co to zmienia?

Madam przymknęła oczy, znów zaciągnęła się papierosem, wydmuchała cienką smugę dymu i niespiesznie otworzyła oczy. Powoli i uważnie otaksowała Sisi wzrokiem, jakby oceniała jej wartość. Jak towar, kawałek mięsa pierwszej jakości, polec mięsa z pobliskiej rzeźni.

– Teraz należysz do mnie. Sporo nas kosztowało, by załatwić ci to wszystko. – Mówiąc to, wyciągnęła przed siebie lewą dłoń i machnęła w kierunku sofy, jakby przez „to wszystko” rozumiała trzyosobową kanapę. Papieros spoczywał spokojnie między palcem wskazującym a środkowym jej prawej dłoni. – Jesteś moja tak długo, aż spłacisz dług do ostatniego kobo. – Wskazała papierosem na Sisi. – Do ostatniego centa, który jesteś nam winna. Do tego czasu nie zwrócę ci paszportu. Co miesiąc oczekujemy od ciebie pięciuset euro. To nie będzie trudne, jeśli będziesz oddana pracy. Ale wiem, że nie zawsze będzie to możliwe, dlatego ustaliliśmy minimalną kwotę spłaty na sto euro. Raz w miesiącu udasz się do Western Union i wyślesz Delemu przelew. A jeśli nie zapłacisz... – Nie dokończyła groźby, która mimo to zawisła w powietrzu, podczas gdy Madam palcami lewej dłoni skubała włoski na brodzie. Nagle wyciągnęła zza krzesła czarny plecak, który rzuciła w kierunku Sisi. – Masz. To twoje ubrania robocze. Zaczynasz dziś wieczorem. – Niedbałym machnięciem prawej dłoni odprawiła dziewczynę.

W swoim pokoju Sisi postawiła plecak na podłodze i rzuciła się na łóżko. Ma jeszcze masę czasu, by zobaczyć, jak wygląda jej

ubranie robocze, teraz była bardziej zmęczona niż ciekawa. Miała nadzieję, że się zdrzemnie, ale nigdy nie potrafiła spać na zawołanie. Próbowwała zmusić ciało do relaksu.

– Rozluźnijcie się – powiedziała drżącym nogom. – Rozluźnijcie się, moje ręce. – Automatycznie skrzyżowała je pod głową. – Odpocznijcie, moje oczy. – Zamknęła je. – Odpocznijcie, moje myśli.

W jej głowie rozbrzmiewała kwota, którą musi co miesiąc płacić. Pięćset. Pięćset. Pięćset. Pięćset. Sisi kręciła się i wierciła. Leżała na boku z rękoma między udami i ze ściśniętymi powiekami. Pięćset. Pięćset. Pięćset. Pięćset. Pięćset euro to masa pieniędzy. Gdy przeliczyła je na nairy, wyszło jej, że to więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek myślała, że będzie zarabiać miesięcznie, nawet w najlepszym banku. Ta kwota stanowiła pięciokrotność pensji jej ojca. Ale skoro uważają, że da radę spłacać taką sumę, to znaczy, że będzie zarabiać o wiele więcej. To znaczy *ile*? Nie potrafiła tego ogarnąć. Marzenia leżały na wyciągnięcie ręki. Złota biżuteria, dom dla rodziców, mercedes. Jeśli potrzebne jest tylko poświęcenie, to wszystko będzie dobrze. Pomyślała o Przepowiedni. Ta myśl wystarczyła, by Sisi się uśmiechnęła. Parę miesięcy później odkryje, że poświęcenie czasem nie wystarcza, że potrzebna jest jeszcze odporność, której nie ma. I wtedy uświadomi sobie, że świadczył o tym sen, który przyśnił się jej pierwszej nocy.

Alek

Imię odziedziczyła po babci. Postawnej. Królewskiej. Lśniacej jak wypolerowany heban. Nie знаła osoby, na której cześć została nazwana. Babka zmarła od ugryzienia wściekłego psa przed narodzinami Alek, ale pamięć o niej żyła w rodzinnym domu dzięki fotografiom. Odżywała w opowieściach o niej. (Wszyscy mężczyźni chcieli ją poślubić. Jej uroda była niezaprzeczalna. Mogłaby być królową. Jej zachowanie było godne władcy). Żyła w imieniu, które nadano jej wnuczce, oraz w rodzinnym strachu przed psami i nienawiści do nich.

Alek odziedziczyła po niej lśniącą hebanową skórę i legendarną wręcz urodę, wzrost oraz ciemne wargi. Ale nie zachowywała się po królewsku. Majestat babki nie cechował jej w żadnym stopniu. Alek była trzpiotem, rozczarowywała matkę i przysparzała jej kłopotów. „Nie graj w piłkę, Alek. Dziewczynki tego nie robią. Nie graj w *awet*, to dobre dla mężczyzn. Nogi razem, Alek! Dziewczynki nie siedzą w ten sposób! Nie rób tego. Nie rób tamtego. Nie rób. Nie rób”. Czasami matka krzyczała „nie rób” z frustracji. Czasem brzmiało to jak szept, wściekłe błaganie zrozpaczonej matki, próbującej wywołać u córki zainteresowanie innymi zajęciami. Zabierała ją ze sobą do dojenia krów albo zaganiała do pracy w kuchni, ale Alek interesowały inne rzeczy. Wymiona ją przerażały. Kuchnia była nie do zniesienia.

Kiedy mając dwanaście lat, Alek dostała pierwszej miesiączki, matka wzięła ją na stronę. Dała jej listę rzeczy, na które nie wolno jej pozwolić chłopcom.

– Nie pozwól, żeby cię dotykali.

– Ale dlaczego? Co złego jest w dotykaniu, mamó? – Nie mogła się doczekać, by pobawić się na dworze; ta nieznośna Ajak pewnie wylewa siódme poty na skakance. Ale Alek ćwiczyła cały tydzień i umie skakać przez skakankę o wiele lepiej niż Ajak. Och,

nie mogła się doczekać, by jej to zademonstrować, by zobaczyć, jak ten głupi uśmieszek znika jej z twarzy. Miała nadzieję, że matka nie zauważyła, że odsunęła talerz z *asidq*¹¹². Nie miała na nią ochoty, zresztą i tak nie lubiła tej potrawy.

– Nie chodzi o *takie* dotykane. – Matka poprawiła się na taborecie. Jak powiedzieć o tym dziecku? Jak jej to wytłumaczyć? Ponownie poprawiła się na taborecie. – Chodzi mi o... *inne* dotykane.

– Jak to inne?

– Masz się im nie pokazywać nago. Rozumiesz?

– Nigdy! – Dlaczego miałyby chcieć, by jakiś chłopak zobaczył ją nago? Już na samą myśl...! Skąd matce przyszło to do głowy?

Matka uśmiechnęła się. Na jej twarz spłynęła ulga.

– Dziewczynki, które obnażają się przed chłopcami, to niedobre dziewczynki. Nikt nie da krów, żeby móc się z taką ożenić. Oszczędzaj się dla kogoś, kogo zechcesz poślubić. *Najpierw ślub, a potem dotykane. Eyin nyan apath*, bądź dobrą dziewczynką, moja córko. Obiecuj mi to.

– Obiecuję, że będę dobrą dziewczynką – powiedziała Alek. Wstała, ale matka gestem nakazała jej usiąść.

– A teraz proszę wszystko zjeść.

Alek jęknęła. Papka na talerzu złośliwie puściła do niej oko.

Był marzec, wszędzie tumany kurzu. Z zimna nie mogła usnąć; pewnie też dlatego, że mieli wyruszyć z Daru do obozu dla uchodźców. Ojciec Nyok miał nadzieję, że osiedlą się gdzieś niedaleko Chartumu i może później wyemigrują do Anglii lub Ameryki. („Miałam piętnaście lat i nie chciałam wyjeżdżać”).

Pisać nauczyła się na ścianach w kuchni. Nie zwracała uwagi na gotujące się jedzenie. Nie zwracała uwagi na pretensje matki, że kuchnia to nie klasa, że nikt nie da krów za dziewczynkę, która przypala obiad.

SPLA, Ludowa Armia Wyzwolenia Sudanu, ochraniająca miasto zamieszkane głównie przez Dinków¹¹³, wycofała się. Chodziły plotki, że dżandżawidzi¹¹⁴ szybko posuwają się w

kierunku Daru, by wysledzić członków SPLA i oczyścić miasto z Dinków. Znikali ludzie. „Nie będziemy mogli zabrać zbyt wielu rzeczy” – powiedział Nyok. Być może nikt ich nie podwiezie. Nie całą czwórkę: Alek, jej młodszego brata Atera i rodziców, Nyoka i Apiu.

Chciała wyjechać do Chartumu. To był inny świat. Wysokie budynki. Dużo samochodów. I kobiety z henną na stopach i dłoniach.

Skomplikowane wzory intrygowały Alek. Wydawało się, że żyją własnym życiem, że się poruszają. Często się zastanawiała, jak by to wyglądało, gdyby pokryła całe ciało henną. (Ale zadba o to, by henna nie dostała się pod paznokcie. Henna na skórkach jest nieestetyczna. Paznokcie wyglądają na brudne, jakby te kobiety godzinami grzebały w ziemi i nie umyły rąk). Ale to nie było wyjście do sklepu czy wycieczka do muzeum. Uciekali z własnego domu.

Rano: śniadanie i kąpiel. I kłótnia. Apiu nie chciała, by Nyok wkładał białą galabiję.

– W taką pogodę będzie czarna, nim wyjdziemy z domu.

Nyok się uparł.

– Ubieram się na biało – powiedział nieustępliwie.

To był normalny dzień. Alek nie chciała wyjeżdżać. Wtedy rozległ się okrzyk. Aiiiiii! Aiiiiiiiiiii!!! Wystarczająco głośny, by na ścianach domu pojawiły się pajęczyny drobnych pęknięć. Aiiiiiiiiii! Aiiiiiiii! Tak wstrętne, że aż paraliżujące. Wszyscy zastygli w bezruchu. Alek upuściła tobolek, który dostała od matki do noszenia, i zakryła sobie uszy rękoma. Za późno. Za późno, pomyślała.

– Przeżyjemy to – powiedział Nyok. To była obietnica. – Do naszej sypialni!

Dzieci ukryły się w szafie, rodzice stali przy zamkniętych od środka drzwiach. Westchnienie ulgi. Może żołnierze miną ich dom. Alek zerkała przez dziurkę od klucza. Kurz. Ciemność. Klucz tkwiący w zamku zatrzymywał światło i obrazy, które w innym wypadku by zobaczyła. Głos ojca mówiącego do matki. Wszystko.

Się. Ułoży. A wtedy bum. Brzdęk! Drzwi wyleciały z zawiasów. Łkanie (prawdopodobnie matki). Głośne kroki, które mogły należeć wyłącznie do żołnierzy.

Odgłos tłuczonego szkła. Lustro obok drzwi. Żołnierze śmiali się.

– Gdzie oni są? – Zachrypnięty głos. – Gdzie są partyzanci? Wskaż ich! – Brzdęk. Kopniak w drzwi od szafy. Alek wstrzymała oddech. Czy odważy się wypuścić powietrze z płuc? Namacała brata. Jego śliska od potu dłoń wymusnęła jej się z ręki.

– Nie ma tu nikogo, proszę pana, tylko moja żona i ja. – Grzeczność. Grzeczność nigdy nie sprowadza nikogo na złą drogę. Kto wie, kto wie, może intruzi zmienią zdanie. Alek modliła się.

– „Nikogo nie ma, proszę pana, tylko moja żona i ja!”. – Głos naśladowujący ojca.

Alek czuła, jak przerażenie wnika w każdy zakamarek jej jestestwa, jak wypełnia wszystkie szczeliny, obnażone przez strach. Żołnierze chcieli wyrzucić pokój do góry nogami. Pod łóżkiem! Szafę! Szuflady! Między książkami! Ojciec próbował odciągnąć ich od szafy.

– Nikogo tu nie ma, proszę pana, naprawdę. Oprócz nas nie ma tutaj nikogo. Tylko moja żona i ja. – Oczami wyobraźni Alek zobaczyła, jak matka przytakuje i ma nadzieję, że żarliwe przytakiwanie przekona mężczyzn. Wtedy usłyszała w głosie ojca wahanie, liść zdmuchnięty przez wiatr. – Bardzo proszę. Bar... dzo pro... szę, oszczędźcie nas...

Alek nigdy wcześniej nie słyszała ojca mówiącego w taki sposób: ze strachem. Służalczo. Wstydziała się za niego, na co dzień był przecież twardym policjantem. Może nawet padł na kolana.

– Bardzo pana proszę...

Słyszała wahanie w jego głosie. Zaczęte, ale niedokończone zdanie; strzał dokończył je za niego.

Cisza. W szafie unosił się zapach strachu. Wzmagał się. Lament matki, coraz głośniejszy, coraz bardziej przeraźliwy.

– Zamknij się! – warknął żołnierz. Reszta podjęła refren. Lamentowali: – Zamknij się! Zamknij się! – Lament. – Zamknij

się, kobieto Tora Bora¹¹⁵. – Lament. I: – Czyż nie jesteśmy takimi samymi ludźmi jak wy? Czyż nie?

Rozpacz doprowadziła jej lament do *crescendo*, które zatkało płuca Alek, jakby wdychała kurz. Żałowała, że nie może zamknąć tego dźwięku na zewnątrz, tego mrozącego krew w żyłach krzyku, kiedy osiągał punkt krytyczny. („Chciałabym wymazać ten dzień i zacząć go od nowa”). Lament trwał nieprzerwanie i rozrywał serce Alek na kawałki. Jakby się dobrze przyjrzała, może zobaczyłaby, że leżą gdzieś na ziemi. Rozrzucone, krwawiące kawałki serca, stracone na zawsze. Strzał. A potem przerażający spokój. Alek zamknęła oczy. Jeśli je zamknie, może obudzi się z tego koszmaru. Może zniknie kurz, który zatkał jej płuca. Opuszki palców na powiekach. Musi trzymać je zamknięte z nadzieją, że spokojna ciemność przeniesie ją do innego świata, do innej rzeczywistości. Wtedy usłyszała, jak jeden z żołnierzy zakaszłał i coś powiedział, wywołując salwę śmiechu u pozostałych. Wulgarny śmiech dotknął ją do żywego. Lament matki wciąż odbijał się echem w jej głowie. Z głębi jestestwa wydobył się gniew, który pokonał strach. I zdrowy rozsądek. Wygramoliła się z szafy. Ciała rodziców leżały na podłodze niczym wysepka między nią a żołnierzami. Galabija ojca nasiąkła jaskrawą czerwienią krwi, jak szata szamana. Szybko odwróciła wzrok od ciał i skupiła się na mężczyznach. Jedyne, czego pragnęła, to zaatakować tych, którzy chwilę wcześniej zniszczyli jej życie, rzucając je niczym garstkę piasku na wiatr.

Żołnierze spojrzeli na nią. Tyczka od grochu. Piersi jak małe owoce mango, ledwie odznaczające się pod kwiecistym materiałem sukienki. Jeden z żołnierzy uśmiechnął się. Nienormalny grymas, przez który instynktownie skrzyżowała ręce na piersiach. Zaśmiał się. Śmiech pozbawiony radości długo rozbrzmiewał w pomieszczeniu. Żołnierz brutalnie strącił jej ręce i chwycił za piersi. Ścisnął je, jakby chciał sprawdzić, czy owoc jest już dojrzały, zanim go kupi, czym wywołał ból w jej sutkach.

– Ty głupia afrykańska niewolnico!

Kolejny pozbawiony radości śmiech. („Rozerwał mi sukienkę. Broniłam się, ale rozerwał ją na strzępy. I, i, i... rzucił

mnie na łóżko”).

Próbowała go ugryźć. Poczł jej zęby w swoim ramieniu i uderzył. Wbiła paznokcie w jego ramię. Kolejny cios. Skupiła się teraz na jego oczach. Docisnął jej dłonie. Chciała wydrapać mu oczy. Oślepić go, by ogarnęła go ciemność, z której nigdy się nie wydostanie. Przeszywający ból w plecach. Jeden z żołnierzy uderzył ją kolbą strzelby. Nie mogła go powstrzymać. Krzyk brata dobiegający z jego kryjówki. Żołnierz skierował na niego lufę i strzelił. Ciało chłopca poderwało się do góry i z łoskotem zważyło na podłogę. Nie pisnął słówka, ani przed okrutną śmiercią, ani po niej. Alek próbowała krzyczeć, ale nie mogła. Głos odmówił jej posłuszeństwa. Ciało również. Ciepły strumień między nogami zmoczył jej sukienkę. Żołnierz uderzył ją w twarz.

– Dlaczego sikasz na łóżko? – Kolejny cios. – Głupia suka!

Cios za ciosem. Brak sił, by się bronić, gdy rozchylił jej nogi, rozdarł majtki. Wyobraziła sobie matkę, zakrywającą oczy rękoma, by nie patrzeć. Kiedy wsunął w Alek członek, kiedy jej „dotknął”, dziewczynę ogarnęła tak przeraźliwa rozpacz, że nie potrafiła jej wyrazić inaczej niż słowami: „To się nie dzieje naprawdę. To się nie dzieje naprawdę. To się nie dzieje naprawdę”. Powtarzała je jak mantrę, by przegonić ból, rozrywający jej ciało warstwa po warstwie, gdy żołnierz jęczący jak umierający człowiek poruszał się w niej w przód i w tył. Pozostali mężczyźni gwałcili ją jeden po drugim. Wchodzili w nią i wychodzili z niej, tryskając nasieniem na jej twarz.

– Łykaj – mówili. – Dużo białka. Samo dobro. W sam raz dla afrykańskich niewolnic.

Skupiła się na swojej mantrze, aż zapadła w ciemność, w pustkę, w której nic już nie czuła.

Alek nie wie, jak długo leżała tam naga, odczuwając ból między nogami i głęboką pustkę, ze smrodem surowej ryby i kurzu w nozdrzach. Pamięta, że obudziła się z uczuciem rozpacz po czymś, ale nie od razu sobie uświadomiła po czym. I wtedy jej wzrok powędrował ku podłodze. Znów wszystko do niej wróciło. Z gardła Alek wydobył się krzyk, od którego zaschło jej w ustach.

Jęczała, drapała, kaleczyła się i znów wrzeszczała. Aiiiiiiii. Aiiiiiiii. Krzyk, od którego ochrypła i który wywołał szloch. Jedynym, o czym mogła myśleć, była ucieczka z tego domu. Sięgnęła do szafy i wyjęła z niej należącą do matki sukienkę. Przytknęła ją do nosa i wyczuła ciepło, które nie przyniosło pocieszenia. Przyłożyła ją do ciała, a łzy kapały na materiał. Włożyła ją, zanosząc się od płaczu. Sukienka okryła ją i rozłożyła się wokół jej bioder jak spadochron we wszystkich kolorach tęczy. Alek wyszła z pokoju, starając się nie patrzeć na leżące na podłodze ciała. („Myślałam, że jak na nich nie spojrzę, to wszystko... sama nie wiem... będzie nieprawdą, jak zły sen, rozumiecie? Może o mnie zapomnieli i wyruszyli sami”). Marzyła o tym, by umyć nos, zmyć zapach surowej ryby, którym śmierdziało nasienie żołnierzy. Chciała szorować się w kroku, aż zapomni o przyczynie bólu.

Przy drzwiach wejściowych znalazła swoje klapki. Musi być silna. Na zewnątrz wszędzie leżały ciała. Kobiety w kolorowych ubraniach szły gęsiego. Jaskrawe błyski kolorów pośród całkowitego zniszczenia. Widok ten niósł nadzieję. Może nie straciła jeszcze wszystkiego. Może jej rodzina jeszcze żyje, a ona ugrzęzła w koszmarze. Niektóre kobiety niosły dzieci na plecach, inne prowadziły maluchy za rączki. Dołączyła do nich. Nikt nie pytał, kim jest, a Alek nie przedstawiła się. Wspólna rozpacz trzymała je razem. Sznurowała im usta. Od czasu do czasu załkało jakieś dziecko. Inne prosiło o coś do jedzenia lub picia. Poza tym grupa szła w milczeniu w kierunku mostu. Przeskakiwały ciała. Widząc na poboczu drogi piłkę i sandałki, Alek pomyślała o Aterze, o jego miłości do piłki nożnej. Chciał zostać zawodowym piłkarzem. Środkowym pomocnikiem w Hilalu, jego ulubionej drużynie. Albo w Meriekhu, drugiej ulubionej drużynie. Alek przełknęła ślinę. Nie będzie płakać. Płacz oznacza poddanie się, ustąpienie. A ona była zdeterminowana, by przeżyć. Była to winna rodzicom i bratu. Poświęcili się dla niej. Nie może ich zawieść. To byłoby gorsze od tego, co przeżyła.

Podnosiła na przemian ociężałe stopy, połykała łzy, aż

wypełniły jej żołądek. Miała wzdęty brzuch i była pewna, że już nigdy nie będzie odczuwać głodu. Dopiero przy moście odwróciła się. Ciche pożegnanie rodzinnego miasta. Nie wiedziała, kiedy tu wróci. Czy kiedykolwiek wróci. W głowie odtwarzała wspomnienia. Obrabiała przeszłość. Wycięła z niej okrucieństwo, a zostawiła wesoły śmiech i uśmiechy. Jej wspomnienia były czarno-białymi fotografiami z wieczorów wypełnionych niewinnym droczeniem się, dobrym jedzeniem i rodzinnymi gramami. Ale wtedy znów to sobie uświadomiła. Jest sama. Spojrzała na siebie, na popękane i zakurzone stopy. Zasnęte gardło domagało się wody. Pot gromadził się między piętami i klapkami, przez co buty skrzypiały. Marzyła o kąpieli, chłodnej, orzeźwiającej kąpieli, która zmyje z niej cały brud. Oprócz rybiego smrodu wyczuwała też własny zapach. I ta ledwie wyczuwalna woń zmroziła ją. Napęła ją gniewem *habubu*¹¹⁶.

Alek miała wrażenie, że do kostek ma przytroczone ciężkie worki z sorgo. Każdy krok stanowił męczarnię, ale wybawienie było już blisko. Po drugiej stronie rzeki rozciągał się sześciokilometrowy rząd namiotów obozu dla uchodźców. Kurz. Ludzie. Żołnierze pilnujący obozu. Dostrzegła ich, czuła ich zapach i widziała, jak paradują, przyjmując pozę osób, do których należy cały świat.

Nowi uciekinierzy musieli zarejestrować się w biurze. Po raz pierwszy opowiedziała swoją historię obcej osobie: jasnowłosej pracownicy ONZ, mówiącej przez nos jak Europejka, chociaż była czarna. Kobieta nawet nie mrugnęła okiem, gdy usłyszała historię Alek. Nie skuliła się, gdy dziewczyna opowiedziała jej o strzałach, od których zginęli rodzice. Albo o tym, jak żołnierze po kolei ją gwałcili, jak widziała śmierć brata i strzępki jego mózgu spływające po ścianie sypialni rodziców. Kobieta nie odezwała się słowem. Dała Alek kartkę żywnościową i powiedziała, że to na jedzenie. Dała jej plastikową płachtę namiotową i wezwała następną osobę w kolejce. Alek myślała, że od jej opowieści zapłoną uszy, świat się zatrzyma, ale reakcja kobiety uświadomiła jej, że ten obóz jest wielkim składowiskiem smutnych historii. Jej

przeżycia wcale nie są wyjątkowe.

– Następny! – zawołała kobieta.

NASTĘPNY. Ludzie słyszeli jej nawoływanie na końcu kolejki. Następnynastępnynastępny. Ona tylko rejestruje uchodźców. Wykonuje pracę, do której została zatrudniona.

NASTĘPNY!!!

Mając piętnaście lat, Alek wyposażyła swój dom w łóżko i drewniany stół. Jej marzenia o pójściu na uniwersytet i podjęciu studiów lekarskich zostały pogrzebane wraz z przeszłością, która już nie wróci. Jej nowym domem stał się namiot, który najpewniej nie powstrzymałby piasku nawiewanego przez porywisty wiatr z pustyni.

Skorzystała z pierwszej nadarzającej się okazji, by się umyć. Tarła pokryte kurzem stopy prawie do krwi. Chciała, by zaczęły krwawić. Potem, przed wyjazdem do Antwerpii, nie będzie się już tak mocno szorować. Ból wywołany szorowaniem stał się jej katharsis. Uwolnił jej ciało od ciężaru, który nosiła, wreszcie poczuła się jak nowo narodzona. Stopy błyszcząły, lśniły w ciemności, a kostki znów były lekkie jak piórko.

Tego wieczoru stała przed namiotem i wpatrywała się w gwiazdziste niebo. Uśmiechała się do gwiazd i gawędziła z ojcem o szkole, o tym, że będzie ciężko pracować, jeśli uda jej się wrócić do szkoły. Rozmawiała z matką o bolesnej miesiączce. Klóciła się z młodszym bratem o buty, które znalazła w swoim pokoju. „Zabieraj stąd te śmierdzące buty, nie chcę ich widzieć w swoim pokoju!” – rozkazała mu, gdy pokazał jej język. Bała się usnąć. Bała się, że coś jej się przyśni. W końcu jednak zasnęła i śniła o ojcu. Kiedy się obudziła, pozwoliła sobie na łzy. Nawet nie starła ich z policzków. To był cichy płacz. Nie to głośnie łkanie, którego się spodziewała, rozpaczliwy płacz taki jak wiele lat wcześniej nad grobem babci. Łzy rozpuściły ciężar w piersiach, pozostawiając po nim głęboką i ciemną dziurę. W jej środku znajdowało się epicentrum burzy piaskowej.

Alek biernie dostosowała się do życia w obozie. Stała w kolejce po jedzenie i mydło, tolerowała za plecami

poszturchiwania i przepychanki ludzi niecierpliwie czekających na swoją kolej. W ciągu dnia pod czujną eskortą żołnierzy ze służb pokojowych Unii Afrykańskiej zbierała z innymi kobietami i dziećmi drewno do kuchni polowej. Rutyna dnia codziennego niosła z sobą bolesne poniżenie.

Czasem przed zaśnięciem widziała rodziców leżących na podłodze sypialni. Czowała strach, dzielony w szafie z bratem. Słyszała śmiech żołnierzy, którzy zdarli z niej sukienkę i szczypali piersi. Czasami żałowała, że jej nie zabili. Ponieważ żyła, czuła się zobowiązana, by przeżyć, ale jaki sens miało przetrwanie, skoro musiała mieszkać w namiocie?

Nienawidziła obozu. Nie potrafiła zaprzyjaźnić się z innymi uchodźcami. Ich śpiewy i śmiechy irytowały ją. Jakby świat miał się wyśmienić! Nienawidziła łatwości, z jaką wszyscy dostosowywali się do obozowego życia. Brzydziła się wianuszkami kawowym w namiocie, gdzie spotykały się kobiety i gdzie terapeuci usłużnie rozdawali kubki z kawą, zachęcając kobiety, by ze sobą rozmawiały, by opowiedziały historię swojego życia, co miało pomóc w uporaniu się z traumatycznymi przeżyciami. Alek nie chciała słuchać tych opowieści. Nie chciała słuchać Gyory, którą dwóch dzandzawidów zaciągnęło za drzewo rosnące przy jej domu rodzinnym. Została tak brutalnie zgwałcona, że jeszcze pół roku później wciąż krwawiła. „Moje ciało nie chce zapomnieć o tym gwałcie” – zakończyła swoją historię. Cały czas siedziała ze skrzyżowanymi rękoma. Chroniła brzuch przed niewidzialnym wrogiem. Alek nie chciała też słuchać opowieści Raody o porwaniu jej i szesnastu innych kobiet. Żołnierze na koniach, w galopie. W galopie! Wykorzystywali dziewczyny jako niewolnice seksualne. Którejś nocy Raodzie udało się uciec, była w czwartym miesiącu ciąży. Trzy miesiące później urodziła dziecko, niecierpliwie pchające się na świat; niestety, nie przeżyło nawet kilku dni. Nie, Alek nie chciała rozmawiać przy kawie i słuchać opowieści kobiety, której imienia nie była w stanie zapamiętać, o tym, jak jej czternastoletni syn został zmuszony do odbicia z nią stosunku z bronią przystawioną do głowy przez

żołnierzy, którzy krzyczeli nad nim: „Dotknij jej piersi! Zasadź jej kutasa!”. Napad wściekłości sparaliżował ciało Alek. Jaki to ma sens?! To całe gadanie? Te wspomnienia? To wywoływanie duchów? („Wiecie, czasem odnosiłam wrażenie, że terapeuci odczuwali perwersyjną przyjemność ze słuchania opowieści o tych wynaturzeniach”). Alek nie zgodziła się opowiedzieć swojej historii. Nie chciała otwierać serca przed obcymi ludźmi, pokazywać im jego krwawiącej szorstkości.

Nienawidziła żołnierzy ze służb pokojowych Unii Afrykańskiej, przechadzających się z rękoma w kieszeniach, z kałaszami na piersi, jakby zamiast broni nosili instrumenty muzyczne. Omal nie umarła w dniu, kiedy musiała poprosić o podpaski. Tej nocy dostała okresu. („Oto stanęłam przed obcym człowiekiem i musiałam mu powiedzieć, że dostałam okresu. A nieopodal stał żołnierz i chichotał, rozbawiony”). Sytuacja ta obnażyła jej rozpaczliwą bezsilność.

Trzy miesiące później, na miesiąc przed swoimi szesnastymi urodzinami, Alek poznała Polycarpa, nigeryjskiego żołnierza. Wyzywający w swoim mundurze, z cienką blizną pod lewym okiem, mniej więcej długości jej małego palca, towarzyszył grupie zbierającej drewno na opał. Przyłapała się na tym, że bardzo chciała tej blizny dotknąć. Poczuc ją pod palcami. Usłyszeć historię jej powstania. Miłość. Nie potrzebowała wiele czasu, by zdać sobie z tego sprawę. I to w dodatku w takim miejscu jak to! Nie sądziła, że ma jeszcze w sobie jakieś głębsze uczucia. Marzyła o ślubie i dzieciach, ale to było kiedyś, nim zdała sobie sprawę, że człowiek potrafi się zmierzyć z bólem i stratą. Nim zrozumiała, że nie trzeba umrzeć, by znaleźć się w samym środku piekła. Nie ma mowy. Zaprzeczenie. Nie z żołnierzem. Nie ma mowy. Ale Polycarp był inny. Nie przyglądał się uchodźcom z zaciekawieniem ani współczuciem, drwiną czy wyższością. Jego oczy patrzyły ciepło. Kiedy szedł, jego chód był wytrenowany i sztywny, ale jednocześnie cichy, jakby jego życie wcale nie było lepsze od życia ludzi, których ochraniał. Bawił się z maluchami. Pozwalał im ciągnąć się za mundur. Pozwalał, by dotykały jego

broni. Szczypał je w policzki. Rozśmieszał je. Alek nie przeszkadzał ich głośny śmiech. Śmiech, który tym razem nie rodził u niej pytania, jak ktoś może być szczęśliwy w takich okolicznościach. Bo wszyscy, którzy znajdowali się w otoczeniu tego żołnierza, musieli być szczęśliwi. Musieli się śmiać. Musieli odnaleźć radość życia. Desperacko pragnęła, by jej dotykał. Marzyła o tym, by wywołał u niej taki sam głośny śmiech jak u dzieci. Tak bardzo chciała, by wodził za nią wzrokiem. W każdej minucie dnia.

Polycarp także zwrócił uwagę na Alek. Wydawało się, że zawsze miał jakiś powód, by znaleźć się blisko niej, kiedy ścinała gałązki na ognisko. Proponował, że pomoże jej przy wiązaniu ich w ciasny pęk, a gdy ich ręce się stykały, przez chwilę ścisnął jej dłoń. Ten drobny gest powodował, że chciała śpiewać ze szczęścia. Kiedy kładł pęk gałązek na jej głowie, delikatnie, tak że prawie tego nie czuła, dotykał jej karku. Ta ulotna pieszczota mimowolnie wzniewała w niej dziki płomień pożądania.

W tajemnicy kupował jej prezenty. Torebkę, puszkę sardynek, grzebień, lusterko, słodycze. Alek chowała te podarki w kącie namiotu. Czasem wyjmowała lusterko i uważnie studiowała swoją twarz. W odbiciu widziała kogoś obcego, kogoś z nieruchomymi kącikami ust, ze zmarszczkami wokół oczu rozchodzącymi się na skronie. Ta dziwna postać wyglądała staro. Przynajmniej na dwadzieścia pięć lat, myślała. Wydawało jej się, że chyba nie może wyglądać starzej. Co ten Polycarp w niej widzi?

Powiedział: „Zwiąż włosy w koczek, wtedy będę widział twój kark”. Zachichotała.

W nocy śniła o nim. Śniła o dzieciach, które mu urodzi. Śniła o życiu z dala od obozu. Budziła się z uśmiechem na ustach. Życie nie było już męczarnią, przez którą musiała przechodzić dzień w dzień. Życie miało twarz i ładną bliznę, i dłoń, która wywoływała dreszcze na jej ciele.

Rozmawiając teraz z gwiazdami, opowiadała rodzinie o Polycarpie. Opisywała go matce: mężczyzna tak wysoki, że gdyby wspiał się na palce, mógłby dosięgnąć nieba. Jego skóra jest

ciemnożółta jak kukurydza. Czy jest w stanie wyobrazić sobie kogoś tak żółtego? Jego głos jest zachrypnięty, jakby mężczyzna wciąż powstrzymywał się od kaszlu. A jego nos, mamó, jego nos przypomina dziób jakiegoś ptaka. Chciało jej się śmiać, gdy przypomniła sobie, jak chudy jest Polycarp, tak chudy, że wygląda jak człowieczek, którego rysują dzieci. Ojcu powiedziała, że Polycarp przynosi jej prezenty, że dba o to, by dostawała większe porcje jedzenia. Powiedziała bratu, że patrząc na Polycarpa, widzi jego, że mają identyczne oczy: ze źrenicami, które nie są całe czarne, ale raczej szarawe. Powiedziała rodzinie, że ostatnio coraz częściej myśli o małżeństwie, o byciu matką i żoną. Czowała się jak przedmiot, który wiele lat przeleżał pod ziemią i właśnie został wykopany.

Któregoś dnia dostała od Polycarpa liścik, w którym prosił o spotkanie przed jej namiotem jeszcze tego samego dnia. Nocą rozświetloną księżycowym światłem Alek poszła za Polycarphem do jego baraku. W jego pokoju unosił się dziwny zapach, zapach mężczyzny, którego Alek nie czuła od śmierci ojca. Nie, nie może teraz myśleć o ojcu. Odsuń tę myśl od siebie. Polycarp zaprowadził ją do łóżka. Rozebrał ją, bardzo ostrożnie, jakby była krucha jak porcelana. Zdjął jej sukienkę przez głowę, pochylił się i chwycił wargami jej sutek. Zdjął koszulę i naprowadził jej dłoń na rozporek, by go rozpięła. Na łóżku delikatnie odchylił ją, aż jej plecy otarły się o szorstką wojskową kołdrę. Było jej to obojętne. Unosiła się nad ziemią. Fruwała. Trzepotała skrzydłami jak motyl. Między nogami poczuła męskość Polycarpa. Nie bolało, nie szczypało. Pustkę w piersi wypełniło długie westchnienie i uczucie rozkoszy.

Oto została wykopana. Została wydobyta z bardzo głębokiego dołu.

Tej nocy szepnęła do matki:

– Teraz jestem kobietą, matko, prawdziwą kobietą. – Chyba matka jej to wybaczy? Reguły uległy zmianie. Spała z mężczyzną, który nie jest jej mężem. Oczami wyobraźni zobaczyła twarz matki – uśmiechała się szeroko, również do Polycarpa. To był uśmiech

przebaczenia. Na pewno.

Alek często przychodziła do baraku Polycarpa. Wkrótce przekonała się, że nie umie bez niego żyć. Stał się częścią jej ciała, taką jak inne organy. Rozśmieszał ją. Dzięki niemu czasem zapominała, że widzi rodziców i brata tylko w snach. Polycarp zakradł się do jej serca i uwił w nim sobie przytulne gniazdko.

Prosiła, by opowiedział jej o swoim życiu. Wyobraziła sobie, jak wyglądało, nim się poznali. Blizna była pamiątką po laniu od ojca, gdy przyłapał siedemnastoletniego Polycarpa z marihuaną. Skórę przecięła sprzączka ojcowskiego paska. Przez wiele dni Polycarp chodził z dłonią przystawioną do lewego oka.

Dzieliła jego przeżycia i czuła tamten ból. Jest najstarszy z piątki dzieci. Matka prowadzi piekarnię. Ojciec jest właścicielem drukarni. Przed przyjazdem do Sudanu mieszkał w Lagosie. Lagos jest najtłoczniejszym miastem na świecie. Panuje w nim taki ścisk, że trudno złapać oddech. Targowiska są przepiękne. Powiedziała, że w takim razie Lagos jest bardzo podobny do Chartumu, chociaż mniej zakurzony. „Któregoś dnia zabiorę cię do Lagosu i będę traktował jak królową, którą jesteś”. Zaśmiała się na myśl o byciu królową. Pocałował ją i powiedział, że jej śmiech jest czysty jak kryształ. Ta uwaga znów ją rozśmieszyła i Polycarp pocałował ją jeszcze raz. Pragnęła, by tak było już zawsze. Jego usta na jej ustach.

Dwa miesiące później Polycarpa przeniesiono do Lagosu. Zabrał ze sobą Alek. Czas najwyższy, pomyślała. Tych siedem miesięcy spędzonych w obozie dla uchodźców było jak dożywocie. Plastikowe płachty namiotów rzeczywiście nie chroniły przed burzami piaskowymi.

Tamtego wieczoru, zanim Madam wyrwała ją ze snu, Sisi zobaczyła swoje auto. Mercedes lśnił tak pięknie, że ją oślepił. Za kierownicą siedziało bezgłowe coś, z czego wychodził lont, jak knot ze świeczki. Kiedy się obudziła, pstryknęła palcami nad głową, by odegnać złe moce wywołane snem. Pod czujnym okiem Madam otworzyła plecak, który wcześniej od niej dostała, i wyjęła ubrania na swój pierwszy wieczór w pracy. Samochód i knot świecy błyszcząły w jej wspomnieniach i nawet gdy próbowała o tym nie myśleć, obraz uparcie powracał, przepełniając ją niepokojem, gdy się ubierała. Zdecydowana, by się nie odwrócić i nie uciec (niby dokąd?), próbowała się uspokoić, wkładając ubrania z entuzjazmem, którego tak naprawdę nie czuła. Włożyła spódnicę wybraną dla niej przez Madam. Zacisnęła szczęki i wymacała z tyłu zamek, by go zasunąć. Spojrzała na bluzkę i się zaśmiała. Energicznym ruchem zapięła guziki aż pod szyję. Wydęła wargi i nałożyła czerwoną szminkę, czerwoną jak jej myśli. Mordercze myśli wywołujące chęć tłuczenia przedmiotów. Przecież ma stopień naukowy, do cholery! Drżały jej ręce. Miała wrażenie, że tego nie wytrzyma. Czarna jak smoła kredka do oczu ukrywała smutek, któremu Sisi nie miała odwagi spojrzeć w twarz. Czy dzieci prezydenta Obasanji są zmuszane do robienia „tych rzeczy”, żeby przeżyć? Słyszała, że dostały się na ekskluzywne amerykańskie uniwersytety. Pośliniła palec i usunęła smugę kredki do oczu. Po co w ogóle poszła do szkoły? Pomyślała o bloku w Ogbie, o stagnacji, w której żyje Peter, o ojcu, który nie patrzy ludziom w oczy, o Przepowiedni, którą ona spełni. Powieki pomalowała cieniem w kolorze piasku. Madam stanęła w drzwiach, by ją zlustrować. Zapytała, czy jest gotowa na dzisiejszy wieczór. „Tak – odpowiedziała. – Jestem gotowa”.

Sisi była odzianą w srebro i złoto iluzjonistką snów. Nie była to kreacja, którą sama by włożyła, nawet do tej pracy. Miała na

sobie opiętą bluzkę ze srebrnymi cekinami i złotą nylonową spódniczkę, podkreślającą kształt jej pośladków, kiedy się schylała. Takie było życzenie Madam. Sisi chciała ją poprosić o dłuższą spódnicę. Czuła się naga, srebrno-złoto naga. Z jej uszu zwisały długie, sięgające ramion kolczyki z tombaku: cienkie promienie zachodzącego słońca. Do tego szminka w kolorze koncentratu pomidorowego. Z pożądliwie wydętymi (taką miała nadzieję), lśniącymi czerwienią wargami próbowała wskrzesić energię, która w drodze z Ogby na lotnisko wywołała w niej poczucie quasi-nieśmiertelności.

Bezskutecznie. Tylko raz uda jej się wywołać to uczucie. Prawie.

Madam zostawiła samochód na parkingu nieopodal baru z plackami pita. Lokal był otwarty i na zewnątrz stała kolejka klientów.

– Dalej pójdziemy pieszo – powiedziała Madam.

Wysiadły. Sisi zastanawiała się, jak ma minąć bar z shoarmą – i zupełnie rozbudzonych klientów czekających na zamówienie – odziana w ten złoto-srebrny strój roboczy, jak tandetna podróbka klejnotu. Zdała sobie sprawę, że jej tyłek wyraźnie rysuje się pod spódnicą, nawet kiedy się nie schyla. Czy to właściwie jest spódnicą? Obciągnęła kiczowaty materiał, próbując go rozciągnąć i zakryć wstyd.

Minęły bar, ale spodziewane przez Sisi gwizdy i wyzwiska się nie pojawiły. W Lagosie by mi się nie upiekło, lecz cóż, to nie jest Lagos, pomyślała z wdzięcznością. Z trudem szła po kocich łbach. Skręciły w boczną uliczkę i znalazły się na szerokiej ulicy z apartamentowcami po obydwu stronach. Jej uwagę przykuły mieszkania na parterze. Ogromne okna, właściwie witryny, oświetlone niebieskimi i czerwonymi neonami, a w nich młode kobiety w przeróżnych pozach – dużo odsłoniętych piersi, trzepoczących rzęs i palców wskazujących przywołujących klientów. Ładne kobiety w skórkach, półnagie ciała w bieliźnie z niezliczonymi frędzlami, w kozakach do połowy uda. Na ulicy przeważali mężczyźni. Kilka kobiet, które dostrzegła Sisi,

trzymało swoich partnerów w pasie lub ciągnęło ich za rękę – jakby chciały w ten sposób podkreślić swoje niezbywalne prawo własności – i szybkim krokiem odchodziło z mężczyznami trzymanymi na niewidzialnej smyczy. Samotni panowie szli powolnym krokiem, jakby się nad czymś zastanawiali. Byli jak przemykające cienie, które w świetle dziennym rozplynęłyby się w nicości, których obecność wykorzystywały kobiety siedzące za szybą. Cienie regularnie przystawały i gapiły się w witryny, by sprawdzić, czy przywołująca je dziewczyna odpowiada ich wyobrażeniu. Czasem mężczyźni podchodzili do okien i rozmawiali z kobietami przez szparę w drzwiach. Zobaczyła, jak kilku z nich, po wybraniu dziewczyny na tę noc, wchodzi do środka i znika za zasłonami. Minęły duży budynek, którego nazwę podświetlały czerwone neony. Jedną z liter ozdabiała sylwetka długonogiej kobiety emanującej arogancją. Madam zauważyła, że Sisi patrzy na neon, i powiedziała melancholijnie:

– Villa Tinto. Królowa wszystkich burdeli. Ma nawet własny posterunek policji. Działa dopiero od kilku miesięcy, chyba od stycznia albo lutego. Wcześniej był tu magazyn. Przebudowa sporo kosztowała, tak to już bywa. W środku istny raj, wszystko w stylu high-tech, zaprojektowane przez jakiegoś znanego architekta. Słyszałam, że pracujące tam dziewczyny mają łóżka wyposażone w przycisk alarmowy na wypadek, gdyby coś poszło nie tak z klientem. Mają jacuzzi i saunę, tego typu rzeczy, nas nie stać na takie luksusy. Tam pracuje garstka czarnych kobiet. Ze dwie albo trzy. Najlepsze z najlepszych. To tutaj ministrowie wybierają sobie dziewczyny do towarzystwa! Te dziewczyny to *crème de la crème*. My idziemy do ‘t Theepotje. Nie ma tam ministrów, ale są klienci, którzy płacą.

Przed drzwiami stał wysoki ciemnoskóry ochroniarz. Miał czarną czapkę bejsbolową bez napisów i jasne džinsy. Sisi zastanawiała się, skąd pochodzi. Ciemna skóra wskazywała, że raczej nie jest Nigeryjczykiem, nie lśniła też tak, jak skóra Ghańczyków. Była raczej popielata, jak niestarannie wytarta tablica szkolna. Może Senegalczyk? Albo Gambijczyk? Może

pochodzi z jednego z tych zgniłych regionów Rwandy czy Burundi. Nie była pewna. Ludzie z tych krajów rzeczywiście wyglądają podobnie, czyż nie?

Mężczyzna odsunął się i wpuścił je z eleganckim ukłonem.

– Królewska piękność... – powiedział, cedząc słowa. Madam zaśmiała się perliście.

Sisi weszła pierwsza do zaskakująco posępnego pomieszczenia. Spodziewała się jasnego światła, od którego zakręci się jej w głowie, skrzącej i lśniącej poświaty, oślepiającego blasku kul dyskotekowych, a tymczasem knajpę spowijało słabe, przyciemnione światło i trochę trwało, nim oczy Sisi przyzwyczały się do półmroku. Zobaczyła wewnątrz obite ciemną boazerią, na drewnianym suficie świeciły się niebieskie, czerwone i pomarańczowe spoty, ułożone w ogromną gwiazdę, rozciągającą się na całą szerokość lokalu. Kryła ona w sobie jeszcze sześć gwiazdek, każda mniejsza od poprzedniej, jak w matryoszce. Z początku Sisi dostrzegła jedynie chmurę dymu unoszącego się wokół światełek. Czuła się, jakby opuściła ziemię i znalazła się w chmurach, otoczona gwiazdami skrzącymi się wszystkimi kolorami tęczy. Potem zobaczyła jedenastu mężczyzn siedzących na stołkach barowych przy ścianie; większość paliła papierosy. Z lewej strony znajdował się bar, przy którym stał otyły mężczyzna w kraciastej koszuli i wycierał wysokie kufle. W geście powitania podniósł palec. Madam skinęła głową, uśmiechnęła się i podeszła do barmana, Sisi trzymała się za nią. Przy barze stało kilkanaście stołków, na większości z nich siedziały młode czarne kobiety. Prawie wszystkie były ubrane identycznie: wycięty T-shirt, odsłaniający kawałek brzucha lub dekolt, spodnie albo krótkie spódniczki. Wszystkie miały długie błyszczące włosy, od bardzo jasnych po ciemnobrązowe, które kołysały się zgodnie z ruchem ich głów. Sisi zwróciła uwagę na trzech mężczyzn siedzących na stołkach i charakterystycznie rozdziawiających usta, kiedy przechylali wysokie kufle z piwem. Kobieta w czarnym topie bez ramiączek i dzinsach siedziała między rozchylonymi udami jednego z tych mężczyzn. Spojrzała przelotnie na Sisi, odwróciła

się i powiedziała do niego coś, na co zareagował śmiechem i pokręcił głową przecząco.

Barman powiedział coś do Madam. Przyłożyła dłoń do ucha i rzekła:

– Nie słyszę, co mówisz!

– Jedną chwileczkę. Już idę. Momencik! – krzyknął, chcąc zagłuszyć muzykę, i jednocześnie uniósł palec wskazujący, podkreślając, że to zajmie naprawdę tylko chwilę. Uśmiechnął się do Madam.

– Okej. – Madam odwzajemniła uśmiech, oparła się o bar i coś powiedziała. Barman zaśmiał się. Czekając, Sisi rozglądała się po lokalu. Na jego tyłach stało osiem kwadratowych stołów. Przy każdym z nich siedziało czterech mężczyzn w towarzystwie czwórki kobiet, które albo wisiały im na szyi, albo siedziały im na kolanach, albo stały za nimi. O tylną ścianę opierała się szafa grająca, a obok niej, na stołku, siedziała młoda kobieta ubrana w obcisłe spodnie i koszulkę na cienkich ramiączkach. Stopami wystukiwała rytm, jej głośne bum-bum-bum było słychać w całej knajpie.

I like to move it move it

I like to move it move it

Ya like to...

Move it!

I like to move it move it

I like to move it move it

Ya like to...

*Move it!*¹¹⁷

W jednej ręce trzymała czarny telefon komórkowy, tak mały, że wyglądał jak zabawka, w drugiej papierosa. Przedłużane włosy były tak długie, że sięgały ramion. Sisi zastanawiała się, dlaczego siedzi sama. Czyżby też była madam, kontrolującą swoje dziewczynki? Sprawdza, czy się grzecznie zachowują? Dogląda inwestycji? Wyglądała młodo, zbyt młodo, by mieć własne dziewczynki, a jednocześnie zbyt zamożnie, by być czyjąś dziewczynką.

Sisi zwróciła uwagę, że w knajpie roi się od kontrastów: mężczyźni–kobiety, czarni–biali, starzy–młodzi, bo oprócz może pięciu z nich większość mężczyzn wygląda na co najmniej czterdziestkę. Sisi przekona się z czasem, że starsi klienci to lepsi klienci. Ama powie jej: „Młodzi mężczyźni pragną kochanki. Ale która kobieta chce zostać czyjąś kochanką za darmo? Starsi mężczyźni przychodzą, by się zaspokoić. Nie szukają miłości. Płacą, by dostać to, czego chcą. Niektórzy są wdowcami, inni mają żony, które straciły już ochotę na baraszkowanie. Ci mężczyźni przychodzą tutaj, a my jesteśmy ich viagrą, dzięki której znów mogą zmierzyć się ze światem. Cóż, młodzi mężczyźni tryskają energią, mają różne marzenia. Pragną miłości, ale my nie mamy jej w ofercie. To nie należy do naszych obowiązków”. Ama uderzy się w uda i wybuchnie gromkim śmiechem. Jej śmiech będzie głuchy jak pusta muszla i omal nie doprowadzi Sisi do łez.

Madam puknęła Sisi w ramię gestem delikatnym jak muśnięcie motyla, a jednocześnie ponagającym i władcym. Mężczyzna wyszedł zza baru i ku zdziwieniu Sisi wcale nie był przysadzisty, jak jej się wcześniej wydawało. Właściwie był

prawie tak szczupły jak Segun. Sisi uzmysłowiła sobie, że powodem, dla którego barman wydaje się potężniejszy niż w rzeczywistości, jest jego brzuch piwny, wielkością przypominający zaawansowaną ciążę, bo tak naprawdę mężczyzna jest raczej drobnej postury. Przez drzwi obok toalet, na które Sisi wcześniej nie zwróciła uwagi, zaprowadził je do biura na tyłach kawiarni. W jaskrawym świetle jarzeniówek Sisi zauważyła brązowe okruszki na jego wąsach. Zastanawiała się, co wcześniej jadł. Może chleb? Mężczyzna uśmiechnął się do nich, odsłaniając lśniące zęby. Skinął głową, przeczesał palcami proste czarne włosy, a drugą ręką niedbale narysował w powietrzu figurę Sisi.

Przemówił w języku angielskim:

– Bardzo dobrze, Madam, bardzo dobrze. Czy ona zna się na rzeczy? Tutaj klienci są zawsze na pierwszym miejscu. Zadbaj o to, by pili, by zamawiali drinki. Dużo drinków, bardzo dużo drinków. I to *drogich* drinków. Ty dbasz o biznes, a ja dbam o klientów, okej? – Puścił oko do Madam i obejmując Sisi ramieniem, wrócił z nimi do knajpy. Sisi, nieprzyzwyczajona do wysokich obcasów, chwiała się na błyszczących srebrnych szpilkach i kręciła pupą jak modelki, które widziała w telewizji. Czowała się bardziej pewna siebie, niż się spodziewała.

– Uśmiechaj się – szepnęła Madam.

Sisi wzięła głęboki oddech, wciągnęła brzuch i pokazała najpiękniejszy uśmiech, który stanie się jej znakiem firmowym w tej branży.

Odwzajemnił go jakiś mężczyzna w koszuli w paski. Opierał się o ścianę i trzymał butelkę piwa w ręce. Uśmiechał się ostentacyjnie, dlatego Madam delikatnie popchnęła Sisi w jego kierunku i pospiesznie opuściła knajpę, znikając w mroku nocy. Musi jeszcze załatwić kilka spraw, powiedziała Sisi i przypomniała, że ma być grzeczna. Sisi obciągnęła spódnicę, próbując zakryć nią uda, ale materiał ani drgnął. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Dobry wieczór, ślicznotko. – Mężczyzna w koszuli w zielone paski uśmiechnął się do niej, gestem wskazując wolny

stołek. – Jak ci na imię?

– Eee?

– Jak ci na imię? Twoje imię! – krzyknął jej do ucha.

– Sisi.

Usiadła, próbując przywołać uśmiech. Rozciągnęła wargi i delikatnie rozchyliła usta. Przez ułamek sekundy widać było słaby płomyk uśmiechu, palił się przez chwilę, po czym znów zgasł. Znalazła się w korkociągu. Jak może się teraz uśmiechać, kiedy leci na łeb na szyję? Co ty tutaj robisz, na miłość boską?! Po prostu uśmiecha się do tego obcokrajowca, do którego nic nie czuje i który prawdopodobnie dziś wieczór ją posiadzie. Jak dotąd spała tylko z dwoma mężczyznami. Kiedy miała osiemnaście lat z Kunlem, bo chciała trochę poeksperymentować, i z Peterem. Co by o niej pomyślał Peter, gdyby ją teraz zobaczył? Łzy napłynęły jej do oczu. Nie robi tego, bo ma na to ochotę – wmówiła sobie po raz kolejny – ale ponieważ tu trafiła i nie ma odwrotu. Zaciśnęła zęby i próbowała się uśmiechnąć. Jej usta wydawały się ze słomy, skrzypiały; uśmiech rozbił się na tysiąc kawałków.

– See See? Ładne imię. – Mężczyzna się zaśmiał. – Ładne imię dla ładnej pani. Napijesz się czegoś, See See? – Wymawiał jej imię tak, jakby kosztował czegoś smacznego, jakby nie chciał tego od razu pogryźć. Sisi przytaknęła. Tak, drink dobrze jej robi. Coś zimnego. W lokalu panowało straszne gorąco, mimo że na zewnątrz czuło się, że to już wrzesień: było chłodno, choć jeszcze nie zimno. „Poczekaj do października” – ostrzegła ją Ama. „Wtedy zaczyna robić się chłodno i tak jest aż do lata. Rozmawiasz z kimś na dworze, a z twoich ust wydobywa się dym, jakbyś połknęła ogień. A w okolicy grudnia możesz ziać ogniem ile wlezie, i tak nie robi ci się od tego cieplej”. Sisi chciała dowiedzieć się czegoś o śniegu, czy w grudniu pada śnieg i czy jest tak piękny jak w telewizji – wygląda, jakby był miękki jak puch, prawie jadalny jak wata cukrowa – ale nie zapytała. Przecież będzie wtedy w Antwerpii, sama się przekona, jak to jest, kiedy pada śnieg. Wtedy sama będzie mogła podzielić się tą historią z innymi. Tak, będzie tutaj. Zobaczy śnieg i zimę, odkryje, jaką to niespodziankę szykuje

dla niej los. Ma siłę przebicia. Zanim mężczyzna wróci z drinkami, zbierze do kupy okruchy uśmiechu i naprawi go.

Patrzyła, jak mężczyzna idzie do baru. Obserwując go, kiedy stał tyłem do niej, Sisi uznała, że wygląda, jakby miał na sobie pieluchę. Zaśmiała się w duchu; obraz mężczyzny w pieluszcze uwolnił ją na chwilę od niepokoju, który odczuwała na myśl o dalszej części wieczoru. Pomyślała, że nawet gdyby nie miała Petera, nie poszłaby do łóżka z kimś takim jak ten mężczyzna. Jej zdaniem w ogóle nie jest atrakcyjny. Ma zbyt szeroką twarz, zbyt szeroko rozstawione oczy i przerzedzone włosy; jego ciemną przypomina Sisi czubek głowy sępa płowego. Co z niego za facet, że chodzi na dziwki? Czyżby nie umiał znaleźć sobie kobiety? Przynajmniej ona robi to z konkretnego powodu: nie ma innego wyjścia. Dlaczego ten mężczyzna dokonał takiego wyboru? Z lenistwa? Bo jest za brzydki, żeby znaleźć sobie kobietę? Dlaczego?

Mężczyzna w rozpiętej ciemnobrązowej koszuli i czarnym podkoszulku minął ją w drodze do ubikacji. Dotrzymująca mu towarzystwa kobieta tańczyła za nim, kręcąc biodrami. Sisi słyszała, jak do niego krzyczy: „Zaczekam tu na ciebie!”. Wciąż kręcąc biodrami, tańczyła coraz niżej, aż jej kolana dotknęły podłogi. Ktoś zaczął klaskać. Kobieta dała się ponieść muzyce i zamknęła oczy. Odrzuciła głowę do tyłu i kołysała tułowiem w prawo i w lewo. Mężczyzna odwrócił się do niej, gwizdnął i skierował się ku toaletom. Brakowało mu kilku przednich zębów. Jego ciemnoszara kitka zlewała się z kolorem koszuli. Ledwie trzymał się na nogach i Sisi zastanawiała się, czy nie mógł utrzymać równowagi z powodu wieku czy wypitego alkoholu.

Mężczyzna z rzedniejącymi włosami wrócił z dwiema butelkami stella artois.

– Chodź, usiądziemy przy stoliku.

Sisi rzadko piła piwo. W Lagosie nie mogła sobie na nie pozwolić, poza tym nie przepadała za jego cierpko-gorzkim smakiem. Wcale jej nie rozweselało. Często zastanawiała się, dlaczego ludzie piją jedną butelkę po drugiej. Teraz zastanawiała

się, czy też tak nie powinna pić, by zapomnieć. Ale o czym? Mogłam stać się kimś gorszym, pomyślała. Nie napadam na banki, nie jestem oszustką, kombinatorką, która wysyła fałszywe e-maile do naiwnych Europejczyków. Nie, ona będzie zarabiać w uczciwy sposób. Każdy cent okupi własnym potem. Nie musi wcale lubić swojej pracy, ale będzie ją wykonywać najlepiej, jak potrafi. Podziękowała mężczyźnie, kiedy ten nalał jej trochę piwa do szklanki. Wypiła je duszkiem, mając nadzieję, że znieczuli ją lub sprawi, że mężczyzna stanie się choć trochę atrakcyjniejszy. Uśmiechnął się do niej i wlał resztę piwa do szklanki.

– Nazywam się Dieter – powiedział, biorąc swoją butelkę i upijając z niej łyk. Przez chwilę miał białe wąsy, które nie dodały mu uroku. Sisi sięgnęła po szklankę i wychyliła ją jednym haustem. Ponieważ piwo było zimne, nie poczuła goryczki. Mężczyzna nadal nie wydawał jej się atrakcyjny. Dieter wstał, poszedł do baru i wrócił z kolejną butelką.

– Gaduła to ty nie jesteś, prawda, See See? – powiedział, gdy po raz trzeci tego wieczoru uzupełnił jej szklankę.

– Zgadza się. – Sisi zmusiła się do uśmiechu, ale popękane kawałeczki nie chciały się skleić. Rozsypały się jak duszki, które przez chwilę unosiły się w lokalu, po czym zniknęły w ciemnościach.

– Masz ładny głos. W ogóle cała jesteś ładna – powiedział Dieter. Jego angielski był beznadziejny. Wyciągnął rękę nad stołem, by pogładzić ją po policzku. Wewnętrzna strona jego lewej dłoni była lepka od potu. W pierwszej chwili Sisi chciała ją odepchnąć, ale w nowym życiu bardziej przyda jej się zdrowy rozsądek niż reakcje instynktowne, dlatego pozwoliła, by jego dłoń pozostała tam, gdzie była. Próbowwała sobie wyobrazić, że to dłoń Petera, że są małżeństwem i że właśnie wyskoczyli na drinka do miasta. Nie potrafiła. Dieter przesunął ręką po jej karku. Gładził jej skórę za uchem, mrucząc: – Ładna, bardzo ładna. – Nieznacznie wybałuszył oczy i kiedy się przesiadł, chwycił ją za piersi, które przykrył swoimi dłońmi. Nie dam rady, pomyślała Sisi. Siedziała jak skamieniała. Przed nią stała nienaruszona szklanka piwa. Serce

waliło jej jak młotem ze smutku zmieszanego ze złością. Wyobraziła sobie, że to jej się śni, ale ten mężczyzna nigdy nie pojawiłby się w żadnym z jej snów. Nie słyszała muzyki, w jej uszach szumiał wodospad.

To nie jestem ja. Mnie tu nie ma. Jestem w domu, śpię we własnym łóżku. To nie jestem ja. To nie jestem ja. To ktoś inny. To nie moje ciało. Nie moje. To nie jestem ja. To ktoś inny. To nie moje ciało.

Dieter wstał i gestem wskazał, by poszła za nim.

To nie jestem ja. To nie jestem ja. To mi się tylko śni. Ale potrzebuję pieniędzy. Nie dam rady. Pieniądze. Wrócić do Lagosu? Nie mogę. Nie zrobię tego. Szła za nim niepewnie, odwracała wzrok od jego pośladków, przepelniona bezgranicznym smutkiem. To nie jestem ja. Mnie tu nie ma. Jestem w domu. Śpię we własnym łóżku. To nie jestem ja. To nie jestem ja... W jej głowie błyszczał mercedes. Myśl o pieniądzach. A potem zobaczyła skrzydło wiatraka z przyczepionym do niego ludzkim ciałem. Boże, pomóż mi!

W męskiej toalecie, gdzie jasnoniebieska rolka rozwiniętego papieru leżała obok czarnej, opryskanej muszli klozetowej, Dieter opuścił spodnie do kostek. Stop-klatka: białe bokserki i wystający z nich penis z grubą różową główką. Sisi wzięła go do ust. Była zaskoczona po tym wszystkim, co słyszała o miękkich siusiakach białych mężczyzn, nie większych od kobiecego małego palca (największą obelgą, jaką mogła rzucić dokuczającemu jej chłopakowi w szkole, było to, że ma siusiaka jak biały człowiek). Jęcząc i sapiąc, Dieter jedną ręką ściągał bokserki, a drugą szarpał jej spódnicę. Czowała jego gorący oddech na karku, ręce obmacujące jej ciało, gdy lizał ją po szyi. Zamknęła oczy. Podniósł głowę i wsunął jej język do ucha. Poruszał nim w przód i w tył. W przód i w tył. Z zamkniętymi oczami Sisi próbowała wyswobodzić się z jego uścisku. Miała tego dość. Złapał ją mocno, popchnął na ścianę, położył jej ręce na pośladkach i wsunął głowę między jej piersi.

– Przestań! – krzyknęła. Otworzyła oczy i zobaczyła jego

twarz, otwarte usta, napięte szczęki i pożądanie w oczach. – Przeszań! – Jego jęki zagłuszyły ją. Penis próbował odnaleźć otwór między jej nogami. Gdy natrafił na coś ciepłego, męczyzna głęboko westchnął i wytrysnął spermą, która spłynęła jej po nogach lepką strużką.

Tak wyglądał pierwszy dzień Sisi w nowej pracy, którą powitała gorącymi, rześzystymi łzami, spływającymi po policzkach i zostawiającymi słony smak. W miejscach, których dotykał Dieter, czuła ból, jakby potraktował ją dopiero co wyciągniętym z ognia nożem. Nagle uderzył ją w nozdrza smród toalety, wypełnił całe ciało i wywrócił żołądek do góry nogami. Było jej wszystko jedno, czy zwymiotuje czy nie, ale nie zwymiotowała. Obrzydzenie zostało w środku i obryzgało wszystko wokół. Czuła ból, który pulsował od palców u stóp i szedł ku górze, rozlewając się po całym ciele, by przejąć nad nim kontrolę, nawet nad sercem łomoczącym w piersi.

Zwartzustersstraat

Joyce

W dniu, w którym dotarli do Lagosu, Polycarp zapytał Alek, jak jej się podoba miasto. Za dużo ludzi. Za dużo domów. Za dużo wszystkiego, w dodatku kompletny chaos. Miasto wyglądało, według niej, jakby narysowało je rozentuzjasmowane dziecko pozbawione talentu plastycznego. Domy próbowały zagarnąć przestrzeń dla siebie, deptały sobie po piętach, stłoczone tak blisko, że Alek bała się, że przez ściany słyszą oddechy sąsiadów. Ich blok był wysoki i tak wąski, że nawet gdy wychodziła na balkon, dopadało ją uczucie klaustrofobii; zdawała sobie jednak sprawę, że mogli trafić gorzej. Już w pierwszym tygodniu pobytu wybrała się na peryferie Isale Eko, gdzie rudery opierały się krzywo o siebie, jak chwiejące się stoły wykonane przez stolarza amatora. Widziała tam też gołe dzieci z wystającymi pępkami, biegające po podwórku. Polycarp powiedział jej, że niektóre domy nie mają ubikacji.

– A to jest Lagos dwudziestego pierwszego wieku! Lagos anno dwa tysiące cztery! – narzekał. – Nasz rząd zajmuje się jedynie napychaniem własnych kieszeni. Guzik ich obchodzi ludzie, o których powinni zadbać. – Gdyby opowiedziała o tym Sisi, ta na pewno odparłaby, że Polycarp brzmi jak jej ojciec.

Ulice w Lagosie były popękane i pełne dziur, ledwie nadawały się do jazdy, mimo to miasto było jednym wielkim korkiem: wypełniały je ogromne klimatyzowane dziupy, poruszające się zderzak w zderzak, i ledwie się toczące, rozpadające się wraki z zepsutymi rurami wydechowymi, z których unosiły się kłęby czarnego dymu, przez co powietrze było tak zanieczyszczone, że nad miastem nieustannie unosiła się ciemna chmura smogu.

Na poboczach dróg szybkiego ruchu stały zapomniane ciężarówki z hasłami pełnymi mądrości, ostrzeżeń, fragmentów

informacji lub modlitw, wypisanymi po bokach wielkimi czarnymi lub czerwonymi literami: *rome was not built in one day, work hard and your day will come; poor man go rise one day; give peace a chance, after all stanley and livingstone had to live together; the young shall grow; god please make me rich; education plus beauty minus Christ equals hell fire. sinner repent; had i known is the brother to mr. late; ask and ye shall receive: matthew 7:7.*

Czasem słowa zawierały literówki, napisy były niechlujne, ale Alek miała wrażenie, że żadna szanująca się ciężarówka nie mogła się bez nich obyć. Uwielbiała powtarzać te slogany na głos, jadąc z Polycarpem przez miasto. *1+1 does not always equating 2; the world is my oysta. i shall eat it well; salutation is not love*¹¹⁸.

W ciężarówkach, które wciąż były na chodzie, przewożono krowy i kozy, upchnięte ciasno jak sardynki.

– Na święta Bożego Narodzenia – powiedział Polycarp i zapytał, czy oni też nie powinni kupić kozy. Święta już za trzy tygodnie. Nie, Alek woli kurczaka.

Niemal każdego dnia można było zobaczyć jakieś ciało leżące na skraju drogi, cierpliwie czekające na kogoś, kto się po nie zgłosi, lub na stadko sępów, nieustannie krążących nad miastem. Niektórzy byli ofiarami wypadków drogowych – większość kierowców, którzy uciekli z miejsca zdarzenia, nigdy nie została złapana i osądzona.

– Ale trupy na ulicach to głównie bezdomni – mówił Polycarp. – Zamordowani przez ludzi, którzy na tym zarabiają. Powiadają, że ludzka krew jest najlepszym materiałem na *juju*¹¹⁹ i gwarantuje ogromne bogactwo.

Liczne wiadukty i obwodnice miały za zadanie rozładować ruch w Lagosie, zamieszkiwanym przez dziesięć milionów ludzi. Pod wiaduktami żebracy układali sobie legowiska z kartonów i pustych worków po cemencie. Opuszczali je tylko po to, by skonfrontować przechodniów ze swoją niepełnosprawnością i prosić ich o pieniądze. Wśród bezdomnych koczujących pod mostami można było zdiagnozować większość, jeśli nie wszystkie ze znanych ludzkości chorób. Alek uważała, że przypomina to

gabinet osobliwości, bezwstydnie kupczenie potwornymi zniekształceniami i ułomnościami. Ludzie z kikutami zamiast rąk i nóg, którymi machali na mijające samochody i pieszych; niewidomi, prowadzeni przez doskonale widzące dzieci, pukali w zamknięte szyby samochodowe i śpiewali, by wyżebrać parę groszy. Nie brakowało też ludzi ze zniekształconymi ustami lub monstrualnie wielkimi oczami, a także trędowatych o skórze, która wyglądała, jakby była pokryta gruboziarnistym piaskiem.

Alek widziała kiedyś mężczyznę, który miał tylko głowę i tułów. Wiózł go na taczce starszy mężczyzna o wątlym ciele inwalidy. Zrobiło jej się ich żal i ryzykując wybuch złości Polycarpa, rzuciła im z okna samochodu wygniecione sto nair.

Polycarp rzeczywiście ją obsobaczył, mlasnął językiem, by podkreślić swoje niezadowolenie.

– W ten sposób tylko nagradzasz lenistwo. Niektórym z tych ludzi nic nie jest. Skoro ten starszy mężczyzna jest w stanie pchać taczkę, to czy nie powinien zająć się czymś pożytecznym? W Mali niewidoma para zajmuje pierwsze miejsce na liście przebojów. Wszędzie słyhać ich muzykę! Znam osobiście niewidomego profesora z Kanady. Spotkałem się z nim i uścisnąłem jego dłoń, więc wiem, o czym mówię.

W złości zacisnął palce na kierownicy.

– Kiedyś widziałem w telewizji program o białej kobiecie z Londynu, która nie ma rąk ani nóg. Malowała ustami! Trzymała pędzel w zębach i rach-ciach, piękny obraz był gotowy! Widziałem to, kurna, na własne oczy. W dodatku zarabia na tym kupę pieniędzy. Jej obrazy wiszą w całym Londynie i dostaje za to sporą kasę. Myślisz, że coś takiego jest możliwe w tym kraju? Gdzie tam! Ci ludzie łapią miejscówkę pod mostem Third Mainland i czekają, aż inni rzucą im jakieś pieniądze. Jak to wygląda? Rząd powinien zrobić z tym porządek. Aresztować tych ludzi i ich rozstrzelać, tak jak zrobili z Aninim¹²⁰ i innymi przestępcami. Jeśli życie im niemiłe, to lepiej pozbyć się ich raz na zawsze.

Czasem ciężko jej było zaakceptować poglądy Polycarpa, ale mimo wszystko kochała go; podobne odczucia miała także co do

Lagosu, którego czasem nie znosiła, lecz który na swój sposób lubiła. Lubiła pełen arogancji hałas miasta, jego oślepiające kolory, ognisty temperament i pikantne potrawy, które z początku niemile ją zaskoczyły. Było w nich tyle pieprzu, że chwytiała się za gardło i jak oszalała wymachiwała rękoma, prosząc o szklankę wody. Polycarp śmiał się do rozpuku i mówił, że powinna kiedyś spróbować *ngwongwo*¹²¹ jego matki.

– Więcej w nim pieprzu niż koźlego mięsa!

Lagos miał do zaoferowania coś więcej niż zanieczyszczone powietrze i brud. Był miastem o spektakularnej wręcz urodzie, która czasami wzruszała Alek do łez. Któregoś razu Polycarp zabrał ją do Bar Beach na Victoria Island, był to dzień jak w baśniach z tysiąca i jednej nocy: bezchmurne niebo, słońce świecące prosto na plażę, prawdziwa uczta dla oka. Stali na mokrym, niewiarygodnie białym piasku, a Polycarp trzymał ją za rękę. Alek wydawało się, że życie nie może być piękniejsze. Osiągnęła szczyt szczęścia. Później spacerowali brzegiem morza, w prawej dłoni Alek trzymała sandały, w lewej dłoń Polycarpa. Piasek pod stopami był mokry i ciepły, jak oddech mężczyzny, który Alek czuła na karku, gdy spali. Ich stopy niewinnie ocierały się o siebie w piasku. To był jeden z tych dni, który budził w ludziach nadzieję, że nic złego nie może się wydarzyć.

Była pewna, że będzie szczęśliwa w Lagosie, oczywiście inaczej niż w Daru, w sposób, który nie miał nic wspólnego z jej poprzednim życiem. Życie w Daru już nie powróci, ale była gotowa iść naprzód, z płucami oczyszczonymi z pyłu. Cieszyła się, że dostała jeszcze jedną szansę. Mając Polycarpa u swego boku, nie potrzebowała nic więcej.

Mieszkanie wynajęte przez Polycarpa miało dwie sypialnie i salon szeroki na dziesięć kroków. Alek poświęciła dużo czasu, by je urządzić. Kupiła zasłony i rzeczy do powieszenia na ścianach. Zamówili stół u stolarza mieszkającego w okolicy. Polycarp powiedział, że chce stół na trzy osoby, na wypadek gdyby mieli gościa. Alek uśmiechnęła się nieśmiało i powiedziała, że wolałaby stół sześćosobowy. Myślała przyszłościowo, o tym, że kiedyś

będą mieli dzieci i – zanim to nastąpi – o przyjęciach na cześć rodziców Polycarpa. Zadba o to, by członkowie jego rodziny czuli się jak u siebie. Da im do zrozumienia, że mogą ją traktować jak siostrę lub córkę.

– Ale nie mamy tyle miejsca, skarbie – powiedział Polycarp i dodał, że w salonie muszą się jeszcze zmieścić krzesła, telewizor i wieża. Ostatecznie zdecydowali się na stół dla czterech osób.

Alek wybrała resztę mebli do pokoju stołowego. Zdecydowała się na jasnobrązowe krzesła z tak miękkimi poduszkami, że tyłek zupełnie się w nich zapadał.

– Takie same krzesła mają ministrowie – powiedział sprzedawca, waląc ręką w oparcie. – Przekonaj się sama, a zobaczysz, że poczujesz się jak prezydent! – Alek zaśmiała się i zamówiła cztery sztuki.

Wspólnie wybrali łóżko, a kiedy właściciel sklepu pochwalił wybór materaca – był to sprężysty, dobrej jakości dunlop – zapewniając, że za pierwszym podejściem trafią na nim do celu, Alek uśmiechnęła się, a Polycarp z zażenowaniem odwrócił wzrok. Alek miała nadzieję, że ich dzieci odziedziczą jego oczy.

Ponieważ wiele czasu i uwagi poświęciła na urządzenie mieszkania i przyzwyczajanie się do nowego życia, trochę trwało, nim zorientowała się, że Polycarp nie odwiedził jeszcze swojej rodziny i że nikt nie pojawił się u nich z wizytą. Zapytała Polycarpa, kiedy pozna jego rodzinę, bo bardzo cieszyła się na to spotkanie. Nie mogła się doczekać wielogodzinnego plotkowania z jego matką, kobietą, którą będzie nosić w sercu za to, że dała życie mężczyźnie, którego pokochała najmocniej na świecie. Powiedział, że mieszkają na południu, w Onitszy, i rzadko przyjeżdżają do Lagosu; „za daleko, za kiepskie drogi, a kierowcy autobusów nie zawsze jeżdżą ostrożnie”. Alek zaproponowała, żeby to oni ich odwiedzili. „Ty jeździsz ostrożnie, Polycarpie, a odległość mi nie przeszkadza”. Polycarp obiecał, że o tym pomyśli, ale teraz jest bardzo zajęty, a Onitsza jest daleko, dlatego nie potrafi powiedzieć, kiedy będą mogli pojechać. „Nie mieszkamy w Badagri¹²². Nie możemy ot tak wsiąść do auta i wyruszyć w drogę. Najpierw

trzeba się przygotować, załatwić to i owo”.

Próbowała zawrzeć bliższą znajomość z innymi kobietami, żonami oficerów mieszkającymi w okolicy. Zadawała pytania sympatycznej-sąsiadki-która-chce-się-zaprzyjaźnić.

Kobiety odpowiadały, ale potem zapadała niezręczna cisza; żadna z nich nigdy jej nie zaprosiła, a Alek nie miała odwagi, by zaprosić je do siebie. Być może była dla nich za młoda. Prawie wszystkie miały już nastoletnie dzieci, dzieci w jej wieku. Alek nie miała nic wspólnego z tymi młodymi ludźmi, którzy wciąż mieszkali z rodzicami, dlatego nawet nie próbowała nawiązać z nimi kontaktu. O czym miałyby z nimi rozmawiać? O szkole? O znajomych? O imprezach? Przez swoje przeżycia była od nich dojrzała, dlatego zamiast inicjować pogaduszki z dziećmi oficerów, walczyła na balkonie z klaustrofobią i kurzem, który tworzył w powietrzu wzorki w kolorze henny, i próbowała przekonać samą siebie, że nikogo nie potrzebuje, że Polycarp wystarcza jej w zupełności.

Czasami chodzili do Ojay's, by posłuchać muzyki Rolling Dollar, która przypominała Polycarpowi młode lata. Potem opowiadał jej, że kiedy był dzieckiem, jego rodzice grali muzykę highlife. Czasem chodzili na całonocne imprezy *owambe*; wyłączano z ruchu całe ulice, kapele grały głośną muzykę do wczesnych godzin porannych, było dużo jedzenia i picia. Na początku wydawało się to Alek dziwne. Często nie wiedzieli, kto zorganizował imprezę i z jakiej okazji, ale ponieważ Polycarp uwielbiał ten rodzaj muzyki, mówił tylko, by ładnie się ubrała, i szli na kolejną zabawę. Szybko przywykło tych imprez z ogłuszająco głośną muzyką, w której rytm tańczyła z Polycarphem do upadłego; kiedy już nie mogli ustać na nogach, padali sobie w objęcia i na nowo odkrywali swoje ciała.

Alek zaczęła się domyślać, że coś jest bardzo nie w porządku, gdy Polycarp nie odpowiadał już „Pomyślę o tym”, kiedy go pytała, czy nie powinni odwiedzić jego rodziców w Onitszy. Zamiast tego bąkał zza gazety, że teraz jest to niemożliwe, po czym wracał do lektury.

Nieco osłabiło to jej poczucie szczęścia, ale nie czuła przygnębienia. To trochę jak z coca-colą, z której uszły już bąbelki, ale która wciąż nadaje się do picia. Zapytała o to jeszcze kilka razy, ale ponieważ nie dowiedziała się niczego nowego, postanowiła na jakiś czas dać sobie spokój z tym tematem. Tak samo postępowała kiedyś z ojcem jej matka. „Nie ma sensu suszyć głowy mężczyźnie” – powtarzała. „Mężczyźni są jak dzieci. Im więcej marudzisz, tym bardziej chcą zrobić ci na złość. Pytasz raz, dajesz im czas do namysłu i potem pytasz ponownie”.

W pewien sobotni poranek po niespokojnym tygodniu, w którym Polycarp był bardziej milczący niż zwykle, powiedział jej, że jedzie do Onitszy odwiedzić rodziców. Sam. Alek poczuła, jak pył wnika przez dziurki w nosie i wypełnia jej płuca. Zabolało ją to tak bardzo, że prawie zwijała się z bólu.

– Dlaczego?

Polycarp spojrzał na nią, jakby właśnie straciła rozum.

– Dlaczego? O co ci chodzi z tym „dlaczego”? Czy muszę mieć jakiś konkretny powód, by jechać do rodziców? Wciąż zawracasz mi głowę: „Polycarpie, kiedy jedziesz? Polycarpie, kiedy przyjadą?”. No to właśnie jadę, teraz!

Alek zdawała sobie sprawę, że Polycarp wie, że zapytała go, dlaczego jedzie bez niej. Dobrze wiedział, że chce jechać z nim. Coś w niej pękło. Popatrzyła na mężczyznę, którego zawsze ubóstwiała, i po raz pierwszy zapragnęła go zranić. Bez słowa odwróciła się do niego plecami, wyszła z kuchni i wróciła do sypialni. Nie wyszła stamtąd i nie pożegnała go, gdy powiedział, że wychodzi. Wcisnęła głowę w poduszkę i próbowała nie wdychać jego zapachu.

Siedząc nocą sama w mieszkaniu, rysowała w kurzu na balkonie wzorki koloru henny, ale wychodził jej tylko miazg czerwonobrazowych kropel. Dookoła szalała burza piaskowa.

Polycarp wrócił po dwóch dniach. Powiedział, że jest mu przykro, że wyszedł z mieszkania w taki sposób, że nie wie, co go napadło. Pół roku później, w czerwcu, znów pojechał. Sam. Między wyjazdami był tym samym kochanym i kochającym ją

Polycarpem. W weekendy najczęściej zabierał ją do Bar Beach, płacił za jej przejażdżki konne, fundował *suye*¹²³ i sprite'a. Drobne pęknięcia, które pojawiały się w ich miłości, przepelnionej pocałunkami w szyć, szukaniem się wzrokiem, jazdą konną i trzymaniem się za ręce, znajdowały coraz więcej kryjówek. Być może dlatego Alek nie zorientowała się, że coś jest nie tak. Dopiero po czasie przypomniała sobie, jak bardzo był wówczas niespokojny.

Z drugiego wyjazdu do rodziców wrócił do domu w pewne upalne wtorkowe popołudnie ze starszą, pulchniejszą i żeńską wersją samego siebie. W miejscu, gdzie pod lewym okiem syn miał bliźnię, matka miała pieprzyk. Na pierwszy rzut oka wydawała się sympatyczna, z krągłościami dokładnie tam, gdzie trzeba: ramiona, fragment nóg widoczny spod spódnicy, policzki. Ale jej oczy były zimne, zimne, zimne. Stały się jeszcze zimniejsze, gdy Polycarp dokonał uroczystej prezentacji.

– Moja matka... Mamo, to jest Alek. – Skinął głową w stronę jednej i drugiej kobiety. Jej oczy zamarzyły zupełnie, gdy w ramach powitania Alek ją objął.

Matka Polycarpa – z lodowatym wzrokiem, sycząc jak wąż – wyswobodziła się z jej objęć tak gwałtownie, że dziewczyna klapnęła tyłkiem na podłogę. Co za poniżenie! Co za policzek! Kiedy Alek spojrzała na Polycarpa, ten odwrócił wzrok i powiedział coś do matki w języku igbo. Obydwoje wyszli do pokoju gościnnego, zostawiając ją na podłodze. Alek otworzyła usta, ale z zaskoczenia wybąkała tylko bezgłośnie „o”, jakby odgrywała scenę w niemym filmie. Poczula, że wokół niej zbiera się burza piaskowa.

Podczas obiadu matka Polycarpa zwracała się wyłącznie do syna. Gawędzili w języku igbo i kobieta często wybuchała ostrym śmiechem; jej „he, he, he” brzmiało w uszach Alek sztucznie, jakby odgrywali przed nią spektakl, chociaż nie miała pojęcia dlaczego. Minęła już godzina, odkąd matka Polycarpa pojawiła się u nich, a wciąż nie odezwała się do Alek ani słowem. On zresztą też nie. Całkowicie opanowany powiedział „Porozmawiamy

jeszcze o tym, obiecuję”, gdy Alek rzuciła z furją „Co to wszystko ma znaczyć?!”, ale jego głos brzmiał obco.

W ciszy Alek sama zajęła się obiadem, wyłączyła nawet kuchenne radio, które zwykle dotrzymywało jej towarzystwa. Gdyby tylko wiedziała, co zrobiła nie tak. Była gotowa schować dumę, zapomnieć o niegrzecznym zachowaniu kobiety i poprosić ją o przebaczenie. Ale, na Boga, dlaczego ma ją przeproszać, skoro nawet nie wie za co? Od czego zacząć? Co powiedzieć? Milczenie Polycarpa nie ułatwiało jej zadania.

Zawsze chciała poznać jego bliskich. Myślała, że pokocha ich jak własną rodzinę i że oni pokochają ją. Nie spodziewała się takiego odrzucenia. Pochylona nad talerzem, cichutko przeżuwała ryż i z całych sił próbowała przełknąć rozczarowanie.

Po posiłku, którego dziewczyna prawie nie tknęła, matka przeniosła się z Polycarpem do salonu, pozostawiając posprzątanie stołu Alek. Siedzieli tam obok siebie jak spiskowcy i rozmawiali przyciszonymi głosami, chociaż porozumiewali się w igbo, języku, którego nie rozumiała, więc tak naprawdę nie miało znaczenia, czy ich słyszy.

Po umyciu naczyń Alek weszła do stołowego. Polycarp siedział sam na krześle, z rękoma zaplecionymi za głowę; zawsze tak robił, gdy ucinał sobie drzemkę, chociaż tym razem nie spał. Patrzył pustym wzrokiem na wazon stojący na telewizorze i ścianę za bukietem sztucznych kwiatów.

– Gdzie twoja matka? – Alek zbliżyła się do Polycarpa i zajęła miejsce obok niego. Za jej plecami wisiało oprawione zdjęcie, które zrobili w studiu fotograficznym w Ikei. Polycarp stoi za nią z rękoma oplatającymi jej klatkę piersiową. Fotograf powiedział, że jeszcze nigdy nie widział tak zakochanej, tak szczęśliwej pary. Nie potrzebowali jego „cheese”, by uśmiechać się od ucha do ucha.

– Poszła się położyć. Jest zmęczona.

Alek wyczuła, że słowa z trudem przechodzą mu przez gardło. Były jak motek wełny, który nie chce zostać rozwinięty. Jak burza piaskowa, która walczy, by nie przybrać na sile. Alek

kichnęła.

Pochyliła się, chwyciła jego dłoń i ją pogłaskała, ale Polycarp szybko ją cofnął.

W tym momencie Alek już wiedziała. Wiedziała, że między nimi wszystko skończone, ale nie wiedziała dlaczego.

– Jestem najstarszy z rodzeństwa – powiedział Polycarp, gdy leżeli w łóżku. Alek wtuliła nos w cuchnącą kurzem ścianę. – Jestem najstarszym synem i moi rodzice chcą, żebym ożenił się z dziewczyną z ludu Igbo. To nie twoja wina, Alek. Ja nie mogę się ożenić z cudzoziemką. Moi rodzice nigdy by mi tego nie wybaczyli.

Polycarp zawsze błędnie wymawiał jej imię – „Aa-lek”, a ona zawsze go poprawiała – „Ul-lek”; tym razem zignorowała to. Było jej obojętne, w jaki sposób wymawia jej imię. I tak brzmiał jak ktoś obcy. Jego głos był słaby, osłabiony przez przemowę, do której kilkakrotnie wracał tego wieczoru. To, co mówił, nie trzymało się kupy. Mówił o kochaniu. Po wsze czasy. O miejscu w swoim sercu. A potem o chorobie ojca i rozpacz, która go dobije, jeśli Polycarp sprowadzi mu do domu synową z innego ludu. O obowiązkach. Najstarszy syn. Kultura. W ciemności jego głos brzmiał niespokojnie. Wciąż powtarzał te same słowa. Kocham cię. Nie mogę bez ciebie żyć. Nie mogę żyć z tobą. Moja śmierć. Życie.

Alek leżała zwinięta w kłębek, z kolanami pod brodą, jak płód w łonie matki. Głowę wtuliła w ścianę śmierdzącą kurzem. Cóż mogła powiedzieć? Co powinna powiedzieć? Ściana śmierdzi kurzem. Boli ją nos.

– Przykro mi – powiedział. – Naprawdę mi przykro. Nie chciałem jechać. Próbowałem ich unikać, bo wiedziałem, że tak będzie. Ja... – Odwrócił się i chwycił ją za ramię. Zrzuciła jego dłoń. – Wiem, że nie możesz wrócić do Sudanu. Chcesz wyjechać z Nigerii? Za granicę? Kiedyś opowiadałaś mi, że twój ojciec marzył o tym, byście któregoś dnia wyjechali za granicę. Znam człowieka, który ci pomoże. Dam mu pieniądze, a on zadba o to, byś mogła wyjechać do Londynu lub do Ameryki. Dokąd

zechcesz.

Londyn. Ameryka. Londynameryka. Dwa proste słowa. Londynameryka. Amerykalondyn. Można odwrócić kolejność. Alek żałowała, że nie jest mężczyzną. Żałowała, że nie jest tak silna jak Polycarp. Pokazałaby mu, co myśli o nim i jego głupiej propozycji. Rozciąłaby bliznę na jego twarzy, aż trysnęłaby krew, rozdrapałaby ją gołymi rękami, aż zwinąłby się z bólu.

Rano ich zdjęcie z pokoju stołowego zniknęło. Pozostała po nim piekaca, zakurzona, kwadratowa pustka. Alek wzięła ścierkę i przetarła nią puste miejsce na ścianie.

Nawet ze znacznej odległości ten wyjątkowo wysoki dom robił piorunujące wrażenie. Wydawał się nie na miejscu tutaj, w Lagosie, i Alek zastanawiała się, czy nie wyjechali czasem za miasto. Może nie zwróciła na to uwagi, kiedy spała. Ponieważ przez ostatnich kilka dni nie zmrużyła oka, dała się ukołysać do snu wybojom w jezdni, na których podskakiwało auto.

– Chrapałaś! – Polycarp się uśmiechnął. Alek patrzyła przez okno, ignorując jego komentarz. Nie odzywała się do niego już od dwóch tygodni, od tamtej nocy, kiedy powiedział jej, że nie ma dla nich przyszłości, ponieważ jest obcokrajówką. Wciąż jednak przygotowywała mu jedzenie, jakby nic się nie zmieniło. Śniadanie. Obiad. Kolację. Posiłki spożywano mlaskaniem (Polycarpa) i drwiącymi pomrukami (jego matki). Alek sprzątała bałagan pozostawiony przez matkę i wycierała podłogę w łazience, notorycznie przez nią zalewaną, jakby robiła to specjalnie, jakby był to jedyny cel brania przez nią kąpieli. Alek zamiatała jej sypialnię, trzepała poduszki. Odkurzała okiennice i stoliki nocne. Być może w jej głowie pojawiła się nieśmiała, niekontrolowana myśl, że tych dwoje jeszcze zmieni zdanie, jeśli ona będzie z oddaniem wykonywała swoje obowiązki. Alek widziała jednak, jak ich związek się wykrwawia, rozpuszcza, widziała to jak na dłoni, i nie świadczył o tym wcale zastygły wyraz twarzy matki Polycarpa czy to, że nie walczył o ukochaną, nie, dostrzegła to wtedy, kiedy się kochali. W tajemnicy i bez głębszego kontekstu, chociaż wciąż równie pięknie, jak dawniej. Nigdy się z nią nie ożeni. Zatem

dlaczego z takim uporem Alek wykonywała codzienne obowiązki domowe? Nie miała pojęcia.

Dom był otoczony płotem z drutu kolczastego. Białą bramę uchylono na szerokość samochodu. Kiedy się zbliżyli, Alek dostrzegła na posesji kręcących się ludzi: grupki młodych mężczyzn i kilka mocno umalowanych, młodych kobiet w rzucających się w oczy ubraniach. Po jednej stronie bramy stał ogromny rezerwuar na wodę, przed którym siedział mężczyzna w białym kaftanie z rękoma opartymi na kolanach. Z początku mężczyźni na posesji nie zwracali uwagi na auto, ale kiedy Polycarp i Alek zbliżyli się do bramy, wszyscy patrzyli na nich, jakby chcieli sprowokować Polycarpa, by wjechał na podjazd. On jednak zatrzymał się przed bramą i wyłączył silnik. Mężczyzna siedzący przy rezerwuarze z wodą powoli się podniósł, wygładził kaftan i podszedł do auta. Ziewnął i wsadził głowę przez szybę.

– Czego chcecie? – Rozciągał słowa, jakby chciał sprawdzić, czy są elastyczne: „czeeegooo chceecieeee?”.

– Chcemy rozmawiać z *oga* Delem. Jestem z nim dzisiaj umówiony. Nazywam się Polycarp – odpowiedział.

Mężczyzna cofnął głowę i wskazał ręką miejsce do zaparkowania. Czy mogą chwilę zaczekać? Minął ich i wszedł do domu. Wrócił po pięciu minutach. Skinieniem głowy potwierdził, że mogą wejść do środka. Alek czuła na sobie wzrok mężczyzn stojących przed domem. Próbowwała ich zignorować, patrzyła na stopy i musiała się powstrzymać, by nie chwycić dłoni Polycarpa, którą wyciągnął w jej stronę. Od wejścia dzieliło ich piętnaście kroków. Po kolejnych piętnastu znalazła się w salonie tak wielkim, jak dom ojca w Daru.

Na popielatym skórzanym krześle siedziała najgrubsza osoba, jaką Alek kiedykolwiek widziała. Mężczyzna wyglądał, jakby wrósł w krzesło, jakby nie mógł się go pozbyć bez względu na to, jak bardzo się starał. Miał na sobie czarną lnianą koszulę z krótkim rękawem i czarne spodnie. Jego ramiona były krótkie, a dłoń, którą podał Polycarpowi, mięsista i spocona. Na obydwu nadgarstkach błyszczały ogromne złote bransolety. W ręce ścisnął

brązową chusteczkę, którą nieustannie ocierał pot z twarzy, chociaż pomieszczenie było klimatyzowane; poza nim nikt się nie pocił.

– Siadajcie, siadajcie.

Opadli na ciemnozieloną trzyosobową sofę, która prawie zlewała się z jaśniejszą zielenią ścian.

– Jestem dzisiaj bardzo zajęty. Widziałeś tych wszystkich ludzi na zewnątrz?

Polycarp kiwnął głową. Tak, widzieli tych wszystkich ludzi na zewnątrz. Alek przyglądała się barowi w kształcie litery L za plecami Delego, myśląc, że jak na kogoś, kto twierdzi, że jest bardzo zajęty, wydaje się nad wyraz spokojny. Na stoliku przy jego krześle stała szklanka wypełniona czerwoną ciecżą, a obok niej miseczka z grillowanym mięsem.

Mężczyzna wciąż mówił.

– Wszyscy proszą Senghora Delego o pomoc. Życie jest ciężkie, bracie. – Ostatnie zdanie wypowiedział tonem, którym bogaci ludzie zwykli narzekać, że życie jest łatwiejsze bez ogromnego bogactwa. Jego wypowiedź zdradzała samozadowolenie. Nie zrobiło to na Alek wrażenia. Liczyła butelki z najprzeróżniejszymi rodzajami alkoholu, ustawione na półce rozciągającej się na całej długości baru. Doszła do dwudziestu jeden, gdy Polycarp ją szturchnął i powiedział, że Senghor Dele przed chwilą zadał jej pytanie.

– Może chcesz coś do picia? Fanty? Coli? Sprite'a? Powiedz, na co masz ochotę, mam wszystko – powtórzył mężczyzna.

Alek zaprzeczyła ruchem głowy. Nie, nie chce jej się pić, ale dziękuje. Polycarp poprosił o piwo. Star, jeśli jest, proszę bardzo, dziękuję.

– Kurczę, nie wiem, czy mam piwo! Myślę o tym, by, no wiesz, założyć własny kościół. To świetny interes. Jeśli chcesz zarabiać *prawdziwe* pieniądze, powinieneś zostać kaznodzieją, mówię ci. Widziałeś, jakimi wózkami podjeżdżają ci wszyscy pastory? Ci goście rozbijają się w najdroższych lexusach i jaguarach! Są i tacy, którzy mają własne samoloty, wyobrazasz to

sobie? I to w Nigerii?! *Tori olowun*¹²⁴. Niech szczenę, jeśli to nieprawda! Nie, lepiej, żebym nie miał piwa w domu, jeśli chcę zostać kaznodzieją. Pastor Dele. Alleluja!

Wybuchnął obłęsnym śmiechem, Polycarp mu zawtórował. Sztucznie podniesionym głosem zapytał:

– Ale po co panu więcej pieniędzy, jest pan przecież zamożnym człowiekiem!

– W porównaniu z tymi pastorami to ja jestem cienki Bolek.

Najwyraźniej uwaga ta była wystarczającym bodźcem do jeszcze większego wybuchu wesołości obu mężczyzn. Alek patrzyła to na jednego, to na drugiego, a ponieważ jej to nie śmieszyło, wyraz jej twarzy się nie zmienił i wróciła do liczenia butelek. Kiedy śmiechy ucichły, gospodarz domu wrzasnął:

– Goodluck! Goodluck! – Jego głos niósł się po domu, przetoczył się przez krzesła i spowodował wejście około jedenastoletniego chłopca o dużej głowie i chudziutkich nóżkach. Przypominał Alek mrówkę.

– Psze pana? – Ten głos nie pasował do nówek. Pasował do dużej głowy.

Dele wlał w siebie zawartość szklanki, podał opróżnione naczynie chłopcu i powiedział:

– Przynieś nam po butelce piwa i fantę dla tej pani. – Puścił przy tym oko do Alek, która udawała, że tego nie widzi; tak samo udawała, że nie widzi napoju, kiedy został przyniesiony. Nie pozwoli, by ktoś wmuszał w nią picie, którego nie zamówiła. Za kogo on się uważa, że mi rozkazuje? I dlaczego Polycarp uważa, że wszystko, co tamten mówi, jest zabawne? Popatrzyła na niego i szybko odwróciła wzrok, gdy Polycarp na nią spojrział.

Upił potężny łyk piwa.

– *Oga Dele*, to jest Alek. Wspominałem panu o niej.

Gruby mężczyzna skinął głową na Alek i zarządził:

– Trzeba jej zmienić imię. Alek brzmi podobnie jak Alex, a to męskie imię. Nic nam tu po mężczyznach. Nie, musimy się pozbyć tego męskiego imienia. Nadamy jej żeńskie imię, jakieś ładne imię. Ładne imię dla ładnej dziewczyny. – Zaśmiał się, Polycarp

również. Alek nienawidziła ich obu. – Niech no pomyślę... Cecilia? Nicole? Joyce? Podoba mi się Nicole. Jak myślisz, Polycarpie? Czy Nicole to nie jest dobre imię?

Polycarp kiwnął potakująco głową. Tak, to dobre imię. Uważa, że Nicole to dobry wybór.

Dele potrząsnął głową.

– Nie, nie Nicole. Ta Nicole Richie to taka chudzina. Skóra i kości. Nóżki jak u owada. Nie, to nie jest odpowiednie imię dla takiej ładnej dziewczyny jak ty.

Kolejny wybuch głośnego śmiechu. Polycarp mu wtórował.

– Nie no, Senghorze Dele, taka prawda. Nicole to nie jest dobre imię dla takiej ładnej dziewczyny. Ta Nicole Richie jest za chuda.

– Joyce. Tak, Joyce. To imię, które bardzo ładnie brzmi. Joooooyy-ce! – Kolejny dziki śmiech, hihhi hahaha, od którego zatrzęsł się brzuch Delego. Polycarp znów śmiał się razem z nim; jego śmiech nie brzmiał szczerze, ale był pełen szacunku i podziwu.

– Tak, tak, Senghorze Dele. Joyce to zdecydowanie lepsze imię!

Alek objęła się ramionami i patrzyła to na jednego, to na drugiego mężczyznę. Dele wskazał na nią palcem, klepnął się w uda i znów wybuchnął głośnym śmiechem, łapiąc się za głowę, jakby siła wybuchu miała mu ją wyrwać z tułowia. Alek poczuła w gardle wzbierającą falę wściekłości, która pragnęła wydostać się z krzykiem na zewnątrz, ale powstrzymała ją. Co miała wykrzyknąć, co wywołało w niej taką złość? Nie miała już siły, by się wściekać. Żołnierze, którzy zgwałcili ją tamtej nocy w Daru, okradli ją z energii, i teraz, kiedy Polycarp okazał się zdrajcą, nie była w stanie jej w sobie odnaleźć. Od tej pory, obiecała sobie w duchu, już nigdy nie uzależni swojego szczęścia od innej osoby. Nie pozwoli nikomu się skrzywdzić. Będzie grała w grę zwaną życiem, zdeterminowana, by ją wygrać. Decyzja ta spowodowała, że zachciało jej się pić, dlatego sięgnęła po fantę, którą wypijała, nie czując smaku. Zapomniała już, że o nią nie prosiła.

Nie wiedziała, ile czasu już tam przebywali, jak długo siedziała z nogą założoną na nogę, podczas gdy Polycarp i gruby mężczyzna rozmawiali, śmiali się i jedli ze smakiem. Omawiali interesy, o których nie miała zielonego pojęcia. Musi zrobić zdjęcia legitymacyjne. Oni zadbają o paszport i wizę. Trzeba będzie zapłacić sporo pieniędzy, ale nie musi to być jednorazowa płatność. Pojedzie do Belgii.

– Będziesz opiekować się ludźmi jako niania – powiedział do niej gruby mężczyzna ze świecącymi oczami, z błyskiem, który Joyce zrozumie dopiero później. Polycarp dodał szybko: – Tak. Będziesz opiekować się dziećmi. Dele załatwi ci pracę niani w Belgii.

Alek milczała. Nie pytała, dlaczego musi zmienić imię, jeśli ma opiekować się dziećmi. Znowu ustawiła stopy obok siebie.

– No nie, ona w ogóle nie wygląda na wdzięczną – powiedział gruby mężczyzna. Jego policzki poruszały się, gdy kręcił głową na boki i patrzył na Alek z dezaprobatą. – Czy ona wie, ilu ludzi dałoby się pokroić za taką ofertę? Podaję jej wymarzoną pracę na tacy, a ona gapi się w podłogę jak ostatnia niewdzięcznica. Głupota ludzka nie zna granic!

Polycarp uśmiechnął się blado i powiedział, żeby pan Dele się nie martwił, że ona ma teraz na głowie inne problemy.

– Da sobie świetnie radę – dodał pospiesznie, jakby się bał, że gruby mężczyzna wycofa swoją ofertę.

Na zdjęciach legitymacyjnych twarz Alek była bez wyrazu, oczy wpatrywały się w punkt za aparatem, w pajęczynę pod sufitem studia fotograficznego. Myślała o pająku, który ją utkał. Podziwiała skomplikowany splot pajęczyny. Zapisała go w głowie i rozrysowała wzór henną na wierzchu dłoni: kreski najpierw były pomarańczowe, potem ściemniały i stały się ceglastoczerwone.

W paszporcie, który Dele przekazał jej przez Polycarpa, rzeczywiście została przechrzczona na Joyce, ale nie skomentowała tego. Nawet nie spytała, dlaczego zmienili jej dane. Joyce Jacobs. Nigeryjka. Urodzona w Benin City. Już dawno przestała pytać o cokolwiek, nie chciała prosić Polycarpa, by jej to

wszystko wyjaśnił. Jeszcze dwa dni i opuści kraj. Podczas tych dwóch ostatnich dni Alek i Polycarp byli dwójką milczących, obcych sobie ludzi, mieszkających pod jednym dachem i dzielących łóżko, na którym powinni byli płodzić dzieci. Alek próbowała nie myśleć o kobiecie, która być może zajmie jej miejsce i urodzi dzieci, przeznaczone jej. Próbowała powstrzymać pył, który chciał wniknąć do jej nosa. Przysięgła sobie, że nie będzie płakać.

Polycarp zawiózł ją na lotnisko. Kiedy chciał pocałować Alek przed jej przejściem przez kontrolę celną, uderzyła go w twarz. Mocno. Plaśnięcie dłoni na jego policzku zaskoczyło ją i wyrwało z jej piersi nagły, głośny krzyk. Chciała, by odczuł to uderzenie, ale nie wiedziała, że ma w sobie tyle siły. Polycarp zamknął oczy, stąd wiedziała, że zadała mu ból, ale nie poczuła się przez to lepiej, chociaż miała nadzieję, że tak się stanie. Po twarzy Polycarpa ściekała krew, a rozbawieni gapie krzyczeli do niego: „Pozwala, by biła go kobieta!”, „Oddaj jej, człowieku!”, „Co z ciebie za facet?”. W tamtej chwili pomyślała, że pragnęłaby, aby jego matka nigdy nie przyjechała do Lagosu.

Lot był długi, ciemny i samotny. Alek czuła się jak przesyłka lotnicza z naklejką „nieznane miejsce przeznaczenia”. Przecież nie miała zielonego pojęcia, dokąd leci i jakimi dziećmi będzie się zajmować.

Kiedy tylko przekroczyła próg domu przy Zwarteustersstraat i zobaczyła wysokie, wąskie lustro, dopadły ją wątpliwości co do rodzaju pracy, która miała ją tu czekać. Kiedy pierwszego dnia Madam przyszła się przywitać i usłyszała pytanie Alek, gdzie są dzieci, którymi ma się zajmować, aż popłakała się ze śmiechu i ocierając łzy, zapytała, o jakich dzieciach mówi. W tamtej chwili Alek poczuła wzbierającą w niej burzę piaskową, która pokryła ściany zakurzoną, ciemną, brązową patyną.

Madam powiedziała, że da jej dwa dni „wychodnego”, nim zacznie.

– Ale co zacznę? – Alek spojrzała nieufnie na bieliznę rzuconą jej przez Madam.

– Zarabiać na życie, dziewczyno! Trzeba otworzyć kram! Czas wziąć się do roboty! Już, już, już! – Roześmiana–tańcząca–klaszcząca w dłonie Madam zmusiła ją groźbami do wyjścia z domu i udania się samochodem do dzielnicy Schippers. Bez paszportu, bez pieniędzy – co Alek miała robić?

Ubrana w niebieski błyszczący biustonosz i stringi od kompletu oraz sięgające połowy uda kozaki stała za szybą i modliła się, by nikt jej nie zauważył, ale tak się nie stało. Jej błyszcząca bielizna przykuła uwagę mężczyzny utykającego na jedną nogę.

Tego wieczoru leżała na łóżku z mocno ściśniętymi nogami. Jak może rozłożyć nogi przed kimś, kogo nie zna? Próbowwała nie myśleć o matce, ponieważ nie chciała widzieć, jak płacze. Leżała, wspominając mężczyzn, którzy ją zgwałcili, i jeszcze mocniej ścisnęła nogi. Mężczyzna – nie chciała patrzeć mu w oczy – myślał, że to taka gra, zmyślna sztuczka. Krzyknął:

– Och, to cudowne. Cudowne. Wspaniałe. Jakbym zabawiał się z dziewicą. Ciasną. Ciasną. Ciasną! Tyle kobiet. Cała masa. Ale żadna nie robi tego tak jak ty. – Jego krzyki stały się orgiastyczne. – Cudownie! Cudownie! Cudownie! Wspaniałe! Aaaaach! – Dokonał wyboru i został stałym klientem Alek. Nazywał ją „swoją nubijską księżniczką”.

Do Belgii przyjechała kilka dni po Sisi. Dwa tygodnie później wybrały się we dwie na zwiedzanie kraju. Dziewczyny po raz pierwszy odważyły się udać w podróż pociągiem; chichotały, spacerując po ulicach Leuven, zwiedzały atrakcje turystyczne. Madam powiedziała im, że warto zobaczyć Leuven, że jest ładniejsze od Brukseli, gdzie, jak twierdziła, „jedyną atrakcją jest ten siusiający chłopiec”.

Alek i Sisi świetnie się dogadywały. Sisi wzięła ją pod swoje skrzydła, traktowała jak młodszą siostrę. Właśnie dlatego Alek opowiedziała jej część swojej historii. To Sisi podtrzymywała ją na duchu w te dni, kiedy potrzebowała wsparcia. Ta sama Sisi często przypominała jej, że ma dużo szczęścia, ponieważ może zatrzymać sporą część zarobków – w przeciwieństwie do pozostałych – bo ma

dobroczyncę, który spłaca za nią dług. Również Madam inaczej ją traktowała: okazywała Joyce szacunek, którego zupełnie brakowało w jej kontaktach z pozostałymi kobietami. Joyce mogła sama wybierać ubrania, mogła kończyć pracę wcześniej od innych, a kiedy mówiła, że jest chora, Madam brała sobie to do serca. Martwiła się o nią i przekonywała ją, by zjadła trochę zupy, to na pewno poczuje się lepiej. „Proszę, Joyce, jeszcze łyżeczkę. Rosół postawi cię na nogi”.

Po spłaceniu przez Polycarpa całego długu – nigdy nie opuścił żadnej raty – Joyce będzie wolną, niezależną kobietą. Odkładała zarobione pieniądze. Nie wiedziała jeszcze, co zrobi z odzyskaną wolnością. Być może wróci do Lagosu i otworzy butik na Allen Avenue. Ten pomysł nawet jej się spodobał. Co roku latem jeździłaby do Europy po towar. Wymyśliła już nawet nazwę. Jej sklep będzie się nazywał TOT: Talk of the Town. Podzieliła się swoim marzeniem z Sisi, która powiedziała jej, że kiedy i ona stanie się wolną kobietą, być może zostaną współpracownikami.

A teraz Sisi już nie ma.

Sisi pracowała jeszcze kilka wieczorów w 't Theepotje. W półmroku ciężko było udawać beztroskę, potrzebną do poderwania mężczyzny, dlatego obserwowała, jak inne dziewczyny flirtują i gawędzą z mężczyznami, z którymi potem znikają w toalecie. Chciała być taka jak one. Kiedy Madam powiedziała jej, że znalazła dla niej witrynę przy Vingerlingstraat w dzielnicy Schippers, Sisi prawie rzuciła jej się na szyję.

Wysiadywanie w oknie było kolejnym stopniem w karierze. Dziewczyny okienne były elegantsze od barowych pańienek. Manekiny w bieliźnie i wysokich kozakach emanowały pewnością siebie, arogancją. Sisi nie wątpiła, że jest w stanie przejąć te cechy. Oczami wyobraźni widziała swoje nowe życie: pieniądze, jeszcze więcej pieniędzy, powrót do Nigerii z nabytą pewnością siebie i pełnym portfelem, o którym do tej pory mogła tylko pomarzyć.

Sisi szybko wyuczyła się stawek. Zresztą zawsze była dobra w rachunkach: pięćdziesiąt euro za P&S, laskę. Trochę więcej, jeśli w grę wchodziło całowanie z jęczyzkiem. Dwa razy tyle za pół godziny z kompletem usług: P&S, całowanie z jęczyzkiem i pełna penetracja w prezerwatywie. Za seks bez kondomu klient płacił trzydzieści euro więcej. Sisi nie lubiła robić tego bez gumki, ale na trzydzieści euro ekstra nie powinno się kręcić nosem. Trzeba mieć charakter, by robić to bez zabezpieczenia.

Nauczyła się pozować w oknie w szpilkach, które dodawały jej pięć centymetrów, tak że miała metr osiemdziesiąt wzrostu. Nauczyła się uśmiechać, robić dzióbek i myśleć wyłącznie o zarabianych pieniądzech. Nauczyła się głośno stukać pierścieniem w okno, by w kiepskie dni przyciągać uwagę niezdecydowanych klientów. Nauczyła się, w jaki sposób powinna wyginać ciało, by ich przekonać do marzenia w kolorze kawy, obiecującego im raj na ziemi. Szukała odwagi w czerwonej poświacie neonowych liter, oświetlających jej drogę ku

wypełnieniu się Przepowiedni.

W przerwach między kolejnymi klientami rozmawiała z Albanką, wynajmującą klitkę obok jej stanowiska pracy. Kobieta była duża, potężniejsza od dziewczyn Delego, które raczej nosiły ten sam rozmiar: wszystkie były wysokie, szczupłe, z imponującym biustem i dużymi krągłymi pośladkami.

Rozmawiały o dzieciństwie. Sisi wymyśliła całą historię na poczekaniu i była pewna, że to samo zrobiła Albanka. Były ludźmi bez przeszłości, kobietami o zapomnianej przeszłości, więc wszystko, co mówiły, musiało być wyssane z palca. Ale to nie miało znaczenia, sama rozmowa znaczyła więcej niż to, o czym rozmawiały. Świadczyła o tym, że jest jeszcze ktoś, kto widzi w nich coś więcej niż zabawkę pozwalającą zabić czas. Czasem mężczyźni, którzy do nich przychodzili, chcieli sobie pogadać. O pogodzie: „Brzydkie lato w tym roku, za to piękna zima w następnym”; o żonie: „Ożeniłem się, mając dwadzieścia lat. Wspaniała kobieta, naprawdę, ale sędzę, że z czasem miłość się wypala”; o rodzicach: „Mój ojciec idzie do domu opieki, do domu starców, wiesz, co to jest? Macie w Afryce domy starców? Chyba nie, prawda?”; o żalu: „Powinienem był wyjechać do Meksyku, kiedy miałem ku temu okazję”; o swoich podróżach: „W zeszłym roku wybrałem się z dwoma kumplami do Tunezji”; o miłości: *I love you* wymawiają z desperacją, która rozśmiesza kobiety. Ale najczęściej nic nie mówili. Rach-ciach. Bez „dziękuję”. Kładli odliczoną sumę i jeśli dziewczyny miały szczęście, dawali jakiś napiwek. Podczas takich nocy Sisi niecierpliwie przebierała w górze nogami i liczyła, ile pieniędzy potrzebuje, by otworzyć własny butik, by otworzyć firmę sprowadzającą auta, własną kafejkę internetową. Jej myśli zaprzętało wiele takich marzeń.

Zwartzustersstraat

Joyce płacze. Po raz pierwszy płacze w obecności kobiet. Udają, że tego nie widzą. Poruszają się po nieznanym terenie, bo do tej pory ich relacje były powierzchowne; nigdy nie poznały się na tyle dobrze, by odkryć w sobie jakieś głębsze emocje. Joyce też jest zaskoczona swoimi łzami, dlatego szybko ociera je wierzchem dłoni, co ich jednak nie powstrzymuje. Podciąga kolana aż pod brodę, gile mieszają się ze łzami. Wyciera nos w rękaw. Chlipanie wypełnia cały pokój, zasysa wszystkie dźwięki, z ciszą włącznie. Ama wzdycha i wyciąga rękę. Dotyka policzka Joyce. To ciepły gest i przez łzy Joyce uśmiecha się Alek. Wtedy chlipanie słabnie, aż w końcu ustaje.

– Przy tych wszystkich obozowych opowieściach uzalanie się nad sobą byłoby nie w porządku. Pamiętam taką kobietę: chodziła po obozie, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, i mówiła do siebie. Opowiadała swoją historię każdemu, kogo napotkała, nawet jeśli już to kiedyś słyszał. – Joyce przygryza dolną wargę, bierze głęboki oddech i mówi: – Napadli na jej wioskę, ostrzelali rakietami, ale ani ona, ani jej mąż za żadne skarby nie chcieli opuścić swojej ziemi. To byli chłopci, pracowali na roli, hodowali owce i osły. Swoje dzieci, oprócz najstarszego syna, wysłali w góry, by się tam ukryły. Któregoś dnia, gdy jej mąż właśnie wybrał się z wizytą do rodziny, znów ich napadnięto. Kobieta była z synem i zwierzętami przy źródle, gdy usłyszała nadlatujące samoloty. Jeden z nich zbombardował teren przy wodopoju; tłum rzucił się do ucieczki. Uciekła z kilkoma osłami, a jej syn próbował zagonić przerażone owce. Krótco po nalocie pojawili się żołnierze w ciężarówkach i samochodach terenowych, za nimi setki dzandzawidów na wielbłądach i koniach. Zobaczywszy mężczyzn, kobieta pogoniła osły na wzniesienie. Myślała, że jej syn poszedł z owcami w drugą stronę, ale kiedy się odwróciła, zobaczyła, że mężczyźni z wioski zostali przy wodopoju i

próbowali przeciwstawić się dzandzawidom, broniąc ziemi i zwierząt. Otoczyli ich żołnierze w turbanach. Kobieta schowała się za pagórkiem i modliła się, i modliła. – Alek przerywa, patrzy w górę i delikatnie kręci głową. Wydaje z siebie długie, smutne westchnienie. – Kiedy zapadł wieczór, krzyki i strzelanina ucichły, dlatego wróciła do źródła, by odszukać syna. Nikogo tam nie było; przy wodopoju leżały trupy zwierząt. W wodzie pływały ludzkie zwłoki, rozczłonkowane części ciała. Zobaczyła odrąbaną nogę na czyjejs głowie, pojedynczą dłoń na drugiej dłoni. W świetle księżyca rozpoznała w jednej z sadzawek swojego syna, a właściwie jego głowę z szeroko otwartymi oczami i cieniem wąsika, który właśnie mu się wysypał nad górną wargą. Wiecie, co zrobiła z jego głową?

Nikt nie odpowiada.

– Powiedziała, że ją podniosła, podniosła i pogrzebała... Więc same rozumiecie, to, co zrobił mi Polycarp, jest niczym. Nic nie znaczy.

Znów zapada cisza, ale nie jest już tak krępująca jak poprzednio. Powietrze także się rozrzedziło, jakby ktoś ściągnął ogromną ciemną płachtę, która wisiała nad głowami kobiet. Po jakimś czasie Ama się odzywa.

– Oczywiście, że to *coś* znaczy. To, co ci zrobił, to nie jest *nic*. Wiesz co, mężczyźni to straszne świnie. Po co w ogóle zabierał cię do Nigerii, skoro potem zostawił cię na lodzie?

– Tak, a dlaczego mąż twojej matki cię gwałcił? – mówi Joyce. – Dlaczego ludzie robią takie rzeczy? Bo tak robią. Dlatego.

Teren, który badają kobiety, jest jeszcze niepewny. Dopiero zaczęły naprawdę się poznawać.

– Codziennie w drodze do pracy zastanawiam się, czy Polycarp wiedział, co mnie czeka. Zastanawiam się, czy od samego początku wiedział, jakie plany ma wobec mnie Dele. Nigdy nie uwierzę, że mógłby być aż tak bezduszny. Ale roztrząsanie tych wszystkich po co i dlaczego nie pozwala mi w nocy spać.

– Może Polycarp o tym wiedział, a może nie.

Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiesz. Ale jedno jest pewne, Joyce: jesteś jedyną osobą, która będzie musiała z tym żyć. To ty musisz sobie z tym jakoś poradzić. Pamiętasz, co nam powiedziałaś? Co obiecałaś sobie wtedy w domu Delego? – pyta Efe przyjaźnie.

– Że nigdy nie uzależnię swojego szczęścia od drugiej osoby – mówi Joyce.

– No właśnie! Powiedz sobie, że ten cały Polycarp może iść do diabła. Wyrzuć go ze swoich myśli i strąć w otchłań piekieł. Nie prosiłaś się o taki los, ale tak ułożyło się twoje życie. Wybij go sobie z głowy. Pracuj najlepiej, jak potrafisz, zarób kupę szmalu i rób to, na co masz ochotę! – Papieros porusza się w ustach Amy, kiedy ta mówi. Wyjmuje go i ciągnie: – To, co zamierzasz, zależy teraz tylko i wyłącznie od ciebie. Zapomnij o Polycarpie. Skup się na swoim marzeniu. Pieprzyć Polycarpa!

– Tak, pieprzyć Polycarpa – Joyce powtarza słowa Amy. Nigdy więcej nie pozwoli, by myśli o tym, co wie i jak dużo wie Polycarp, spędzały jej sen z powiek. Przynurza sobie, że nie dopuści do tego, żeby z jego powodu nie mogła spać. Kiedy później Joyce wróci myślami do rozmowy z Amą i Efe, dojdzie do wniosku, że uwolniła ją ona od czegoś, co ją więziło, z czego nie zdawała sobie sprawy. A wiele tygodni później, w pewien sobotni poranek, powie im: „Zapomniałam, że sama mam wpływ na swój los. Dzięki wam znów to sobie uświadomiłam”.

– Cholera, Joyce, daj spokój! Nie zaczynaj mówić jak Ama, jedna taka maruda w domu nam wystarczy! – dokucza jej Efe. Cała trójka się śmieje. Gdy wesołość mija, znów pochłania je cisza przepełniona myślami, którą przerywa Efe, mówiąc, że zawsze chciała zostać pisarką.

– To było moje największe marzenie. Miałam pisać książki i stać się sławna. – Śmieje się. – W szkole wkuwałam wszystkie książki o literaturze.

Wstaje i robi krótki show:

– „Była to najlepsza i najgorsza z epok, wiek rozumu i wiek szaleństwa, czas wiary i czas zwątpienia, okres światła i okres

mroków, wiosna pięknych nadziei i zima rozpaczy. Wszystko było przed nami i nic nie mieliśmy przed sobą. Dążyliśmy prosto w stronę nieba i kroczyliśmy prosto w kierunku odwrotnym. Mówiąc zwięźle, były to lata tak bardzo podobne do obecnych, że niektórzy z najhałaśliwszych znawców owej ery widzą w niej dobro i zło takie samo jak dzisiaj, tylko w nieporównanie wyższym stopniu”

125

– Podoba mi się sposób, w jaki wymawia się słowa „wiarołomstwo” i „ciemność”. Lubię przeciwieństwa, są jak sól i pieprz. „Najlepszy czas z możliwych”, „najgorszy czas z możliwych”. Światło i ciemność. To daje mi do myślenia. Zastanawiam się, jak to się stało. Jak czytam podobne teksty, właśnie w taki sposób chciałabym pisać. Słowami kruchymi i subtelnymi jak skrzydła motyla, z subtelnością, która spowoduje, że ludzie będą czytać moje książki wciąż od nowa.

Jej głos staje się cichszy. Wzdycha i mówi:

– Ale teraz nic z tego nie będzie.

Od lat o tym nie myślała, aż do tej chwili. Sama jest zaskoczona, że nagle przypomniała sobie te wersy, że bez trudu zacytowała zdania z pamięci. Ale szczęście, które wywołał w niej ten cytat, wcale jej nie dziwi. Nie dziwi jej też, że dawne pragnienie odżywa na nowo.

Ama zaczyna klaskać, Joyce również. Efe promienieje. Kiedy aplauz cichnie, kłania się z przesadną galanterią.

– Może uda mi się gdzieś dostać tę książkę. Słyszałam, że w Brukseli są księgarnie anglojęzyczne. Fajnie by było znów ją mieć. Bardzo chciałabym jeszcze raz ją przeczytać.

Efe zmarnuje trzy poranki na bezowocne poszukiwania w brukselskich księgarniach. Trzeciego dnia uprzejma sprzedawczyni zaproponuje, że zamówi dla niej książkę. „Pewnie minie tydzień, nim zostanie dostarczona” – zastrzeże kobieta. „Nie szkodzi, nic nie szkodzi” – powie Efe. W dniu, w którym Efe odbierze książkę, zamknie się z nią w swoim pokoju i rozpłacze, wspominając przeszłość.

Joyce mówi, że chciała zostać lekarką.

– Przedstawiałam się jako doktor Alek. Wierzyłam, że wyjdę za mąż, urodzę moim rodzicom wnuki, że będę pracować w szpitalach rządowych. Ale teraz chyba zostanę przy butiku. Albo ogromnym supermarkecie w Lagosie.

Ama mówi, że dawno temu zrezygnowała z marzenia o pójściu na studia. Mówi, że czasem zastanawia się, czy nie zostać gwiazdą pop. To tylko marzenie, dobrze wie, że fałszuje. Pewnego razu pokłóciła się z Sisi, bo za długo siedziała w łazience i Sisi krzyknęła do niej, że ona nie śpiewa, tylko miauczy jak wściekły kot. „Za każdym razem, kiedy słucham, jak śpiewasz, mam wrażenie, że nawiedził nas kot sąsiadów!”.

– Stojąc w oknie, czasem udaję, że jestem na podium i pozuję dla fanów. Wyobrażam sobie wtedy, że wszyscy skandują moje imię, głośno domagają się autografu. Wyobrażam sobie, że ktoś opowiada mojemu prawdziwemu ojcu o mnie, o jego znanej córce, i że któregoś dnia staje przede mną, a ja mówię mu, żeby spieprzał. – Śmieje się, Efe i Joyce jej wtórują.

– A ja się zastanawiam, o czym marzyła Sisi – mówi Efe zamyślona. Uwaga ta gwałtownie zmienia atmosferę, uśmiech zastyga na twarzach kobiet.

– Łatwo uwierzyć, że naprawdę nie żyje. A ja cały czas sobie myślę: a może oni wszyscy się pomylili? A jeśli ona nie umarła? Jeśli znów gdzieś spaceruje? – zastanawia się Ama.

– Jeśli nie umarła, to jest tutaj – mówi Joyce.

– Czuję, jakby tu była. Naprawdę to czuję – mówi Efe. Jej głos brzmi cicho. Jak modlitwa. Może nawet jak życzenie.

Pewnego środowego wieczoru, siedząc na swoim stałym miejscu i czekając na klientów, Sisi doznała pierwszego objawienia. Było ono tak oczywiste, że nikt nie mógł jej zarzucić, że uparcie wierzy w ujawnienie tajemnicy Przepowiedni. Przewroczyste objawienie zatrzepotało skrzydłami i powoli sfrunęło na dół, przesuwając się po jej twarzy. To, co ujrzała, wpędziło ją w czarną rozpacz i jej pierwszy klient – mężczyzna, który uparł się, że nie zdejmie tupeciku – powiedział jej, że czuje się oszukany. Jej przedstawienie było tak kiepskie, powiedział, że nigdy już do niej nie przyjdzie.

– Ta dziewczyna, która zawsze tu siedziała, znała się na rzeczy. A z tobą to tylko strata pieniędzy!

A więc to tak: Przepowiednia nic nie znaczyła. Była niczym innym jak bełkotem nieudolnego, zbyt uprzejmego gościa na chrzcinach. Sisi przyrzekła sobie, że nigdy nie wybaczy kobiecie, która przepowiedziała jej przyszłość. Tej głupiej, głupiej kobiecie, która przekonała mnie, bym udała się na poszukiwanie światłości. To przez tę głupią kobietę do tego doszło. To wszystko przez nią!

Siedem dni po narodzinach Chisom sąsiadka, która była jasnowidzem i nie miała zęba z przodu, oddychając głęboko przez szparę w przednich zębach i trzymając noworodka wysoko w powietrzu, zajrzała głęboko w jego przyszłość i powiedziała czekającym w napięciu rodzicom: „Ta dziewczynka ma przed sobą świetlaną przyszłość. Możecie uważać się za szczęściarzy, że jesteście jej rodzicami!”.

Teraz Sisi zrozumiała, co zobaczyła kobieta. Ujrzała ją w jasnym świetle Skaldy¹²⁶. *To* było jej przeznaczenie, a nie, jak myślała w swojej naiwności, ścieżka, która diametralnie zmieni jej sytuację. Zmieni na lepszą. Nie, tylko te niebieskie i czerwone światełka oświetlające okno, w którym siedzi skąpana w bożonarodzeniowej poświacie, czekając na klientów, którzy będą

podziwiać i kupować wystawione przez nią towary. Przynajmniej na razie. *To* była ta świetlana przyszłość, przepowiedziana przez wróżkę z butelki piwa, które siorbała. (To babsko wypilo wtedy chyba całą skrzynkę piwa. Z radości, że czeka cię wspaniała przyszłość. Pamiętasz jeszcze Papę Chisom? Ona była pod takim wrażeniem świetlanej przyszłości Chisom, że wlała w siebie całą skrzynkę stara). Nikt nie wiedział wtedy, że tę świetlaną przyszłość należy brać dosłownie. Nie chodziło o jasną przyszłość, o której wszyscy myśleli i do której kluczem, według ojca Chisom, było odpowiednie wykształcenie, co powodowało, że zmuszał ją do nauki. („Musisz studiować! Czytać! Po studiach będziesz miała mnóstwo czasu na odpoczynek!”). I rzeczywiście dużo się uczyła, nie przez wzgląd na ojca, nawet nie przez wzgląd na Przepowiednię, ale dla samej siebie. Wykształcenie akademickie gwarantowało dobrą pracę. Gdy znów nie było prądu, zapalała świece i uczyła się w ich słabym świetle, aż zaczynały ją boleć oczy. I na co to wszystko? Co dały jej ciężka praca, piekące oczy i stres egzaminacyjny? Ostatecznie to nie nauczyciel matematyki, który na początku ostatniego roku w liceum powiedział przed całą klasą, że Chisom czeka wspaniała kariera, i nazwał ją „dziewczyną o fantastycznym umyśle”, dzierżył klucz do jej przyszłości, tylko Dele, otyły mężczyzna, właściciel biura przy Randle Avenue. Dele przywiódł ją w to miejsce pełne blasku, które stało się jej przyszłością. Gdy złożył jej propozycję, przyjęła ją z otwartymi ramionami; Przepowiednia miała się wreszcie spełnić. Nagle zaczęła w to wierzyć z takim samym głębokim przekonaniem jak ojciec. Jeśli Delemu uda się wysłać ją do Europy, sprawi, że spełni się Przepowiednia wróżki.

Jej kształcenie okazało się zwykłą stratą czasu, pieniędzy i wysiłku, a w dodatku krokiem w złym kierunku. Sprowadziło na nią same nieszczęścia, rozbudziło marzenia, które obracały się w perzynę, dręczyło bolesnymi myślami o tym, że wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej.

Kiedy teraz myślała o swoim życiu, wciąż przypominała sobie to samo zdanie: *Omnes errant*¹²⁷. Nie pamiętała już, skąd zna

tę sentencję, najprawdopodobniej ze szkoły. Te łacińskie słowa opłotły jej życie jak kokon. Jej życie było pasmem błędów, drogą w złym kierunku, która zaprowadziła ją na Vingerlingstraat. Stała się znaną twarzą z oczami obwiedzionymi czarną kredką i ustami pomalowanymi jaskrawoczerwoną szminką, kimś wściekle stukającym w szybę, byle tylko przekonać niezdecydowanych mężczyzn. Chciało jej się wyć i nigdy nie przestać.

Tamtego środowego wieczoru minęło dokładnie pięć i pół miesiąca od przyjazdu Sisi do Antwerpii. Objawienie stłumiło jej zapal do zarabiania pieniędzy. Ogarnął ją stoicki spokój, o który nawet siebie nie podejrzewała. Szła do pracy z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Witania się z klientami, a uśmiech nie zniknął. Dziękowała za napiwki i za komplementy, gdy mówili, że nie jest taka jak inne czarne prostytutki, które próbują naciągnąć klientów na wyższą stawkę. *Uśmiech* nie zniknął z jej twarzy, ale wewnątrz czuła bezgraniczną rozpacz. Uczucie to uwiesiło się jej szyi; idąc ulicą, spuszczała głowę, jakby się czegoś wstydziła. Mimo że w tej pracy nigdy nie czuła się dobrze, teraz do niechęci dołączyła odraza. Nie mogła na siebie patrzeć, nawet kiedy była sama. Gdy się kąpała, namydlała ciało gąbką, nie obejmując go ani jednym spojrzeniem. Dzień w dzień zżerało ją poczucie winy. Uśmiechała się, ale za tym uśmiechem krył się żal, który wciąż rósł i rzucał na nią blady cień. Żałowała, że w ogóle opuściła dom; przeklinała dzień, w którym poznała Delego. Dlaczego? Dlaczego poszła do jego biura? Dlaczego dała się zwieść obietnicom bogactwa, bezgranicznego szczęścia i splendoru? Czuła wstręt, gdy jakiś klient prosił ją, by położyła się na plecach z szeroko rozłożonymi rękoma i nogami, gdy krzyczał „ty pieprzona kurwo!”, onanizując się. Coraz częściej wychodziła na coraz dłuższe przechadzki po centrum Antwerpii. Wstawiała wcześniej i spacerowała po De Keyserlei, po de Grote Markt. Krążyła wąskimi uliczkami, odkrywała budynki, które nic jej nie mówiły. Kupowała coraz więcej drobiazgów: otwieracze w kształcie butelki piwa, pocztówki z napisem „Antwerp by Night”, ozdobne podkładki z delikatnej koronki, obrusy. Walizka pod łóżkiem była wypchana po

brzegi i ledwo się domykała, kupione rzeczy przepełniały ją i Sisi bała się, że będzie musiała kupić drugą.

Zwartzustersstraat

Na zewnątrz słyhać radosny krzyk dziecka; ten niepasujący do sytuacji dźwięk wdziera się do pokoju.

– Dziwne, nie? Sisi nie żyje, a życie po prostu toczy się dalej – mówi Joyce. Ama się uśmiecha.

– U nas w domu mówi się: „Kiedy niosą ciało nieznanego człowieka, nie wydaje się ono niczym więcej niż drewnem na opał”.

– Zgadza się – mówi Efe. – Dobrze pamiętam dzień, w którym zmarła moja matka. Właściwie to byłam zła, że słońce miało czelność świecić. Dla mnie jej śmierć była końcem świata.

– Ale nawet w tym domu nic się nie zmieniło. A tu Sisi *nie była* przecież obca! – mówi Joyce opryskliwie.

– Dla nas nie, fakt. Ale dla nich pewnie tak. – Ama wskazuje głową na pokoje Madam i Seguna.

– Segun jest obcy nawet dla samego siebie! – skarży się Efe.

– Pewnie sam sobie robi dobrze!

– Amo! Przepłucz buzię mydłem! – Ale w oczach Efe także pojawiają się filuterne iskierki.

Segun jest ich ulubionym tematem plotek: jego nieporadność, spojrzenie świadczące o niedorozwoju umysłowym. Wydaje się, że ożywa dopiero z młotkiem w dłoni; kiedy trzyma młotek w jednej i gwóźdź w drugiej ręce i zakłada dolną wargę na górną. Stuku-puku-stuku-puku. Tylko wtedy nie drżą mu dłonie, ustają nerwowe ruchy rąk, które zwykle mu towarzyszą, kiedy mówi, jakby szukał, wciąż szukał odpowiednich słów. Z dłońmi zaciśniętymi w pięści próbuje uchwycić słowa, które ma na końcu języka: „Ma... aa... d... am... m... m... mówi, że... że trz... trz... eba nnn... nnnappp..., to zna... znaczy, trzeba naprawić twoje drzwi!”. – Przy tym niespokojnie przebiera nogami i wywija rękoma na wszystkie strony. Ale kiedy pracuje młotkiem i z lubością wbija gwoździe w ścianę, wtedy się nie jąka. Jego ruchy stają się

niewiarygodnie wręcz elastyczne, jego uderzenia padają dokładnie tam, gdzie powinny, i wzbudzają podziw. Na życzenie Madam Segun zrobił dla Joyce stolik do kawy (w prezencie urodzinowym). Kobiety nie mogły się nachwalić, podziwiając kunszt, z jakim go wykonał. Błagały Madam, by kazała mu zrobić takie stoliki również dla nich. „To tak, jakby ruchami jego dłoni kierował głos z nieba, jakby to on wydawał mu polecenia. Uderz, przestań, uderz, przestań” – powiedziała któregoś razu Efe. Bo jak to możliwe, że mężczyzna, który wygląda na niedorozwiniętego, który nie potrafi zrobić nic pożytecznego, nagle okazuje się tak zdolnym rzemieślnikiem?

Joyce wciąż jest przygnębiona.

– Sisi nie była obca – mówi z naciskiem.

– Wolałabyś, żeby dołączyła do nas Madam z tą swoją arogancką gębą?

– A Segun? Przecież ty też widziałaś, że Sisi była w jego aucie!

– Tak, ale o mało nie obdarła mnie ze skóry, gdy powiedziałam coś na ten temat! Może to była jednorazowa sytuacja, a poza tym nic ich nie łączyło.

– Nawet jeśli! Ona... – Joyce przez chwilę łapie powietrze, by znaleźć odpowiednie słowa. Ponieważ jej się to nie udaje, nie odzywa się, tylko syczy.

Na zewnątrz słychać krzyk dziecka, który już nie jest radosny. Dziewczynka płacze w sposób, w jaki płaczą dzieci w pewnym wieku, by wzbudzić współczucie.

– Biedne dziecko. Zastanawiam się, co się tam dzieje – mówi Joyce, próbując wstać.

– A ty co zamierzasz, do jasnej cholery? – Ama pociąga ją z powrotem. – Chciałaś sprawdzić, co się dzieje z dzieckiem innej kobiety? Czy ty się tutaj niczego nie nauczyłaś? Człowieku, nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy! Popatrz na Madam i Seguna. Oni też zajmują się wyłącznie swoimi sprawami!

Wykręcając dłonie, Joyce mówi:

– Madam i Segun nie zajmują się wyłącznie swoimi

sprawami. To są po prostu... – Wyciąga ścierkę do kurzu.

– To są co, do cholery?

– Skurwysyny! – Słowo to brzmi zaskakująco w ustach

Joyce.

– Kurczę, coraz bardziej zaczynasz przypominać Amę!

Dziecko wciąż płacze. Joyce mówi:

– Zastanawiam się, jak umarła. Czy wołała o pomoc...

Po zapłaceniu Delemu, uregulowaniu czynszu na Zwartzustersstraat i opłaceniu pokoiku przy Vingerlingstraat, który podnajmowała od Madam, zostawało jej niewiele pieniędzy na własne potrzeby. Wszystkie dziewczyny wynajmowały pokoje od Madam i płaciły pięćset pięćdziesiąt euro tygodniowo. Nie wiedziała, jak długo będzie w stanie ponosić koszty tej pracy, nie mając nic dla siebie. Miną jeszcze dwa miesiące, nim zda sobie sprawę, że nie jest w stanie ich ponosić. Do porzucenia tego zajęcia skłoni ją nie tylko to, że nie może nic odłożyć.

Podobnie jak inne dziewczyny, Sisi wystawała w oknie swojej klitki od ósmej wieczorem do ósmej rano z uśmiechem, od którego bolały ją szczęki, w nadziei, że poderwie jakąś grubą rybę. W okolicy wciąż krążyły plotki o ghańskiej prostytutce z placu Falcona, niedaleko Vingerlingstraat, w której zakochał się klient, nie taki zwykły, ale bogaty klient. Chyba jakiś znany piłkarz. Sisi nie była pewna, bo w zależności od tego, kto jej o tym opowiadał, jego zawód się zmieniał. Ale bez względu na to, co kto mówił, clou historii było takie samo: dziewczyna z Ghany miała szczęście. Klient spłacił jej alfonsa, ożenił się z nią i ulokował ją w swojej willi niedaleko Brukseli. Miała wszystko: eleganckie samochody, basen, drogie, markowe ubrania, wakacje na południu Francji, weekendy w Ardenach, domy letniskowe w Maroku i Barcelonie, wszystko. Część ludzi mówiła, że to było *touch and follow*¹²⁸, że rzuciła na niego urok, *juju*, które potrafią zrobić tylko dobrzy szamani – potrzeba do niego włosów łonowych i obciętych o świcie paznokci u stóp – cudowny środek, pozwalający kobietom zdobyć mężczyznę. Bo jak inaczej udałoby jej się poderwać taką grubą rybę? Przecież nie tym swoim ciałem gryzonia i końską twarzą? Ha, ha, ha. Anita z Zimbabwe, pracująca w oknie kilka domów dalej, w miejscu, gdzie pracowała Ghanka, powiedziała, że to musiało być *tokoloshi*, takie silniejsze *touch and follow*, korzeń,

który potrafi osiągnąć rozmiar dużego niemowlaka. Wystarczy, że jego właściciel wyśle je na miasto, a amulet wnet zbierze mnóstwo pieniędzy. „Zewsząd ściągapieniądze, nawet z męskich jąder! Słyszałam, że ona mu prowadzi interesy!”. Inni mówili, że najzwyczajniej w świecie miała szczęście, że to nie miało nic wspólnego z żółwiem, którego ponoć wypuszczała pod łóżkiem, kiedy była z tym klientem (choć każdy wie, że żółw jest nieodzownym składnikiem *touch and follow juju*, obok włosów łonowych i obciętych paznokci, oczywiście). Sisi nie obchodziło, w jaki sposób ta kobieta osiągnęła swój cel. Nie pragnęła nawet miłości, nie czekała na klienta, który zakocha się w niej na zabój i się z nią ożeni. Marzyła o klientach, którzy dadzą jej wystarczająco dużo pieniędzy, by mogła wyrwać się z tego koszmaru. Marzyła o hojnych napiwkach. Żeby wybudować upragniony dom dla rodziców, żeby spełnić swoje marzenia, potrzebowała masy klientów, ale ci nie zawsze dopisywali. Coraz częściej cierpiała na gorączkę okienną. Chciała stamtąd uciec, ale jak?

W ciągu dnia dzielnica Schippers traciła na uroku. W promieniach słonecznych okolica wyglądała na wymarłą, wymiecioną przez wiatr. Dzielnica czerwonych latarni wydawała się zawstydzona i niezadowolona z uwagi, jaką skupiała na sobie w świetle dziennym. Tak samo jak kobieta, która nie przywykła jeszcze do nowego kochanka i którą on nakrywa w ubikacji na puszczeniu głośnych bąków. Domy wyglądały przygnębiająco i nadawały okolicy posępny, smutny wygląd. To miejsce przypominało śmierć, toteż za dnia Sisi nigdy się tam nie zapuszczała; wołała inne miejsca w Antwerpii, skąpane w słońcu, tryskające energią zdrowego przedszkolaka. Spacerowała zawsze samotnie. Pytającym ją o to współlokatorom mówiła, że idzie zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie, dziękuje, woli iść sama.

Uwielbiała De Keyserlei, pełną przepychu i obietnic – Hotel Keyserlei ze złotą elewacją i długi, niekończący się ciąg sklepów: Ici Paris, H&M, United Colors of Benetton, Fashion Outlet. Tyle sklepów! Lubiała gorączkową bieżnię przechodniów, mieszankę kolorów skóry, hałas uliczny. Widziała Żydów w kapeluszach

chasydzkich i ich żony, pchające staroświeckie wózki na dużych kołach z cherubinkami w środku. To wszystko powodowało, że szybciej biło jej serce, czuła, że naprawdę żyje, że jest częścią tego tętniącego życiem miasta.

Nie przeszkadzały jej walające się na ulicach śmieci; przypominały jej graffiti, które widziała kiedyś przy Dworcu Centralnym: „antwerpia ma zaparcie”. Cóż, to zaparcie minęło, myślała za każdym razem, idąc De Keyserlei i widząc odpadki wylewające się z ogromnego przewróconego kontenera na śmieci przed McDonalodem: to tutaj miasto pozbywa się zalegającego w jego trzewiach gówna. Właśnie te zanieczyszczenia powodowały, że Antwerpia była jej bliska. To była stała, jak ci kieszonkowcy, w większości młodzi faceci, wystający przed budkami z fast foodem z rękoma w kieszeniach. Kolesie, którzy mówili: „Mam złoty łańcuszek, jest wart czterysta euro. Sprzedam ci go za sto. *Okayokay*, to ile masz? Dopiero co go zwinąłem. Bardzo drogi. Daj tyle, ile możesz. To prawdziwe złoto”. To samo dotyczyło żebraków, głównie kobiet z dziećmi z Europy Wschodniej, ubranych w kolorowe swetry, siedzących przy wejściu do metra, które gestem pokazywały, że są głodne, że ich niemowlęta są głodne. Czy mogłaby im coś wrzucić, czy mogłaby im coś wrzucić do plastikowego kubeczka leżącego między ich wyciągniętymi nogami? Czasami wrzucała pół euro, najczęściej wtedy, gdy na rękach trzymały płaczące niemowlę, ale równie często mijała je w pośpiechu, jakby szła na ważne spotkanie, spiesząc się jak inni przechodnie, którzy nie zwracali uwagi na czerwone światło i slalomem omijali przejeżdżające samochody. Kochała również Pelikaanstraat¹²⁹, gdzie złoto i diamenty krzyczały do niej z witryn sklepowych, próbowały przyciągnąć klientów: „Popatrz na nas! Czyż nie jesteśmy wspaniałe? No, popatrz na nas! *Kup* któreś z nas!”. I jeszcze rynek z trzeszczącymi wagonikami, uliczki wyłożone kostką brukową, wywołujące w Sisi uczucie, jakby znalazła się w starym czarno-białym filmie. Uwielbiała sklepiki z pamiątkami z koronki, z ekskluzywnymi czekoladkami i widokówkami. Czasami udawała, że jest turystką, bogatą kobietą,

którą stać na to, by dla przyjemności zwiedzać świat, oglądać pomniki i próbować potraw narodowych. Czasami specjalnie ubierała się jak turystka: daszek, okulary przeciwsłoneczne, saszetka na biodrach, wiszący na szyi aparat i kieszonkowy słowniczek niderlandzkiego w rękę. W te dni wchodziła do sklepów i uśmiechała się do sprzedawców, którzy odwzajemniali uśmiech, chcąc sprzedać jej to i owo, czysta serdeczność. Wtedy była kimś innym, kimś z innego życia. Wyżywała się w tym świecie fantazji. W modnym sklepiku rozplątywała się w zachwycie nad czekoladowymi penisami i cyckami, krzycząc do sprzedawczyni: *But these are simply amazing! I've got to take some back*¹³⁰.

Któregoś razu kupiła koronkowe skarpetki. Powiedziała sprzedawczyni, że jest na urlopie, pochodzi z Lagosu i właśnie odkryła, że po pięciu latach starań zaszła w ciążę. Jej nienarodzone jeszcze dziecko będzie miało te skarpetki na chrzcie. Kobieta zapakowała je w ciszy, ale na chwilę przerwała tę czynność, by otrzeć oczy błyszczące od łez chusteczką w kwiatki. Sisi naśladowała jej ruchy, ostrożnie osuszyła oczy chusteczką jednorazową, by nie popsuć sobie makijażu.

Raz kupiła dwa kilo pralinek Leonidasa i wygłosiła liryczny monolog do sprzedawczyni na temat tego, jakim fan-tas-tycz-nym miastem jest Antwerpia. *Your ciddy is absolutely gorgeous, darling. I'm having such a wonderful time here that I am worried Paris will be a disappointment. That's my next stop. Then London on the... the... the train, the Eurostar, that's it. Doing Europe, you see. We Americans don't travel as much as we ought to*¹³¹.

Chichotała jak mała dziewczynka, gdy sprzedawczyni odpowiedziała, że Ameryka jest olbrzymia i że Amerykanie są zbyt zajęci podróżowaniem po własnym kraju. Sisi odparła: *You Europeans are so smart. Your English is so good, darling. I wish I spoke another language! Anything. As long as it's foreign!*¹³²

Czasem przystawała przed jakimś pomnikiem – jej ulubiony przedstawiał olbrzymia wyrzucającego rękę na de Grote Markt – i prosiła przechodnia, by zrobił jej zdjęcie. Ze słowniczkiem w rękę

dukała różne słowa, celowo kalecząc wymowę niderlandzką. Zresztą naprawdę czuła ulgę, gdy przechodzień pytał ją płynną angielszczyzną, czy mówi w tym języku.

– *Oh yes, I do. Could you take a picture please? Thank you*¹³³. – Uśmiechała się wówczas i pozowała do zdjęcia ze słowniczkiem leżącym na ziemi; zresztą nigdy nie wywołała tych fotek, żadna z nich nigdy nie ujrzała światła dziennego.

Słuchała z zainteresowaniem opowieści mężczyzny, który określił siebie jako rodowitego antwerpijczyka, o historii monumentu, który tak lubiła: około pięciuset lat temu okolicznych mieszkańców terroryzował pewien nieposłuszny olbrzym. Któregoś dnia, nie wiadomo skąd, pojawił się odważny młodzian, który zabił olbrzyma i wrzucił jego rękę do Skaldy. Szczęśliwi mieszkańcy widzieli, jak wyrzuca rękę, i postanowili, że nazwą swoje miasto *Handwerpen*¹³⁴; z upływem wieków nazwa została skrócona do Antwerpen.

– *Wow, amazing story!*¹³⁵ – powiedziała rozpromieniona, robiąc duże oczy i przystawiając dłonie do policzków. – *That's totally amazing. Belgia ma bogatą historię jak na takie malutkie państewko...* Bardzo panu dziękuję za tę opowieść, będę ją nosić w sercu. *How do you say „thank you” in Belgian, darleen?*¹³⁶

Robiła rundkę po Pelikaanstraat, wchodziła do sklepów jubilerskich i kokietując sprzedawców, przymierzała złote pierścionki z diamentami, które uważała za nieprzyzwoicie drogie.

– Narzeczony prosił, bym sama wybrała pierścionek. Jest zbyt zajęty, by coś dla mnie wybrać. Pff, czasami wołałabym, żeby miał mniej pieniędzy i więcej czasu. Dzisiaj jest w Meksyku, jutro w Singapurze. *Oh well*, nie można mieć wszystkiego, prawda? Pieniądze albo czas, sama nie wiem, co bym wołała... – Wybuchła wówczas głośnym, przenikliwym śmiechem, sprzedawcy jej wtórowali, trochę ciszej, ostrożnie i rozważnie, doskonale zdając sobie sprawę, że jest ich klientką, klientką z górą pieniędzy, kimś, kogo nie można przewyższać, nawet śmiechem. Czasem przywoływała na twarz swój najpiękniejszy uśmiech i posyłała go sprzedawcy jako przynętę, kiedy obracała pierścionek

na palcu. Potem podnosiła palec pod światło, by zobaczyć, jak diament mieni się feerią kolorów, miniaturowymi różowymi i białymi cudёнkami. Mówiła, że jest piękny, poruszała dłonią to w jedną, to w drugą stronę tak, by diamenty skrzyły się różnymi kolorami. Potem stwierdzała, że kamień jest chyba trochę za duży albo ciut za mały, że chyba nie bardzo do niej pasuje.

Obserwowała wtedy jubilera, który wysiłał się, by nadal się uśmiechać, chociaż pewna, zdawałoby się, transakcja właśnie miała nie dojść do skutku. Dostrzegła na jego twarzy sztuczny uśmiech, zanim kręcąc biodrami i torebką, wychodziła ze sklepu, wyobrażając sobie, że jest w telewizji.

Uwielbiała ogromną katedrę, przy której czuła się maciupeńka jak ziarenko ryżu. Często wchodziła do środka i kierowała aparat na freski, które uważała za niezbyt interesujące i wulgarne – nie no, naprawdę, te wszystkie ogromne biusty wylewające się z ubrań są niesmaczne – i udawała, że robi zdjęcia. Wymieniała konspiracyjne spojrzenia z innymi turystami, przemierzającymi kościół z szacunkiem i z wybałuszonymi z podziwu oczami, i szeptała: „Jejku, czy to nie jest piękne? Cóż za wybitny malarz z tego Rubensa!”. Dla tych ludzi była anonimowa. Mogła być każdą osobą, pochodzić skądkolwiek. Mogła być mężatką, mieć męża o imieniu Peter i mieszkać w ogromnym bliźniaku w Ikei, być kobietą, która może sobie pozwolić na regularne wycieczki zagraniczne, przenosić się z jednego hotelu do drugiego, latać z jednego znanego miasta do drugiego, machając przed nosem mastercardem lub visą gold. Mogła też być singielką, która robi karierę, ma dużo pieniędzy do wydania i pragnie zwiedzić świat. Mogła się wcielić w każdą rolę, jaka przyszła jej do głowy. Z dala od ludzi, którzy ją znali i których ona знаła.

Ale raz, we frytkarni, wpadła na Seguna, który zaproponował, że zawiezie ją do domu. Była tak zaskoczona, że się zgodziła. Nagle zaniepokoiła się, że Segun mógł być świadkiem jej wygłupów. Właściwie to co ona powiedziała tej kobiecie? O Boże... Wrzasnęła: *I'm dying to eat Belgian fries! Quite famous back home in the US, you know!*¹³⁷ Następnie

odwróciła się do stojącego za nią klienta, by się uśmiechnąć, i odkryła, że to Segun uśmiecha się do niej.

Ama widziała Sisi wysiadającą z auta Seguna, widziała, że nerwowo rozglądała się wokół. Idący za nią Segun wyglądał na podnieconego. Po tym jak w żartach Ama zapytała ją, czy Segun jest jej chłopakiem, a Sisi uniosła się i krzyknęła: „Skąd ci to przyszło do głowy?”, Ama wiedziała, że Sisi coś ukrywa. „Segun i Sisi” – powiedziała Efe, kiedy o tym usłyszała. „Kurczę, dobre sobie!”.

Bywały dni, że miała tylko dwóch klientów, z czego jeden z nich chciał tańszej usługi („Jestem spłukany, więc dzisiaj tylko obciążanie, skarbie”). Poważne pieniądze zarabiała się na pakiecie rozszerzonym: penetracja, obciążanie, bez prezerwatywy. Czarni mężczyźni omijali je szerokim łukiem. Z początku Sisi myślała, że wstydzą się swoich „sióstr”, pracujących w handlu żywym towarem, ale i w tym wypadku Ama wyprowadziła ją z błędu.

– Wielu czarnych mężczyzn ledwie utrzymuje się tu na powierzchni. Nie mają pieniędzy, by płacić za seks. Czarnych klientów, których miałam przez te wszystkie lata, mogłabym policzyć na palcach jednej ręki – powiedziała. – A to byli tylko przyjezdni, turyści z Londynu lub Ameryki. Jeden z nich właściwie nie był czarny, pochodził chyba z Karaibów.

Jeśli interesy szły dobrze, Sisi obsługiwała średnio piętnastu mężczyzn. Była bardzo dokładna w obliczeniach; w każdy pierwszy piątek miesiąca szła na Dworzec Centralny, by za pośrednictwem Western Union przelać pieniądze dla Delego. Wciąż marzyła o zbudowaniu dużego domu, ale marzenie to odgrywało coraz mniejszą rolę. Kiedy dzwoniła do domu, odpowiadała na pytania monotonnym głosem, nie patrząc na jednoosobowe łóżko w pokoju, z papierosem między palcami.

Tak, wszystko w porządku.

Tak, uczę się.

Tak, pracuję na pół etatu w domu starców.

Tak, tutaj wszystko jest wspaniałe.

Tak, mam tu kilku przyjaciół.

Tak, to wspaniali ludzie.

Tak, oczywiście, modłę się codziennie.

Wyślę wam trochę pieniędzy.

Kiedy miała kiepską noc, czasem dzwoniła z komórki. W ubraniu roboczym, siedząc na stołku w oknie, dzwoniła do domu i próbowała nie myśleć o kosztach połączenia międzynarodowego. Bardziej opłacało się kupić kartę telefoniczną lub, co było jeszcze tańsze, zadzwonić z jednego z wielu sklepów telefonicznych na mieście. Ale czasami miała tak ogromną potrzebę, by zadzwonić, że nic innego się nie liczyło, nawet odpowiedzialne rozporządzanie budżetem.

Dzwonię z pracy, więc nie mogę długo rozmawiać.

Cieszę się, że podoba ci się torebka, którą ci wysłałam, mammo.

Tato, mam nadzieję, że łykasz witaminy, które ci wysłałam?

Chłodno tu. *Oyi na-atu*. Ale nie aż tak zimno.

Jej rodzice zawsze mówili to, co trzeba. Uczulali ją, by się modliła. Dziękowali za prezenty, które od czasu do czasu im wysyłała. Ale ich głosy brzmiały głucho, sprawiały jej wewnętrzny ból, przez co po pracy miała trudności z zaśnięciem. Mimo to wciąż zadawała sobie cierpienie, bo przecież nie mogła *nie* zadzwonić. To by było jeszcze gorsze.

Nie rozmawiała z Peterem, odkąd wyjechała. Nie starczało jej odwagi. Miała obowiązek utrzymywać kontakt z rodziną, ale takiego obowiązku nie miała wobec niego. Nie chciała sprawdzać granicy własnego smutku. Nie była pewna, czy potrafiłaby z nim rozmawiać i nie wybuchnąć płaczem. Zresztą jaki sens miało kontaktowanie się z nim? Lepiej zerwać z nim wszelkie kontakty. I tak nie będzie jej chciał z powrotem, nie po tym wszystkim, co zrobiła. Poza tym teraz jest kimś innym; Peter by jej nie rozpoznał. Nie była już tą dziewczyną, w której kiedyś się zakochał. Był częścią przeszłości, z którą nie miała już nic wspólnego.

Jedną z niewielu osób, dzięki którym zносиła Antwerpię, był Luc.

Poznała go w kościele zielonoświątkowców, do którego

kiedyś chodziła. To Efe zwróciła jej uwagę na ten kościół, dała angielskojęzyczną broszurę, w której wychwalano go dużymi pogrubionymi literami.

LOOKING FOR A REASON? JESUS IS THE REASON.

LOOKING FOR ANSWERS? JESUS IS THE ANSWER.

LOOKING FOR A PLACE TO WORSHIP? FIRST

REDEEMED CHURCH OF CHRIST IS THE PLACE.

JOIN US EVERY SUNDAY AND DISCOVER THE REASON FOR YOUR LIFE¹³⁸.

Z początku podobała jej się atmosfera panująca w kościele pełnym dobrze ubranych, w większości czarnych ludzi śpiewających na całe gardło *Praise the Lord, oh sing oh sing oh, praise the Lord. Praise His holy name, oh sing oh sing oh praise the Lord*. Przypominało jej to czasy, które traktowała jako lata swojej niewinności, czasy, gdy jedynym, czego potrzebowała do szczęścia, był nadmuchany przez kogoś balon, kiedy myślała, że wystarczy zdobyć dobre wykształcenie, by uciec od beznadziei, w której żył jej ojciec.

Ghański pastor był sympatycznym mężczyzną, nosił spodnie w kant, z zaprasowaniami i wgnieceniami dokładnie tam, gdzie trzeba, i marynarkę leżącą jak ulał. Jego głos porywał słuchaczy, prawie hipnotyzował sinusoidą dźwięków, kiedy duchowny powoływał się na Ducha Świętego, mówiąc o konieczności bojkotowania złych pieśni, kiedy wzywał anioły, by zlikwidowały wrogów z broni maszynowej, kiedy uświadamiał wiernym, że ich

koniec jest bliski. Ale kiedy wziął na celownik osoby pracujące w seksbiznesie, groził im piekłem i potępieniem, mówił o „zepsutych córkach Ewy, które po śmierci spłoną w ogniu piekielnym”, Sisi przestała chodzić do kościoła.

Powiedziała Efe:

– Ponieważ zgrywa świętoszka i udaje, że nie wie, że członkinie zboru pracują w tym biznesie, kobiety, które grzecznie oddają jedną dziesiątą swoich zarobków i opłacają jego pensję, to ja nie mogę dłużej należeć do jego kościoła. Co miesiąc prosi nas o opłacenie składek i co tydzień wymyśla jakieś specjalne datki. Ciekawe, czy wie, skąd są te wszystkie pieniądze! Kto opłaca jego drogie włoskie koszule i wycieczki żony do Dubaju? Kto będzie sponsorował nowy kościół, który niedługo otworzy w Turnhout?

Efe zaśmiała się i odpowiedziała:

– Z ciebie to niezłe ziółko, Sisi! Tyle wielkich słów tylko dlatego, że pastor wykonuje swoją pracę! Przecież sami chcemy, żeby wygłaszał kazania! Kobieto, niech robi to, co do niego należy, pozwól pastоровi wykonywać jego obowiązki!

Luc miał trzydzieści lat i pracował w banku. Był wyjątkowy, ponieważ należał do nielicznej grupy białych Belgów, którzy przychodzili słuchać kazań do afrykańskich zborów zielonoświątkowców, ale to nie dlatego spodobał się Sisi. Powód był bardziej banalny: Luc, wyrosnięty chudzielec z długimi rozwianymi włosami, był bardzo podobny do Hermana Brusselmansa. Emanował tą samą wstrzemięźliwą, pewną siebie seksualnością, co pisarz. Sisi nigdy nie spotkała Brusselmansa, widziała go tylko na zdjęciach. Nie wiedzieć czemu jeden z klientów przyniósł gazetę i zostawił ją u niej. Sisi wzięła dziennik do domu i nie mogąc zasnąć, zaczęła go przeglądać. Chociaż jej znajomość niderlandzkiego była ograniczona, lubiła mocować się ze słowami: cierpliwie szukała podobieństw między wyrazami obcymi a angielskimi, które znała. Odnajdując w tekście znajome słowa, cieszyła się jak dziecko, traktowała to jako drobne zwycięstwo nad językiem, którego we własnym mniemaniu miała nigdy nie opanować. Właśnie odkryła słowo „niebieski”, gdy jej

uwagę przykuło zdjęcie na następnej stronie. Ostra fotografia przedstawiała mężczyznę, który był seksowny w nieprzystępny i jednocześnie nieodparty sposób. Niżej widniał podpis: Herman Brusselmans. Zrozumiała też słowo „pisarz”, widniejące przed nazwiskiem. Jego oczy miały w sobie coś magnetycznego, usta zaś coś przekornego, co wywołało u Sisi pragnienie, aby obsypać je pocałunkami. Tak zaczęła się jej obsesja na punkcie Brusselmansa. Często kupowała gazety i czasopisma tylko dlatego, że zobaczyła jego nazwisko na pierwszej stronie lub okładce. Wycinała zdjęcia pisarza i przyklejała je w rogu lustra na toalecie, by jego zwielokrotniona twarz patrzyła na nią, kiedy się malowała.

Od samego początku czuła pociąg do Luca, ale nie zachęcała go do zrobienia pierwszego kroku. Nadal myślała o Peterze, poza tym nawet gdyby jej serce było wolne, prawdopodobnie i tak nikt nie chciałby z nią chodzić.

To Luc próbował nawiązać z nią kontakt. Któregoś dnia po mszy zaprosił ją na kawę. Zapytała go, dlaczego chodzi do kościoła pełnego Afrykanów. Powiedział, że uwielbia ich muzykę. „Belgijskie kościoły są płaskie jak naleśniki; nie mają nic do zaoferowania, nic, za czym warto by było tęsknić”. Sisi odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się. Później, gdy lepiej go poznała, powiedział jej, że już wcześniej, zupełnie przypadkowo, wszedł do ich kościoła: przyciągnął go głośny, wesoły śpiew, to był też powód, dla którego wciąż tam wracał. Niedawno odeszła od niego żona, powiedział, i być może szukał odrobiny radości, którą sprawili mu śpiewający i tańczący wierni. Później powie jej, że twarze wiernych modlących się z zamkniętymi oczami wyglądały, jakby były zatopione w orgiastycznym uniesieniu.

– Może umówimy się kiedyś na drinka? – zapytał, ale Sisi odmówiła.

W następnym tygodniu znów ją zaprosił, z takim samym skutkiem. Dał jej dwa tygodnie spokoju i spróbował ponownie, ale bez powodzenia. Kiedy pod koniec grudnia Sisi zrezygnowała z chodzenia do kościoła, zdobył jej numer telefonu od Joyce i zadzwonił. Tak długo nalegał, aż zgodziła się z nim spotkać

któregoś wieczoru. Nie miała nic przeciwko wypiciu z nim drinka w którejś z knajp przy de Grote Markt, ale nie była gotowa na randkę z prawdziwego zdarzenia. Była prawie pewna, że Luc nie wie, w jaki sposób zarabia na chleb, w innym wypadku nie zadałby sobie przecież tyle trudu. Może i wyglądał jak Brusselmans, ale miał też w sobie pewną naiwność. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby wciąż był prawnikiem. Miała nadzieję, że Luc w końcu zrezygnuje, jeśli pozostanie niedostępna.

Ale on nie dawał za wygraną. Może w przyszły weekend?

– Wtedy muszę pracować – powiedziała Sisi.

– To może w następny? Tylko się czegoś napijemy.

Na odczepnego się zgodziła, ale nie poszła na spotkanie. Luc wciąż do niej wydzwaniał.

Odwracał jej uwagę. Sisi chciała, by zniknął z jej życia, by mogła skupić się na pracy i zarobić wystarczająco dużo pieniędzy, by spłacić Delego i odzyskać wolność. Jej ciałem zawładnęła dziwna bierność, co nie umknęło uwadze Madam. „Jeszcze ładnych parę latek przed tobą. Nie wolno ci już teraz oklapnąć!” – ostrzegła ją.

Tydzień przed pierwszym objawieniem, Sisi w końcu umówiła się z Lukiem. Prześladował ją już od dwóch miesięcy. W wieczór spotkania nie mogła się zdecydować, co ma na siebie włożyć. Na łóżku leżały ubrania, które najpierw wybrała, a z których potem zrezygnowała. Krótkie spodenki, miniówki, topy na cienkich ramiączkach. Próbowwała nie wnikać, dlaczego jest niespokojna, i skupiła się na makijażu. Nie ma mowy, nie polecą na Luca. Kredką do oczu namalowała ciemne kreski na dolnych powiekach. Brązową kredką podkreśliła kontur ust. W końcu wybrała czarną spódnicę do połowy uda i kremowy T-shirt. Chciała wyglądać na zadbaną, ale tak, by nie sprawiać wrażenia, że strasznie się przy tym napracowała.

Kiedy weszła do pubu, Luc stał przy barze ze szklanką piwa w ręce. Podeszła do niego. Uśmiechnął się, pocałował ją w policzek i powiedział, że ładnie wygląda.

– Wcale nie – odparła szorstko. – Robię brzydkie rzeczy i

wcale nie jestem ładna.

Nie potrafiła powstrzymać obrazów, które przywołała tymi słowami. Jaskrawo oświetlona klitka przy Vingerlingstraat, lustro na ścianie, zdjęcia w jej pokoju, Eric z twarzą pokrytą trądzikiem, który chciał, by siedziała na nim i przeczesywała palcami jego włosy, podczas gdy on wydawał z siebie ciche jęki. Casper, który zawsze prosił, by usiadła przed nim na kolanach i objęła ramionami jego monstrualny brzuch. Jak, na litość boską, może być ładna? Jak ktoś tak zepsuty może w ogóle być ładny? Skąd przyszło mu do głowy, że jest ładna? Miała zamiar uciec, ale widocznie Luc to wyczuł, bo w tym samym momencie wstał, rozlewając piwo. Złapał ją za rękę. Błagała, by ją puścił. Zauważyła, że inni klienci im się przyglądają, i zastanawiała się, co sobie o nich myślą.

– Proszę, Luc, pozwól mi wyjść. Nie masz pojęcia, jakie rzeczy robiłam. Proszę, błagam cię! Pozwól mi...

– Mam to gdzieś. Bardzo mi się podobasz. Jesteś ładna. – Mówił gwałtownie, jakby bał się, że opuści go odwaga, że jeśli nie powie tego teraz, to już nigdy nie odważy się tego powiedzieć. – Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem, Sisi.

Sisi próbowała wyswobodzić rękę, ale jak na takiego chudzielca, Luc miał mocny uścisk. Jej nadgarstek utknął w imadle jego prawej dłoni. Usiadła. Nie wolno jej zakochać się w Lucu. To by wszystko strasznie pokomplikowało. Jej życie było już wystarczająco poplątane; nie miała zamiaru jeszcze bardziej go gmatwać.

Luc przebijał się przez pancerz Sisi za pomocą karteczek. Wysyłał jej pocztówki, w których pisał, że ją kocha. Kreślił wyczerpujące epistoły, wyjaśniające jego teorię na temat miłości, która jest samolubna i nie poddaje się dopóty, dopóki kochający nie zdobędzie obiektu pożądania. Sisi pochlebiała jego atencją, dlatego w końcu dała się namówić i zaprosiła go do siebie. Myślała, że Luc ucieknie z odrazą, kiedy pozna otoczenie, w którym żyje. W ten sposób miałyby go z głowy. W jej życiu nie było miejsca na miłość, jeśli chciała zarabiać wystarczająco dużo

pieniędzy, by jak najszybciej spłacić Delego. Chciała zniszczyć każdą oznakę rosnącej sympatii do Luca, bez względu na to, jak bardzo podobny był do Brusselmansa.

W dniu jego wizyty Sisi wystroiła się tak kurewsko, jak tylko się dało. Przez chwilę rozważała, czy nie kazać mu przyjść na Vingerlingstraat. Pokazałaby mu się w oknie w wyciętych majtkach i staniku wonderbra od kompletu, wtedy na pewno by uciekł. Ale chyba lepiej nie mieszać pracy z życiem osobistym. Dobrze, przyjmie go w domu, ale ubierze się jak prawdziwa kurwa.

Krótką skórzaną spódniczką opinała jej pośladki, piersi prawie wylewały się z obcisłej czarnej bluzki z głębokim dekoltem. Usta lśniły krwistą czerwienią – jej znakiem firmowym – a oczy mocno podkreśliła kredką. Kiedy otworzyła mu drzwi, spodziewała się, że Luc odwróci się na pięcie, ale on pocałował ją w oba policzki. Cierpliwie stał w pokoju i czekał, aż pozwoli mu usiąść. Powiedział, że przyniósł ciasto z owocami, i podał Sisi pudełko. Jedyne krzesło w pomieszczeniu stało tyłem do oprawionych zdjęć na ścianie. To było krzesło Chisom, na którym siedziała, kiedy chciała zapomnieć, kim jest i co robi. Siedząc na nim, gapiła się na pustą ścianę po drugiej stronie pokoju.

Sisi obserwowała twarz Luca, próbując rozpoznać w niej oznaki wstrętu, ale jego oczy miały neutralny wyraz i niczego nie zdradzały.

– Fajny pokój – powiedział tylko.

– Coś ty, nie mówisz tego poważnie! – Zaśmiała się, uświadamiając sobie, jakie ubrania ma na sobie. Chyba powinnam była włożyć coś innego, pomyślała z rozdrażnieniem.

Luc się zaśmiał.

– No, okej, może rzeczywiście nie mówiłem poważnie – przyznał.

Sisi wstała z łóżka, na którym siedziała, i podeszła do niskiej lodówki stojącej obok krzesła.

– Mam tylko sok – powiedziała, wyciągając karton soku pomarańczowego. Zauważyła, że to ostatnie opakowanie, i

mimowolnie pomyślała, że jak tylko znajdzie czas, musi pójść do Aldiego.

– Może być sok – odpowiedział Luc, poprawiając poduszkę za plecami, by wygodniej siedzieć. Jego opanowanie irytowało Sisi i nim pomyślała, co mówi, zapytała go, po co tu przyszedł.

– Czego ty ode mnie chcesz? Szukasz doświadczonej kobiety, która nauczy cię kilku sztuczek? O tej porze mogłabym już dawno być w pracy! Zarabiać pieniądze, rozumiesz? Mam... – Zamilkła gwałtownie, wystraszona swoim wybuchem. Widziała, jak wyraz twarzy Luca prawie niedostrzegalnie się zmienia – od zaskoczenia przez złość po zdziwienie. Ściągnął brwi, wstał, wybąkał „przepraszam” i ruszył do drzwi. Sisi stanęła mu na drodze i powiedziała „nie”. Powiedziała, że jest jej przykro, że nie musi jej za nic przepraszać, że to nie jego wina. Potem zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go w usta.

Wczepili się w siebie z namiętnością, która popchnęła ich prosto do łóżka. Wspominając później tę chwilę, Sisi wiedziała, że *ten* pocałunek zapoczątkował ich związek, przepełnił ją bezgranicznym szczęściem; zdrowy rozsądek nie był w stanie jej zatrzymać. Czasami myślała, że dla Luca mogłaby zrezygnować z pracy.

– Nie musisz wcale tak żyć, jeśli tego nie chcesz, Sisi – dąsał się Luc. Byli w jego domu w Edegem. Na zewnątrz latarnie rzucały żółtobłękitne smugi światła. Luc leżał w łóżku, Sisi właśnie kończyła makijaż i zbierała się do wyjścia. Pokręciła głową, strzepując kosmyk włosów z twarzy, wygładziła spódnicę o grzecznej długości do kolan i zapięła koszulę. Stała plecami do niego.

– Dobrze wiesz, że tak samo jak ty nienawidzę tej pracy, Luc.
– Zamknęła usta i przyjrzała się szmince. Idealnie. Palcem starła smugę kredki do oczu. – Wstań z łóżka i odprowadź mnie do drzwi, Luc – powiedziała, odwracając się nieznacznie w jego kierunku.

– To skończ z tym. Nie podoba mi się, że z moich ramion rzucaś się prosto w ramiona jakiegoś obcego mężczyzny. – Jakby

nie słyszał, co powiedziała. – Jestem o to zazdrosny, cholernie zazdrosny. Chcę cię mieć na wyłączność, wiesz o tym.

Odkąd po raz pierwszy poszli do łóżka, Luc żądał prawa wyłączności do jej ciała. Nie wystarczało mu, że ma monopol na jej miłość. „Wcale mi się to nie podoba”. Cóż, jej też wcale się to nie podoba, ale jakie ma wyjście z tej sytuacji? – zapytała.

– Jak mam spłacić dług, nie pracując, Luc? No, powiedz mi! Spłacisz go za mnie? Możesz sobie na to pozwolić? – Jej głos cudem się nie załamał.

– Możemy iść na policję. Ten mężczyzna nie ma prawa kazać ci dla siebie pracować. To jest niezgodne z prawem. Złamał przepisy. Dał ci fałszywy paszport. Jeśli ktoś tu powinien trząść portkami ze strachu, to właśnie on, nie ty! Ty jesteś niewinna.

Luc jest czasem naiwny jak dziecko, myślała często, kiedy mówił, że powinna skończyć z życiem prostytutki.

– Przecież mnie nie związał i nie wsadził siłą do samolotu! Nie musiałam wyjeżdżać. Jestem dorosła, a on dokładnie wytłumaczył mi całą sytuację.

Męczyło ją ciągle powtarzanie tego samego, miała wrażenie, jakby to było déjà vu.

– To nie ma nic do rzeczy, skarbie. Złożymy na niego doniesienie, na tę całą Madam też. A potem czeka nas szczęśliwe życie, na zawsze. – Jak zwykle mówił dobitnie, ale jego twarz wyrażała niespotykaną dotąd wściekłość.

Sisi była zmęczona.

– Proszę, Luc, po prostu odprowadź mnie do drzwi. Robi się późno. – Stała już przy schodach, a on dopiero zwlekał się z łóżka.

– A zresztą co oni mogą ci zrobić? Czego tak się boisz? Co...

Przerwała mu, mówiąc:

– Daj już temu spokój, jestem zmęczona. Nie mam na to siły. Muszę już iść, Luc. Naprawdę. To nie jest odpowiedni moment. Porozmawiamy o tym innym razem, nie teraz. Proszę.

Byli ze sobą od dwóch miesięcy, a Luc wciąż zadawał te same pytania: Czego się boisz? Dlaczego po prostu nie odejdziesz?

W autobusie jego pytania wciąż rozbrzmiewały w głowie

Sisi. Czego tak bardzo się boi? Co może jej zrobić Dele aż z Nigerii? I co robi Madam, skoro najpewniej wyląduje w więzieniu, o czym zapewniał ją Luc? Rozmyślała o tym w drodze do domu. Dele jest daleko. Luc pomoże jej uporać się z Madam. Luc, Luc. Pragnie jej, a ona pragnie jego. Luc. Coraz ciężiej przychodziło jej zostawianie go samego. Upór, z jakim przekonywał ją do pójścia na policję, podkopywał jej pewność, że to się nigdy nie uda. Luc wiercił jej dziurę w brzuchu i uświadamiał, że to naprawdę może się udać. Dam radę. Mogę po prostu wstać i wyjść. Rozpocząć nowe życie z moim mężczyzną. Nie chcę go stracić, ale jak długo będzie na mnie czekał? Ilu mężczyzn by czekało, wiedząc, że ich dziewczyna co wieczór śpi z innymi mężczyznami? Gdy zapytała Luca, dlaczego zadaje sobie tyle trudu, chociaż mógłby mieć każdą kobietę, którą zechce, kobietę bez jej przeszłości, jego odpowiedź była prosta. Kocha ją. „Kocham cię”. Prostota jego słów ją wzruszyła. Ale jak długo wytrzyma ich miłość, jeśli ona nadal będzie pracowała w tym zawodzie? Nawet w miłości cierpliwość ma swoje granice, tego była pewna. Wystarczy popatrzeć na to, co stało się z nią i z Peterem.

Co mam do stracenia? Czego się boję?

Im więcej o tym myślała, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że właściwie nie ma się czego obawiać. Wręcz przeciwnie, może wiele zyskać. Mogłaby wyjść za Luca, mieć normalny związek i dzieci. Koniec z obcymi mężczyznami w jej łóżku. Mogłaby poszukać innej pracy, choćby jako sprzątaczką; na sprzątaczkę zawsze jest popyt. W swej hojności Luc zaproponował, że będzie jej co miesiąc dawał dodatkowe pieniądze, które mogłaby wysyłać rodzicom. Może kiedyś zaproszą ich do Belgii. Pokaże im cuda nowej ojczyzny. Nie będzie już musiała nikogo okłamywać. Poczula ogarniający ją spokój. Kłamstwa zaczynały jej doskwierać. Rodzice nigdy o nic nie pytali, nie chcieli wiedzieć, co dokładnie robi. Właśnie ten brak ciekawości, ta niechęć do poznania prawdy dopadały ją w łóżku i wnikały w jej sny, przez co w nocy wciąż się budziła i wstawała niewypoczęta.

Po powrocie do domu rzuciła się na łóżko w ubraniu. Wciąż leżała z głową pełną myśli, gdy do pokoju wtoczyła się Madam i zapytała ją, dlaczego leży w łóżku.

– Co się dzieje, Sisi? Nie powinnaś być w pracy? Wszystkie dziewczyny już wyszły!

Sisi powiedziała, że ma okres.

– Jak to? – zapytała Madam, unosząc brwi, które utworzyły pojedynczą falistą linię wątpliwości. – Jestem pewna, że niecały miesiąc temu dałam ci wolne z tego samego powodu.

– Ale tak jest. Ja też nie wiem, jak to się stało. Czy mam pokazać, że to prawda?

Madam pokręciła przecząco głową i wyszła z pokoju, mrucząc coś z niezadowoleniem.

Sisi podjęła ryzyko: równie dobrze Madam mogła się uprzeć, że to sprawdzi. Nie byłoby w tym nic dziwnego u kobiety, która czasem kontrolowała ich bieliznę, jakby były uczennicami w internacie, a ona nie mogła znieść, że ich rzeczy są brudne lub zniszczone. Jej dziewczynki, mówiła, zawsze są najlepsze. „Nie chcę, by wam czegoś brakowało”.

Jutro, powiedziała do siebie, wróci do Luca i powie mu, że jest gotowa, by z tym skończyć. Razem pójdą na policję, a ona stanie się wolną kobietą.

Sisi oparła się o drzwi, które bezpiecznie odgradzały ją od reszty świata, i zacisnęła dłoń w pięść.

– Tak! Tak! Tak! – szepnęła triumfalnie. Popatrzyła na łóżko z białą pościelą, na którą nie wiedzieć czemu nalegała Madam, i na plakat wiszący na ścianie. Znów szepnęła: – Tak – i jakby mówiła do innej Sisi, do kogoś zupełnie obcego, powiedziała: – Jutro to wszystko się skończy. Jutro będziesz wolna, a Sisi umrze.

Poczuła w ustach smak wolności, która unosiła ją w szalonym tańcu. Sisi wirowała po pokoju, aż w końcu przystanąła, by złapać oddech.

Całą noc wierciła się na łóżku i rozmyślała o swojej decyzji. Nagle przestała być taka pewna siebie. Pomyślała, że to nie spodoba się pozostałym kobietom, jej koleżankom. Swoimi

planami zmusi je do rezygnacji z pracy i nie była pewna, czy chce wziąć na siebie taką odpowiedzialność. Ona ma Luca, ma jakąś przyszłość, a one? Co one mają? Czy mają kogoś? Joyce powiedziała jej w zaufaniu, że nie ma żadnej rodziny. Co się z nią stanie? Co stanie się z Amą i Efe, kobietami, z którymi nie tylko dzieliła dom, ale też wszystkie dobre i złe chwile, odkąd tu przyjechała? Dom przy Zwartezustersstraat stał się *ich* domem. Wspólna kuchnia i pokój stołowy były ich miejscem spotkań, przychodziły tu, by się ze sobą zobaczyć, ale mogły też zaszyć się w swoich pokojach, by zaznać trochę prywatności. W tym domu mogły skryć się przed fałszywym blaskiem dzielnicy Schippers, z dala od mężczyzn z najdziwniejszymi zachciankami.

Przypomniała sobie przyjęcie w Brasschaat w zeszłym tygodniu. Wspólnota Ghańczyków wybrała nowego przywódcę, Nanę albo jakoś podobnie, nie pamiętała dokładnie imienia. Siedziały we czwórkę, jak rodzina, żartowały i śmiały się. Zaprosiła je Madam, która z kolei została zaproszona przez znajomego. Dobrze się bawiły i Sisi nie ma prawa tego zakończyć tylko dlatego, że ma już dość i się zakochała. Co się stanie z marzeniem Joyce o otwarciu własnego butiku?

Luc nie mógł jej zapewnić, że nie zostanie wydalona z kraju. Przecież jest tutaj nielegalnie, podobnie jak pozostałe kobiety. Jeśli pójdzie z tym na policję, mimowolnie wciągnie je w tę sprawę. Sisi zostawiła włączone światło i studiowała pęknięcia na suficie, obserwując, jak stapiają się ze sobą i tworzą jaskrawe obrazy. Założyła dłonie pod głowę i czekała, aż świt powoli rozświetli niebo i wygoni ją z łóżka. Przecież może odejść, nie zostawiając adresu. Może wprowadzić się do Luca, tak, wprowadzi się do niego. Luc się z nią ożeni i w ten sposób zapewni jej legalny pobyt w Belgii. Po pięciu latach będzie mogła ubiegać się o obywatelstwo, stanie się pełnoprawną Belgijką i zostanie przy mężczyźnie, co do którego była pewna, że uszczęśliwi ją na całe życie. Wciąż może wierzyć w świetlaną przyszłość, która nie ma nic wspólnego ze światelkami dzielnicy Schippers.

Jej wyobrażenia tworzyła nowe rzeczywistości. Wspaniała

przyszłość z nowymi możliwościami, mężem, pracą, dziećmi, obywatelstwem. Już nie będzie musiała dzielić łóża z mężczyznami, z którymi nie chciała tego robić, nie będzie musiała tak ciężko pracować tylko po to, by przesyłać wszystkie zarobione pieniądze Delemu. Ten człowiek zdiera z nich jak z ołtarza. Ile płaci za paszport? Za wizę? Sisi przypuszczała, że co miesiąc nielegalnie przysyła nowe dziewczyny. W imię czego ma napełniać facetowi kieszenie, z których i tak wylewa się gotówka?! Jest chciwy, a Sisi ma go serdecznie dość. W ciągu tych dziewięciu miesięcy, odkąd zamieszkała w Europie, nigdy nie opuściła żadnej płatności, nigdy! Zawsze przelewała więcej, niż wynosiła minimalna kwota, bo chciała jak najszybciej pozbyć się zobowiązań. To dlatego niewiele odkładała. Złote kolczyki i łańcuszki z Pelikaanstraat to wciąż śpiew przyszłości, a przecież jest jedną z najciężej pracujących kobiet w tym światku. Aż do teraz nie uchylała się od obowiązków. Siedziała na kolanach, leżała na kolanach, klęczała między kolanami. Zimą z trudem wytrzymywała zimno, prezentując swoje wdzięki w oknie, ubrana tylko w biustonosz wonderbra i wycięte majteczki, pukając w szybę palcem przystrojonym w pozłacane pierścionki, by przyciągnąć uwagę mężczyzn. Puk, puk, puk, puk. Popatrz no na mnie. Pozwól, bym dziś wieczorem cię zaspokoila. Dumę schowała do kieszeni, nieśmiałość wyrzuciła do kosza na śmieci i całkowicie oddała się pracy. Była wzorem pracownika, idealną siłą roboczą, oferowała każdemu klientowi trochę wesołości. Klient jest królem, nawet jeśli jest nieprzyjemny. Madam wbijała im to do głów, a Sisi zawsze o tym pamiętała.

„Dopóki płaci za twoje usługi, jest królem. Jego życzenie jest dla ciebie rozkazem i będziesz robić dokładnie to, czego wymaga. Zadbaj, by zapomniał, że płaci za czułość, którą mu dajesz. Na tym polega tajemnica tej gry, to jej złota zasada. I lepiej, żebyś miała to w pamięci. Ludzie są dziwni, a mężczyźni w szczególności. Chętnie płacą za miłość, dopóki mają wrażenie, że nie muszą za nią płacić”.

A kiedy przychodzili, Sisi uśmiechała się do nich, schlebiała

im, prawila komplementy. I tak jak polecila Madam, probowala sprawic, zeby zapomnieli, ze placą za to, by tak do nich mowila, by robila te wszystkie rzeczy. Ale nigdy nie tracila z oczu swojej zaplaty pod koniec sesji z klientem. Szczebiotala:

Tak, olbrzymie, to dla mnie.

Oczywiscie, olbrzymie, przytrzymam ci to.

Lewatywa? Zdecydowanie tak.

Chodz, no chodz do swojego skarbenka.

Chodz do swojej kici, swojej kotki.

Jeśli chcieli calowac sie z jezyczkiem i byli gotowi dodatkowo za to zaplacic, Sisi odpowiednio do sytuacji krzyczala aaaaach i mruzczala mmmmm, zmuszajac sie, by nie widziec twarzy mezczyzn, z ktorymi sie calowala. Nawet jesli wywracalo jej zoladek na druga strone – a to zdarzalo sie czesto – nie przestawala. Trzymala jezyk w ich ustach, pozwalala, by ich slina mieszala sie z jej slina. Niech zapomni, ze placi za te odrobinę czulości. Niech zapomni, ze nie robi to na tobie zadnego wrazenia. Trzymala glowe klienta i wykracala szyje. Bez względu na to, jaka uslugę wykonywala, z jej twarzy nigdy nie znikal pociagniety szminka usmiech. Niezlomny, silny, niewzruszony, jak Skala Gibraltarska. Jeden z jej stalych klientow chcial slyszec w tle muzyke Barry'ego White'a, wiec dostawal to, czego pragnal. W szafie wisial stroj pielęgniarki. Miała fartuszek kelnerki, szuflade pełną gadzetów i glowe przepelniona zalem. Wreszcie znów moze przejac kontrole nad własnym zyciem i, Boze, własnie tak robi. Zaslužyla sobie na nagrode i własnie teraz ją dostanie. Zrzuci skóre Sisi, zapomni, kim była, i spróbuje zbudowac swoje zycie na nowo.

Następnego dnia Sisi wstala wczesnie, ubrala sie i opuscila dom. Nikomu nie powiedziala, dokad idzie, zabrala jedynie koszule nocną i szczoteczke do zebów. Rzucila okiem na salon: byl pusty. Przez chwile stala nieruchomo, jakby oddawala czesc wspomnieniu o dobrym przyjacielu, o ktorego smierci własnie sie dowiedziala. Wdychala zapach pokoju. To byla ciepla, znajoma woń wszystkich mieszkajacych tutaj kobiet, zmieszana z aromatem

kadzidła. Ciepła i przyjemna. Przypominała jej zapach domu rodzinnego. W przeciwieństwie do pokoików na Vingerlingstraat nie czuło się tu piżmowego zapachu mężczyzn. Tu się spotykały, dzieliły tę przestrzeń. Salon przeszkadzał im mniej niż ich sypialnie. Ama nie znosiła białej pościeli i nikt nie wiedział dlaczego. Sisi z kolei nienawidziła plakatu przedstawiającego nieznaną kobietę. Pośladki zdawały się ją wyśmiewać. Czyżby Madam wieszała te obrazki, by przypomnieć dziewczynkom o ich obowiązkach? W pokoju stołowym nie wisiał żaden plakat, tutaj zewsząd otaczała ją czerwień ścian, od której nie dało się uciec. Zaczerpnęła powietrza, wciągnęła zapach pokoju w płuca, wypuściła powietrze i cicho się pożegnała. Wciągnęła brzuch, tak jak nauczyła ją nauczycielka prac domowych w szkole, i wyszła na zewnątrz, wdychając zimne majowe powietrze. Uświadomiła sobie, że osiem miesięcy pod jarzmem Madam i Delego to strasznie długo.

Dłuższy czas spacerowała bez celu z torbą przyciśniętą do ramienia. Oczyściła głowę ze wszystkich myśli i próbowała odnaleźć w sobie twardość, potrzebną do wprowadzenia swojego planu w życie. Jeszcze wczoraj wszystko wydawało się takie proste, ale w świetle dnia znów dopadły ją wątpliwości.

Czy mogę to zrobić?

Czy powinnam to zrobić?

Czy mam to zrobić?

Jej stopy wydawały się zdecydowane na ucieczkę, niezależnie od tego, co dyktowało jej serce. Chociaż Sisi zupełnie nie zdawała sobie sprawy, dokąd idzie, stopy poniosły ją na przystanek autobusowy. W autobusie do Edegem myślała o tym, jak będą się czuły pozostałe kobiety, gdy dotrze do nich, że ona już nie wróci. Czy będą za nią tęsknić? Żadnej z nich nie powiedziała o swoich planach, ponieważ nie była pewna, czy w ogóle to zrobi. Klucz od drzwi wejściowych położyła w kuchni na lodówce. Ciekawe, co powiedzą, gdy go tam znajdą. Czy Joyce poczuje się zdradzona? Czy to jest zdrada? Nie no, zdradą byłoby, gdyby poszła na policję i odebrała im pracę. W myślach rozważała

wszystkie za i przeciw. To nie jej niezdecydowanie, ale pewność, że pozostałe kobiety jej nie wesprą, powstrzymała Sisi przed wtajemniczeniem ich w swój plan. Bała się, że będą próbowały ją powstrzymać, wybić jej ten pomysł z głowy. Zbudowały tutaj z pozoru idealne życie; kim jest Sisi, by kazać im z tego zrezygnować? Ama mieszka w Antwerpii już sześć lat, Efe prawie siedem. Obie spłaciły już sporą część zadłużenia u Delego. Dziewczyny żyją swoim życiem, przygotowują się do nowego życia po Delem, planują, kim będą po opuszczeniu dzielnicy Schippers. Efe sądzi, że w ciągu dwóch lat spłaci dług i będzie mogła zacząć wszystko od nowa. Wspominała, że chce zatrudnić kilka dziewczyn i zostać madam. Zamierza kupić dziewczyny z Brukseli, bo według niej lepiej skorzystać z tych, które już są w kraju. Rzeczywiście, w ciągu dwóch lat i sześciu tygodni Efe spłaci cały dług, półtora roku zajmie jej znalezienie pierwszych dwóch dziewczyn, które kupi na licytacji zorganizowanej przez wysokiego, przystojnego Nigeryjczyka w okularach przeciwsłonecznych i berecie. Wszystko odbędzie się tak, jak sobie to wyobrażała w marzeniach – w domu w Brukseli, na suto zakrapianym spotkaniu, z cichą muzyką w tle. Kobiety wejdą do środka przy akompaniamencie zespołu reklamowanego na plakacie *Lokerse Feesten*¹³⁹. Mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych, menedżer zespołu, zgodnie ze zwyczajem oprócz członków zespołu do listy ambasady w Abudży dołączy także nazwiska kobiet, które mu za to zapłacą. Kobiety będą wywoływane pojedynczo, by kupujący mogli je obejrzeć i ocenić. Wszystkie będą miały numerki, imiona nie będą istotne. Kupujący nadadzą im własne imiona, łatwe do wymówienia przez zagranicznych klientów, na tyle proste, by z łatwością przechodziły im przez gardło. Maksymalnie dwie sylaby, bez dziwnych zlepek spółgłosek, które powodują, że afrykańskie imiona są dla nich zbyt trudne do wymówienia.

– Panie i panowie, oto numer trzeci. Numer trzy to kobieta, za którą szaleją biali mężczyźni. Wąskie usta, szpiczasty nos, słodka *Ikebe*¹⁴⁰. – Mężczyzna klepie ją w gołe pośladki. Numer

trzy się uśmiechnie. – Wyobraźcie ją sobie państwo, jak siedzi w oknie. Ten typ kobiety przyciągnie wielu białych mężczyzn. Przyjrzyjcie się jej karnacji. – Numer trzy ma miódowy odcień skóry. – To wspaniała inwestycja.

Uśmiech numeru trzeciego stanie się szerszy. Efe kupi numery pięć i siedem. Numer pięć dlatego, że łatwo się uśmiecha, a numer siedem, bo wyda się uległa i gotowa wszystkich zadowolić, będzie jedną z tych dziewczyn, które cieszą się byle czym.

Cztery lata po śmierci Sisi Joyce wróci do Nigerii z pieniędzmi, które wystarczą na założenie szkoły w Yabie. Zatrudni dwudziestu dwóch nauczycieli, głównie młode kobiety. Będzie organizować pomoc finansową dla zdolnych uczniów, którzy nie są w stanie opłacić chesnego. Szkołę nazwie Sisi's International Primary and Secondary School, na cześć przyjaciółki, której nigdy nie zapomni. O dziwo, to Ama otworzy własny sklepik i zatrudni Mamę Eko jako kierownika. Mama Eko powie jej, że zawsze wiedziała, iż jej się uda. Nigdy nie będą rozmawiały o latach spędzonych przez Amę w Europie.

Sisi położyła torebkę na kolanach. Narcyzy na tle trawiastej zieleni sukienki. Na następnym przystanku musi wysiąść. Wyciągnęła rękę i wcisnęła guzik na poręczy za nią.

Wysiadła z autobusu i przeszła trzysta metrów do domu Luca. Czuła się nieśmiertelna, nie do zatrzymania. Jej świat wyglądał dokładnie tak, jak powinien. Kochała Edegem. Mieszkańcy byli autentyczni, przez co centrum Antwerpii wydawało się nieprawdziwe. Tutaj ludzie uśmiechali się do niej i ją pozdrawiali. Nieznajomi, których już nigdy więcej nie spotka, pytali ją, jak się miewa, i wydawało się, że naprawdę ich to obchodzi. Słuchali, gdy mówiła, że dziękuje, u niej wszystko w porządku. A u państwa? Osoby stojące na przystanku autobusowym wciągały ją w rozmowę na temat korzyści płynących z korzystania z komunikacji miejskiej w porównaniu z jazdą własnym autem oraz o zanieczyszczaniu środowiska przez samochody osobowe. Ludzie powinni zwracać większą uwagę na

otoczenie, w którym żyją, i powinni korzystać z komunikacji miejskiej, nie sądzi pani? Rozmawiali o rosnących cenach chleba. Starsze kobiety opowiadały o swoich doświadczeniach w Kongu dekady temu i mówiły o tęsknocie za Albertville, noszącym teraz inną nazwę, jakąś afrykańską, której nigdy nie mogły zapamiętać. Pytały, czy Sisi mówi w języku lingala, co sądzi o Kabili¹⁴¹. Opowiadały o kuzynce, która nie może mieć dzieci i która zaadoptowała chłopca z Rwandy, a może z Burundi? „Ładny niemowlak, tylko te włosy... te kędziorki ciężko rozczesać”. Sisi powiedziała, że kobieta powinna użyć płynu do płukania tkanin. „Silanu. Pięknie pachnie i jest najlepszym płynem do płukania, jakiego kiedykolwiek używałam. Jeśli działa na ubrania, to dlaczego nie na włosy, no przecież mam rację, prawda?”.

W centrum Antwerpii ludzie mają gdzieś, czy żyjesz, czy już umarłaś. Kiedy witają cię w sklepie, wiesz, że to rutynowe powitanie. Mówią „dzień dobry” i nawet na ciebie nie spojrzą. Chcą po prostu przeżyć kolejny dzień, całe życie, w którym nie ma dla ciebie miejsca. Ich głosy są pozbawione emocji. Miasto żyje w zwariowanym tempie, ludzie nie mają czasu zatrzymać się i uśmiechnąć. Na przystankach autobusowych wszystko, co wygląda na podejrzenie zagraniczne, budzi nieufność. Często widziała, jak starsze kobiety, które stały obok niej, ścisnęły torebki pod pachą. Mężczyźni klepali się nerwowo po kieszeniach spodni, jakby chcieli się upewnić, że ich portfele nie zniknęły. Nawet czarni pasażerowie nie odzywali się do niej, nie odczuwali potrzeby zaspokojenia ciekawości. Centrum Antwerpii jest miastem obcych, miastem ludzi anonimowych. Ale z drugiej strony właśnie tej anonimowości Sisi bardzo potrzebowała.

Kiedy dotarła na miejsce, Luc właśnie jadł śniadanie. Na powitanie przytulił ją do siebie.

– Skarbie, podjęłaś słuszną decyzję.

Jej życie mogłoby tak wyglądać każdego dnia. Mogę być doskonałą panią domu na peryferiach dużej aglomeracji, która w soboty je na śniadanie croissanty, pomyślała Sisi. Usiadła przy stole, niezdolna wmusić w siebie więcej niż jedną kromkę

posmarowaną masłem.

– Weź coś do chleba. – Luc przysunął do niej plastikowe pojemniki z tatarskim i sałatką z tuńczyka. Sisi pokręciła przecząco głową. „Nie, dziękuję”.

Wciąż nie mogła się przyzwyczaić do różnych rodzajów wędlin i serów, bez których Luc nie wyobrażał sobie śniadania. Czy posiłki nie byłyby prostsze bez tak bogatego wyboru? Luc powiedział jej kiedyś, że to chude czerwone mięso, które ostrożnie położył na kanapce, to konina. Sisi poprzysięgła sobie, że nigdy nie zje czegoś, czego nie rozpozna na pierwszy rzut oka.

W czasie, kiedy powinna była robić przelew dla Delego w Western Union, Sisi wsiadła do autobusu powrotnego do Antwerpii. Luc był w pracy i dziewczyna nudziła się sama w domu. Miała do wydania pięćset euro i postanowiła się tym nacieszyć.

Ostatniego dnia życia Sisi nie wydarzyło się nic, co przygotowałyby ją na procedurę przejścia. Niebo było czyste, a pogoda dokładnie taka, jaką lubiła: nie za gorąco, przez co człowiek nie czuje się komfortowo, i nie tak zimno, by trzeba było włożyć kurtkę. Aura przypominała jej niebo. Dawno temu, gdy była dziewczynką i wciąż odkrywała nowe słowa i światy, zapytała matkę, jak wygląda niebo. „Tam nie jest tak gorąco jak tutaj”, odpowiedziała matka, podnosząc rękę, by wytrzeć pot spod pach chusteczką do nosa. „I nie tak zimno, jak mówi się, że jest za granicą. W niebie pogoda jest idealna”.

W idealną pogodę Sisi spacerowała wąskimi uliczkami Antwerpii. Ludzie w ogródkach przed kawiarniami wystawiali twarze do słońca i głośno rozmawiali – była to oda na cześć wspaniałej pogody. Jej serce śpiewało z radości, w torebce miała pieniądze. Szła w kierunku ulicy handlowej. Patrzyła na Antwerpię innymi oczami. Pełno w niej ruder i ludzi. To miasto ugina się pod ciężarem własnej obstrukcji. Za każdym razem, gdy wyjeżdżała autobusem z Antwerpii, myślała o tym, jak łatwo rozpoznać, że opuszcza się to miasto lub do niego wraca. Człowiek szybko się orientował, że zbliża się do granicy miasta, świadczyły o tym

rudery z odłóżką płatami farbą i powybijanymi szybami. Zanedbane budynki, po których widać było, że życie ciężko je doświadczyło. Przypominały Sisi narkomanów, którzy mimo młodego wieku wyglądają staro, blizny od ciężkich przeżyć pokrywają ich lica siateczką zmarszczek gęstą niczym siatka na komary. Przeskakując psie kupy, Sisi miała wrażenie, że Antwerpia przypomina ogromną spalarnię.

Szła Pelikaanstraat w kierunku Dworca Centralnego. Bez konkretnego powodu weszła do jego budynku. Miała bzika na punkcie architektury dworca, który sprawiał wrażenie, jakby został zbudowany z największą starannością, z dbałością o najdrobniejsze szczegóły. Bez względu na to, jak często wchodziła do środka, za każdym razem z zachwytem otwierała usta, jakby dworzec został stworzony po to, by skłonić ludzi do zastanowienia się nad sobą. Właściwie ten budynek powinien być katedrą albo muzeum, pomyślała Sisi. Jakimś spokojnym miejscem, nie takim hałaśliwym przybytkiem pełnym niecierpliwych podróżnych. To typowe dla Antwerpii. Nadużywa się tu potencjału budynków, które tu wzniesiono. Pomyślała o multiplexie kinowym UGC – idealnie nadawałby się na dworzec. Z kolei katedra bardziej przypomina muzeum niż świątynię. To miasto zostało po prostu źle rozplanowane! Przecięła halę dworca i skierowała się do wyjścia obok zoo. Tylko raz wybrała się do ogrodu zoologicznego, z Lukiem. Nie odpowiadał jej spacer po parku i oglądanie zwierząt w klatkach, wyrwanych z naturalnego środowiska i trzymany w miejscu, które miało udawać ich naturalny habitat. Według Sisi zapewnienie krokodylom burzy i błyskawic było śmiechu warte. Minęła wielki dom towarowy z rzeczami po parę euro, od butów po ubrania. Skręciła w lewo i doszła do głównego wejścia do dworca, gdzie zgodnie ze zwyczajem urzędowali pijacy z oczami jak spodki i ustami pełnymi opowieści. Zaczepił ją długobrody mężczyzna w średnim wieku. Śmierdział alkoholem, przy nim stał gruby szorstkowłosey pies, który jak eunuch średniowiecznego feudała popiskiwał z językiem na wierzchu. Mężczyzna wystawił zrogowaciałą rękę.

– Proszę, wspomóż mnie. Nie mówisz po niderlandzku? *Français? Deutsch? Español? English?* Dasz mi jedno euro? Tylko jedno euro. Proszę, to na autobus. Właśnie zgubiłem portfel.

Sisi wygrzebała z kieszeni kurtki monetę i podała ją mężczyźnie. Miała dobry humor i ostatecznie nie zbiednieje od tej kwoty.

Wzdłuż dworca skierowała się na De Keyserlei, gdzie wmieszała się w tłum ludzi, których codziennie wypluwa Antwerpia. Jakby pękła skorupa ziemi i wyrzuciła na ulice ludzi: czarnych, żółtych, białych i osoby o przepięknej karnacji stanowiącej mieszaninę tych trzech kolorów. Miasto pobudzało jej zmysły i po raz pierwszy od bardzo długiego czasu cieszyła się życiem. Odpędziła od siebie niepewność, poczuła, że odnalazła swoje miejsce na ziemi. Żadnych obietnic szczęścia, które po wnikliwej analizie rozpadają się na kawałki i obracają w pył. Dzisiejszy dzień jest początkiem całkiem nowego życia.

Udała się na Meir. Jej oczom ukazało się morze sklepów, kiwających na nią jak na starą znajomą. Uśmiechnęła się, próbując nie myśleć o współlokatorkach. Trzy kobiety z domu przy Zwarteustersstraat prawdopodobnie zastanawiają się teraz, gdzie się podziewa. Jak skomentują jej decyzję, kiedy odkryją prawdę? Zdusiła w zarodku poczucie winy, które zaczęło ją dręczyć. Nie muszę czuć się winna. Nie robię nic złego. Szła przed siebie, nucąc *You're Beautiful* Jamesa Blunta. Czuła się piękna. Świat jest piękny. Ruda dziewczyna, rozdająca ulotki pod sklepem z płytami, też jest piękna. Ulice, po których stąpa Sisi, ładnie pachną, są miłe w dotyku i dobrze wyglądają. Świat leży pod... nie, u jej stóp.

Zignorowała sklepy, do których normalnie by weszła, domy towarowe, wielkie magazyny z taną odzieżą. W jednym z tych sklepów kupiła kiedyś trzy nowe stroje za dwadzieścia euro: minispódniczkę z materiału imitującego skórę, którą często nosiła zimą, żakiet do kompletu, bawełnianą turkusową tunikę z pasującymi do niej spodniami i długą czarną poliestrową sukienkę z odkrytymi plecami i głębokim wycięciem z przodu – cios miłosierdzia dla trudnych klientów. Jeśli trafili jej się mężczyźni,

których niełatwo było zadowolić, goście żądający czegoś ekstra, tańczyła w tej sukience, kręciła biodrami i łapała się za piersi. Po skończonym tańcu klienci dawali jej duże napiwki albo prosili o dodatkową sesję.

Dzisiaj wejdzie do innych sklepów. Przejdzie całą Meir i wstąpi do butików, które do tej pory omijała.

Weszła do drogiego butiku, gdzie za siedemdziesiąt pięć euro kupiła spodnium. Trzymając dumnie firmową reklamówkę, pchnęła drzwi sklepu z bielizną o eleganckiej nazwie, której nie potrafiła wymówić, gdzie pracowała sprzedawczyni z wyżelowanym językiem na głowie i srebrnym piercingiem w języku. Pięćdziesiąt euro za trzy pary majtek. Nijak nie przypominały majteczek, które nosiła w pracy, wysoko wyciętych majtek typu tanga z mnóstwem ozdób i koronką, które nawet z przodu niewiele skrywały. Nie, to były normalne majtki, takie, jakie prawdopodobnie noszą nauczycielki. Czarne, brązowe i cieliste, eleganckie i grzeczne, majtki, których nie powstydzilaby się królowa.

Po spędzeniu całego dnia na zakupach Sisi wróciła na dworzec, gdzie w placówce Western Union wypełniła formularz przelewu i wysłała rodzicom trzysta euro. Później zadzwoni do nich i powie im, że mogą już odebrać pieniądze. To największa kwota, jaką kiedykolwiek im wysłała. Wystarczająco duża, by matka, klaszcząc w dłonie, odtańczyła taniec radości. Ojciec zareaguje bardziej spokojnie, na jego twarz wypłynie szeroki, pozornie nieusuwalny uśmiech. A Dele? Cóż, Dele ma wystarczająco dużo pracujących na niego dziewczynek. Nie potrzebuje mnie. Sisi zignorowała myśli o Delem, gdy tylko się pojawiły. Dlaczego wcześniej na to nie wpadła?

Przeszła całą Pelikaanstraat, zaglądając w witryny sklepów jubilerskich, rozkoszując się nieskazitelną urodą pierścionków i bransoletek leżących za szybą. W końcu jej wybór padł na złote kolczyki, co do których była pewna, że zostały stworzone specjalnie dla niej. Przez głowę przemknęła jej myśl, jak łatwo wydać pięćset euro, ile rzeczy można za to kupić, że czasem

można sobie nawet kupić szczęście. Jeśli twierdzisz, że pieniądze nie dają szczęścia, nigdy nie doświadczyłeś ulgi, jaką odczuwa człowiek, mogący wydać pieniądze na co tylko chce, kiedy nie musi przesyłać ich roztyłemu do granic możliwości alfonsowi, który ma więcej forsy niż twoi wszyscy znajomi razem wzięci. Po co gromadzi takie bogactwa, jeśli prawdopodobnie nie jest w stanie wydać tego, co już ma? Torba Sisi była lżejsza; kobieta miała dziwne zawroty głowy, które dały jej poczucie nieśmiertelności. Wydała wszystkie pieniądze, nie zdoła ich już odzyskać. Nie ma odwrotu. Przeciwstawiła się Delemu, przecięła wszystkie więzy łączące ją z Madam i domem przy Zwartzustersstraat. Była gotowa zaakceptować wszelkie konsekwencje tego czynu.

Zwartezustersstraat

Jakimś cudem na stole w salonie pojawił się imbryk, siermiężny pomarańczowy imbryk w kształcie koguta, kupiony przez Madam któregoś niedzielnego poranka na pchlim targu w Brukseli. To ulubiony sposób spędzania przez nią czasu.

Zachęcona przez wyświetlane w ciągu dnia programy telewizyjne na BBC – *Antiques Roadshow* i *Bargain Hunt* – Madam poświęca niedzielne poranki na wyszukiwanie okazji na rynku w Brukseli, przekonana, że za okazyjną cenę upoluje jakiś drogi antyk, który następnie sprzeda za ciężkie pieniądze. Jak dotąd nie znalazła nic, co byłoby warte sprzedania, niemniej zawsze wraca do domu z czymś zabawnym: popielniczką w kształcie ręki szympansa, wazonem w kształcie drewniaków, wydzierganą na drutach osłonką na pudełko chusteczek i kocicą, maskotką, która mruczy, kiedy naciśnie się jej brzuch.

Ktoś musiał pójść do kuchni i zaparzyć herbatę, tylko kto? – zastanawia się Joyce. Nie przypomina sobie, by ktokolwiek wstawał z kanapy. Nalewa esencję do filiżanki. Nie trzyma jej za ucho, ale za krawędź, i zamyślona upija łyk. Herbata smakuje jak popłuczyny, dlatego Joyce odstawia filiżankę. Wygląda na to, że ta odrobina naparu przypomniawszy jej żołądkowi, że jest pusty, bo zaczął burczeć z głodu. Może powinna zrobić sobie coś do jedzenia, coś na szybko. Idzie do kuchni i potyka się o młotek leżący na podłodze.

– Segun znów zostawił młotek – narzeka; podnosi narzędzie i wkłada je do szafki. Dlaczego on nigdy po sobie nie sprząta?

Nad kobietami znów zawisa cisza, która przenosi się do kuchni, gdzie nie słyhać nawet zwykłego brzęczenia lodówki. Joyce otwiera ją i lustruje jej zawartość. Ryż *jollof*, który przyrządziła Sisi. Joyce bierze pojemnik do ręki i głaszcze pokrywkę. Otwiera go i patrzy na ryż, na pomarańczowe, sklezione ziarenka. Rozpoznaje w nim zielone bloczki papryki i trzy

upieczone, skręcone ślimaki; wyglądają jak uszy. Danie przyrządziła Sisi. Joyce wacha ryż, który wciąż nadaje się do jedzenia. Czy ciało Sisi ulega już rozkładowi? Ile czasu musi upłynąć, nim zwłoki zaczną gnić? Parę godzin, parę tygodni? Ile czasu trwało, nim zgniły ciała jej rodziców? I jej brata, Atera? Teraz pewnie nic z nich nie zostało. Trzy lata to kawał czasu dla ciała, prawda? Nie chce myśleć o zmarłych członkach rodziny, niezidentyfikowanych fragmentach materii. Wzdycha i chowa pudełko z ryżem z powrotem do lodówki. Już nie jest głodna. Wpada w nastrój użalania się nad sobą. Rozmyśla o swoim życiu i dochodzi do wniosku, że została ukarana za coś z przeszłości. Ludzie, których kocham, znikają z mojego życia. Niezależnie od tego, co zrobiłam, czyż nie zostałam już wystarczająco ukarana? Gdybym tylko wiedziała, jaki grzech popełniłam, mogłabym wszystko wyprostować, naprawić, myśli. Jednocześnie czuje, że jej relacje z Amą i Efe także się zmieniają. To pod wpływem tej zmiany wiele lat później, kiedy szkoła będzie już istniała, Joyce powiesi na ścianie gabinetu oprawioną w ramki maksymę, którą kupi w supermarkecie w Yabie: „Ostatecznie to nie więzy krwi trzymają nas razem”.

Wchodzi do salonu równocześnie z Madam, która nie jest już tak spięta jak wtedy, gdy wychodziła z domu. Jej jaskrawopomarańczowa *boubou* rozświetla pokój, tak jak zapalona zapalka rozjaśnia ciemności.

– Rozmawiałam z nimi – mówi. – Wszystko będzie dobrze. Nie ma powodu do zmartwień. – Mówiąc „nimi”, ma na myśli policję. Madam rozmawiała z *nimi*, ponieważ kobiety wciąż wyczuwają obecność policji w domu, policja wciąż nawiedza ich myśli i boją się, że zostaną wydalone z kraju. Ale Madam często powtarza, że ma znajomości wśród funkcjonariuszy i że dopóki kobiety nie będą próbowały jej oszukać, są w Belgii bezpieczne.

– Każdy ma swoją cenę, nawet policja *oyibo!* Jeśli zapłacisz odpowiednią sumę, jesteś bezpieczna. Chcę, żebyście jutro wróciły do pracy. Muszę znaleźć zastępstwo dla Sisi. – Madam znika w swojej sypialni i rzuca przez ramię, żeby jej nie przeszkadzano. Jej

klapki obijają się o pięty, gdy wychodzi. Wtedy Joyce mówi coś, co nie daje jej spokoju przez cały dzień, coś, co zjada i trawi ją od środka, jak kwas wypalający dziurę w papierze:

– Madam ma to w głębokim poważaniu!

– Oczywiście, że tak – odpowiada Ama. – A czego się spodziewałaś? – W jej głosie słychać ironię.

Coś w Joyce pęka, krzyczy głośniejszym głosem, niż miała zamiar:

– Ale tak się składa, że jesteśmy *ludźmi*! Dlaczego mamy to akceptować? Sisi nie żyje, a Madam myśli tylko o biznesie. Czy Sisi nie zasłużyła sobie na *odrobinę* szacunku? Co my wyprawiamy? Dlaczego traktuje nas jak... nawet nie wiem jak co, i uważa, że łykniemy wszystko jak tresowane pieski?

– A co byś chciała, żebyśmy zrobiły? – pyta Ama. Po ironicznym tonie jej głosu nie ma śladu, mamrocze tylko pod nosem.

– Musimy iść na policję – odpowiada Efe, ubiegając Joyce. Ta myśl ją przeraża, ponieważ nigdy wcześniej o tym nie pomyślała.

Ama się śmieje.

– Madam ma policję w kieszeni, przecież słyszałaś, co powiedziała. Porozmawiamy z nimi i co, do cholery?

– Nie jesteśmy tu szczęśliwe, żadna z nas. Ciężko pracujemy, by ktoś inny się bogacił. Madam traktuje nas jak zwierzęta. Dlaczego się na to godzimy? Jestem pewna, że można znaleźć uczciwego policjanta. Jestem o tym święcie przekonana! Złożymy doniesienie na Madam i kto wie, może dostaniemy azył. Wielu ludzi szuka inicjatyw, które mogą wspierać. Mogą wesprzeć nas. Możemy być wolne. Madam nie ma prawa do naszych ciał, Dele tym bardziej. Nie wyobrażam sobie, żebym któregoś dnia tutaj umarła, a Madam potrafiła jedynie narzekać, jak bardzo jej interesy ucierpią przez moją śmierć. Nie wiem, co nas czeka, ale chcę, żeby Madam i Dele zostali ukarani. – Joyce szarpie ścierkę wystającą zza gumki w spodniach.

Ama nerwowo zapala kolejnego papierosa i natychmiast gasi go w popielniczce. Płacze.

– Chodźcie no tu do mnie – mówi do Joyce i Efe, wstaje i wyciąga do nich ramiona. Joyce podnosi się i wtula w Amę. Efe wstaje i otacza kobiety ramionami. Ich łzy mieszają się, w pokoju słysząc tylko ich płacz. Czas stoi w miejscu. Ama mówi:

– Teraz jesteśmy siostrami. – Kobiety ściskają się z całych sił.

Wiele lat później Ama powie, że w tamtej chwili uświadomiła sobie, że są przyjaciółkami na całe życie. Nie pójną na policję, chociaż jeszcze o tym nie wiedzą. Na razie myślą, że to zrobią, i odczuwają z tego powodu ulgę. Wyswobadzają się z uścisku i znów siadają na kanapie, która trzeszczy pod ich ciężarem. Któraś z nich wybuchła krótkim, głośnym śmiechem. Joyce wyciąga ścierkę ze spodni i rzuca pod kanapę. Popycha ją palcem, aż znika jej z oczu.

– Zastanawiam się, gdzie mogłabym tu dostać henkę – mówi.

Ama właśnie rzuca uwagę o odgrzaniu czegoś do jedzenia, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi. Kobiety patrzą na siebie, zastanawiając się, kto to może być.

Joyce wstaje i otwiera Lucowi, którego twarz prawie całkowicie przesłaniają włosy, długie, potargane i sterczące na wszystkie strony. Wygląda, jakby ktoś obrysował jego oczy ciemną kredką, jakby od lat nie zmrużył oka. Joyce nie odzywa się do Luca. Odwraca się do niego plecami i wraca do pokoju stołowego.

Luc zatrząskuje za sobą drzwi i podąża za nią do salonu.

– Gdzie jest Sisi? – pyta.

Kiedy Sisi wróciła do domu Luca, majowe niebo było lazurowoniebieskie, przecięte różowo-czerwonym paskiem w odcieniu świeżego siniaka na białej skórze. Luc jeszcze nie wrócił z pracy. Była za kwadrans szósta. Powiedział, że będzie między wpół do siódmej a siódmą w domu, że zrobi jeszcze drobne zakupy. Och, chciałabym, żeby już był w domu, pomyślała. Nowe życie ją ekscytowało.

Sisi poszła na górę, rzuciła zakupy na łóżko i pomyślała, że powinna posprzątać w kuchni, umyć brudne talerze po śniadaniu i zapalić świecę na stole. Właśnie weszła do kuchni, gdy zadzwonił dzwonek.

Sisi otworzyła drzwi i zobaczyła Seguna. Zdziwiła się, ale nie czuła strachu.

– Cześć. Wejdz, Segunie.

Ale Segun nie chciał wchodzić do środka.

– Ale, a... ale ja chcę, żebyś, to znaczy... ż-ż-żebyś wsiadła ze mną do auta. My, my, my, to znaczy, ma... ma... ma... mamy parę... spraw do o... o... o... To znaczy, my... my... my... mamy parę spraw do o... o... o... To znaczy, do omówienia. – Przez cały czas nerwowo wymachiwał rękoma na wszystkie strony. Niespokojne stopy stukały o chodnik.

– Do omówienia? Ale wiesz, tutaj też możemy porozmawiać – odpowiedziała temu niepozornemu mężczyźnie. Gdzie jest Luc? Luc, proszę, wróć *w tej chwili* do domu! Może mimo wszystko powinna była pójść na policję? Jakie zamiary ma względem niej Segun? Gdzie jest Luc?

– Nie, przykro mi, Si... si. Nie tu. N-n-nie... to znaczy nie tu. T-t-to, to znaczy to nie po... po... potrwa długo, o-o-obicuję. – Mówił niskim głosem i nieustannie zaciskał dłonie w pięści. Sisi zauważyła, że nigdy wcześniej nie zamienił z nią tylu słów.

Co on może mi zrobić? Nikt mnie nie zmusi do powrotu na

Zwartzustersstraat. Ta część życia jest już poza mną. A już na pewno nie taki mięczak jak Segun, ten półgłówek z wiecznie otwartymi ustami.

Wsiadła do auta. Miała nadzieję, że to, co ma jej do powiedzenia Segun, nie zajmie dużo czasu. Chciała być w domu, kiedy Luc wróci. Chciała powiedzieć mu, jaką frajdę sprawiło jej wydanie wszystkich pieniędzy na własne zachcianki. Chciała go pocałować i powiedzieć mu, że cieszy się, iż złamał zasady i poszedł do kościoła na Astridplein.

– Segunie, nie mam zbyt wiele czasu.

Skinął głową.

Nie bała się Seguna. Był nieszkodliwy; wszyscy to wiedzieli. To dlatego wystraszyła się młotka, który wbił jej w czaszkę. Nawet nie zdążyła krzyknąć. Jeszcze żyła, kiedy Segun wyciągnął ją na zewnątrz, na opuszczoną drogę prowadzącą do GB¹⁴², i wepchnął do bagażnika, rzucił na koc w fioletowo-szarą kratę. Długa do kostek, zielona sukienka podwinęła się, obnażając jej uda. W jednym z butów w kolorze liściastej zieleni ułamał się obcas. Segun chwycił but i niedbale wrzucił go do bagażnika. Obcas wylądował koło głowy Sisi.

W chwili między umieraniem a samą śmiercią – kiedy dusza jeszcze potrafi latać – dusza Sisi oderwała się od ciała i poleciała do Lagosu. Najpierw udała się do domu rodzinnego w Ogbie. Kiedy dotarła na miejsce, jej ojciec siedział w pokoju stołowym, czytając „Daily Timesa”, i właśnie postanowił, że następnym razem, gdy zadzwoni do nich Sisi, powie jej, że w jego wieku, mając dziecko za granicą, powinien mieć samochód, i czy mogłaby mu wysłać jakieś auto. Sisi szepnęła mu coś na ucho. Ojciec przegonił muchę, która siedziała na jego prawym uchu. Matkę znalazła w kuchni, obok używanej lodówki, dopiero co kupionej za pieniądze przesłane przez Sisi. Nalała sobie wodę do picia, narzekając na upał i awarię prądu.

– Cały tydzień bez światła. Nawet nie mogę nacieszyć się lodówką – mruknęła, odstawiła butelkę i ją zakręciła. Przystawiła szklankę do ust i w tym momencie Sisi puknęła ją w ramię.

Szklanka wypadła jej z rąk i rozbiła się na dwa nierówne kawałki. Następnego ranka, po telefonie, matka Sisi powie, że wiedziała, iż upuszczenie szklanki było znakiem. Lamentując, powie przybyłym żałobnikom, że zanim upuściła szklankę, wyczuła w powietrzu jakiś chłód. – Poczułam, że przez dom przetacza się zimny podmuch, to było wtedy, gdy umierała moja córka. Co ja takiego zrobiłam, żeby sobie na to zasłużyć? Czy kiedykolwiek kogoś skrzywdziłam? *Onye? Onye ka m ji ugwo?* – Przez głośny i rozpaczliwy lament załamie się jej głos, od czego kobieta ochryplnie na wiele tygodni.

Jej mąż nie będzie płakał, przecież mężczyźni nie płaczą. Usiądzie na krześle przy drzwiach, by mieć na oku wszystkich wchodzących do mieszkania i wychodzących z niego. Będzie tam siedział i patrzył na przewijających się żałobników, w ich łzach będzie doszukiwał się tego, kto źle mu życzy, bo to nie jest przecież normalne, żeby właśnie teraz umierała jego córka, nie teraz, kiedy wszystko zaczynało się układać. Tego ranka wysłała im pieniądze, kwotę większą niż dotychczas, i to skłoniło go do myśli, by następnym razem poprosić ją o samochód. Ktoś, kto mu zazdrości, musi mieć z tym coś wspólnego. To dlatego patrzył w milczeniu na żałobników. A kiedy mówili: „*Ndo*, przykro nam z powodu twojej straty”, przytakiwał powoli, jakby jego głowa powiększyła się dwudziestokrotnie, jakby to była maska.

Po tym jak dusza Sisi opuściła Ogbę, pofrunęła do domu, w którym nigdy nie była, do pięknego bliźniaka w Aje. Było kilka minut po siódmej wieczorem, niebo nad Lagosem zrobiło się już czarne, agresywnie czarne, jak czarny tusz. Dom spowijała ciężka i spokojna ciemność, ale w środku paliły się prawie wszystkie światła. Dele mówił głośno do słuchawki telefonu:

– Tak, tak, Kate. Ufam ci. Skoro mówisz, że poczynisz odpowiednie kroki, to ja ci wierzę. Ta mała przysparza mi samych kłopotów. Sporo mnie kosztowała. Ile zapłaciłaś policji? Wiem. Tak. Powiedz dziewczynom, żeby niczego nie kombinowały. Ostrzegam je wszystkie! Senghor Dele nie pozwoli z siebie drwić! Nikomu! Traktujesz te cizie jak należy, a co one robią?

Podskakują. W pale się nie mieści! Wszystkie moje dziewczynki dobrze traktuję. Nim wyjadą, o wszystkim im mówię, jestem z nimi szczerzy. Jestem dobrym człowiekiem. Próbuję jedynie pomóc biednym dziewczynom. Tak, wiem. Straciliśmy dobrego pracownika, ale tutaj jest dużo, *boku*¹⁴³, ładnych dziewczyn. Mam już trzy kolejne. Ich wizy będą gotowe najpóźniej w przyszłym tygodniu. Pełne dziewczyny, z przodu i z tyłu. Ręczę ci, że zawrócą w głowach tym *oyibo*. Mają wymiary miss, zresztą wiesz, co za dziewczyny ci przysyłam. To nigdy nie są brzydkie mały, to są *beauty queens!* Dwa razy ładniejsze od Jennifer Lopez. Ten, kto twierdzi, że Jennifer Lopez ma najpiękniejszą dupę na świecie, chyba nigdy nie widział kuperków moich dziewczyn! – przechwalał się i śmiał, od śmiechu jego piersi trzęsły się prawie jak piersi kobiety. Dwa zwisające kawałki skóry dyndające w górę i w dół. W górę i w dół. Bum-bum, bum-bum, bum-bum.

Nosorożec. Sisi wyobraziła sobie, jak Madam śmieje się po drugiej stronie światłowodu, być może siedzi w swoim pokoju, przy zamkniętych drzwiach. Sisi nie ruszała się, słuchała Delego, który stał oparty o bar w kształcie litery L, w jednej ręce trzymał szklaneczkę whisky, w drugiej telefon. Jej dusza zawisała nad barem, ominęła go i pofrunęła dalej, przez drzwi wychodzące na schody. Wspięła się po nich na górę i otworzyła drugie drzwi po prawej stronie szerokiego korytarza. W pokoju stało piętrowe łóżko, na którym spały dwie małe dziewczynki w różowych bawełnianych piżamach, z włosami zaplecionymi wokół główek niczym miniaturowe skrzydła aniołów. Były pulchne, przypominały aniołki z Biblii dla dzieci. Sisi było ich prawie żal, ale szybko zorientowała się, jak bardzo są podobne do Delego. Przypomniała sobie, czyje to córki, i podeszła do nich. Najpierw zbliżyła się do dziewczynki śpiącej na górnym łóżku i szepnęła jej coś na ucho. Potem schyliła się nad dolnym łóżkiem, podniosła śpiącą dziewczynkę i powtórzyła te same słowa. Wszyscy, którzy dobrze znali Sisi, powiedzieliby, że je przeklęła. Powiedzieliby, że życzyła im, by ich życie było nieszczęśliwe.

– Życzę wam, byście nigdy nie zaznały miłości, by wasz

ojciec cierpiał równie mocno jak mój, gdy się dowie, że
umarłyście. Żeby rozpacz go zniszczyła.

Albowiem Sisi nie była skłonna do przebaczenia, nawet po
śmierci.

Po tych słowach dusza Sisi zbiegła ze schodów i uleciała do
innego świata.

.....

.

Podziękowania:)

Wiele się nauczyłam w trakcie pisania *Fatamorgany*. W pierwszej kolejności jestem wdzięczna tym, o których jest ta opowieść: anonimowym nigeryjskim kobietom pracującym w seksbiznesie, które dopuściły mnie do swojego życia, odpowiadały na moje pytania i śmiały się z mojej niewiedzy.

Ta książka została napisana ze wsparciem Flamandzkiego Funduszu Literackiego. Bez stypendium z całą pewnością o wiele trudniej byłoby ją napisać. Dziękuję.

Jestem bardzo wdzięczna Johanowi de Koningowi. Pragnął „wielkiej” książki i przypominał mi, że cierpliwość jest cnotą. Dziękuję, Johanie, że zapoznałeś mnie z Faulknerem. Powinnam znać jego twórczość, ale jej nie znałam.

Moi teściowie, Jose Branders i Rene Vandenhoudt, przejmując opiekę nad dziećmi, dali mi to, czego potrzebowałam, by ukończyć pracę: czas. Bardzo dziękuję.

Dziękuję również Maggie Wilkinson, przyjaciółce, która czytała pierwsze próbki i zajmowała się dziećmi, kiedy tylko mogła.

Dziękuję Zingitom: Brianowi Chikwavi (za to, że kazał mi szukać fabuły), Monice Arac de Nyeko (za nieprzyjęcie mojego podziękowania, „bo tak postępują przyjaciele”) i Jackee Budeście Batandzie (za *Emma's War*).

Jestem wdzięczna osobom, które czytały pierwsze próbki i zadawały odpowiednie pytania: Tolu Ogunlesiemu, Ike Oguine, Trevorowi Wadlowowi, Stelli Okemwie, Patrickowi (partnerowi Stelli), Katrien Lodewyckx i mojej najlepszej przyjaciółce, Amace Omence (która uznała, że rozdział o Efe jest dobry, i chciała przeczytać więcej).

Chcę też podziękować Richardowi Adedu. On wie za co! *Ose gan*¹⁴⁴.

Podziękowania dla Barta Cabaniera, który ponownie

przeczytał streszczenie, i dla Petera Geversa za zapoznanie się z tekstem i jego ponowne przeczytanie oraz za wskazanie mi rzeczy, które przeoczyłam.

Dziękuję także moim sudańskim przyjaciołom: Gomai, Davidowi Lukudu i Johnowi Oryemowi. Chociaż Daru jest fikcyjnym miastem, przekazali mi niezbędne informacje dotyczące życia w południowym Sudanie. Mam tylko nadzieję, że opisałam ten obszar realistycznie. Przepraszam, jeśli się nie udało.

Podziękowania kieruję także do Ellah Allfrey i Harolda Polisa za opiekę merytoryczną i zmuszenie mnie, bym dała z siebie wszystko.

Na koniec dziękuję mojej rodzinie: mamie i tacie, Jane, Winnie, Nnamdi, Maureen, Okey i BG. Jesteście wspaniali.

¹ *Armed with a vagina...* – Zbrojna w waginę i wolę przeżycia, wiedziała, że nigdy nie zazna nędzy (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² HEMA – międzynarodowa sieć sklepów wielobranżowych z oddziałami w krajach Beneluksu, Francji i Niemczech.

³ Zwartzustersstraat – ulica Czarnych Sióstr.

⁴ Highlife – gatunek wywodzący się z Ghany, popularny w krajach Afryki Zachodniej, łączący brzmienie instrumentów tradycyjnych z muzyką gitarową i elementami jazzu.

⁵ *Shake am...* – Kręć nim tak, jak nauczyła cię mama.

⁶ *Moi moi* (również *moinmoin* lub *moyi-moyi*) – rodzaj nigeryjskiego puddingu z parzoną fasolą, cebulą i przyprawami.

⁷ *Osalobua!* – Boże!

⁸ *Samosa* – pierożki nadziewane ostro przyprawionymi warzywami, serem lub mięsem, smażone w głębokim oleju, traktowane jako przekąska, bardzo popularne w Azji, na Półwyspie Arabskim, w krajach śródziemnomorskich i w Afryce.

⁹ Imelda Romuáldez Marcos – była żona autokratycznego prezydenta Filipin, słynąca z olbrzymiej kolekcji luksusowego obuwia, futer, płaszczy, torebek i innych akcesoriów.

¹⁰ *What's wrong...* – Co z tobą, siostrze?

¹¹ *Bloody Africans* – Cholerni Afrykanie.

¹² *Wema, you're an awright...* – Kobieto, jesteś w porządku, siostrze! Wy, Afrykanie, naprawdę potraficie się bawić!

¹³ *Seth Africa...* – Afryka Południowa (RPA). Jedyna słuszna.

¹⁴ *Makwerekweres* – popularne w RPA pejoratywne określenie obcokrajowców pochodzących z innych krajów afrykańskich.

¹⁵ *Kente* – pochodzący z Ghany ręcznie tkany wielokolorowy materiał z bawełny i jedwabiu, pierwotnie noszony tylko podczas uroczystości.

¹⁶ *Akwukwo* – książka.

¹⁷ *Fia fia fia* – szybko.

¹⁸ NEPA – National Electric Power Authority, Nigeryjski Zakład Energetyczny, zgryźliwie nazywany również Never Expect

Power Always.

¹⁹ Joruba – jeden z języków nigero-kongijskich, którym posługuje się na świecie około dwudziestu milionów ludzi, głównie w Nigerii, Beninie i Togo.

²⁰ *Comment...* – Jak ci na imię? Nazywam się Chisom, a pan/pani? Jako tako. Proszę bardzo. Pan Mayaki. Pan Mayaki jest silny.

²¹ *EMPLOYEE OF THE YEAR...* – Pracownik Roku z Komisarzem ds. Edukacji, panem doktorem R.C. Munonyem.

²² *Innit* – w slangu angielskim: co nie?, nieprawdaż?

²³ *Oya* – natychmiast.

²⁴ *Shuku* – koczek z warkoczyków.

²⁵ Relakser – płyn lub krem rozprostowujący skręcone włosy.

²⁶ *Gari* – potrawa popularna w Nigerii i Ghanie, przyrządzana z bulw manioku.

²⁷ *Oga* – szef.

²⁸ Makossa – popularny w miejskich ośrodkach Kamerunu styl muzyki tanecznej, łączący elementy tańca duala, jazzu, muzyki latynoamerykańskiej i highlife'u.

²⁹ *Tufia* – uchowaj Boże!

³⁰ *Abi* – tak, och.

³¹ *Kai* – pięknie.

³² *Omo* – dziecko, przyjaciel.

³³ *Oloshi* – głupek.

³⁴ SSCE – Senior Secondary Certificate Examination, egzaminy maturalne.

³⁵ Shona – język z rodziny nigero-kongijskiej, używany głównie przez mieszkańców Zimbabwe, Mozambiku, Zambii i Botswany.

³⁶ *Punani* – slangowe określenie pochwy lub sromu.

³⁷ *Kai kai* – dzin wytwarzany domowym sposobem.

³⁸ *Sisi eko* – modna dziewczyna z Lagosu.

³⁹ *Fufu* – placek z manioku, bananów lub pochryznu, stanowiący samodzielny posiłek lub dodawany do wielu potraw w całej Afryce Zachodniej.

⁴⁰ Ikeja – jedno z przedmieść, które wchodzi w skład aglomeracji Lagosu.

⁴¹ *Amebo* – plotka, a także imię postaci z nigeryjskiej opery mydlanej, określenie oznaczające plotkarę.

⁴² *Tafia (taffia)* – plotka.

⁴³ Oryg. *Twinkle Twinkle Little Star, How I Wonder What You Are* – popularna angielska kołysanka.

⁴⁴ *Ogogoro* – inna nazwa *kai kai*, dzinu domowej roboty.

⁴⁵ Okra (ang. *lady's fingers*) – piżmian jadalny.

⁴⁶ *Lagos dey burn...* – Lagos się pali, a ty uganiaasz się za szczurami. Szczury spłoną i ty spłoniesz, a twoje kości zostaną rozrzucone na morzu.

⁴⁷ *Go jeje* – Proszę jechać ostrożnie, łagodnie.

⁴⁸ Eba – placek z *gari* i gorącej wody, najczęściej jedzony z zupą.

⁴⁹ *Egusi* – zupa z wysuszonych pestek melona z dodatkiem warzyw i mięsa.

⁵⁰ *Ashawo* (lub: *ashewo*) – prostytutka, dziwka.

⁵¹ *Okada* – taksówka motocyklowa.

⁵² *Abeg* – proszę.

⁵³ *Nigeria jaga jaga, Everythin' scatter scatter* – Źle się dzieje w Nigerii.

⁵⁴ *London Bridge is falling down...* – Most Londyński wali się, wali się, wali się, Most Londyński wali się, moja piękna.

⁵⁵ *Pussy cat...* – Koteczku, koteczku, gdzie byłeś?

Pojechałem do Londynu, by zobaczyć królową.

⁵⁶ *Na wahala!* – Szkoda gadać!

⁵⁷ Autobus *danfo* – volkswagen kombi T2.

⁵⁸ *Sha* – w każdym razie.

⁵⁹ *Eiya!* – Biedaczko!

⁶⁰ *Naija* – slangowe określenie Nigerii.

⁶¹ *Shebi* – tu: prawda, no właśnie.

⁶² 12 kwietnia 2006 roku na dworcu w Brukseli od siedmiu ciosów nożem zginął siedemnastoletni Joe Van Holsbeek, ponieważ nie chciał oddać odtwarzacza mp3 dwóm nieletnim

napastnikom, Polakom romskiego pochodzenia. Zdarzenie to wstrząsnęło opinią publiczną w Belgii, na nowo rozbudziło dyskusję na temat problemu nielegalnych imigrantów oraz otwarcia belgijskiego rynku pracy na pracowników z Polski. Bezpośredni sprawca rozboju został skazany na karę dwudziestu lat pozbawienia wolności, którą odsiada w Polsce, drugi – na pobyt w zakładzie karnym, który opuścił przedterminowo i wrócił do kraju.

⁶³ Bini – inaczej lud Edo, potomkowie założycieli Królestwa Beninu, mieszkający w stanie Edo na południu Nigerii.

⁶⁴ Fulani, Fulanie – lud koczowniczy wyznający islam, zamieszkujący kraje Afryki Zachodniej.

⁶⁵ Mandingo (Mande) – grupa ludów Afryki Zachodniej zamieszkujących Mali, Gwineę, Senegal, Gambię, Wybrzeże Kości Słoniowej, Sierra Leone, Burkina Faso i południową Mauretanię.

⁶⁶ Charles Ghankay Taylor – prezydent Liberii w latach 1997—2003; jako pierwszy przywódca państwa afrykańskiego skazany przez trybunał w Hadze na pięćdziesiąt lat więzienia za zbrodnie wojenne i przeciw ludzkości, których dopuścił się podczas wojny domowej w Sierra Leone.

⁶⁷ Enugu jest otoczone wzgórzami; nazwa miasta pochodzi od słów *Enu Ugwu*, w języku Igbo oznaczających „wierzchołek wzgórza”.

⁶⁸ Ryż *jollof* – danie z ryżem, zmiksowanymi pomidorami, papryką i przyprawami.

⁶⁹ *Maltina* – nigeryjski napój słodowy, bogaty w minerały i witaminy.

⁷⁰ *Nne* – pani lub matka.

⁷¹ *Atulu* – owca.

⁷² Mgbo – podgrupa etniczna Igbo, zamieszkująca południowo-wschodnią Nigerię.

⁷³ Prz 13,24, cyt. za *Biblią Tysiąclecia*.

⁷⁴ Tu i dalej cyt. za: *Biblija święta to jest wszystko Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Brytańskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Berlin 1913.

⁷⁵ *Dashiki* – luźna, najczęściej wielokolorowa koszula męska, bardzo popularna w Afryce.

⁷⁶ Zgodnie z podziałem filonicznym Dekalogu, przyjętym przez grekokatolików i protestantów, piąte przykazanie brzmi „Czcij ojca swego i matkę swoją”, natomiast szóste przykazanie mówi: „Nie zabijaj”.

⁷⁷ *Apollo* – dzuma; w mitologii greckiej *Apollo* raził grotami pomoru.

⁷⁸ *So I must leave...* – Więc muszę wyjechać, wybieram się w podróż do Las Vegas lub Monako. Wygram fortunę, a moje życie się odmieni.

⁷⁹ *Lagos na no man's land...* – Lagos jest ziemią niczyją, Lagos jest twardym miastem. W Lagosie nie masz ani brata, ani siostry. W Lagosie jestem sierotą. Lagos jest twardym miastem.

⁸⁰ *Chewing stick* – patyk z drewna o właściwościach antybakteryjnych, często zastępuje szczoteczkę do zębów.

⁸¹ *Eze ike nsi* – król gówna.

⁸² *Gwangworo* – odkryta, zdezelowana ciężarówka, przeznaczona do przewozu zwierząt.

⁸³ *Lagos, one more nyash!* – Jeszcze jedno wolne miejsce do Lagosu!

⁸⁴ *Akara* – ciasto z fasoli „czarne oczko”.

⁸⁵ *Biko* – proszę.

⁸⁶ *Welu ofu* – Weź jedną.

⁸⁷ *Orika. Welu* – Dużo tego. Weź jedną.

⁸⁸ *Osu* – w systemie kastowym Nigerii grupa osób, które zgodnie z wczesnymi wierzeniami należały do bóstw, były „żywymi ofiarami” i miały status podludzi. *Osu* są traktowani jak wygnańcy i żyją poza społeczeństwem.

⁸⁹ *Biblia króla Jakuba* – protestanckie angielskie tłumaczenie, zamówione przez króla Jakuba I (1566–1625) dla Kościoła w Anglii; pierwszy przekład pochodzi z 1611 roku.

⁹⁰ *Akamu* (także: *ogi*) – papka kukurydziana.

⁹¹ *Ka m fu uzo* – tutaj: odejść.

⁹² *Mechie onu* – zamknij się.

⁹³ *Ime atuta n'uno* – ciąża pozamałżeńska.

⁹⁴ *Tata* – dzisiaj.

⁹⁵ *Nno* – witaj.

⁹⁶ *Boubou* – długa, obszerna suknia, zależnie od typu przeznaczona dla kobiet lub mężczyzn.

⁹⁷ *And I was oh so glad...* – I byłam taka szczęśliwa, to było takie smutne. Bo zdałam sobie sprawę, że gardziłam mężczyzną, którego kiedyś nazywałam ojcem. Jego kurczowym trzymaniem się [życia] pazurami. Jego ciało waży teraz czterdzieści cztery kilo. Niewidome oczy wciąż czegoś szukają. Marzeń, które wyblakły i rozeszły się w szwach. Umiera w samotności, oczywiście.

⁹⁸ *Onugbu* – zupa z liści *onugbu* (tzw. *bitter leaf*), suszonej ryby i różnych rodzajów mięsa.

⁹⁹ *Molue* – autobus komunikacji miejskiej w Lagosie, najczęściej mocno zniszczony i wyeksploatowany.

¹⁰⁰ *Ah, Mama Eko, this fufu dey like water oo* – Ech, mammo Eko, to fufu jest wodniste.

¹⁰¹ *Sister Ama, na so fufu dey dey for where you come...* – Siostrzo Amo, czy takie fufu serwują tam, gdzie mieszkasz? Nie powinno się tego pić?

¹⁰² *Na small child cook dis food...* – Czy to gotował jakiś dzieciak? Nie wrócę tu, jeśli takie są wasze dania!

¹⁰³ *Dis food no sweet today at all at all. Na so so salt full am* – Jedzenie jest dzisiaj niesłodkie, całkiem niesłodkie. Za słone.

¹⁰⁴ *Dis na soup abi na water?* – To ma być zupa czy woda?

¹⁰⁵ *Wey de meat wey suppose dey dis soup?* – Gdzie mięso? Kto powiedział, że to zupa? Ja mam to zjeść?

¹⁰⁶ *We go wash am, oo!* – Oblejemy to!

¹⁰⁷ Wycinanie znaków plemiennych na policzkach i brzuchu (tzw. skaryfikacja) jest wielowiekową tradycją nigeryjską, praktykowaną po dziś dzień. Według wierzeń chroni dzieci przed złem, które niesie nowoczesność, i jednocześnie ułatwia identyfikację plemienną.

¹⁰⁸ W rytuałach często wykorzystuje się owłosienie z intymnych części ciała, w tym włosy pod pachami i obcięte

paznokcie.

-
- ¹⁰⁹ *Obodo oyibo* – dosł.: dom białych.
- ¹¹⁰ *Nwa m* – moje dziecko.
- ¹¹¹ *Tie and dye* – batik.
- ¹¹² *Asida* – ciasto z gotowanej mąki pszennej, czasem z dodatkiem masła i miodu, podawane w większości krajów arabskich i w Afryce Północnej.
- ¹¹³ Dinkowie – największa grupa plemienna zamieszkująca południowy Sudan.
- ¹¹⁴ Dżandżawidzi – zbrojna milicja muzułmańska, działająca w Darfurze, zachodnim Sudanie i wschodnim Czadzie. Oskarża się ją o dokonanie masakry na ludności chrześcijańskiej w południowym Sudanie.
- ¹¹⁵ Tora Bora – kompleks jaskiń leżących w afgańskiej prowincji Nangarhar, który według źródeł amerykańskich miał być kwaterą główną Al-Kaidy. Określenie Tora Bora weszło do języka potocznego jako synonim demolki.
- ¹¹⁶ *Habub (haboob)* – pustynna burza piaskowa.
- ¹¹⁷ *I like to move it* – przebój Real 2 Real z 1993 roku.
- ¹¹⁸ *rome was not built in one day...* (pisownia oryginalna) – rzymu nie zbudowano w jeden dzień, pracuj wytrwale, a twój dzień nadejdzie; biedni ludzie kiedyś powstaną; daj szansę pokojowi, w końcu stanley i livingstone musieli żyć razem; młodzi urosną [w siłę]; boże, spraw, bym stał się bogaty; edukacja plus uroda minus Chrystus równa się ogień piekielny. skruszony grzesznik; gdybym tylko wiedział, że jest bratem śmierci; proście, a będzie wam dane: mateusz 7:7; 1+1 nie zawsze równać się 2; świat to moja ostryga. zjem ją w całości; przywitanie to nie miłość.
- ¹¹⁹ *Juju* – czarna magia.
- ¹²⁰ Lawrence Nomanyagbon Anini – nigeryjski przestępca, herszt gangu, który w latach osiemdziesiątych XX wieku terroryzował Benin City i okolice.
- ¹²¹ *Ngwongwo* – zupa z podrobów koźlęcych, z warzywami,

cebulą i pieprzem. Podawana jako przystawka.

¹²² Badagri – port morski nad Zatoką Gwinejską, oddalony mniej więcej o 60 kilometrów od Lagosu. Odległość między Lagosem a Onitszą wynosi około 470 kilometrów.

¹²³ *Suya* – pikantna grillowana wołowina lub kurczak.

¹²⁴ *Tori olowun* – Przysięgam!

¹²⁵ Ch. Dickens, *Opowieść o dwóch miastach*, przeł. T.J. Dehnel, Warszawa 1960, s. 7.

¹²⁶ Skalda – rzeka, nad którą leży Antwerpia.

¹²⁷ *Omnes errant* – Wszyscy błądzą.

¹²⁸ *Touch and follow* – rodzaj amuletu, którego, jak sama nazwa wskazuje (dotknij, a pójdziesz za nim/nią), używa się, aby kogoś zdobyć. Zgodnie z wierzeniami wystarczy go dotknąć, by zakochać się w jego właścicielu.

¹²⁹ Pelikaanstraat – ulica jubilerów, złotników i szlifierzy diamentów, stanowiąca część tzw. dzielnicy diamentowej, będącej również największym skupiskiem ortodoksyjnych żydów w tej części Europy. Antwerpia jest największym ośrodkiem handlu diamentami na świecie.

¹³⁰ *But these are simply amazing! I've got to take some back* – Ależ one są wspaniałe! Muszę wziąć kilka do domu.

¹³¹ *Your ciddy is absolutely gorgeous...* – Wasze miasto jest wspaniałe, kochanie. Świetnie się tu bawię i martwię się, że Paryż mnie rozczaruje. To mój następny punkt podróży. Potem Londyn tym... tym pociągami, Eurostarem, właśnie. Zwiedzam Europę, wiesz? My, Amerykanie, nie podróżujemy tyle, ile powinniśmy.

¹³² *You Europeans are so smart...* – Wy, Europejczycy, jesteście tacy mądrzy. Świetnie mówisz po angielsku, kochanie. Chciałabym znać jakiś inny język! Jakikolwiek, byle obcy!

¹³³ *Oh yes, I do...* – O tak, oczywiście. Czy mógłby pan zrobić mi zdjęcie? Dziękuję.

¹³⁴ *Handwerpen* – nieprzetłumaczalna gra słów, oznaczająca dosł. „rzucić ręką”.

¹³⁵ *Wow, amazing story!* – Wow, co za niesamowita historia!

¹³⁶ *How do you say „thank you” in Belgian, darleen?* – Jak

się mówi „dziękuję” po belgijsku, kochanie?

¹³⁷ *I'm dying to eat Belgian fries...* – Och, nie mogę się doczekać, aż spróbuję belgijskich frytek! Wiesz, u nas, w USA, są bardzo popularne!

¹³⁸ *LOOKING FOR A REASON...* – Szukasz powodu? Bóg jest powodem. Szukasz odpowiedzi? Bóg jest odpowiedzią. Szukasz miejsca kultu? Pierwszy Kościół Chrystusa Zbawiciela jest tym miejscem. Bądź z nami w każdą niedzielę i odkryj sens istnienia.

¹³⁹ Lokerse Feesten – coroczny festiwal muzyczny odbywający się w sierpniu w Lokeren (Belgia).

¹⁴⁰ *Ikebe* – tyłek.

¹⁴¹ Laurent-Désiré Kabila (1939–2001) – w latach 1997–2001 prezydent Demokratycznej Republiki Konga, zamordowany w nieudanym zamachu stanu w styczniu 2001. Zarzucano mu brak pozytywnych zmian w kraju, korupcję, autorytaryzm i łamanie praw człowieka. Po jego śmierci zastąpił go na stanowisku syn, Joseph Kabila Kabange, który wygrał wybory prezydenckie w latach 2006 i 2011 i obecnie jest prezydentem drugiej kadencji.

¹⁴² GB – dawna sieć belgijskich supermarketów Grand Bazar.

¹⁴³ *Boku* – dużo, mnóstwo.

¹⁴⁴ *Ose gan* – Bardzo dziękuję.

